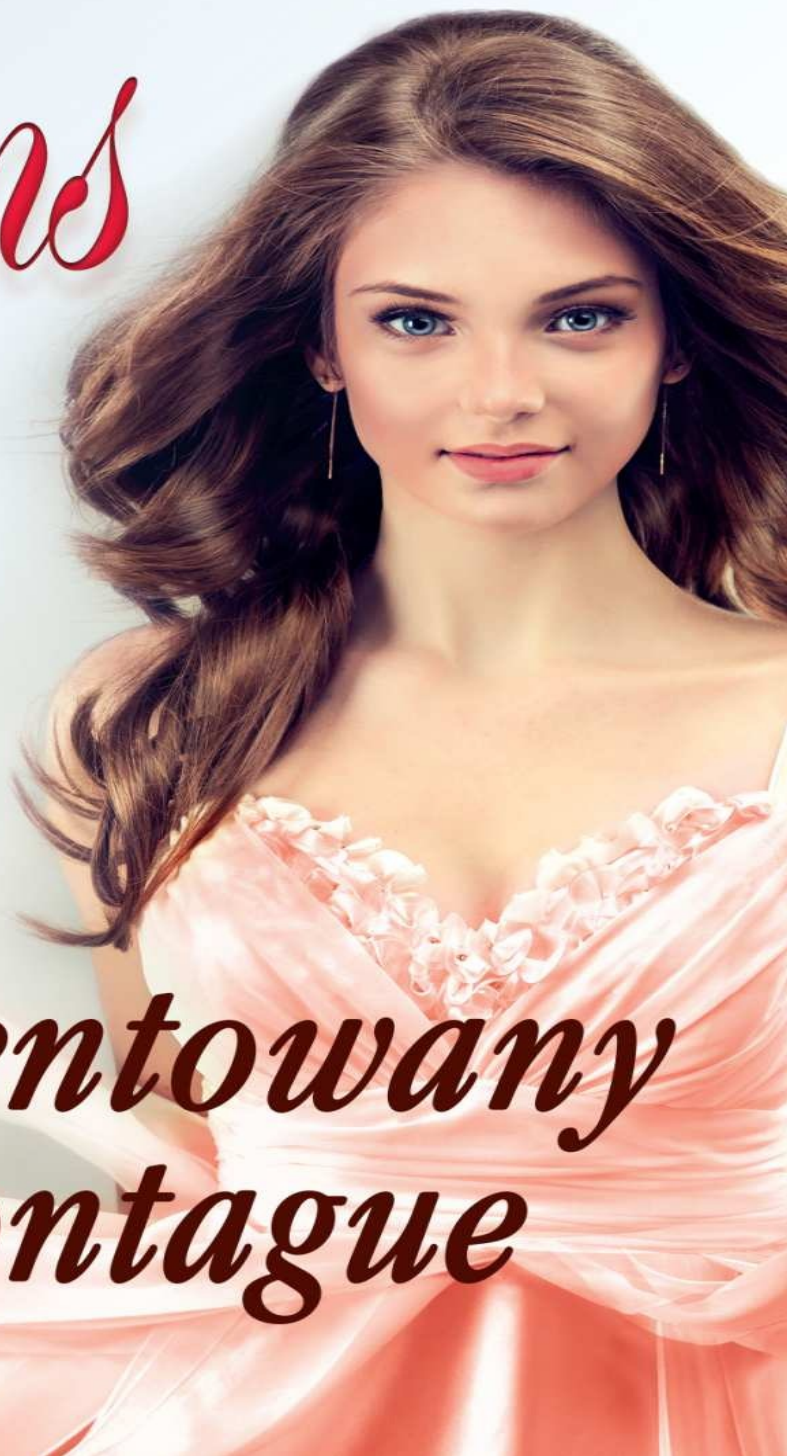


Panie Coulter, Quick i Lowell
- macie konkurencję!

Affaire de Coeur

Stephanie Laurens



Utalentowany pan Montague

Stephanie
Laurens

*Utalentowany
pan Montague*

przełożyła
Anna Pajek

bis

Warszawa 2015

Tytuł oryginału: *The Masterful Mr. Montague*

Projekt okładki: Karadasz

Copyright © 2014 Savdek Management Proprietary
Published by arrangement with HarperCollins Publishers
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation Wydawnictwo BIS 2015

ISBN 978-83-7551-459-9

Wydawnictwo BIS
ul. Łędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22 877-27-05, 22 877-40-33; fax 22 837-10-84

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Skład wersji elektronicznej: Marcin Kapusta

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

[Poprzednie śledztwa](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

Poprzednie śledztwa szlachetnie urodzonego Barnaby'ego Adaira

Kornwalia, czerwiec roku 1834

Sprawa Gerarda Debbingtona, brata Patience Cynster, szwagra Vane'a Cynstera i panny Jacqueline Tregonning

(Prawda o miłości)

Newmarket, sierpień roku 1834

Sprawa Dillona Caxtona, kuzyna Felicity Cynster, szwagra Demona Cynstera i lady Priscilli Dalloway

(Cena miłości)

Somerset, luty roku 1833

Sprawa Charlesa Morwellana, lorda Mereditha, brata Alathej Cynster, szwagra Gabriela Cynstera i panny Sarah Conningham

(Smak niewinności)

Londyn, listopad roku 1835

Sprawa panny Penelope Ashford, siostry Luca, hrabiego Calvertona, szwagierki Amelii Cynster

(Za głosem serca)

PROLOG

Październik roku 1837

Londyn

– Umieram i chcę zrobić to, co należy.

Agatha, lady Halstead, zacisnęła usta w wąską kreskę.

Violet Matcham wyprostowała się, spulchniwszy poduszki pod głową starszej pani. Dodającym otuchy gestem położyła dłoń na ręce damy spoczywającej bezwładnie na kołdrze.

– Jest pani zupełnie zdrowa i o tym wie. Lekarz potwierdził to nie dalej jak w zeszłym tygodniu.

Był późny ranek. Przez rozsunięte kotary do obszernej sypialni wpadało blade światło jesiennego dnia, przydając nieco blasku wyschniętej jak pergamin, pokrytej starczymi plamkami skórze lady Halstead i srebrnym pasmom jej przerzedzonych włosów. Bystre kiedyś, niebieskie oczy zaczynały tracić niegdysiejszy blask.

– Co on może wiedzieć? – Lady Halstead zerknęła spod oka na Violet. – Ci młodzi mężczyźni... Zawsze im się wydaje, że wszystko wiedzą. Ale ja jestem stara, kochanie, i czuję w kościach chłód śmierci. – Opadła na poduszki i spojrzała na sufit. – Gdy kiedyś starzy ludzie tak mówili, uznawałam to za wymysł, lecz teraz wiem, co mieli na myśli, ponieważ sama to czuję. – Nie odwracając głowy, zerknęła na Violet i uściśnęła lekko jej palce. – Większość moich przyjaciół dawno umarła. Minęło też niemal dziesięć lat, odkąd odszedł sir Hugo, niech będzie błogosławiona jego dusza. Chętnie bym się już z nim spotkała, lecz muszę wpieryw wypełnić daną mu obietnicę.

Violet, pogodzona z tym, że nie uda jej się zmienić nastroju podopiecznej – tym bardziej iż lady Halstead wydawała się równie trzeźwo myśląca, opanowana i rozsądna jak zawsze – spytała:

– A cóż to miało być takiego?

Została zatrudniona jako dama do towarzystwa wkrótce po śmierci męża lady Halstead – wzoru cnót wszelakich – nie dane jej więc było spotkać dżentelmena. Słyszała jednak o nim od wdowy tyle, że czuła się, jakby dobrze go znała. Przynajmniej na tyle dobrze, by wiedzieć, iż nie zażądał czegoś nonsensownego. Rzeczywistość potwierdziła jej wyobrażenia, lady Halstead powiedziała bowiem:

– Mój drogi mąż poprosił, bym obiecała mu, że nim odejdę, upewnię się, że wszystkie moje sprawy, zarówno osobiste, jak i te dotyczące majątku są w absolutnym porządku. Przykładał do takich rzeczy wielką wagę.

Ty zaś, pomyślała Violet, czcisz jego pamięć, więc jest to ważne także dla ciebie. Jej poprzednia pracodawczyni, lady Ogilvie, była zmarłemu małżonkowi równie oddana.

Lady Halstead uniosła głowę, wyprostowała się na łóżku i kontynuowała nieco mocniejszym głosem:

– Zatem, chociaż wydaję się zdrowa, wiem, że mój czas nadchodzi, i życzę sobie sprawdzić, czy wszystko, co dotyczy mojej ostatniej woli i stanu posiadania, pozostaje w absolutnym porządku.

Sir Hugo wzbogacił się w Indiach, a za zasługi dla Korony został nagrodzony tytułem szlacheckim. Tym samym Halsteadowie wspięli się na nieco wyższy stopień drabiny społecznej, równy przedstawicielom niższej arystokracji, i byli, jak wieść niosła, ze wszech miar dobrze sytuowani. Dom przy ulicy Lowndes – dobry adres w szanowanej okolicy – odzwierciedlał ten stan rzeczy. Nawet sypialnia lady Halstead z wielkim, nowoczesnym łóżkiem, adamaszkowymi zasłonami i pasującymi do nich obiciami wypolerowanych na wysoki połysk drogich mebli zaświadczała o statusie rodziny.

Choć Violet nie знаła szczegółów ostatniej woli sir Hugona, domyślała się jednak, że po śmierci starszego pana cały majątek przeszedł dożywotnio na jego żonę. Potem, zgodnie z wolą sir Hugona, miał zostać podzielony równo pomiędzy czwórkę ich dzieci. Czyniło to prośbę o dopilnowanie, aby finanse zostały uporządkowane, absolutnie rozsądną.

Skinęła więc głową.

– Doskonale. Co mam zrobić?

Choć umysł starej damy pozostał jasny i zaskakująco bystry, osłabła w ostatnich tygodniach na tyle, że większość dni spędzała w łóżku. Wejście na schody stanowiło wysiłek, podejmowany jedynie, gdy było to niezbędne. Niewielkim gospodarstwem zarządzała Violet i czyniła to z wprawą wynikłą z doświadczenia. Zważywszy, iż poza nią i lady Halstead w domu mieszkały na stałe jedynie pokojówka starszej damy, Tilly oraz kucharka, nie było to zadanie ponad siły. Zwłaszcza że cała czwórka świetnie się dogadywała. Lata spędzone u lady Halstead nie obfitowały w wydarzenia. Kobiety wiodły spokojną, pozbawioną wyzwań egzystencję, z dala od krępujących swobodę reguł światowego życia.

Lady Halstead westchnęła i osunęła się niżej na poduszkach.

– Niestety, stary Runcorn zmarł w zeszłym roku, przypuszczam więc, iż powinniśmy zwrócić się do jego syna. – Ściągnęła przelotnie brwi. – Muszę zdecydować w końcu, czy młody człowiek nadaje się, aby zarządzać majątkiem rodziny.

Zmarły Arthur Runcorn był przez wiele lat pełnomocnikiem i doradcą finansowym Halsteadów. Violet spotkała jego syna, Andrew, tylko raz, kiedy pojawił się w domu przy Lowndes, przynosząc dokumenty do podpisu. I choć był od Violet, obecnie trzydziestoczteroletniej, młodszy o kilka lat, wywarł na niej dobre wrażenie. Wydawał się szczery i uczciwy, gorliwy i pełen zapału. Co do jego umiejętności zawodowych nie była jednak w stanie się wypowiedzieć. Podeszła do komody, gdzie w dolnej szufladzie spoczywał przenośny sekretarzyk lady Halstead. Wysunęła szufladę i zapytała:

– Kiedy chciałaby się pani z nim zobaczyć?

– Jutro. – Violet wyprostowała się, trzymając w dłoniach sekretarzyk. Starsza dama skinęła zdecydowanie głową. – Poślij mu wiadomość, by stawił się tutaj jutro rano z listą wszystkich posiadłości i inwestycji. Powiadom go, że chcę dokonać pełnego przeglądu.

Violet postawiła sekretarzyk na stoliku obok fotela, po przeciwnej stronie łóżka. Przygotowała papier, pióro, atrament i spojrzała na lady Halstead.

– Zechce pani dyktować?

Lady Halstead machnęła jednak tylko dłonią, odrzucając sugestię.

– Nie. – Uśmiechnęła się lekko. – Potrafisz sformułować to lepiej niż ja.

Violet odpowiedziała uśmiechem, zanurzyła pióro w kałamarzu i zaczęła pisać.

*

Lady Halstead wydawała się zmartwiona, i to od dobrych pięciu minut.

Violet, usadowiona w fotelu po prawej stronie damy, zastanawiała się, co też wzbudziło niepokój staruszki.

Młody pełnomocnik zareagował na wezwanie, potwierdzając termin konsultacji krótką notką, a dziś stawił się, jak zażądano, punkt jedenasta.

Młodzieniec średniej budowy, o szeroko rozstawionych brązowych oczach, okrągłej twarzy i brązowych włosach wydawał się równie szczery i pełen zapału jak podczas pierwszej wizyty. Przemawiał jasno, zwięźle, z pewnością siebie oraz zdecydowaniem, świadczących zarówno

o zaangażowaniu, jak i znajomości rzeczy.

Najwidoczniej dobrze się spisał, gdyż lady Halstead, słuchając go, potakiwała z aprobatą głową. Potem poprosiła, by przedstawił jej stan bieżących finansów – depozytów złożonych w rozmaitych funduszach oraz rachunku w banku Grimshawa.

Siedząc wyprostowana sztywno na ulubionym krześle z wysokim oparciem, podniosła jeden z pięciu arkuszy spoczywających na okrytych szalem kolanach i powiedziała, ściągnając brwi:

– Saldo na tym rachunku się nie zgadza.

Młody Runcorn wydawał się zaszokowany.

– Doprawdy?

Lady Halstead podała mu wyciąg. Wziął go, przejrzał pobieżnie, a potem, zerknąwszy przelotnie na Violet, powiedział z wahaniem:

– Stan konta został potwierdzony przez bank, milady.

Lady Halstead ściągnęła mocniej brwi.

– Nie obchodzi mnie, co powiedział jakiś urzędnik. Saldo się nie zgadza. – Machnęła niecierpliwie dłonią. – Proszę pójść i to wyjaśnić.

Cokolwiek zrzędlawy ton świadczył, że starsza pani naprawdę się zdenerwowała. Violet wyciągnęła więc rękę, nakryła dłonią palce chlebobawczyni, skubiące niespokojnie szal, i zapytała:

– Czy cała reszta jest, zdaniem pani, w porządku?

– Tak, tak. – Palce staruszki znieruchomiały pod dotykiem dłoni Violet. Uspokoila się na tyle, żeby powiedzieć do Runcorna: – Był pan bardzo dokładny. Nie dopatrzyłam się błędu w żadnym innym miejscu, jednak to saldo nie jest takie, jak być powinno.

– Być może – zauważyła Violet, przechwytyjąc spojrzenie Runcorna – mógłby pan sprawdzić je w banku?

Runcorn właściwie odczytał przesłanie; zważywszy na wielkość majątku Halsteadów, sprawdzenie pojedynczego rachunku było rzeczą dość błahą.

– Tak, oczywiście. Żaden problem. – Sięgnął po swoją torbę i schował inkryminowany dokument. – Pójdę tam zaraz i wszystko wyjaśnię.

To właśnie należało powiedzieć. Lady Halstead uspokoiła się i skinęła łaskawie głową.

– Dziękuję, młody człowieku.

Runcorn pozbierał dokumenty z pomocą Violet, a potem pożegnał się oficjalnie i ruszył do wyjścia.

Violet zlitowała się nad księgowym i odprowadziła go do drzwi.

*

Wróciwszy do salonu, Violet ze zdziwieniem skonstatowała, że lady Halstead zachowuje się tak, jakby zapomniała już o rachunku. Dama założyła najwidoczniej, że kiedy Runcorn przyjrzy mu się bliżej, wykryje, gdzie powstał błąd, i wszystko będzie znów jak należy.

Toteż kiedy młodzieniec wrócił następnego dnia około trzeciej z wiadomością, że bank upiera się, iż nie popełniono błędu, i stan konta jest taki, jak przedstawiono to uprzednio, była naprawdę zaskoczona.

Lady Halstead zdecydowała się zjeść lunch na parterze, siedziała więc teraz w saloniku. Kiedy usłyszała, z czym przyszedł Runcorn, jej twarz przybrała dziwnie nieodgadniony wyraz.

– To... w najwyższym stopniu niepokojące.

– Zapewniam panią, milady – zaczął pospiesznie Runcorn – że my, to znaczy firma Runcorn i Syn, nie mieliśmy z tym rachunkiem nic do czynienia. Bank z pewnością to potwierdzi. Poza tym, że

sprawdzaliśmy od czasu do czasu wyciągi, co należy do naszych obowiązków, nie wyjęliśmy z niego ani pensa. Przysięgam...

– Młodzińcze! – przerwała mu lady Halstead stanowczo, jak przystało na kobietę, która wychowała trzech synów. Panika w głosie Runcorna wyrwała ją ze stanu zamyślenia. – Proszę się opanować. I usiąść. Nie podaję w wątpliwość pańskiej uczciwości. Ani przez chwilę nie podejrzewałam, że firma Runcorn i Syn może mnie okradać. Nie na tym polega problem.

Runcorn, który zdążył przycupnąć na skraju krzesła, zamrugał.

– Nie?

– Nie. Chodzi o to, że pieniędzy jest tam za dużo. I to o wiele za dużo. Ktoś dokonywał wpłat, najwidoczniej mając w tym jakiś cel, nie mam jednak pojęcia, kto mógłby to być ani jaki miał powód.

– Ach. – Runcorn nie wydawał się zaintrygowany, już raczej mu ulżyło. – To muszą być wpływy z dawno zapomnianej inwestycji, która dopiero teraz zaczęła przynosić dochód. To się zdarza. Sir Hugo mógł nabyć dwadzieścia lat temu jakieś udziały, które dopiero teraz zaczęły procentować. – Sięgnął po swoją torbę, a potem wstał i uklonił się z miną wyrażającą tak charakterystyczną dla niego gorliwość. – Zapewniam panią, że przejrzę uważnie rachunek, dowiem się, skąd pochodzą tajemnicze wpływy, i wyśledzę ich źródło.

– Hm... – Lady Halstead ściągnęła znów brwi. – Przypuszczam, że popełniono błąd. Ktoś w banku mógł pomylić rachunki.

Runcorn pochylił głowę.

– To jest, oczywiście, możliwe, zważywszy wszakże, jak rozległe inwestycje poczynił sir Hugo, uznałbym pierwszą możliwość za zdecydowanie bardziej prawdopodobną. Tak czy inaczej, zanalizuję ten rachunek i powiadomię panią, gdy tylko uda mi się zlokalizować źródło niespodziewanych przychodów.

Wyraz twarzy lady Halstead sugerował, iż nie jest tak pewna sukcesu, jak zdawał się być Runcorn, skinęła jednak łaskawie głową, życząc mu miłego dnia.

*

Kiedy wieczorem Violet zaszła przed położeniem się spać do sypialni starszej damy, znalazła ją dziwnie rozdrażnioną. Odkąd wyszedł Runcorn, lady Halstead stawiała się z każdą mijającą godziną bardziej niespokojna.

Violet wygładziła kołdrę na drobnej postaci damy i zapytała uspokajającym tonem:

– Nadal martwi się pani tym rachunkiem? Jestem pewna, że pan Runcorn dotrze do sedna tej sprawy.

Lady Halstead pochyliła się, by umożliwić Violet poprawienie poduszek i mruknęła:

– Chciałabym mieć twoją pewność. – Westchnęła. – Nie, to nie w porządku. Prawda wygląda tak, iż pokładam wiarę w firmie Runcorn i Syn, bardziej nawet niż sam młody Runcorn, i dlatego nie bardzo widzę, jak mogliby przeoczyć napływające regularnie przychody.

Oparła się o spulchnione poduszki i spojrzała na Violet.

– Może i nie mam zbyt wielkiego pojęcia o finansach, wiem jednak, że za inwestycjami idą zazwyczaj papiery – certyfikaty, poświadczenia własności i tym podobne. Gdyby jakaś inwestycja zaczęła nagle przynosić dochód, firma by o tym wiedziała. Napłynęłyby jakieś dokumenty lub poproszono by ich o poradę. Może gdybyśmy zmienili w przeszłości agenta, coś mogłoby się zapodziać, lecz Runcorn i Syn zajmują się naszymi finansami, odkąd wróciliśmy trzydzieści lat temu do Anglii. Nie potrafię sobie wyobrazić, by Hugo zapomniał przekazać jakieś poświadczenia własności

Runcornom, zatem... Cóż... – Rozłożyła dłonie. – Skąd biorą się te przeklęte pieniądze?

– Śmiem twierdzić, że pan Runcorn odezwie się za kilka dni i wtedy dowiemy się, co ustalił – powiedziała Violet uspokajająco. – Jak mawiał mój ojciec, nie ma co się martwić na zapas.

Lady Halstead się skrzywiła.

– Zmarły pastor był bez wątpienia mądrym człowiekiem, jednak pieniądze to nie jedyna dziwna rzecz.

Sądząc z posępnego wyrazu jej twarzy, Violet domyśliła się, iż rzeczywiście coś musi wzbudzać niepokój starszej damy.

– Co jeszcze się wydarzyło?

Lady Halstead przyglądała się jej przez chwilę, ewidentnie zastanawiając, czy wyjawić coś, czym najwidoczniej chciała się podzielić. Wreszcie zacisnęła wargi i skinęła głową w kierunku komody.

– Przynieś mi sekretarzyk.

Violet posłuchała i postawiła cedrową skrzyneczkę z wysuwającym blatem na łóżku. Lady Halstead otworzyła sekretarzyk i poszperała przez chwilę wśród znajdujących się tam papierów, by wyjąć zmięty arkusz, pokryty niewyraźnym pismem.

– Przyszedł przed tygodniem. Nadal nie wiem, co z tym zrobić.

Zamilkła, wpatrując się w list, trzymany w powykrzywianych artretyzmem palcach.

Minęło pół minuty. Wreszcie Violet ponagliła ją, naciskając lekko:

– Proszę mi powiedzieć. Jeśli coś panią martwi, może zdołamy wymyślić, co z tym zrobić.

Lady Halstead zamrugnęła, spojrzała na Violet, a potem się uśmiechnęła.

– Właśnie dlatego o tym wspomniałam: ty zawsze starasz się wszystkiemu zaradzić. – Spojrzała jeszcze raz na list, a potem wetknęła go na powrót do sekretarzyka i zamknęła wieko. – Jest od żony pastora, która mieszka obok naszej wiejskiej posiadłości Laurels. Chociaż nie byłam na wsi od śmierci sir Hugona, a dom był przez wszystkie te lata zamknięty, od czasu do czasu wymieniamy z pastorową listy. Napisała, że w domu mieszkają lokatorzy, którzy trzymają się na dystans i nie wiadomo, kim są. Pyta, komu wynajęliśmy posiadłość lub czy ją sprzedaliśmy. – Spojrzała znowu na Violet. – Nie sprzedalam domu ani go nie wynajęłam. O ile mi wiadomo, powinien nadal być zamknięty. Kto więc tam mieszka i do jakich celów go wykorzystuje?

Violet wytrzymała spojrzenie starszej damy. Niestety, żadna pocieszająca odpowiedź nie przychodziła jej na myśl.

Co gorsza, nie wiedziała, jak takową uzyskać.

W końcu odniosła sekretarzyk z powrotem do komody. Wyprostowała się, podeszła do łóżka, wygładziła przykrycie i sięgnęła do lampy na stoliku. Nim ją ściemniła, spojrzała jeszcze raz na lady Halstead.

– Proszę pozwolić, że zastanowię się nad tym przez noc. Porozmawiamy rano i coś postanowimy. A teraz proszę już spać.

Lady Halstead skrzywiła się, lecz przytaknęła. A kiedy Violet przyciemniła światło, zamknęła posłusznie oczy.

Violet, usatysfakcjonowana, wyszła z sypialni starszej pani i ruszyła z wolna korytarzem. Umysł miała zaprzątnięty coraz bardziej zagadkowymi finansami rodziny Halsteadów.

*

– Podjęłam decyzję – oznajmiła lady Halstead, gdy tylko Violet, poprzedzana przez Tilly, weszła rankiem do jej sypialni.

Violet odsunęła zasłony, pomogła lady Halstead usiąść i oprzeć się na poduszkach, a potem się uśmiechnęła.

– Może mi pani ją przekazać, jedząc śniadanie.

Tilly podeszła do łóżka i postawiła tacę na kolanach starszej pani. Lady Halstead machnęła ręką i zwracając się do Violet, powiedziała:

– Nie, bo nie mogłabyś zjeść, a będę potrzebowała cię później. Poza tym – postukała palcem w wyprasowany i zwinięty w rulon egzemplarz „Timesa” – muszę jeszcze coś sprawdzić.

Violet ustąpiła, ciesząc się z tego, że starsza pani wydaje się tak ożywiona.

– Doskonale. Wrócę, gdy tylko zjem.

– Mhm – mruknęła lady Halstead. Zdążyła zagłębić się już w lekturze.

Violet wyszła, podążając za Tilly schodami.

Na dole pokojówka odwróciła się i spojrzała na Violet.

– Wydaje się, że znów jest w formie. Nie tak jak przez kilka ostatnich dni.

Violet przytaknęła.

– Wygląda na to, że wymyśliła sposób, by znaleźć odpowiedź na pytania, które nie dają jej spokoju.

– I dobrze. Martwię się, kiedy jest tak wytrącona z równowagi.

– Ja także. – Uśmiechając się, weszła za Tilly do kuchni. Wszystkie trzy były lady Halstead bardzo oddane. To wokół starszej damy kręciło się całe gospodarstwo, lecz była dobrą chlebodawczynią, z rodzaju tych, które wzbudzają szacunek, lojalność oraz oddanie przez samo to, jakimi są osobami.

Pół godziny później, zjadłszy śniadanie, wróciły z Tilly do sypialni. Lady Halstead wydawała się zadowolona, a nawet dumna z siebie. Poleciała im, aby pomogły jej wstać, umyć się i ubrać. Potem nakazała pokojówce pościelić łóżko, nie wspomniawszy słowem o swoim postanowieniu.

Kiedy Tilly wyszła, zabrawszy tacę, dama położyła się na świeżo wygładzonym przykryciu, okryła szalem nogi i uśmiechnęła się do Violet.

– Kiedy zdecydowałam wreszcie, co powinnam zrobić, czuję się o wiele lepiej.

Violet opadła na fotel obok łóżka, modląc się w duchu, aby to, co postanowiła lady Halstead, okazało się rozsądne. Uświadomiła sobie bowiem, że gdyby starsza dama wpadła na niezbyt sensowny pomysł, nie miałyby do kogo zwrócić się o pomoc. Choć bowiem jej chlebodawczyni miała czworo dzieci, nie pozwoliła nigdy, aby wpływały na jej decyzje. Mimo to od czasu do czasu któreś próbowało wymusić coś na matce. Ponieważ Violet znała całą czwórkę niemal tak długo jak samą lady Halstead, musiała uznać jej stanowisko za w pełni uzasadnione.

– Proszę powiedzieć mi więc – zaczęła, naciskając lekko – co chce pani zrobić.

– Uznałam – odparła lady Halstead – że choć pan Runcorn i jego pracownicy w niczym nie zawinili, prawda wygląda jednak tak, że nie ma on zbyt dużego doświadczenia. Tym samym, jeśli sprawa pieniędzy wpływających na rachunek nie wiadomo skąd okaże się bardziej skomplikowana, podobnie jak zajęcie domu przez tajemniczych lokatorów, trudno mu będzie sobie z nią poradzić. Muszę wiedzieć z niezachwianą pewnością, co się dzieje – upewnić się, że dotrzemy do sedna obu tych spraw – a wątpię, czy będę w stanie tak się poczuć, jeśli to młody Runcorn przedstawi mi swoje wnioski.

– Zatem – uniosła wyżej brodę – proponuję, by skonsultować się w tej kwestii z najbardziej doświadczonym doradcą w Londynie. – Przerwała i spojrzała na Violet. – Co o tym sądzisz?

Violet zamrugnęła, a potem spojrzała na starszą damę.

– Uważam, że... to doskonały pomysł.

Teraz, gdy lady Halstead o tym wspomniała, ją również zaczęła dręczyć wątpliwość – nie co do kompetencji młodego Runcorna, lecz tego, czy zdoła przekonać milady, iż jego wnioski są prawidłowe. Cokolwiek wykryje, trudno mu będzie uspokoić staruszkę. – Skinęła zatem głową. – Nie widzę

powodu, aby nie mogła się pani skonsultować z kimś bardziej doświadczonym. A skoro będzie to jedynie konsultacja w kwestii wątpliwego rachunku, pan Runcorn nie powinien czuć się urażony. O ile go znam, zapewne chętnie skorzysta z pomocy bardziej doświadczonego fachowca.

Lady Halstead pokiwała z aprobatą głową.

– W rzeczy samej, też przyszło mi to na myśl. Lubię młodego Runcorna i nie chcę robić nic za jego plecami. – Uniosła brodę stanowczym gestem. – Muszę jednak mieć pewność. Inaczej nie byłabym w stanie uznać, że wypełniłam daną mężowi obietnicę.

Violet w pełni to rozumiała.

– Doskonale. Zatem którego z bardziej doświadczonych doradców chciałaby pani zaangażować?

– Zajęło mi to trochę czasu – przyznała lady Halstead – ponieważ nie mam, oczywiście, w tej kwestii rozeznania, przypominałam sobie jednak – dodała, sięgając po leżącą na kołdrze gazetę – że w dziale finansowym „Timesa” jest kolumna, gdzie autor zachęca czytelników, by zwracali się do niego w sprawach wymagających porady finansowej. – Rozłożyła gazetę i pokazała artykuł. – Widzisz? Tutaj.

Violet wzięła do rąk gazetę i przejrzała artykuł. Nie był zbyt obszerny – ekspert wziął pod lupę trzy pytania i udzielił odpowiedzi długich jedynie na akapit.

– Zatem... chce pani napisać do „Timesa” i poprosić o rekomendacje?

– Tak, w pewnym sensie – odparła lady Halstead. A kiedy Violet spojrzała na nią zaskoczona, wyjaśniła: – Zamierzam napisać do nich i spytać, kto zdaniem tego dziennikarza jest najbardziej doświadczonym i godnym zaufania specjalistą od finansów w Londynie.

ROZDZIAŁ 1

Tydzień później

Heathcote Montague siedział za biurkiem w wewnętrznym sanktuarium swojej firmy, położonej o rzut kamieniem od Banku Anglii. Za oknem zapadł już niemal ponury październikowy zmierzch, gdy nagle z pomieszczeń biurowych dobiegł go odgłos głośnej rozmowy. Zajęty sprawdzaniem ksiąg jednego ze szlachetnie urodzonych klientów, zamknął uszy na dźwięki i pogrążył się w studiowaniu liczb.

Liczby – zwłaszcza te, za którymi stały sumy pieniędzy – miały dlań niemal hipnotyczny urok; poza tym, że zapewniały mu byt, stanowiły też jego pasję.

I to od lat.

Zapewne zbyt wielu.

Nie pozostawiając miejsca na nic innego.

Zignorował natarczywy głos, który z każdym pełnym sukcesów tygodniem, każdym mijającym miesiącem przybierał na sile, zmieniając się z ledwie słyszalnego szeptu w uporczywe, szarpiące nerwy sklamrzenie, i skupił uwagę na schludnych rzędach cyfr maszerujących karnie w dół strony.

Hałaśliwa rozmowa przy wejściu przycichła. Usłyszał, jak drzwi się otwierają, a potem zamykają. Bez wątpienia odwiedził ich kolejny potencjalny klient, zwabiony nieszczęsnym artykułem w „Timesie”. Zwięzła notka redaktora zaowocowała ogłupiającym zamieszaniem. Jak Montague mógłby nie cieszyć się z tego, że został wymieniony jako najbardziej doświadczony i godny zaufania doradca finansowy w Londynie?

Z trudem powstrzymał się od ostrej riposty, że ani on, ani jego firma nie potrzebują, a już na pewno nie cenią, publicznej reklamy. Co było prawdą – ledwie dawali sobie radę z pracą. Doświadczeni agenci, potrafiący radzić sobie z liczbami, byli na wagę złota, a firma Montague’a cieszyła się tym większym uznaniem, że nie zatrudniano w niej nikogo, kto nie był w pracy równie dokładny jak jej właściciel, zwłaszcza tam, gdzie chodziło o pieniądze klientów. Nie zamierzał ryzykować utraty reputacji, zatrudniając mniej zdolnych, oddanych, zwłaszcza nie tak godnych zaufania pracowników.

Mniej więcej dwadzieścia lat temu odziedziczył po ojcu grono wiernych klientów. W tamtych czasach praca agentów polegała głównie na doradzaniu, jak zarządzać pieniędzmi uzyskanymi z majątków ziemskich. On miał jednak szersze zainteresowania – i większe ambicje. Firma rozwijała się więc, przyjmując pod opiekę pieniądze członków londyńskiej elity, chroniąc je i pomagając pomnażać.

Przyciągnęło to nowych, bardziej postępowych klientów, których nie zadowalało siedzenie i przyglądanie się, jak ich pieniądze leżą, zamiast pracować. Podzielali przekonanie Montague’a, iż pieniądź powinien być w ruchu.

Wczesne sukcesy sprawiły, że firma rozkwitła. Zarządzanie inwestycjami z oddaniem oraz talentem, podbudowanymi dogłębną wiedzą o tym, jak utrzymywać błogosławioną równowagę pomiędzy przychodami a wydatkami, stanowiły teraz jej znak firmowy.

Lecz nawet sukces może stać się w końcu nudny – a przynajmniej nie tak ekscytujący i satysfakcjonujący jak na początku.

W biurze zapanował znów spokój. Montague usłyszał, jak jego starszy urzędnik, Slocum, rzuca pod

adresem młodego pomocnika, Phillipa Fostera, cierpki komentarz. Pozostali – młodszy urzędnik Thomas Slater i chłopiec na posyłki Reginald Roberts – zaśmiali się krótko, a potem zapanowała cisza, przerywana jedynie szelestem papieru i cichym stukotem zamykanej szafki z aktami, gdy niepotrzebna już teczka wracała na miejsce.

Zanurzył się znowu w świat liczb, zagłębił w tajniki hodowli owiec prowadzonej przez księcia Wolverstone'a, którego to interesu doglądał od skromnych początków po obecny sukces o międzynarodowym wymiarze. Rezultaty, choć już nie tak olśniewające, nadal były godne uwagi. Porównywał i szacował, analizował i oceniał, nie znalazł jednak nic wymagającego interwencji.

Gdy przejrzał już niemal całą księgę, uległy zmianie odgłosy dobiegające z sali, gdzie trudzili się urzędnicy. Dzień pracy zbliżał się ku końcowi.

Zza drzwi dobiegał odgłos zamykanych szuflad, odsuwanych krzeseł, wymiana grzeczności i planów na wieczór. Mężczyźni opowiadali o tym, co czeka ich w domu – małe codzienne radości, do których było im spieszo. Frederick Gibbons, starszy asystent Montague'a, miał małe dziecko, już trzecie. Dzieci Slocuma były nastolatkami, podczas gdy Thomas Slater oczekiwał lada dzień narodzin pierwszego potomka. Nawet Phillip Foster miał wrócić do domu siostry i jej radosnej gromadki rozrabiaków. Młody Reginald wywodził się zaś z licznej rodziny i był jednym z siedmiorga dzieci.

Na każdego w domu ktoś czekał. Ktoś, kto powita go na progu uśmiechem i ucałuje w policzek.

Na każdego, poza Montague'em.

Myśl, jasna i twarda jak kryształ, wyrwała go z zadumy. Na jedną chwilę pozwolił sobie skupić uwagę na absolutnej samotności swej egzystencji, byciu samym, niezwiązanym z nikim na świecie. Uczucie to rosło w nim już od jakiegoś czasu.

Urzędnicy wymienili pożegnania, choć żadne nie było skierowane do niego. Dobrze wiedzieli, że lepiej nie przeszkadzać szefowi w pracy. Drzwi wejściowe otworzyły się, a potem zamknęły. Większość mężczyzn wyszła. Za chwilę w progu pojawi się Slocum, by potwierdzić, że dzień pracy dobiegł rzeczywiście końca i wszystko jest jak należy...

Drzwi wejściowe się otworzyły.

– Przepraszam bardzo, szanowna pani – powiedział Slocum – lecz biuro jest już nieczynne.

Drzwi się zamknęły.

– W rzeczy samej, zdaję sobie sprawę, że dzień pracy się skończył, miałam jednak nadzieję, że właśnie dlatego pan Montague będzie mógł poświęcić mi kilka minut...

– Przykro mi, proszę pani, lecz pan Montague nie przyjmuje nowych klientów. W „Timesie” powinni byli o tym napisać i zaoszczędzić wszystkim kłopotu.

– Rozumiem, nie przyszłam jednak po to, by zostać klientką. – Kobieta miała czysty i dobrze ustawiony głos o miłym brzmieniu. Wysławiała się jasno i precyzyjnie. – Mam dla pana Montague'a propozycję – ofertę konsultacji w zagadkowej sprawie, mającej związek z finansami.

– Ach tak – powiedział Slocum niepewnie.

Zaciekawiony Montague odłożył księgę i wstał. Choć Slocum zdawał się tego nie zauważać, damy rzadko zjawiały się w biurze doradcy finansowego, a już na pewno nie po to, by go zatrudnić. Montague nie mógł sobie przypomnieć ani jednego przypadku, kiedy to został zatrudniony przez kobietę – przynajmniej nie w sprawie finansów.

Otworzył drzwi gabinetu i wyszedł.

Slocum usłyszał go i się odwrócił.

– Sir, ta pani...

– Tak, słyszałem.

Utkwił wzrok w damie, stojącej z uniesioną wysoko głową przed Slocumem. Z jakiegoś dziwnego

powodu czuł się tak, jakby słowa, które wypowiedział, dobiegały z oddali.

Przeciętnego wzrostu, o doskonalej figurze, ani zbyt szczupła, ani nadmiernie obdarzona przez naturę, spoglądała na Montague'a z tak szczerą bezpośredniością, że przyciągnęła natychmiast jego uwagę. Spod fali miękkich brązowych włosów spoglądały nań oczy o delikatnym odcieniu błękitu. Brwi miała także brązowe, wyraziście zarysowane.

Kiedy się zbliżył, przyciągany siłą o wiele bardziej nieodpartą niżli uprzejmość, te oczy rozszerzyły się nieznacznie. Nieznajoma uniosła brodę odrobinę wyżej, a potem z jej rozchylnych blad różowych warg padło:

– Pan Montague?

Zatrzymał się przed nią i skłonił.

– Panna...?

Wyciągnęła rękę.

– Jestem panna Matcham. Przyszłam w imieniu mojej chlebodawczyni, lady Halstead. Zamknął dłoń w uścisku – jakże krótkim, jak oficjalnym! – wokół jej smukłych palców.

– Rozumiem.

Puścił jej dłoń, cofnął się i wskazał gestem drzwi do gabinetu.

– Może zechciałaby pani usiąść i wyjaśnić, jak mógłbym pomóc lady Halstead.

Pochyliła głowę z subtelnym wdziękiem.

– Dziękuję.

Gdy go mijiała, nozdrzy Montague'a dobiegła drażniąca zmysły woń fiołków i róż. Spojrzał na Slocuma.

– W porządku, Jonasie. Możesz iść – pozamykam później biuro.

– Dziękuję, sir – powiedział Slocum, a potem dodał, zniżając głos. – Nie wygląda na osobę z rodzaju tych, które zostają zwykle naszymi klientkami. Zastanawiam się, czego może chcieć.

– Na pewno wkrótce się dowiem – odparł Montague, nie wiedząc czemu przyjemnie podekscytowany.

Slocum zaszutrował, wziął płaszcz i wyszedł. Montague ruszył w ślad za panną Matcham. Wchodząc do gabinetu, usłyszał, jak za Slocumem zamykają się drzwi.

Przemknęło mu przez myśl, że to niezbyt stosowne przebywać w biurze sam na sam z młodą damą, lecz kiedy przyjrzał się jej bliżej, uznał, że wystarczy, gdy pozostawi drzwi gabinetu otwarte. Nie była aż tak młoda. Choć nie uważał się w tej kwestii za eksperta, oceniał, że musiała niedawno przekroczyć trzydziestkę.

Spacerowa suknia z dobrej wełny w odcieniu jasnofiołkowym i pasujący do niej filcowy kapelusik były stylowe, lecz nie uszyto ich podług najnowszej mody. Torebka też wydawała się bardziej praktyczna niżli służąca jedynie ozdobie.

Zatrzymała się i spojrzała na niego. Okrążył biurko i wskazał ustawione tuż przed nim solidnie wyściełane krzesło.

– Proszę spocząć.

Gdy usłuchała, poruszając się z niewymuszoną gracją, usiadł, odsunął księgę Wolverstone'a, oparł na blacie przedramiona i utkwił spojrzenie w jej fascynującej twarzy.

– A teraz, jak mógłbym pani pomóc? Lub raczej lady Halstead?

Violet się zawahała. Zaplanowała z lady Halstead dokładnie, co powinna zrobić, by dostać się przed oblicze pana Montague'a i zostać wysłuchaną, a teraz, kiedy tu była... Usłyszała, jak mówi:

– Proszę wybaczyć mi to wahanie, ale nie jest pan taki, jakiego spodziewałam się zobaczyć.

Jego brwi – proste, brązowe – uniosły się nad zadziwiająco okrągłymi oczami, które, w opinii Violet,

uczyniłyby ich posiadacza godnym zaufania, nawet gdyby taki nie był.

Ten widok ją rozbawił. Mogłaby się założyć, że pan Montague nieczęsto dawał się zaskoczyć.

– „Najbardziej doświadczony i godny zaufania doradca finansowy w Londynie” – kontynuowała. – Spodziewałam się skrzywionego, zrzedliwego starszego pana z palcami poplamionymi atramentem i krzaczastymi siwymi brwiami, który spoglądałby na mnie z gniewem ponad połówkowymi okularami.

Montague zamrugał, a potem jego powieki uniosły się powoli, ukazując złotobrązowe oczy. Cały był brązowy – brązowe włosy, jaśniejsze o ton od włosów Violet, i piwne oczy, bardziej jednak brązowe niż zielone. Jednak to twarz i ogólna prezencja mężczyzny wywarły na niej największe wrażenie. Przesunęła spojrzeniem po szerokim czole, mocnej, czystej linii policzków, kwadratowej szczęce. Podchwycił jej wzrok i unióśł dłoń z rozpostartymi szeroko palcami.

Były poplamione atramentem, choć tylko dwa i niezbyt mocno.

Gdy się im przyglądała, sięgnął po przedmiot leżący na skraju blatu i podniósł okulary w złożonych oprawkach.

– Mam takie – powiedział. – Jeśli to coś da, chętnie je założę. Spoglądanie z gniewem przerasta jednak zdecydowanie moje możliwości.

Dostrzegła czający się w jego spojrzeniu uśmiech i także się roześmiała.

Zawtórował jej, a wtedy jego rysy zadziwiająco się zmieniły. Wyglądał teraz o wiele młodziej niż na czterdzieści pięć lat, jakie zapewne sobie liczył.

Uczciwy, solidny, odpowiedzialny. Wszystko w nim – rysy, kształt głowy, budowa, strój – zaświadczało, że jest właśnie taki. Określenia „najbardziej doświadczony” i „godny zaufania”, jakimi obdarzył go redaktor „Timesa”, już nie dziwiły.

– Przepraszam.

Przestała się śmiać, chociaż kąciki jej ust nadal zdradziecko się wyginały. Usiadła prosto, zaskoczona tym, że odprężyła się bezwiednie, aż tak, by przyjąć swobodniejszą pozycję.

– Pomimo niestosownego braku powagi naprawdę przyszedłam tu po to, by porozmawiać z panem w imieniu lady Halstead.

– Jakiego rodzaju relacja łączy panią z jej lordowską mością?

– Jestem jej damą do towarzystwa.

– Od jak dawna?

– Od ponad ośmiu lat.

– I co mogę zrobić dla jej lordowskiej mości?

Violet zamilkła, by zebrać myśli.

– Lady Halstead ma już pełnomocnika, niejakiego pana Runcorna. Jest synem doradcy, który pracował dla rodziny przez wiele lat i dopiero niedawno objął tę funkcję po ojcu. Trzeba powiedzieć, że lady Halstead nie ma powodu uskarżać się na brak kompetencji młodego pana Runcorna. Jednakże zaszła pewna okoliczność związana z rachunkiem bankowym i milady obawia się, że panu Runcornowi może zabraknąć doświadczenia, by ją wyjaśnić. Przynajmniej w stopniu, który mogłaby uznać za satysfakcjonujący. – Spojrzała w brązowe oczy Montague’a. – Powinnam wspomnieć, że lady Halstead jest wdową. Jej mąż, sir Hugo, zmarł przed dziesięcioma laty, a ona jest już bardzo wiekowa. Prawdę mówiąc, problem z rachunkiem ujrzał światło dzienne właśnie dlatego, iż lady Halstead uznała, że pora wypełnić daną mężowi obietnicę i sprawdzić, czy po jej śmierci sprawy dotyczące majątku pozostaną w absolutnym porządku.

Montague skinął głową.

– Rozumiem. I co miałbym, zdaniem jej lordowskiej mości, zrobić?

– Lady Halstead życzyłaby sobie, by wejrzał pan w tę tajemniczą kwestię i sprawdził, co dzieje się z rachunkiem. Potrzebuje wyjaśnienia, i to przekonującego. A konkretnie chciałaby zatrudnić pana jako konsultanta wydającego drugą opinię, nic więcej. – Wytrzymała spojrzenie Montague’a, po czym spokojnie dodała: – Ja zaś chciałabym prosić pana, by zechciał pan pomóc w zapewnieniu spokoju ducha miłej starszej damie u schyłku życia.

Montague przez chwilę wpatrywał się w nią uparcie, a potem kąciki jego ust drgnęły.

– Ma pani dar przekonywania, panno Matcham.

– Troszczę się o swoje panie, najlepiej jak umiem, sir.

Oddanie było, zdaniem Montague’a, zaletą godną najwyższej pochwały. – Co może mi pani powiedzieć o tych... niejasnościach związanych z rachunkiem?

– Zostawię to lady Halstead – odparła, po czym, jakby zdawała sobie sprawę z rodzącego się w umyśle Montague’a pytania, dodała: – Widziałam jednak dosyć, by uznać, że dzieje się coś dziwnego. Nie czytałam jednak opinii pana Runcorna, trudno mi więc się do niej ustosunkować.

Gdybyż wszyscy jego klienci byli równie powściągliwi!

– Doskonale. – Oderwał z trudem wzrok od wyjątkowo pięknych oczu panny Matcham, przysunął do siebie terminarz i zaczął go przeglądać. – Wygląda na to, że mógłbym poświęcić lady Halstead pół godziny jutro rano. – Spojrzał ponad biurkiem na Violet. – O której mógłbym panie odwiedzić?

Panna Matcham się uśmiechnęła. Nie był to uśmiech olśniewający, raczej delikatny i przepojony szczerością. Mimo to przedarł się przez obronną tarczę twardego biznesmena i dosłownie ogrzał mu serce. Montague zamrugnął, a potem opanował pospiesznie emocje, gdy powiedziała:

– Najlepiej przed południem, może o jedenastej? Mieszkamy przy Lowndes Street cztery, na południe od Lowndes Square.

Montague ujął zdecydowanym gestem pióro i zapisał adres w terminarzu.

– Doskonale.

Podniósł wzrok i wstał, gdy uczyniła to panna Matcham.

– Dziękuję, panie Montague. – Spojrzała mu w oczy i wyciągnęła dłoń. – Do zobaczenia jutro.

Montague ujął jej palce i niemal zmusił się, by je po chwili wypuścić.

– W rzeczy samej. – Odprowadził ją do drzwi. – Do jutra.

Wyprowadził pannę Matcham z gabinetu, a potem zszedł wraz z nią na parter. Gdy wyszła, stał przez chwilę nieruchomo, odtwarzając w myślach spotkanie, rozważając to jeden aspekt sprawy, to drugi...

W końcu otrząsnął się z zauroczenia i wrócił do biurka, zastanawiając się, co też się z nim dzieje.

*

Zmierzając następnego ranka ku Lowndes Street, próbował przekonać sam siebie, iż przepelniające go entuzjazm oraz chęć zaangażowania się mają więcej wspólnego z faktem, że czeka go wyzwanie nowego rodzaju, niżli z uroczą panną Matcham.

Otworzyła mu drzwi i natychmiast okazało się, że wszelkie próby okłamywania się spełzły na niczym. Mógłby przysiąc, że gdy ją zobaczył, jego serce dosłownie zaczęło szybciej bić. A potem się uśmiechnęła:

– Dzień dobry, panie Montague. Proszę wejść.

Cofnęła się, umożliwiając mu przejście. Wszedł do wąskiego holu, przypominając sobie, że nie wolno mu zapomnieć o oddychaniu. Rozejrzał się dyskretnie i zauważył przyzwoite dzieła sztuki, meble dobrej jakości, wypolerowane podłogi i pomalowane ściany. Wszystko to umocniło go

w przekonaniu, że lady Halstead nie brakuje funduszy. Nie była zapewne równie bogata jak większość jego klientów, lecz posiadała z pewnością środki, które warto było chronić. Praca dla niej nie będzie więc marnowaniem czasu.

Panna Matcham zamknęła drzwi i dołączyła doń w holu, a potem wskazała gestem pokój po prawej.

– Lady Halstead czeka w saloniku.

Pochylił głowę i wskazał pannie Matcham, by poszła przodem, wykorzystując chwilę, żeby zastanowić się nad tym, jak silne wywiera na nim wrażenie. Nie bardzo rozumiał jego naturę. Przyjemnie było na nią patrzeć – prawdę mówiąc, mógłby to robić godzinami – nie była jednak uderzająco piękna. Dziś była ubrana w bladoniebieską suknię poranną opinającą w niepokojący sposób jej kształty – niepokojący przynajmniej dla niego. Jako że była u siebie, nie miała na głowie kapelusza, mógł więc podziwiać urodę bujnych, falujących włosów spiętych w węzeł na karku. Pojedynczy lok opadał jej na czoło, łagodząc linię brwi i uwydatniając jasną, nieskazitelną, bladoróżową karnację.

Z trudem oderwał od niej wzrok i rozejrzał się po saloniku. Na krześle z wysokim oparciem siedziała bardzo wiekowa dama o przerzedzonych siwych włosach, opierając przedramiona na wyściełanych poręczach. Ubrana była w suknię z ciemnej krepy, a jej ramiona i nogi okrywały szale. O bok krzesła oparto hebanową laskę ze srebrną gałką.

Panna Matcham minęła go i powiedziała:

– Oto pan Montague, milady. – Spojrzała na Montague’a. – Lady Halstead.

Usiadła na krześle po prawej stronie chlebobawczyni. Lady Halstead mierzyła przez chwilę Montague’a spojrzeniem, a potem wyciągnęła dłoń.

– Dziękuję za przybycie, sir. Z pewnością jest pan dziś bardzo zajęty, postaram się więc nie zabierać panu zbyt dużo czasu.

Montague ujął dłoń starszej damy i pochylił się nad nią.

– Ani trochę, *madame*. Chętnie dowiem się, co to za sprawa natury finansowej tak panią zaniepokoiła.

– Naprawdę? – Lady Halstead wskazała mu krzesło po swojej lewej stronie. – Skoro tak, proszę usiąść.

Kiedy to robił, panna Matcham podała jej lordowskiej mości kilka dokumentów, które ta przekazała natychmiast gościowi.

– To kopia wyciągów z konta. Umieszczono na niej wszystkie operacje dokonane na nim podczas ostatnich sześciu miesięcy.

Montague przyjął papiery i jął je przeglądać, podczas gdy lady Halstead kontynuowała:

– Jak pan zapewne zauważył, podkreśliłam niektóre wpłaty. Są one dla mnie absolutną tajemnicą. Nie mam pojęcia, kto wpłaca te pieniądze na mój rachunek ani dlaczego to robi.

Montague zamrugał zdziwiony i zaczął przeglądać arkusze, dokonując w myślach kalkulacji...

– Muszę przyznać – spojrzał na lady Halstead, a potem na pannę Matcham – iż założyłem, że nieścisłości okażą się wynikiem błędu popełnionego przez bank lub malwersacji. – Spojrzał znów na wyciągi. – Tymczasem mamy tu do czynienia z czymś zupełnie innym.

– W rzeczy samej – przytaknęła lady Halstead. – Młody Runcorn, mój pełnomocnik, uważa, że pieniądze mogą pochodzić z dawno zapomnianej inwestycji, która zaczęła właśnie przynosić dochód.

Montague przyglądał się przez chwilę liczbom, a potem potrząsnął głową.

– Nie znam żadnego instrumentu finansowego, który mógłby dawać dochód płacony w ten sposób. Płatności napływają każdego miesiąca, lecz nie tak regularnie, by mogło to wynikać ze zobowiązania finansowego jakiegoś rodzaju – stanowić na przykład spłatę długu. Tego rodzaju przychody wpływałyby na rachunek określonego dnia. Jeśli chodzi o dywidendy, właściwie nie znam spółki, która

wypłacałaby je każdego miesiąca. Mogłoby to robić na przykład towarzystwo ubezpieczeniowe, lecz pieniądze wpływałyby określonego w umowie dnia. – Zamilkł, a potem dodał: – Co zaś się tyczy wielkości wpłat, składają się na dość znaczącą sumę.

Spojrzał na lady Halstead.

– Od kiedy zaczęły napływać pieniądze?

– Chyba od czternastu miesięcy.

Opuścił znów wzrok na dokumenty.

– W podobnej wysokości?

– Mniej lub bardziej.

Zastanawiał się gorączkowo, wysilając umysł, by znaleźć schemat pasujący do wpłat, na próżno jednak. Był pewien, że takowy po prostu nie istnieje. Co się zaś tyczy kwot zasilających regularnie konto lady Halstead, życzyłby sobie bardzo, by inwestycje jego klientów przynosiły równie znaczący dochód.

– Będę musiał bliżej się temu przyjrzeć.

Wiedział, że jego umysł finansisty nie zazna spokoju, póki nie rozwiąże zagadki.

– Dziękuję. Oczywiście, zapłacę zwyczajową stawkę.

– Nie. – Podniósł wzrok i wspomniawszy sobie od miesiąca znudzenie, ignorowane, tłumione, z którego istnienia nie do końca zdawał sobie sprawę. Wypełniało mu serce, otępiając i zniechęcając do życia, ciągnąc coraz bardziej w dół, póki na progu jego biura nie pojawiła się, aby go kusić, panna Matcham. – Szczerze mówiąc, uznałbym to za przysługę, gdyby pozwoliła mi pani zbadać tę sprawę. – Pomijając wszystko inne, mógłby spotykać się nadal z panną Matcham. – Czułem się ostatnio cokolwiek znudzony, lecz to – podniósł dokumenty – stanowi wyzwanie. Przynajmniej dla kogoś takiego jak ja. Jeśli uda mi się rozwiązać zagadkę, będzie to dla mnie wystarczająca zapłata.

Lady Halstead uniosła brwi, przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, a potem skinęła głową.

– Cóż, niech i tak będzie.

Spojrzała na pannę Matcham, ta zaś wskazała wzrokiem wyciągi.

– To kopie, więc może pan zabrać je ze sobą. Potrzebuje pan jeszcze czegoś?

Wytrzymał jej spojrzenie, dziwiąc się w duchu temu, jakie też odpowiedzi przychodzą mu na myśl, a potem skupił się i ściągnął brwi.

– Cóż... Tak, będę potrzebował wskazówek pełnomocnika jej lordowskiej mości... Runcorn, tak brzmi jego nazwisko? A także – spojrzał na lady Halstead – upoważnienia, by działać w imieniu pani: zadawać pytania i domagać się odpowiedzi.

Lady Halstead skinęła głową.

– Wyobrażam sobie, że coś takiego może okazać się niezbędne. Wie pan, jak sformułować potrzebny dokument?

– Oczywiście. Jeśli pani chce, mogę go pani podyktować – spojrzał na pannę Matcham, a potem znowu na lady Halstead. – Chociaż, o ile to możliwe, wolałbym, by napisany został w całości pani ręką. Trudniej będzie go wtedy zakwestionować.

– Zapewne. – Lady Halstead spojrzała na pannę Matcham. – Violet, kochanie, zechciałabyś przynieść mój sekretarzyk?

Panna Matcham skinęła głową i wyszła.

Montague spoglądał w ślad za nią. *Violet*. Imię w pełni do niej pasowało.

– A zatem – powiedziała lady Halstead – adres Runcorna to...

Montague położył papiery na kolanie, wyjął notatnik i szybko zapisał adres.

*

Dwadzieścia minut później, wyposażony w upoważnienie oraz kopie wyciągów, opuścił lady Halstead. Violet odprowadziła go do drzwi.

Otworzyła je i powiedziała:

– Dziękuję panu. Może pan tego nie dostrzegł, lecz milady już czuje się spokojniejsza, a bardzo się denerwowała, odkąd zauważyła przed tygodniem, że z rachunkiem jest coś nie tak.

Montague wpatrywał się w nią, rozważając różne odpowiedzi – wszystkie prawdziwe – lecz w końcu skinął jedynie głową i powiedział:

– Miło mi, że mogłem się na coś przydać. – Zamilkł, a potem dodał, nie spuszczając wzroku z twarzy Violet: – Dotrę do sedna tej sprawy. Jeśli starsza pani zacznie znowu się denerwować, proszę ją o tym zapewnić.

Violet trudno było oderwać od niego spojrzenie, w końcu uśmiechnęła się jednak leciutko, zaskoczona własną słabością, i powiedziała cicho:

– Jeszcze raz dziękuję. Będziemy czekały cierpliwie na wieści.

Montague pochylił głowę w ukłonie, przekroczył próg, minął ganek i zszedł po schodach.

Patrzyła, jak odchodzi, uświadomiwszy sobie, że już czuje się lepiej – jakby zdjęto jej z ramion ciężar, z którego istnienia nie zdawała sobie sprawy. Rzeczywiście był kimś w rodzaju rycerza na białym koniu: odpowiedział na wezwanie, przybył i przystąpił do rozwiązywania problemu, który nie dawał spokoju lady Halstead, a tym samym także jej.

Z pewnością właśnie dlatego czuła się aż tak beztroska i podekscytowana.

Uśmiechnęła się jeszcze raz na myśl o przyczynie nieoczekiwanej poprawy samopoczucia, a potem zamknęła drzwi i wróciła do saloniku.

*

Wieczorem lady Halstead wydawała kolację dla rodziny. Ponieważ brakowało jej sił, aby odwiedzać krewnych w domach, zapraszała dzieci wraz z rodzinami raz w miesiącu na Lowndes Street, a oni posłusznie się stawiali.

Za każdym razem.

Podczas pierwszych tygodni spędzonych w domu lady Halstead Violet dziwiła się nieco, iż nawet troje wnucząt jej chlebobawczynie niezmiennie pojawia się u babki i zostaje na cały wieczór, lecz z czasem uświadomiła sobie, że pomiędzy rodzeństwem toczy się zażarta rywalizacja. I choćby wnuki wolały spędzić wieczór inaczej, musiały słuchać rodziców i okazywać babce należny szacunek.

Wieczorem zasiadła więc, jak zwykle, po lewej stronie lady Halstead, gotowa służyć pomocą. Dzieci Halsteadów, nader świadome swej uprzywilejowanej pozycji, tolerowały jej obecność, gdyż nalegała na nią ich matka. A ponieważ pochodzeniu Violet niczego nie dało się zarzucić, przeciwnie, wywodziła się z rodziny stojącej w hierarchii odrobinę wyżej niż Halsteadowie, nie potrafili znaleźć wymówki pozwalającej pozbyć się jej z jadalni.

Zamiast tego po prostu ją ignorowali, co Violet bardzo odpowiadało. Była nieskończenie wdzięczna, iż nie musi zadawać się bliżej z miotem, jak ona, Tilly i kucharka nazywały pomiędzy sobą młodszych Halsteadów. Trzymała język za zębami i obserwowała. Jako jedynaczka uważała napięcie i nieustanne dogryzanie sobie członków rodziny za dziwaczne, fascynujące, chociaż i trochę straszne.

Nieraz wracała po takiej kolacji do swego pokoju, dziękując Bogu, że nie ma brata ani siostry. Wątpiła jednak, by większość rodzin zachowywała się tak jak Halsteadowie. Zdawali się stanowić

kategorię samą w sobie.

Tego akurat wieczoru rozmawiano o randze projektów ustaw rozpatrywanych właśnie przez parlament, kwestii irlandzkiej i wadze związanych z nią obrad toczonych w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Powyższy temat poruszyła jako pierwsza Cynthia, jedyna córka, druga w kolejności spośród dzieci, by zwrócić uwagę na swego męża, czcigodnego Wallace'a Camberly'ego, członka parlamentu, i podkreślić tym samym, że jest kimś ważnym – i ona również.

Statecznie wyglądająca matrona w lazurówoniebieskiej sukni siedziała po prawej ręce lady Halstead naprzeciw Violet. Rysy miała twarde, a jej brązowe oczy przypominały dwa kawałki onyksu. Nieustająco zły nastrój sprawił, że z wiekiem kąciki jej ust opadły, a zaciśnięte wargi przybrały wyraz pogardy i dezaprobaty. Wyglądało na to, że niewiele rzeczy znajduje w jej oczach uznanie. Gdyby ślepa ambicja miała twarz, byłaby to twarz Cynthii.

– Oczywiście – oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu – koronacja powinna przyćmić wszystko inne. Wkrótce w parlamencie zostanie utworzony komitet, który zajmie się organizacją tego wydarzenia.

Siedząca nieco dalej i po przeciwnej stronie Constance Halstead, żona pierwородnego syna lady Halstead, Mortimera, sięgnęła po kieliszek. Wysoka, grubokoścista, o bujnym biuście i okrągłej twarzy, żywiła niefortunną słabość do żabotów i falbanek. Głos miała piskliwy, trudny do zniesienia, i nie fatygowała się go ściszać.

– W rzeczy samej – oznajmiła. – Lecz, oczywiście, to Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zajmie się organizacją uroczystości. Mortimer – spojrzała na siedzącego u szczytu stołu męża – zostanie w nią mocno zaangażowany.

Violet także spojrzała na Mortimera. Przeciętnego wzrostu oraz budowy, ubierał się nieskazitelnie, co czyniło go jeszcze trudniejszym do zapamiętania, a łatwym do przeoczenia w tłumie. Twarz też miał pospolitą. Panował nad nią w sposób tak doskonały, iż wydawała się absolutnie pozbawiona wyrazu.

Do tej pory skupiał uwagę na doskonałej pieczeni, lecz teraz podniósł wzrok, spojrzał bladymi oczami na Cynthię i powiedział, rzucając jej z kamienną twarzą wyzwanie:

– W rzeczy samej. Mnóstwo rzeczy trzeba będzie zorganizować i właśnie ministerstwo będzie za to odpowiedzialne. Odbyło się już kilka wstępnych rozmów, chociaż nie czuję się upoważniony, by mówić o szczegółach.

Wszystko, co udało mu się osiągnąć, to pełen samozadowolenia uśmiech Cynthii, mówiący jasno, iż brat nie może ujawnić żadnych szczegółów, ponieważ ich nie zna.

Mortimer poczerwieniał na twarzy, lecz nim zdążył zareagować, Maurice Halstead, drugi syn i czarna owca w rodzinie – hazardzista, rozpustnik i ogólnie rzecz ujmując, utracjusz – powiedział, przeciągając leniwie głoski:

– Zatem to z tobą będą konsultowali się w sprawie falbanek na sukni Aleksandryny? Och, nie, czekaj... Będzie nazywała się teraz Wiktoria, prawda?

Mortimer spojrzał na brata, mrużąc z gniewem oczy.

– O wyglądzie sukni zadecyduje, jak być powinno, pałac, i tak, nawet ty słyszałeś, że młoda królowa oznajmiła, iż przyjmie imię Wiktoria.

Mężczyzna siedzący naprzeciw Constance, William Halstead, poruszył się na krześle i spytał, bełkocząc z lekka:

– Co jest złego w imieniu Aleksandryna? Dlaczego jej się nie podoba?

Jeśli Maurice uważany był za czarną owcę, to William zasługiwał na miano pariasa. Violet była przekonana, iż przychodzi na kolację w domu matki jedynie po to, by zjeść choć jeden przyzwoity

posiłek w miesiącu, a już zwłaszcza dlatego, iż wiedział, że jego obecność denerwuje w najwyższym stopniu rodzeństwo i ich małżonków. Spoglądali nań jak na karalucha, którego nie mogą, niestety, rozdeptać.

William, najmłodszy z dzieci Halsteadów, był zawsze najbardziej ponuro ubrany. Tym razem też miał na sobie zwyczajne czarne spodnie i surdut, które z trudem mogły zostać uznane za ubiór stosowny podczas kolacji w domu ziemiaństwa.

– Prawdę mówiąc – Wallace Camberly odezwał się tego wieczoru chyba po raz pierwszy – jak zrozumiałem, but jest teraz, że tak powiem, na innej stopie i nie chodziło jedynie o to, że imię Wiktoria podobało się jej najbardziej.

Komentarz, rozsądny i pochodzący od dobrze zazwyczaj poinformowanego Camberly'ego, zakończył temat.

Wallace, siedzący obok Cynthii, był, zdaniem Violet, jeszcze bardziej ambitny niż dama, którą wziął sobie za żonę. W przeciwieństwie do niej nie uczestniczył jednak w rodzinnych rozgrywkach i pozostawał zwykle obojętny, wtrącając komentarz jedynie wtedy, gdy sprawa go zainteresowała. Ubrany był spokojnie, acz modnie, jak przystało osobie na jego stanowisku. Violet wiedziała, że w pogoni za celem, który sobie wyznaczył, potrafi być zimny, wytrwały i bezlitosny. Zazwyczaj postępował jednak według zasad – takich, jakimi je postrzegał – głównie dlatego, że na dłuższą metę okazywało się to dla niego najbardziej korzystne, a jeśli coś nie przynosiło mu korzyści, nie tracił na to czasu ani energii.

Rodzinna wymiana złośliwości go nie dotyczyła, więc ją ignorował.

Podobną filozofię wyznawał jego syn Walter, posadzony przy stole pomiędzy Violet a Williamem. Choć miał już dwadzieścia siedem lat, nie znalazł jeszcze zajęcia, ale dryfował przez życie ewidentnie bez celu. Violet nie wiedziała, czym wypełniał sobie dni, lecz podczas gdy Cynthia rządziła domową grzędą żelazną ręką, ciesząc się każdą chwilą, jakoś nie wydawało się Violet, by Walter czerpał ze swojej nieskrępowanej obowiązkami egzystencji wiele radości.

Podobnie jak Violet, siedział przy stole ze spuszczoną głową, nie biorąc udziału w rodzinnej przepychance. Pozostali przedstawiciele młodszej generacji – dzieci Mortimera i Constance: Hayden, obecnie dwudziestotrzyletni i jego dwudziestoletnia siostra, Caroline – marzyli jedynie o tym, by przetrwać jakoś wieczór, i rzadko się odzywali. O ile się orientowała, byli przeciętnymi, niewyróżniającymi się niczym młodymi ludźmi. Gdyby miała zgadywać, powiedziała by, iż uważali kolacje u babki za śmiertelnie nudne, lecz byli zbyt dobrze wychowani, a także zbyt zależni od rodziców, żeby odmówić uczestnictwa w nich. Siedzieli zatem cicho, odzywając się tylko wtedy, gdy było to absolutnie niezbędne.

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, lepiej było nie zwracać na siebie uwagi starszych krewnych.

Mortimer wytwornym gestem osuszył wargi serwetką i podjął kolejną próbę zawładnięcia sceną.

– Uważam, że będziemy doradzać młodej królowej, by spotkała się w którymś momencie z Irlandczykami. Niewykluczone, że pojedę nawet do Irlandii jako część delegacji.

– Doprawdy? – Cynthia sięgnęła po sosjerkę. – Kto wie? Może zrobisz sekretarzem i już tam zostaniesz. – Spojrzała na Constance. – Moja droga, będę ci szczerze współczuła, jeśli zostanieie zmuszeni do zamieszkania w tej dzikiej krainie.

Twarz Mortimera pokryła się plamami.

– Co za absurd! Cieszę się zbyt dużym szacunkiem, a moje opinie są dla ministra zbyt cenne, żeby pogrzebać mnie w Irlandii.

Zamilkł, uświadomiwszy sobie poniewczasie, że połknął zarzuconą przez Cynthię przynętę.

Spojrzał na siostrę, zaciskając wargi i powstrzymując się z najwyższym trudem od – Violet wiedziała to z doświadczenia – wymiany ledwie maskowanych obelg. Gdy moment krytyczny minął, przeniósł spojrzenie bladych oczu z siostry na lady Halstead.

Ta zaś pozostawała jak zwykle niewzruszona, ignorując podskórne napięcie oraz wymianę uszczypliwości i poświęcając całą uwagę rostbefowi.

Mortimer odłożył serwetkę zdecydowanym gestem i spytał:

– A jak ty się czujesz, mam? Mam nadzieję, że trud goszczenia nas nie okazał się zbyt wyczerpujący.

Lady Halstead uniosła nieco brwi i spojrzała na syna.

– Czuję się nieźle. Oczywiście jak na osobę w moim wieku. Dziękuję, że zapytałeś, Mortimerze.

Cynthia pospieszyła natychmiast z wyrażającym stosowną troskę komentarzem, przebitym następnie przez Constance. Maurice, nie chcąc pozostać w pokonanym polu, zauważył, że lady Halstead wygląda nieco blado, ale poza tym zdaje się w świetnej formie. Przez kilka następnych minut starsza pani zmuszona była reagować na przejawy nieszczerego i jakże męczącego zainteresowania ze strony swych dzieci.

Wreszcie Mortimer zakończył temat, mówiąc:

– Ośmielę się twierdzić, mam, że masz przed sobą wiele dobrych lat.

– Zapewne – zgodził się z nim William, opuszczając się niżej na krzesło, z rękami w kieszeniach. – Gdyby jednak stało się inaczej, mam nadzieję, że zadbałaś o to, by pozostawić swoje sprawy w należyтым porządku. – Obrzucił mrocznym spojrzeniem rodzeństwo. – Boże uchwaj, gdyby po twoim odejściu okazało się, że wynikły jakieś niejasności.

Violet w pełni się z tym zgadzała, lecz oczywiście Mortimer, Cynthia, Constance i nawet Maurice nie przyjęli dobrze tej uwagi. Na głowę Williama spadł zatem istny grad napomnień oraz protestów i wydawało się, że połajanka nieprędko się skończy.

Wreszcie lady Halstead nie wytrzymała. Odłożyła sztućce i klasnęła głośno w dłonie.

– Cisza! Och, uciszcie się wreszcie. – A kiedy krewni zamilkli, wzięła znów do rąk sztućce i zajęła się krojeniem mięsa. – Jeśli musicie wiedzieć, poprosiłam Runcorna, tego młodzieńca, który przejął firmę po ojcu, by przyjrzał się rodzinnym finansom i sprawdził, czy wszystko z nimi w porządku. – Podniosła na chwilę wzrok i spojrzała na krewnych. – Choć nie mam zamiaru jeszcze umierać, możecie spać spokojnie: gdy to nastąpi, nie będzie żadnych niejasności. Przynajmniej nie w kwestii spadku.

Przy stole zapanowała na chwilę cisza, a potem podniósł się szmer głosów, wśród których dało się usłyszeć powtarzane raz po raz „młody Runcorn”. Najwidoczniej rodzina nie była przekonana, że nowy doradca dorósł do swego zadania.

Violet spojrzała na lady Halstead, a potem poszła za przykładem starszej damy i zignorowała mamrotanie.

A kiedy weszła Tilly, by zebrać naczynia przed deserem, zaczęła się po raz kolejny zastanawiać, jak to możliwe, aby osoba tak miła i delikatna jak lady Halstead chciała dokończyć żywota otoczona rodziną, której wszyscy członkowie byli, choć w różnym stopniu, samolubni i zapatrzeni w siebie.

*

– Do licha! – Zerknął na swoje odbicie w okrągłym lustrze do golenia. Szarpnięciem wyrwał włos z brody, a potem wyprostował się i obejrzał oba policzki, sprawdzając, czy wszystko wygląda tak, jak sobie tego życzył.

Zawieszona wysoko pojedyncza lampa ledwie rozświetlała mrok garderoby. Lubił mrok. Uważał, że

jest kojący. To było jego prywatne miejsce. Tu układał swoje plany, udoskonalał je i dopasowywał.

Ponownie spojrzał na siebie w lustrze.

– Ona nie zamierza umrzeć. Daleko do tego. Czekałem cierpliwie, żeby zwiędła i odeszła, a zamiast tego ona... Do diaska, kazała temu młodemu nudziarzowi przyjrzeć się sprawom majątku.

Wyprostował się na całą wysokość i zmusił, aby przemyśleć nieoczekiwany obrót spraw.

– Czy on to znajdzie? Oto jest pytanie. Bo jeśli tak...

Po chwili potrząsnął jednak głową.

– Nawet jeśli ten młokos się nie zorientuje, ona z pewnością tak. Skieruje na to jej uwagę, już choćby nie umieszczając na jakiejś liście. A wtedy ona zacznie zadawać pytania... Wiem, że tak będzie. Nie zostawi tego w spokoju.

Rosnące napięcie sprawiło, że ostatnie słowa niemal wysyczał.

Kiedy wybrzmiały, pograżył się znów w rozmyślaniach.

Otoczającą go nocną ciszę zakłócało jedynie odległe tykanie zegara.

W końcu wyprostował się i spojrzał znowu na swe odbicie.

– Nie mogę pozwolić, by sprawa ujrzała światło dzienne. Ani teraz, ani w przyszłości. Trzeba więc będzie się tym zająć. Nie będę mógł oddychać swobodnie, póki nie poczuję, że jestem znowu bezpieczny. Oczywiście będę też musiał uciszyć innych, ale... wszystko w swoim czasie.

Było to jego motto. Kierował się nim od niepamiętnych czasów i zawsze dobrze mu służyło.

ROZDZIAŁ 2

Montague nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo satysfakcjonujące może się okazać zdejmowanie z barków troski o finanse osobom, którym wydawały się one trudne go zrozumienia. Teraz uświadamiał sobie, że jest to cecha jego zawodu, której nie brał do tej pory pod uwagę. Tymczasem miał pełne prawo być dumny.

Po tym, jak opuścił dom lady Halstead, uczucie zadowolenia spowodowane faktem, iż zdołał złagodzić, choćby w niewielkim stopniu, niepokój lady, utrzymywało się przez resztę dnia i cały nieobfitujący w wydarzenia wieczór. Skłoniło go też do postanowienia, iż pierwszą rzeczą, jaką zrobi tego ranka, będzie skonsultowanie się z pełnomocnikiem lady Halstead.

Choć dama zdawała się ufać swemu doradcy, wolał wyrobić sobie własne zdanie. Gdyby chodziło o sprzeniewierzenie, byłby zapewne bardziej sceptyczny, by nie powiedzieć nieufny, lecz kiedy rano kroczył chodnikiem, kierowała nim bardziej ciekawość niżli poważna troska.

Chociaż przez cały dzień, a także wieczór, nie przestawał myśleć, chwilami podświadomie, nad tym, co też mogło spowodować niezgodności na koncie lady Halstead, nie wpadł dotąd na żadne rozwiązanie. Nie zniechęciło go to, przeciwnie, wzbudziło wręcz entuzjazm. Minęło bowiem dużo czasu, odkąd cokolwiek związanego z finansami potrafiło go zaskoczyć, a co dopiero aż tak zaintrygować.

Gdy skręcał z Broad Street w Winchester, czuł się niemal jak nowo narodzony. Biura Runcorna znajdowały się w pobliżu miejsca, gdzie Winchester Street skręcała na północ. Po przeciwnej stronie ulicy, niemal na zakręcie, znajdował się pub, lecz biuro firmy Runcorn i Syn wciśnięto pomiędzy małą drukarnię a trafikę.

Okolica nie była tak zdominowana przez firmy zajmujące się finansami jak poblize Banku Anglii, gdzie Montague i jemu podobni zawieszali swoje szyldy, jednak Winchester Street znajdowała się jedynie o kilka przecznic od bardziej szanowanej okolicy, a biuro Runcorna zajmowało parter całkiem przyzwoitego, jak na tak małą firmę, budynku.

Zatrzymał się przed drzwiami i przyglądał przez chwilę wyblakłym literom nad pojedynczym, szerokim oknem, wychodzącym na chodnik, a potem zajrzał do wnętrza przez szybę w drzwiach ani trochę niezaskoczony tym, że w środku pałą się lampy. Okno zapewniało co prawda dopływ światła, niewystarczający jednak, by móc prowadzić interes sprowadzający się do ślęczenia nad liczbami.

Otworzył drzwi i wszedł. Za progiem przystanął i się rozejrzał, powodowany zawodową ciekawością. Biuro, chociaż dość ciasne, zdradzało, czym parają się pracujący tu ludzie. Mówiły o tym stosy pudeł z aktami zalegającymi na zajmujących każdy centymetr kwadratowy ścian półkach i tworzącymi w kącie stos wysokości człowieka. Wąskie biurko, przy którym pracował urzędnik, też zarzucone było papierami. Siedzący za nim mężczyzna w średnim wieku, ubrany skromnie, jak na urzędnika przystało, podniósł wzrok i spojrzał na przybysza.

– Czym mogę służyć? – zapytał, wstając.

Montague wyjął z wewnętrznej kieszeni surduta wizytownik, a z niego wizytówkę i podał urzędnikowi.

– Jeśli pan Runcorn mógłby poświęcić mi chwilę swego czasu, chciałbym skonsultować się z nim w sprawie dotyczącej finansów lady Halstead.

Urzędnik spojrzał na wizytówkę i otworzył szerzej oczy.

– Oczywiście, proszę pana. – Wskazał rządem krzesel pod oknem. – Proszę spocząć, panie Montague.

Poinformuję pana Runcorna o pańskim przybyciu.

Montague skinął głową i posłusznie usiadł. Nie wątpił, że Runcorn zechce się z nim zobaczyć. Nawet gdyby nie pracował w tym biznesie na tyle długo, aby rozpoznać nazwisko Montague'a, nie było ono obce urzędnikowi. Z pewnością poinformuje swego chlebodawcę, z kim będzie miał za chwilę do czynienia.

Urzędnik zapukał do wewnętrznych drzwi, otworzył je i wszedł.

Po chwili drzwi otworzyły się znowu. Mężczyzna w wieku około dwudziestu ośmiu lat przystanął w nich na moment, a potem ruszył szybko przed siebie, trzymając w dłoni wizytówkę Montague'a.

Montague wstał.

– Sir! – Runcorn junior zatrzymał się przed nim z wyrazem dziecięcego zadowolenia na okrągłej twarzy. Spojrzał na Montague'a z mieszaniną radości i zakłopotania, a potem zaczerpnął oddechu, opanował podekscytowanie i pochylił w ukłonie głowę. – To zaszczyt gościć pana u nas, panie Montague – powiedział. – Czym możemy służyć?

Montague uśmiechnął się z aprobatą.

– Chciałbym przedyskutować z panem pewną sprawę dotyczącą stanu posiadania lady Halstead. Ma pan teraz czas?

Runcorn odsunął się i wskazał gestem drzwi do gabinetu.

– Oczywiście.

Wprowadził Montague'a do środka i wskazał mu krzesło przed wielkim, mocno wysłużonym biurkiem. Okrążył mebel i siadając, wyjaśnił:

– Oczywiście, firmę prowadził przedtem mój ojciec. To ja jestem „Synem”.

Montague uznał entuzjazm młodego człowieka za odświeżający, a nawet zaraźliwy.

– Słyszałem. – A kiedy Runcorn spojrzał nań pytająco, dodał: – Od lady Halstead. – Sięgnął do kieszeni i wyjął upoważnienie. – Nim zaczniemy, powinien pan to przeczytać.

Runcorn natychmiast spoważniał. Wziął do rąk pełnomocnictwo, rozwinął je z wolna i spojrzał na Montague'a, marszcząc z lekka brwi.

Nietrudno było się domyślić, co chodzi mu po głowie. Nie u kogoś o tak otwartej, zdradzającej każdą emocję twarzy. Jeśli Montague żywił choćby najślabsze podejrzenia co do uczciwości młodego człowieka, zniknęły one w szybkim tempie.

– Pozwoli pan, iż go zapewnię, że nie przyszedłem, by przejąć pana klientkę, panie Runcorn.

Wyciągnął rękę po upoważnienie, a kiedy Runcorn mu je oddał, schował dokument z powrotem do kieszeni.

– Muszę przyznać, że czuję się zakłopotany – powiedział Runcorn, wpatrując się w Montague'a. – Jaki jest w takim razie cel pańskiej wizyty?

– Lady Halstead potrzebuje... nazwijmy to pewnością, że wyjaśnimy niezgodności pojawiające się na jej koncie raz na zawsze, a uzyskane wyjaśnienie będzie właściwe. To mój wyłączny cel. Muszę także oświadczyć, że nie mam na widoku korzyści finansowych. Zgodziłem się zająć sprawą wyłącznie z zawodowej ciekawości. – Wytrzymał spojrzenie Runcorna. – Jestem zaintrygowany, panie Runcorn. Chętnie dowiem się, skąd się biorą pieniądze wpływające na rachunek lady Halstead.

Po chwili Runcorn zamrugał i odpowiedział, jakby chciał przekonać samego siebie.

– Dama chce mieć pewność... cóż, potrafię to zrozumieć. Nie mam zbyt dużego doświadczenia i... – Spojrzał znów na Montague'a. – Szczerze mówiąc, sir, chętnie przyjmę w tej kwestii pańską pomoc. Sądziłem, że płatności muszą pochodzić z dawno zapomnianej inwestycji, ale tak nie jest, a przynajmniej nic nie wskazuje, aby tak było.

– Nie. – Montague zawahał się, a potem dodał: – Prawdę mówiąc, właśnie to wzbudziło moje

zainteresowanie. Zajmuję się finansami od bardzo dawna, mimo to nie rozpoznaję wzorca tych płatności. Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem.

– Właśnie! – Runcorn uniósł dłonie w geście bezradności. – Pringle, to mój urzędnik, i ja głowiliśmy się nad tym, próbując wymyślić, skąd mogą pochodzić pieniądze, lecz nie wpadliśmy na żaden trop. A skoro wpłacane były w gotówce, bank niewiele będzie w stanie nam pomóc. Poza tym – poruszył się niespokojnie – nie sądzę, aby mieszanie w to banku było rozsądne, nie bez wyraźnej zgody lady Halstead i wyeliminowania bardziej prawdopodobnych możliwości.

Montague skinął głową z aprobatą.

– Zgadza się. Zajmiemy się bankiem dopiero po wyczerpaniu innych tropów. Lepiej nie nagłaśniać naszych badań bez koniecznej potrzeby.

– Tak właśnie pomyśleliśmy – stwierdził zadowolony Runcorn. – Zatem, aby wysledzić ewentualną inwestycję, wyjęliśmy wszystkie dokumenty dotyczące majątku Halsteadów – a nasza firma zajmuje się interesami rodziny od trzydziestu lat – i przeglądamy je strona po stronie. Jak dotąd, nie dopisało nam szczęście.

Montague zastanawiał się przez chwilę, a potem skinął głową.

– To pierwsze pytanie, na które musicie sobie odpowiedzieć: czy wpłaty mogą być powiązane z inwestycją dokonaną w przeszłości? Zabrał się pan do tego we właściwy sposób. – Uśmiechnął się, dojrząwszy na twarzy Runcorna wyraz ulgi, zastąpiony troską, gdy młody człowiek uświadomił sobie, jak trudne go czeka zadanie. – Znalezienie odpowiedzi będzie jednak wymagało czasu – kontynuował Montague. – Co do mnie, na razie wystarczyłoby mi, gdybym mógł uzyskać od pana kopie wyciągów z tego rachunku, począwszy od chwili, gdy został założony. Lady Halstead przekazała mi te z ostatniego półrocza, będę też jednak potrzebował wcześniejszych, a także listy wszelkich inwestycji, aktualnych bądź nie, jak również pożyczek, depozytów i przynoszących procent papierów wartościowych.

Runcorn jął energicznie przytakiwać. Upoważnienie wystawione przez lady Halstead dawało Montague’owi prawo, by żądać takich szczegółów, a on zobowiązany był dostarczyć potrzebne dokumenty.

– Kopie wyciągów bankowych możemy dać panu już dzisiaj. Pringle z pewnością ma jedną w zapasie. Papiery wartościowe pozostające obecnie w posiadaniu lady Halstead przynoszą, oczywiście, dochód; właśnie je sprawdzamy. Jednak sporządzenie listy innych, szerzej pojętych inwestycji potrwa kilka dni. – Spojrzał na Montague’a. – Jeśli chcemy mieć pewność, że obejmujemy nią okres całych trzydziestu lat, nie wolno nam się spieszyć.

– To mi absolutnie wystarczy. – Montague uśmiechnął się i wstał. – Mam pełną świadomość, że aby przeżyć, musi się pan zajmować także sprawami innych klientów.

– W rzeczy samej. – Runcorn skrzywił się, a potem wstał i okrążył biurko, aby otworzyć przed Montague’em drzwi. – Nie jest to łatwe, skoro sprawa Halsteadów zajmuje więcej czasu, niż ktokolwiek mógł się spodziewać.

Montague pozwolił, by go odprowadzono i przedstawiono mu Pringle’a, ten zaś, otrzymawszy instrukcje od Runcorna, okazał się nader sprawny i dobrze zorganizowany. Wręczył Montague’owi żądane kopie wyciągów oraz listę inwestycji przynoszących aktualnie dochód, a potem spojrzął znacząco na stos papierów na biurku.

– Co się tyczy kompletnej listy inwestycji, sporządzenie jej może zająć nawet kilka dni.

Montague przytaknął.

– To absolutnie do przyjęcia. Ważniejsze jest, by lista była kompletna i dokładna w każdym szczególe. Jeśli ma to zająć trochę więcej czasu, niech i tak będzie. Niedokładny spis w niczym nam nie

pomoże.

Pringle się uklonił.

– Oczywiście, sir. Poświęcę temu zadaniu całą uwagę.

Zważywszy, iż Montague zdążył się już zorientować, jak sumienny jest Pringle, nie wątpił ani przez chwilę, że tak się właśnie stanie, i dał temu przekonaniu wyraz.

Wyszedł, zostawiając dumnych i wielce z siebie zadowolonych Pringle'a wraz z chlebodawcą, a potem ruszył sprężystym krokiem, by przeprowadzić własne badania.

*

Nie dane mu było jednak zająć się sprawą Halsteadów wcześniej niż późnym popołudniem. Po powrocie do biura musiał bowiem stawić czoło istnej procesji klientów, a także przedstawicielom różnych firm poszukujących kapitału.

Inwestycje stanowiły krwiobieg biznesu, musiał zatem odłożyć sprawę tajemniczych wpłat przynajmniej na kilka godzin.

W końcu, kiedy za oknem zaczęło robić się szaro, sięgnął po cienki skoroszyt zawierający wyciągi z konta oraz listę inwestycji. Położył go na biurku i wziął się do pracy.

Dwie godziny później, gdy Slocum zapukał do drzwi gabinetu, by życzyć mu dobrej nocy, dotarł niemal do końca czasochłonnego procesu przyporządkowywania wpływów inwestycjom i uznał, że musi całkowicie zgodzić się z lady Halstead. Coś nader dziwnego działo się z jej rachunkiem.

Kiedy pożegnał się ze Slocumem, usiadł wygodnie na krześle i utkwiał wzrok w rozłożonych na biurku dokumentach. Postukując paznokciem w poręcz krzesła, pozwolił wreszcie, by wyjaśnienie – jedyne, jakiego nie zdołał odrzucić – uformowało się w jego umyśle.

– Ukrywanie dochodów. – Ściągnął brwi. – Ale przez kogo i z jakiego powodu?

W języku finansów ukrywanie było przeciwieństwem sprzeniewierzenia, niemal zawsze sprzecznym z prawem, jako że lokowane w ten sposób fundusze pochodziły na ogół z nielegalnego źródła.

– Zatem, próbując dociec, skąd biorą się pieniądze, będę musiał zbadać coś, co stanowi zapewne skutek przestępstwa.

Czy powinien zaangażować w to władze?

Zastanawiał się przez chwilę nad tym, co mógłby powiedzieć policji, i aż się skrzywił.

– Nie mogę być na razie pewny, czy w grę wchodzi przestępstwo, a już z pewnością nie mam na to dowodu.

Podejrzewał również, iż zaangażowanie w sprawę policji nie spotkałoby się z przychylną reakcją lady Halstead i panny Matcham. Nie żeby mogło go to powstrzymać, lecz jednak...

Z większą stanowczością postukał palcem w poręcz.

– Gdybym miał dowód przestępstwa, wiedziałbym, co zrobić. Dopóki jednak go nie posiadam, istnieje możliwość, że wyjaśnienie okaże się całkiem niewinne.

Przejrzał raz jeszcze dokumenty, zastanawiając się, co dalej. Uznał w końcu, iż najlepszym sposobem popchnięcia sprawy będzie prześledzenie wpłat.

Często zdarzało mu się pomagać w dochodzeniu, jeśli zahaczało ono o sprawy finansowe. Po raz pierwszy jednak rozpoczął je z własnej inicjatywy, bez udziału władz. Uczestnictwo we wcześniejszych śledztwach skutkowało jednak tym, że posiadał teraz przydatne kontakty, kompetentnych znajomych, którzy – ani przez chwilę w to nie wątpił – chętnie mu pomogą.

– Tymczasem jest to kwestia czysto finansowa, a tam, gdzie trzeba pójść tropem pieniędzy...

Był najlepszym człowiekiem do tego zadania. Właśnie dlatego inni zwracali się do niego o pomoc.

Westchnął głęboko, wyprostował się na krześle i pozbierał dokumenty. Wkładając je do teczki, przypomniał sobie dręczący go wcześniej niepokój, potrzebę zaznania czegoś nowego, bardziej ekscytującego. Najwidoczniej los bacznie mu się przysłuchiwał.

Uważaj, czego sobie życzysz.

Choć jego matka nie żyła od z górą dziesięciu lat, nadal pamiętał, jak to mówiła.

Ten żalosny wewnętrzny głos świadczący o braku satysfakcji jednak od kilku dni milczał, co już stanowiło znaczącą poprawę.

Zostawił teczkę z dokumentami na biurku, wstał, zgasił lampę i wyszedł z gabinetu, poruszając się pewnie w półmroku rozjaśnionym jedynie wpadającym przez okno światłem ulicznych latarni. Sięgnął ręką do klamki przy drzwiach wyjściowych i wspomniał atmosferę radosnego oczekiwania, jaka wypełniała biuro, gdy urzędnicy przygotowywali się do zakończenia dnia pracy.

Coś, co obserwował, a czego nie dane mu było doświadczać.

Kiedy otwierał drzwi i wchodził na piętro, nie odczuwał niecierpliwości spowodowanej nadzieją na coś miłego, co czekałoby na niego za progiem rodzinnego domu.

Kupił nieruchomość w Chanel Court, nieopodal Bartholomew Lane, tuż za Bankiem Anglii, ponad dziesięć lat temu i przebudował piętro nad biurem, tak by stanowiło wygodne mieszkanie. Bliskość miejsca pracy bardzo mu odpowiadała. Jeśli w nocy jakiś problem nie dawał mu spokoju, wystarczyło zejść na parter i odszukać potrzebną informację albo poczynić notatkę. Poza tym ta część City, choć rojna i gwarna w dzień, nocą była bardzo spokojna. Nie opustoszała, w żadnym razie – czy o którejkolwiek części Londynu dałoby się to powiedzieć? Zamieszkiwali tu jednak głównie ludzie poważni i pełni rezerwy.

Wyłowił klucz z kieszeni kamizelki i przystanął na podeście, żeby otworzyć drzwi. Mieszkanie było przestronne: z małego przedpokoju wchodziło się bezpośrednio do salonu. Za nim znajdowały się: jadalnia, niewielki gabinet, pełniący funkcję biblioteki, oraz prywatny apartament, składający się z dużej sypialni, dwóch bliźniaczych garderób oraz łazienki wyposażonej w najnowsze urządzenia kąpielowe.

Była tu również kuchnia, a także pomieszczenia dla służby: królestwo gospodyni, pani Trewick, i jej męża, pełniącego funkcję lokaja, jak również osobistego służącego. Para małżonków w średnim wieku była z nim od niemal dwudziestu lat i znała nawyki oraz upodobania chlebodawcy niemal na pamięć.

Kiedy wszedł do salonu, jego kroki odbiły się echem w pustym mieszkaniu.

– Kolacja gotowa, proszę pana! – zawołała pani Trewick z kuchni. – Proszę usiąść, a Trewick zaraz ją poda.

Montague uśmiechnął się i usiadł. Wymieniał z Trewickiem zwyczajowe uwagi, podczas gdy służący serwował smaczny i pożywny posiłek z trzech dań. Na zakończenie wyraził, jak zwykle, uznanie dla sztuki kulinarnej pani Trewick, co zostało przyjęte z niezmiennym zadowoleniem.

Zakończywszy wieczór tym jakże przyjemnym akcentem, Trewickowie pożegnali się i odeszli do swojej kwatery, podczas gdy Montague wstał na chwilę do gabinetu, wybrał książkę i wszedł z nią do salonu, gdzie w kominku płonął już ogień, odganiając chłód wieczoru.

Zapadł w ulubiony fotel, sięgnął po karafkę i nalał sobie szklaneczkę whisky – zwyczajowo tego nabrał, zajmując się finansami lorda Glenrae'a – a potem rozsiadł się wygodnie i pociągnął łyk trunku.

Przez kilka minut siedział po prostu z zamkniętą książką na kolanach i szklaneczką w dłoni, wpatrując się w płomień.

Kontrast pomiędzy tym, jak zachowywali się i co czuli jego podwładni kończący dzień pracy, a co odczuwał on, nie pozwalał o sobie zapomnieć.

W głosach pracowników, bez względu na wiek i stanowisko, dało się słyszeć radość, zapowiedź prostych przyjemności, jakie czekały na nich w domu za sprawą krewnych lub ukochanych. Gdy on wychodził, dokoła panowała cisza. Nawet w jego sercu.

Ponieważ nie miał nikogo bliskiego, nie miał też domu. Jedynie mieszkanie.

To zaś, jak wiedział, stanowiło zasadniczą różnicę. I choć do tej pory samotność mu nie przeszkadzała – nie podczas długich lat, kiedy to budował prestiż firmy i doprowadzał ją do stanu obecnego rozkwitu – cisza i pustka w końcu go dopadły.

Osiągnął to, co sobie założył, a nawet więcej, lecz sukces miał smak piołunu.

Przesunął bezwiednie wzrok na bliźniaczy fotel przed kominkiem i wyobraził sobie siedzącą w nim Violet. Blask płomieni odbijał się w jej ciemnych włosach, głowę miała przechyloną w charakterystyczny, pełen wdzięku sposób, a na wargach delikatny uśmiech, rozświetlający niebieskie oczy.

Przyglądał się temu wyobrażeniu przez kilka minut, a potem potrząsnął głową, otworzył książkę i zabrał się do czytania.

*

Po drugiej stronie Londynu, w domu przy Albemarle Street w Mayfair, Penelope Adair siedziała przy kolacji, wymieniając znaczące spojrzenia z przyjaciółką, Griseldą Stokes. Wreszcie damy spojrzały na towarzyszących im przy posiłku dżentelmenów.

– Musi być jakaś interesująca sprawa, przy której mogłybyśmy okazać się przydatne – oznajmiła Penelope.

Barnaby Adair, pan domu, spojrzał na Basila Stokesa, przyjaciela oraz kolegę, a potem wyprostował się, machnął niedbale dłonią i stwierdził nonszalancko:

– Akurat teraz niewiele się dzieje. Żadna fascynująca zbrodnia nie zakłóca spokoju towarzystwa ani nie spędza snu z powiek przedstawicielom Scotland Yardu.

Penelope spojrzała podejrzliwie na męża, świadoma kryjących się za jego słowami intencji.

– To nie musi mieć nic wspólnego z towarzystwem. Nie chcesz chyba powiedzieć, że w Londynie zaprzestano popełniania przestępstw?

– Oczywiście, że nie! – Ze strony rozpartego wygodnie na krześle Stokesa napłynęła spontaniczna odpowiedź. Zreflektował się jednak natychmiast i dodał: – Barnaby ma jednak rację: żadne salonowe dramaty nie miały ostatnio miejsca.

– Sprawa Crimminów była ostatnia – powiedział Barnaby. – Od tego czasu w Mayfair panuje spokój.

– Sądzę, iż Penelope miała na myśli to – powiedziała miękko, cichym głosem Griselda; z całej czwórki zabierała zwykle głos jako ostatnia, lecz kiedy już to robiła, na ogół jej słuchano – że świeże spojrzenie, jakie możemy wam zaoferować, w połączeniu ze zdolnościami detektywistycznymi, które niewątpliwie posiadamy, z pewnością okazałyby się przydatne w śledztwie, prowadzonym również w innych kręgach.

Penelope skinęła głową.

– Dobrze powiedziane. – Spojrzała na obu panów i dodała: – Opieka nad dziećmi absorbowowała nas w pełni przez kilka pierwszych miesięcy, teraz Olivier i Megan podrośli już jednak na tyle, że nie wymagają uwagi matek w każdej chwili. Potrzebujemy zatem czegoś – machnęła niedbale dłonią – co by nas zajęło, stanowiło wyzwanie, przynajmniej mentalne, i zapewniło umysłom większą stymulację.

Stokes spochmurniał.

– A gdzież to inne matki małych dzieci znajdują tego rodzaju stymulację?

Penelope uniosła brodę.

– Nie jesteśmy jak inne.

– Bez wątpienia – wymamrotał Barnaby na tyle cicho, aby usłyszał go jedynie Stokes.

Penelope nadal przyglądała się mężowi podejrzliwie.

– Pomoc w zapewnieniu bezpieczeństwa Henriecie, kiedy musiała wyjechać z tym szubrawcem Affrym, aby odnaleźć Jamesa, przypomniała Griseldzie i mnie, czego nam brakuje. Co, poza przebywaniem z dziećmi, dawało nam tak dużą przyjemność – powiedziała.

– No i – dodała Griselda – powinniście także pamiętać, że udział w dochodzeniu, choćby niewielki, pomaga nam zrozumieć, dlaczego tak bardzo absorbuje was praca i czemu z takim oddaniem poświęcacie się, by doprowadzać przed oblicze sprawiedliwości szubrawców bez względu na to, z jakiej wywodzą się sfery.

W jadalni zapadła cisza. Mężczyźni rozważali przez chwilę słowa swych żon, a potem Stokes westchnął ciężko i wyprostował się na krześle.

– Fakty wyglądają wszakże tak, iż nie prowadzimy obecnie śledztwa, przy którym mogłybyście nam pomóc.

Penelope utkwiała w nim niewzruszone spojrzenie ciemnobrązowych oczu.

– Doskonale, lecz jeśli sytuacja ulegnie zmianie, powiadomicie nas o tym, prawda?

Nastąpiła chwila wahania, a potem mężczyźni westchnęli cicho, pokonani. Stokes skinął z rezygnacją głową.

Barnaby spojrział na żonę i powiedział:

– Kiedy pojawi się sprawa, przy której rozwikływaniu mogłybyście okazać się pomocne, porozmawiamy o tym we czworo.

*

– Naprawdę nie ma nic takiego, w czym mogłybyśmy wam pomóc?

Penelope podeszła do okna sypialni, wychodzącego na ogród. Mieszkali przy Albemarle Street od osiemnastu miesięcy i naprawdę, podobnie jak Barnaby, uważała to miejsce za swój dom.

Odwróciła się i zobaczyła, iż mąż zmierza ku niej niespiesznie. Poruszał się z tą samą co zawsze gracją drapieżnika. Jego widok przywoływał nieodmiennie uśmiech na usta żony, mimo iż czasami, tak jak teraz, starała się to ukryć.

Zatrzymał się przed Penelope, uniósł lekko brwi i wpatrywał przez chwilę w jej twarz.

– Naprawdę nic takiego nie ma. Stokes pomaga w sprawie tych morderstw w dokach, lecz uwierz mi, żadne z nich nie ma absolutnie nic wspólnego z czymkolwiek, o czym mogłybyście mieć najbłedsze choćby pojęcie. A jak już wiesz, z braku interesujących zbrodni zacząłem pracować z moim ojcem nad rozwikłaniem różnych politycznych machinacji. – Uśmiechnął się z niejakim żalem. – I choć bardzo przydałaby mi się twoja pomoc, zdajesz sobie chyba sprawę, że tam, gdzie chodzi o polityczne intrygi, jesteś po prostu beznadziejna. Twoja bezpośredniość wśród ludzi związanych z polityką budzi istną panikę.

Penelope machnęła lekceważąco dłonią.

– Politykowanie to taka strata czasu.

– Zgadza się. – Objął ramionami wąską talię żony i przyciągnął do siebie.

Poddała się ochoczo uściskowi. Po osiemnastu miesiącach małżeństwa magia nadal była – rozkoszne drzenie zmysłów, nagle przypląwy pożądania.

Głód, który pomimo częstego zaspokajania zyskiwał tylko na sile.

Oparła mu dłonie na piersi i spojrzała w oczy. A magia – nagle skupienie uwagi, wzrost napięcia, wyostrenie zmysłów – natychmiast porwała ją w swoją moc. Kiedy przesunął dłońmi po jej osłoniętych jedwabiem plecach, przechyliła w bok głowę i spojrzała mu w oczy.

– Próbujesz odwrócić moją uwagę, prawda?

Uśmiechnął się lekko.

– Przeszło mi to przez myśl. – Pochylił się i musnął jej wargi swoimi, przeciągając pocałunek do chwili, kiedy westchnęła, a w jej oczach zapłonęło pożądanie. – Zamierzasz mi pozwolić?

Przesunęła dłonie wyżej i objęła go za szyję.

– Pozwalam, i to bardzo chętnie, żebyś spróbował.

Lecz nie spodziewaj się sukcesu. Barnaby usłyszał te słowa, chociaż ich nie wypowiedziała, nie sformułowała wyzwania. Dla spokoju umysłu musiał chociaż spróbować.

Postarać się najbardziej, jak tylko był w stanie.

Wciągając ją coraz głębiej w namiętą wymianę pocałunków, pojedynkę głodnych warg i języków, dyrygował chwilą z absolutną wprawą oraz talentem, póki nie zaczęli oboje dyszeć, spragnieni siebie i zdesperowani.

Rozebrali się pod jego dyktando. Penelope, podniecona i pełna oczekiwań, pozwalała mu dowodzić, gdy robił wszystko, co możliwe, aby osiągnąć cel – odwrócić jej uwagę.

Całkowicie i bez reszty.

Przesuwał dłońmi po jej ciele, póki nie zaczęła wyginać się i pojękiwać.

Pozwolił jej – nie, wręcz ją zachęcał, wiedząc, jak bardzo jest to dla niej podniecające – aby badała jego ciało i napełniała nim zmysły, a ona pochwyliła okazję i pogрузzyła się w wirze namiętności.

Starali się przeciągnąć jak najdłużej chwile pełne uwielbienia, rozkoszy i niezwyklej radości. Odwlekanie tego, co nieuchronne, nie mogło trwać jednak w nieskończoność.

Doszli więc razem w powodzi ognia i żaru, połączenia ciał i dusz tak znajomego, tak cudownie nieuchronnego – i nieuważanego przy tym za rzecz oczywistą.

Zjednoczeni jednaką potrzebą, wspinali się razem na szczyt, by ogarnęła ich ekstaza, wstrząsając nimi do głębi, a potem rzucając w pustkę... gdzie czekała już miłość, gotowa otulić ich błogim spokojem, kiedy wirując, wracali na ziemię.

Do bezpiecznego portu swych ramion, przyspieszonych oddechów i mocno bijących serc.

Kojącej duszę bliskości intymnego uścisku.

Później, kiedy się rozłączyli i ułożyli wygodnie na łóżku, Barnaby musnął wargami skroń żony.

– Obiecuję, że powiem ci, jeśli natkniemy się ze Stokesem na sprawę, w której będziecie mogły nam pomóc.

Poczuł, że Penelope uśmiecha się z twarzą wtuloną w jego pierś. Poklepała ją machinalnie i powiedziała:

– Dziękuję.

Wydawała się absolutnie odprężona i wkrótce głęboko zasnęła.

W pewnej chwili, gdy się kochali, uświadomił sobie mgliście, że on i Stokes będą musieli znaleźć jakieś rozwiązanie, zaspokoić potrzebę swych żon, włączając je znów w dochodzenie, jeśli tylko pojawi się coś odpowiedniego.

Lepiej to, niż żeby same miały wyszukać sobie zajęcie – nie musiał długo się zastanawiać, by wiedzieć, co o tym sądzi. Nagły skurcz serca na samą myśl o takiej perspektywie wystarczył, żeby zachęcić go do dotrzymania obietnicy.

Dotrzyma jej, choćby i wbrew sobie.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy Violet weszła następnego ranka do kuchni, Tilly szykowała właśnie tacę ze śniadaniem.

– Dzień dobry – przywitała pokojówkę z uśmiechem. – Prawie gotowa?

Zwykle towarzyszyła Tilly, do jej obowiązków należało bowiem obudzić lady Halstead, przytrzymać drzwi pokojówce, a potem pomóc usiąść staruszce na łóżku.

– Dzień dobry – odparła Tilly śpiewnie. – Tak, mam już prawie wszystko. Jeszcze tylko tost. Och, dziękuję, kochana – dodała, zwracając się do kucharki.

Pokojówka była dosyć wysoką, grubokościstą niewiastą o przetykanych siwizną brązowych włosach, spiętych w schludny kok, i dużych dłoniach, które wsunęły teraz wprawnie tost do stojaka i chwyciły za rączki tacy. Obdarzona niezmiennie pogodnym usposobieniem, była z lady Halstead od dziesięcioleci, zdecydowanie dłużej niż Violet albo kucharka. Teraz jej twarz pojaśniała, kiedy spojrzała na Violet.

– Prowadź, moja droga.

Violet wymieniła uśmiechy i słowa powitania z kucharką – niską, tęgą kobietą o przewiązanych białą chustką rudych lokach – otworzyła kuchenne drzwi, przepuściła Tilly, a potem wyprzedziła ją znowu i ruszyła schodami na piętro.

Tilly podążała za nią cokolwiek ociężale, nie tracąc jednak entuzjazmu.

– Mam nadzieję, że pani spała dziś lepiej niż poprzedniej nocy.

– Właśnie. Oby pan Montague szybko wrócił i rozwiął jej obawy. Nadal martwi się tymi przychodami. – Nie wahała się wspomnieć o nich Tilly, gdyż lady Halstead zrobiła to przed nią, najwidoczniej ufając długoletniej pokojówce.

Na piętrze ruszyły korytarzem do sypialni chlebodawczyni. Przy drzwiach zatrzymały się i Violet zapukała.

– Lady Halstead?

Nikt nie odpowiedział, ale nie było w tym nic niezwykłego. Pomimo permanentnych kłopotów ze snem lady Halstead trzymała dyscyplinę i życzyła sobie, aby budzono ją, przynosząc śniadanie, punktualnie o ósmej. Violet wymieniła z Tilly pełne rezygnacji spojrzenia – gdyby zależało to od nich, pozwoliłyby starszej damie się wyspać – otworzyła drzwi i weszła.

Jak zwykle pokój pogrążony był w półmroku. Podeszła do okna, aby odsunąć ciężkie zasłony.

Tilly podążyła w ślad za nią, lecz zatrzymała się tuż za progiem, czekając cierpliwie, aż w pokoju zrobi się jaśniej.

Violet odsunęła najpierw jedną zasłonę, a potem drugą i odwróciła się w stronę łóżka.

– Dzień dobry pani.

Zatrzymała się, niepewna, co właściwie widzi.

Tilly, wyższa i stojąca bliżej łóżka, miała lepszy widok.

– Boże święty!

Ostry brzęk porcelany zakłócił ciszę, gdy pokojówka zadrżała, a wraz z nią taca.

– Boże, o mój Boże!

Obejrzała się wzburzona, zobaczyła wysoką komodę, podeszła i odstawiła tacę. A potem wróciła pospiesznie do łóżka – podobnie jak Violet, która zbliżyła się z drugiej strony.

Zaszokowana, patrzyła w dół, na staruszkę, ledwie mogąc oddychać. Lady Halstead miała zamknięte oczy, lecz usta szeroko otwarte niczym do krzyku.

Ramiona też miała dziwnie rozłożone, a palce zakrzywione, jakby coś chwyciła, zaciskała je na czymś. Nogi, tak zwykle słabe, nie leżały stosownie jedna obok drugiej.

Violet nie wątpiła ani przez chwilę, że starsza dama nie żyje, ale nie umarła spokojnie.

Tilly ujęła myśli Violet w słowa:

– Wiedziałam, że wkrótce odejdzie, ale nie w taki sposób!

Violet zmusiła się, żeby patrzeć, przyjrzeć się temu, co miała przed sobą.

– Nie powinna tak wyglądać, prawda, Tilly? Nie, jeśli odeszła we śnie.

Tilly głośno przełknęła ślinę, a potem wymamrotała ze wzrokiem utkwionym w twarzy swej pani:

– Myślisz to samo co ja, prawda? Została zamordowana?

– Spójrz na tamtą poduszkę. Nie, nie dotykaj. Widzisz, jak została wepchnięta? To dlatego głowa spoczywa pod tak dziwnym kątem. Milady nie używała aż tylu poduszek, na pewno sama by ich tu nie położyła. – Spojrzała na krzesło przy łóżku. – Gdy zęgnalam się z nią wieczorem, poduszka leżała na siedzeniu.

– Musimy wezwać lekarza. – Tilly objęła się ciasno ramionami. – Tak się dziś postępuje, kiedy ktoś umrze.

Violet zastanawiała się gorączkowo. Wiedziała, co się wydarzy, jeśli postąpią, tak jak sugerowała Tilly.

– Jeżeli tak po prostu go wezwiemy – podniosła wzrok i spojrzała na Tilly – powie, że była stara i umarła we śnie. A to dlatego, iż doskonale zdaje sobie sprawę, że rodzinie bardzo by się nie spodobało, gdyby orzekł, iż została zamordowana.

Tilly zamrugła, a potem zacisnęła mocno szczęki i skinęła głową.

– Rzeczywiście, ten mięczak na pewno tak właśnie by zrobił. A nikt z rodziny by się nie przejął, prawda?

– Właśnie. Nie zależałoby im, aby morderca stanął przed obliczem sprawiedliwości. Jedyne, co by ich obchodziło, to jej testament.

– I udział w spadku. Nie musisz mi mówić. Wiedziała od lat, że tylko czekają, aby umarła.

– Właśnie. Wydawało się, że czekają dosyć cierpliwie, lecz teraz... – Spojrzała na delikatną staruszkę, do której zdążyła szczerze się przywiązać. – Nie możemy dopuścić, żeby mordercy się upiekło. Nie mogłabym spać spokojnie, gdyby zamieciono sprawę pod dywan.

– Ani ja. – Tilly umilkła, a potem spytała: – Co zatem powinniśmy zrobić? Sprowadzić policję? Pewnie każą nam wezwać lekarza, on powie to, co powie, i na tym sprawa się zakończy.

Violet nie miała pojęcia, skąd wziął się jej ten pomysł, przekonanie, że wie, co należy uczynić.

– Poślemy po pana Montague'a. Lady Halstead dała mu pełnomocnictwo, wydaje się więc rozsądne, że chcieliśmy się z nim w tej sprawie skonsultować. W końcu jesteśmy tylko kobietami i jako takie mamy wrodzoną skłonność do paniki. – Spojrzała na Tilly. – Wpadłyśmy zatem w panikę i nie wiedząc, co robić, wezwaliśmy pana Montague'a, ponieważ pani mu ufała i dobrze się o nim wyrażała.

Tilly zamrugła, a potem skinęła z wolna głową.

– A czy on będzie wiedział, co robić?

– Tak. – Violet wspomniała spokojną pewność siebie, jaką nacechowane było zachowanie mężczyzny. – Jestem o tym przekonana.

Tilly przytaknęła bardziej zdecydowanie.

– Dobrze. Napisziesz zatem wiadomość, a ja sprowadzę chłopaka, żeby ją zaniósł.

Spojrzała na martwą chlebobawczynię, pogładziła delikatnie wierzch jej sękaty dłoni, a potem zacisnęła mocno zęby, odwróciła się i ruszyła do drzwi.

Violet wyprostowała się, powtórzyła gest pokojówki – wolniej, z większą czułością – i wyszła za Tilly

z pokoju.

*

Napisała wiadomość w salonie i kiedy zadzwoniono do drzwi, nadal tam siedziała, pogrążona w dziwnym odrętwieniu.

Słyszając dzwonek, podniosła się i spojrzała na zegar na kominku. Była zaledwie dziewiąta. Montague musiał niemal biec, skoro dotarł tak szybko.

Otworzyła drzwi i od razu spostrzegła, jak bardzo jest zaniepokojony.

– Co się stało? – Objął szybkim spojrzeniem twarz Violet, a potem skupił uwagę na jej oczach. – Dobrze się pani czuje?

– Lady Halstead nie żyje.

Usłyszała swój głos, zduszony i bez wyrazu, i dopiero wtedy uświadomiła sobie w pełni, że to się dzieje naprawdę.

– Nie żyje? – powtórzył Montague ewidentnie zaszokowany. – Ale... – Przyjrzał się jej uważnie. – Odeszła spokojnie?

Violet zebrała się w sobie, zaczerpnęła oddechu i powiedziała:

– Ja... my... to znaczy Tilly i ja... sądzimy, że tak nie było. – Odsunęła się. – Proszę, niech pan wejdzie.

Przechodząc przez próg, poczuł nagłą chęć, aby otoczyć ją ramieniem, pocieszyć i uspokoić. Była blada, a twarz miała, oceniając po tym, jaką widział ją uprzednio, zamkniętą i nieodgadnioną.

Wydawała się taka bezbronna. Krucha. Potrzebująca pomocy.

Jego pomocy.

Zmusił mózg do pracy.

– Kogo jeszcze powiadomiłyście?

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

– Na razie nikogo. Wiemy, że trzeba powiadomić lekarza, który zawiadomi z kolei rodzinę, ale... – Zamilkła, a potem uniosła głowę stanowczym gestem i kontynuowała: – On... doktor Milborne... będzie bardziej zainteresowany tym, jak przypodobać się krewnym, przysłużyć interesom żywych, nie zmarłej.

Montague skinął krótko głową.

– Tak. Rozumiem. – Spojrzał na schody. – Gdzie ona jest?

– Na górze, w sypialni. – Zachęciła go, by poszedł za nią. – Położyła się wczoraj, jak każdego wieczoru. Wszystko było w absolutnym porządku. Rano poszliśmy z Tilly ją obudzić. Zwykle zanosimy wtedy tacę, weszliśmy więc i... ją znalazliśmy.

Montague zatrzymał się u szczytu schodów.

– Tilly?

– Pokojówka lady Halstead, była z nią przez ponad dwadzieścia lat.

A kiedy skinął głową i ją się rozglądać, wskazała drzwi w końcu korytarza.

– Tam.

Ruszył ku nim, powstrzymując impuls, żeby zapytać Violet, dlaczego śmierć starszej pani wydała się im podejrzana – słowo *morderstwo* co prawda nie padło, ale z pewnością to właśnie musiały podejrzewać.

– Czy ktokolwiek: pani, Tilly albo ktoś inny ruszał coś w pokoju?

– Nie. Odsunęłam tylko zasłony, a Tilly postawiła tacę na komodzie. Poza tym niczego nie ruszałyśmy. – Violet zamilkła, a potem dodała: – Było boleśnie oczywiste, że ona nie żyje.

Montague wszedł do pokoju i przekonał się, co Violet miała na myśli. Przystanął oddalony o metr od łóżka i przyjrzał się zmarłej. Minęła ledwie minuta, kiedy powiedział:

– Zgadzam się. To nie była naturalna śmierć, a już z pewnością nie spokojna.

Violet zatrzymała się bliżej drzwi i spytała cicho:

– Co powinniśmy zrobić? – A kiedy odwrócił się ku niej, wskazała ciało starszej damy. – Dla niej. – A potem dodała znacznie mocniejszym głosem: – My – Tilly, kucharka i ja – chcemy, aby sprawiedliwości stało się zadość, żeby schwytano jej zabójcę i go osądzono. Była miłą starszą damą. Nikogo nie skrzywdziła. Może i zbliżała się do kresu swych dni, nie zasłużyła jednak z pewnością, by umrzeć w ten sposób.

– Skoro tak – powiedział, spoglądając jej w oczy i dostrzegając w nich stanowcze postanowienie – wezwijmy najpierw policję, dopiero potem doktora.

*

Jak się wszakże okazało, doktor przybył pierwszy.

Gdy opuścili z Violet sypialnię i zeszli do kuchni, Montague napisał pilną wiadomość do inspektora Basila Stokesa ze Scotland Yardu i wyprawił z nią chłopca na posyłki, zatrudnianego zwykle do takich zleceń. Ponieważ pomógł w ostatnich latach rozwiązać kilka spraw, pewien był, że inspektor odwzajemni przysługę i się pojawi.

Czekali tak długo, jak się odważyli – to znaczy, na tyle jedynie długo, by dało się zwłokę rozsądnie wytłumaczyć – a potem wezwali lekarza, wysyłając o jedenastej wiadomość przez brata pierwszego chłopaka.

Doktor zapukał do drzwi już po półgodzinie.

Violet, cicha i poważna, wprowadziła lekarza, informując go tylko, że ona i pokojówka uważają, iż lady Halstead zmarła w nocy.

Montague, stojący za Violet w mroku frontowego holu, bacznie przyglądał się lekarzowi. Medyk dobiegał czterdziestki i sądząc po kroju surduta, musiało nieźle mu się powodzić.

Doktor Milborne przybrał równie poważną minę.

– Oczywiście, spodziewaliśmy się, że ten dzień kiedyś nastąpi. Mimo to proszę przyjąć moje kondolencje, panno Matcham. Musi być pani wytracona z równowagi.

– Skoro już o tym mowa... – Violet zamilkła, aby zaczerpnąć drżącego oddechu, a potem zacisnęła dłonie i skinęła głową w kierunku schodów. – Uważamy, że powinien pan obejrzyć ciało i dopiero wtedy orzec, jak zmarła lady Halstead.

– W rzeczy samej, w rzeczy samej. – Milborne spojrział na schody. – Jest w sypialni, tak? – Ruszył ku nim. – Znam drogę.

Violet i Montague zignorowali ewidentną próbę pozbycia się ich i podążyli za doktorem, niemal deptając mu po piętach.

W sypialni Milborne przeżegnał się, a potem podszedł do łóżka i zaczął oglądać ciało.

Zastanawia się, pomyślał Montague. Nie jest jeszcze pewny, jak powinien postąpić, by okazało się to dla niego najbardziej korzystne.

Lekarz przyglądał się przez chwilę twarzy zmarłej, szeroko otwartym ustom i opadniętej szczęce. Wreszcie ujął nadgarstek, by sprawdzić puls, a potem zrobił to samo, przytykając palce z boku szyi. Uniósł zmarłej powieki, najpierw jedną, potem drugą, lecz ledwie spojrział w pozbawione życia oczy.

Tylko udaje, że bada ciało, pomyślała Violet, pewna, że ona i Tilly się nie pomyliły – lekarz robi to, co uzna za najlepsze dla rodziny.

I rzeczywiście, dokonawszy pobieżnego badania, westchnął i odwrócił się do Violet ze słowami:

– Wygląda na to, że serce nie wytrzymało. W jej wieku można się było tego spodziewać.

Zwłaszcza jeśli ktoś przycisnął jej poduszkę do twarzy, a ona krzyczała i krzyczała. Violet zaczerpnęła oddechu. Objęła się ramionami, przełknęła cisnące się na usta słowa i spojrzała na Montague'a. Zgodzili się, że byłoby nierozsądne narzucać swoją opinię lekarzowi, a jednak...

Montague napotkał spojrzenie Violet, skinął ledwie dostrzegalnie głową, by dodać jej otuchy, a potem spojrzał na Milborne'a.

– Jak rozumiem, zamierza pan orzec, iż śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych?

Milborne zamrugał i przeniósł spojrzenie na Montague'a.

– Cóż... zważywszy na okoliczności... – A potem ściągnął brwi. – Przepraszam... kim pan jest?

– Heathcote Montague, z firmy Montague i Syn, w City. – Nie powiedział nic więcej. Należało opóźnić wydanie orzeczenia, póki nie nadejdzie wsparcie w postaci inspektora Stokesa. Stokesowi wystarczyłby jeden rzut oka, by nabrać przekonania, że w śmierci lady Halstead nie było nic naturalnego.

Milborne ściągnął mocniej brwi zaintrygowany.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego miałby się pan interesować tym, jak odeszła lady Halstead.

– Jej lordowska mość zatrudniła mnie przed paroma dniami jako konsultanta do spraw finansowych... z nader szerokimi uprawnieniami. – Pozwolił, aby Milborne pogłowił się nad tym przez chwilę, a widząc, że lekarz nie bardzo wie, jak sformułować pytanie, dodał: – Zważywszy na okoliczności, które spowodowały, że milady się do mnie zwróciła, oraz fakt, iż posiadam jej pisemne pełnomocnictwo, uważam, że przyczyna tej śmierci wchodzi jak najbardziej w zakres moich zainteresowań.

Milborne zamrugał ewidentnie zmieszany.

– Ja... rozumiem.

Spojrzał znowu na ciało, najwidoczniej nie będąc pewny, co właściwie się dzieje i jak powinien w związku z tym postąpić.

Zapukano głośno do drzwi.

Montague spojrzał na Violet.

– Niech Tilly otworzy – powiedział.

Fakt, że pokojówka właśnie to zrobiła, stał się niemal natychmiast oczywisty, od strony holu dobiegły ich bowiem donośne męskie głosy.

Kilka głosów. Stokes przyprowadził kogoś ze sobą – co najmniej dwóch innych mężczyzn.

Montague wyteżył słuch, pochwycił dźwięk modulowanego głosu o nieco leniwym brzmieniu, zdecydowanie bardziej wyrafinowanym niż szorstki baryton Stokesa, i poczuł przypływ nadziei. Czyżby...?

I rzeczywiście, gdy po niespełna minucie Stokes wmaszerował do pokoju, tuż za nim postępował wysoki, elegancki dżentelmen. Barnaby Adair.

Jeśli świadomość, że na scenie pojawił się inspektor, sprawiła Montague'owi ulgę, to widok Adaira upewnił go, że ratunek jest niemal pewny.

Violet patrzyła, jak potężnie zbudowany, ciemnowłosy mężczyzna o posępnej twarzy zatrzymuje się w progu. Rozpięty płaszcz ukazywał szeroką klatkę piersiową, a szare oczy obejmowały sypialnię przenikliwym spojrzeniem. Mężczyzna zatrzymał wzrok na Montague'u i pochylił głowę w lekkim ukłonie.

Montague odpowiedział ukłonem.

– Witam, inspektorze Stokes. – Wskazał gestem Violet. – To panna Matcham, dama do towarzystwa

lady Halstead. A to – odwrócił się w kierunku lekarza – doktor Milborne, który, jak zrozumiałem, opiekował się od kilku lat jej lordowską mością.

– Cóż, tak, od mniej więcej pięciu... – uzupełnił Milborne skonfundowany. Spoglądał to na Stokesa, to na Montague'a. – Powiedział pan: inspektor?

– Tak i miał na myśli mnie. – Ciemnowłosa mężczyzna, ów Stokes, podszedł bliżej łóżka. – Inspektor Basil Stokes ze Scotland Yardu. Przyszliśmy – spojrział na swego towarzysza o wijących się blond włosach, którego strój i postawa świadczyły jasno, że musi być dżentelmenem – aby upewnić się co do przyczyny śmierci jej lordowskiej mości. – Przygwoździł Milborne'a spojrzeniem szarych oczu. – Zatem, doktorze, co ma nam pan do powiedzenia? To naturalna śmierć czy też mamy tu do czynienia z czymś, czym powinien zająć się Scotland Yard?

– Ach... – Czas mętnych wyjaśnień dobiegł ewidentnie końca i lekarz nie bardzo wiedział, jaką drogę obrać, by nie narazić się żadnej ze stron. – Ja... pomyślałem, iż zgon mógł... jedynie mógł... nastąpić z powodu zaawansowanego wieku. To znaczy, choć zmarła wygląda, jakby się broniła, być może walczyła jedynie o oddech i...

– Czy kiedy ją znaleziono, miała zamknięte oczy i opuszczone powieki?

Pytanie zadane wytwornym tonem, który natychmiast przyciągał uwagę, padło ze strony wysokiego blondyna towarzyszącego Stokesowi. Mężczyzna wszedł głębiej do pokoju, ukłonił się grzecznie Violet, skinął głową Montague'owi, którego najwidoczniej znał, i spojrział na Milborne'a, a potem na lady Halstead.

– Jestem wielmożny Barnaby Adair, konsultant Scotland Yardu. Współpracuję często z inspektorem, zwłaszcza – zwrócił spojrzenie intensywnie niebieskich oczu na twarz zmarłej – gdy w sprawę zaangażowane są osoby z towarzystwa.

Milborne analizował przez chwilę to, co usłyszał, a potem nieco się odprężył.

– W takim razie...

– Oczy miała zamknięte – odpowiedziała za niego Violet – a powieki opuszczone. – A kiedy Adair uniósł pytająco brwi, dodała: – Przyszliśmy... to znaczy jej pokojówka Tilly i ja... aby jak co dzień obudzić lady Halstead, i ją znalazłyśmy. – Skinęła głową w kierunku łóżka. – Leżała tak jak teraz. Niczego nie ruszałyśmy.

– Doskonale. – Adair kucnął i jął przyglądać się twarzy zmarłej pod różnymi kątami, a potem spojrział na Milborne'a. – Wybroczyny w oczach?

Milborne poruszył się niespokojnie.

– Drobne, lecz była stara i... – Zamilkł, pochylił się, uniósł jedną powiekę i przyjrzał się gałce ocznej, a kiedy się wyprostował, można było zobaczyć, że mocno zbladł. – Tak. W oczach są wybroczyny, które nie mogły powstać w naturalny sposób.

– Hm... – Adair także się wyprostował. – Zazwyczaj wskazuje to na uduszenie, prawda?

Milborne zacisnął usta i skinął niechętnie głową.

– Tak.

Adair spojrział na Violet.

– Czy kiedy ją znalazłyście, w pokoju było coś jeszcze? A może czegoś brakowało?

Violet podeszła i spojrzała na lady Halstead.

– Jediną rzeczą, która nie leży tam, gdzie powinna, jest poduszka. Ta, którą wepchnięto jej pod głowę. Zmarła sypiała tylko na jednej, a tę zostawiałyśmy na krześle obok łóżka. Służyła do podkładania pod plecy, by starszej pani było łatwiej siedzieć.

– Zatem – Adair niemal mruczał z zadowolenia – normalnie wyglądałoby to tak, że przychodząc z tacą, zastałybyście damę leżącą na jednej poduszce, podczas gdy ta, którą ma teraz pod głową,

spoczywały na krześle, przygotowana do podłożenia pod plecy. – Rzucił Violet dodające otuchy spojrzenie. – Zgadza się, panno Matcham?

Violet uniosła wyżej brodę i przytaknęła.

– Co do joty, panie Adair.

Barnaby spojrział na Stokesa.

– To rozstrzyga sprawę. – Przeniósł spojrzenie na Milborne'a. – Zatem, doktorze, jaki jest pański werdykt?

Milborne sposepniał, ale powiedział posłusznie:

– Śmierć przez uduszenie zadana przez osobę albo osoby nieznane.

Violet spojrzała na Stokesa i zobaczyła, że inspektor uśmiecha się niczym głodny rekin.

– Zatem morderstwo.

Milborne się skrzywił.

– Skoro tak pan mówi, ostrzegam jednak, że rodzinie to się nie spodoba.

Twarz Stokesa pociemniała z gniewu.

– Mnie się to nie podoba. – Zabrzmiało to niczym groźny pomruk. – A nie jestem nawet spokrewniony. Z pewnością nie chciał pan jednak powiedzieć, że Halsteadowie zamietliby z ochotą pod dywan morderstwo, byle uniknąć drobnych niedogodności?

Milborne przestąpił z nogi na nogę i sięgnął po swoją torbę.

– Nie, oczywiście, że nie. – Podniósł torbę, minął Stokesa i skierował się ku drzwiom. – Jeśli nie jestem już panom potrzebny, zejdę na dół, wypiszę akt zgonu i sobie pójdę.

Stokes przyglądał się, jak lekarz wychodzi, a kiedy przekroczył próg, zmrużył oczy i zawołał w ślad za nim:

– Tylko proszę nie zapomnieć przysłać orzeczenia do Yardu!

*

– No, dobrze. – Basil Stokes opadł na krzesło w jadalni domu przy Lowndes Street. Barnaby zajął miejsce po lewej stronie Montague'a, posadziwszy wpierw Violet naprzeciw Stokesa.

Inspektor przyglądał się Violet Matcham z miną wyrażającą współczucie. Nie był z natury empatyczny, nie trzeba było jednak zbyt wiele przenikliwości, by stwierdzić, że panna Matcham była do swej chlebodawczyni szczerze przywiązana. Oczy miała zaczerwienione, a czubek nosa z lekka różowy, starała się jednak pozostać spokojna i opanowana, które to cechy Stokes wielce sobie cenił.

Gdy tylko Milborne zniknął ze sceny, posłał konstabla do Scotland Yardu, aby sprowadził policyjnego lekarza. Drugi policjant pełnił straż w sypialni, pilnując zmarłej i wszelkich dowodów, które nie ujrzały jeszcze światła dziennego.

Stokes i Adair udali się w towarzystwie Violet i Montague'a do kuchni, gdzie poznali dwie pozostałe członkinie małego gospodarstwa – pokojówkę oraz kucharkę. Obie wydawały się zarówno przestraszone, jak i zdecydowane zapanować nad emocjami. Lęk wynikał zapewne z tego, że po raz pierwszy miały do czynienia z policją i ze zbrodnią, próby opanowania zaś z tego samego oddania, które sprawiało, że panna Matcham siedziała wyprostowana sztywno na krześle, nie poddając się żalowi.

Lubiły starszą panią i chciały, aby schwytano jej zabójcę.

Nie wyglądało też na to, aby dręczyło je poczucie winy albo wyrzuty sumienia.

Odpowiadało to Stokesowi, gdyż pozwalało skreślić całą trójkę z listy podejrzanych. Zamierzał kobiety przesłuchać i nacisk w rozmowie położyć na to, aby wydobyć informacje, które mogły

przyczynić się do rozwikłania sprawy.

Pochylił się i oparł ramiona na wypolerowanym blacie, wykorzystując chwilę, by zebrać myśli, a potem utkwiał wzrok w twarzy panny Matcham.

– Jak zrozumiałem, mieszkała pani z lady Halstead od kilku lat.

Skinęła głową.

– W sierpniu minęło osiem.

– A przedtem?

– Byłam damą do towarzystwa lady Ogilvie zamieszkałej w Bath. Przebywałam u niej pięć lat, a wprowadziłam się krótko po śmierci mojego ojca.

– On zaś był...?

– Pastorem. Wielebny Edward Matcham z Woodborough. To w dolinie Pewsey. – Zawahała się, a potem dodała: – Matka zmarła kilka lat wcześniej i musiałam sama sobie radzić.

Stokes docenił szczerą młodą damę.

– Dziękuję. Zważywszy, że lady Halstead została zamordowana, muszę przede wszystkim zapytać, czy ma pani powód, aby przypuszczać, że ktoś, ktokolwiek, mógłby sobie życzyć jej śmierci?

Violet zawahała się, boleśnie świadoma utkwionych w niej spojrzeń – szarego, twardego i bezkompromisowego oraz baczego i niebieskiego – a potem uniosła wyżej brodę i oznajmiła zdecydowanie:

– Nie mam powodu podejrzewać, że ktoś żywił względem lady Halstead wrogię uczucia. Nie wiem nic o żadnej kłótni, teraz czy w minionym czasie, a tym bardziej awanturze na tyle poważnej, by mogła prowadzić do morderstwa. Jednakże – spojrzała na siedzącego obok Montague'a – jak wyjaśni to panom później pan Montague, milady niepokoiła się ostatnio z powodu wpływających na jej rachunek pieniędzy, których pochodzenia nie była w stanie dociec. – Spojrzała znów na posępną twarz Stokesa i kontynuowała: – W ciągu ostatniego tygodnia utwierdziła się w przekonaniu, iż sprawę należy wyjaśnić, i zatrudniła w tym celu pana Montague'a.

Stokes spojrzał na Montague'a.

– Dlatego dała panu to upoważnienie?

Montague zdążył mu już pokazać pełnomocnictwo podpisane własnoręcznie przez lady Halstead. Jak podejrzewał Stokes, jego treść została zapewne przez Montague'a podyktowana. Dokument zapewniał mu bowiem nieograniczony wgląd w finanse lady Halstead. Był to jeden z powodów, dla których siedział teraz przy stole – nawet gdyby Stokes chciał go wykluczyć, nie mógłby tego zrobić; ale jako że inspektor zdążył poznać Montague'a osobiście i wyrobić sobie o nim nader przychylną opinię, cieszyło go, iż może zaangażować w dochodzenie kolejną parę oczu i bystry umysł.

Montague skinął głową.

– Potrzebowałam takiego dokumentu, by móc zbadać sprawę dogłębnie i znaleźć źródło zagadkowych wpłat na jej rachunek.

Otworzył usta, pragnąc kontynuować, lecz Stokes uniósł dłoń i go powstrzymał.

– Chwileczkę. – Spojrzała na Violet. – Wiem, co mi pani odpowie, mimo to muszę spytać: żadnych nieporozumień pomiędzy panią a jej lordowską mością czy między nią a kucharką lub pokojówką?

Violet odpowiedziała lodowatym spojrzeniem.

– Nie. To był bardzo spokojny dom. Żyłyśmy w zgodzie i wszystkie się lubiłyśmy.

Czas przeszły sprawił, że zabrzmiało to jak wspomnienie pośmiertne.

Stokes skinął głową i spojrzał znów na Montague'a.

– Proszę opowiedzieć mi o tych wpłatach.

Montague zrobił, o co go poproszono, wyrażając się precyzyjnie i zaczynając od chwili, gdy w biurze

jego firmy zjawiała się panna Matcham, by złożyć mu w imieniu swej chlebodawczyni propozycję zajęcia się sprawą. Stokes wypytał następnie pannę Matcham, jak doszło do tego, że milady wybrała akurat Montague'a, chociaż nie miała z nim przedtem nic do czynienia. W konsekwencji dowiedzieli się, w tym także Montague, jak to lady Halstead zadała pytanie dziennikarzowi z „Timesa”, a on polecił właśnie Montague'a.

Montague utkwiał wzrok w damie, siedzącej obok niego przy stole.

– Czyli to pani wysłała zapytanie do „Timesa”?

– W imieniu lady Halstead. – Panna Matcham zaczerwieniła się lekko. – Przepraszam za wszelkie niedogodności, jakie mógł ściągnąć na pana ten artykuł, lecz był to jedyny sposób, pozwalający dowiedzieć się w miarę szybko, do kogo należy zwrócić się w celu wyjaśnienia sprawy. – Spojrzała na Stokesa. – Lady Halstead bardzo się denerwowała, co jej z pewnością nie służyło, a zważywszy na młody wiek oraz brak doświadczenia pana Runcorna, nie chciała zdawać się tylko na niego.

Montague opowiedział o firmie Runcorn i Syn i swoich wrażeniach z rozmowy z jej właścicielem.

Barnaby skinął głową

– Jestem w stanie to zrozumieć. Starsze panie potrafią być mocno zrzęдлиwe.

Stokesowi dane było poznać starsze damy, wśród których wychowywał się Adair, chrząknął więc tylko i spojrzał przez stół na pannę Matcham i Montague'a.

– Jest zatem możliwe, iż staruszka została zamordowana, ponieważ zaczęła przejawiać nagle i dogłębne zainteresowanie zagadkowymi wpłatami. Kto jeszcze o nich wiedział? I o tym, że stara się wyjaśnić sprawę?

Violet ściągnęła brwi.

– Ja. Tilly. Zapewne także kucharka, jeśli słyszała, o czym rozmawialiśmy.

– W moim biurze – pospieszył z wyjaśnieniami Montague – wiedziałem tylko ja. Nie wspomniałem o sprawie żadnemu z pracowników. Runcorn wie, oczywiście, o wszystkim, podobnie jak jego starszy urzędnik, Pringle. Jest ich tam tylko dwóch. – Ściągnął brwi, zamyślił się na chwilę, a potem dodał: – Nikt inny nie przychodzi mi na myśl. Nie byłem jeszcze w tej sprawie w banku, a Runcorn zdążył zażądać jedynie wyciągów, co nie jest niczym nadzwyczajnym i nie powinno nikogo zaalarmować.

Stokes spojrzał z uwagą na Montague'a.

– Jest pan pewien, że to nie Runcorna szukacie?

Montague odpowiedział równie uważnym spojrzeniem.

– Wolałbym się w tej kwestii nie wypowiadać, lecz jeśli pan nalega, powiem, iż moim zdaniem Runcorn jest uczciwy jak mało kto.

Violet przytaknęła.

– Uważam podobnie. Był z początku przekonany, że pieniądze muszą pochodzić z inwestycji.

Stokes się skrzywił.

– Jeśli zatem powodem zabójstwa była chęć ukrycia tychże wpłat, lista podejrzanych wydaje się dość krótka.

Violet zamyśliła się na chwilę, a potem otworzyła szerzej oczy.

– Nie, proszę poczekać... Halsteadowie wiedzieli.

Barnaby się wyprostował.

– Rodzina ofiary?

– Byli tu, jak co miesiąc, na kolacji. – Zamilkła na chwilę, a potem powiedziała: – Muszę wyrazić się dokładniej. Lady Halstead nie wspomniała o zagadkowych wpłatach, powiedziała jedynie, że poleciła, aby sprawdzono stan jej finansów, gdyż kiedy odejdzie, pragnie zostawić je w absolutnym porządku.

Minęła sekunda, a potem Barnaby zapytał:

– Domyślam się, że wraz ze śmiercią lady Halstead majątek, który został jej powierzony jedynie dożywotnio, zostanie rozdysponowany zgodnie z ostatnią wolą jej zmarłego męża?

Violet spojrzała na Montague'a.

– Tak sędzę.

Montague uniósł brwi.

– Zdziwiłbym się bardzo, gdyby było inaczej. O ile zdążyłem się zorientować, lady Halstead nie posiadała zbyt wiele osobistego majątku.

– Zatem – podsumował Barnaby – jej testament nie będzie zawierał niespodzianek, zwłaszcza dotyczących się spadku. Nawet gdyby go zmieniła i tak nic by to nie dało.

– Domniemywam – powiedziała Violet – że majątek zostanie rozdzielony równo pomiędzy czwórkę dzieci.

Stokes się skrzywił.

– Zatem nie widzę tu motywu, przynajmniej bezpośredniego. Jednakże jeśli osoba dokonująca wpłat usłyszała, że dokumenty, także bankowe, mają zostać sprawdzone, mogła uznać, iż lepiej będzie, jeśli lady Halstead umrze, nim dochodzenie nabierze rozpędu.

– Muszę zaznaczyć – powiedział Montague – że przestudiowałem dokumenty na tyle, na ile byłem w stanie to zrobić, doszedłem do wniosku, iż wpłaty dokonane zostały po to, by ukryć czyjeś dochody, a jak wiemy, w podobnych przypadkach pieniądze pochodzą zwykle z nielegalnego źródła.

Stokes pokiwał energicznie głową.

– Zatem winowajca usłyszał, że finanse mają zostać sprawdzone... – Przerwał i spojrzał na Violet. – Żadna z was nie wspomniała o wpłatach nikomu z rodziny? – A kiedy Violet potrząsnęła głową, kontynuował: – ...Nie mógł jednak wiedzieć, że dochodzenie już się rozpoczęło, a przychody zostały wykryte. Doszedł zatem do wniosku, że jeśli starsza dama umrze, położy to kres sprawdzaniu, on zaś zyska czas, by wycofać pieniądze. To silny motyw.

Nikt nie zaprotestował, gdyż wszyscy pomyśleli już o tym samym.

– Jeżeli jest nim członek rodziny – przemówił Barnaby – a powinniśmy pamiętać, że tego typu zbrodni dokonuje zwykle ktoś z rodziny, wyjaśnia to pewną kwestię, która nie daje mi spokoju. – Obrzucił zebranych spojrzeniem. – Jak morderca dostał się do domu? Znalezione ślady wskazujące na włamanie? Uszkodzony zamek albo otwarte okno?

Violet zamrugnęła.

– Nic o tym nie wiem.

Spojrzała na Stokesa, który zdążył już wstać.

– Każę konstablowi się rozejrzeć. Sprawdzi okna i drzwi. A tymczasem – spojrzał na Violet – może pani opowiedzieć nam o Halsteadach.

ROZDZIAŁ 4

O drugiej po południu Montague zasiadł wraz z Adairem i Stokesem w jadalni domu przy Lowndes Street. Violet, którą wprowadził do pokoju i posadził obok siebie, opisała szczegółowo członków rodziny, kierując się pytaniami, które jej zadawano.

Cała trójka uświadomiła sobie natychmiast, na jakie trudności natkną się, próbując przesłuchać rodzinę, w której skład wchodził członek parlamentu oraz wysoko postawiony urzędnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, o żonach obu panów nie wspominając. Tacy mężczyźni uznają ani chybi poddanie się przesłuchaniu za uwłaczające ich godności, a żony z pewnością będą mężów wspierały.

Po krótkiej naradzie oraz zadaniu paru dodatkowych pytań Violet zdecydowano wreszcie, iż najlepszym rozwiązaniem będzie potraktować podejrzanych z początku łagodnie, w nadziei zdobycia jak największej liczby informacji.

Gdy śledczy poznali już strukturę rodziny i upewnili się, że wszyscy jej członkowie byli obecni podczas ostatniej wspólnej kolacji, Violet sporządziła listę zawierającą potrzebne nazwiska oraz adresy. Stokes rozesłał powiadomienia, informując jedynie, że przy Lowndes Street doszło do tragedii i Scotland Yard domaga się obecności danej osoby tamże o drugiej po południu.

Kiedy Montague i Violet, a tuż za nimi Stokes i Adair, weszli o wyznaczonej godzinie do jadalni, wokół stołu siedzieli już wszyscy wezwani. Zauważyli Violet i ściszone głosy umilkły, zastąpione wyrazem zaskoczenia oraz budzącej się podejrzliwości. Montague'owi wystarczyło jedno spojrzenie, aby odgadnąć, kto jest kim.

Stokes, sądząc po minie, doszedł do tego samego wniosku.

Jeśli przypuszczenia Montague'a były słuszne, Wallace Camberly zajmował miejsce po lewej stronie szczytu stołu, mając naprzeciw siebie Mortimera Halsteda. Obaj byli w średnim wieku, jednak o ile Camberly nosił swoje lata z jastrzębią gracją, Mortimera charakteryzował ów lekko znękany, posępny wyraz twarzy właściwy urzędnikom wyższego szczebla, uważającym swą pracę i tym samym siebie za nader ważnych. Ubiór Camberly'ego, konserwatywnie elegancki, odzwierciedlał idealnie jego status członka parlamentu, podczas gdy odzieniu Mortimera, choć było absolutnie poprawne, brakowało wyrafinowania, jakim odznaczały się strój oraz postawa Camberly'ego.

Obok każdego z mężczyzn siedziała jego żona – Cynthia Camberly, z domu Halstead, obok Wallace'a, a Constance Halstead – obok Mortimera. Obie były dosyć przystojne, pierwsza szczuplejsza niż druga, a także modnie ubrane. Brakowało im jednak ciepła. Ich twarze nie wyrażały żadnych uczuć i wyglądało na to, że starannie się kontrolują.

Syn Cynthii, Walter, leniwy młodzieniec w wieku dwudziestu siedmiu lat, siedział tuż obok matki z brodą ukrytą w krawatce przesadnych rozmiarów, obserwując w milczeniu resztę rodziny.

Krześło naprzeciw Waltera zajmował jego kuzyn Hayden Halstead, syn Mortimera, nierzucający się w oczy młodzian lat dwudziestu trzech, mając u boku równie zwyczajną z wyglądu siostrę, Caroline, zaledwie dwudziestoletnią.

Towarzystwo uzupełniali: Maurice Halstead, spoczywający z leniwą elegancją na krześle obok kuzyna Waltera, i William Halstead. Ten ostatni siedział rozparty wygodnie przy końcu stołu, sygnalizując niezbyt subtelnie spojrzeniem oraz skrzywieniem warg, że odcina się od rodzeństwa oraz ich dzieci.

Siadając, Montague uznał, iż trudno mu sobie wyobrazić, by zbrodni mógł dokonać któryś z młodszych członków rodziny: Walter, Hayden lub Caroline. Jego zdaniem brakowało im sprytu,

a zapewne także odwagi. Ze starszymi sprawa miała się jednak zupełnie inaczej.

Gdy konstabl, któremu polecono staranne sprawdzenie domu, zapewnił, iż żadne drzwi nie zostały sforsowane, a zamek okienny wyłamany lub naruszony, podejrzenie, iż to jedna z osób siedzących teraz przy stole przycisnęła lady Halstead poduszkę do twarzy, nabrało realizmu.

Stokes zajął miejsce jako ostatni, po czym oznajmił pewnym siebie tonem:

– Jestem inspektor Stokes ze Scotland Yardu. Z żalem muszę państwa poinformować, że lady Halstead została znaleziona dziś rano martwa.

Zamilkł, przeczekując, aż umilkną pełne zaskoczenia okrzyki.

Przyglądanie się reakcjom członków rodziny okazało się wielce pouczające; początkowe zaskoczenie i szok zastąpiła pełna wyrachowania kalkulacja, kiedy obecni jęli się zastanawiać, co też śmierć matki i babki będzie oznaczać dla każdego z nich. I choć Stokes bardzo uważnie im się przyglądał, nie dostrzegł oznak szczerego żalu czy choćby smutku. Violet ostrzegła go, że rodzina składa się z samych egocentryków, lecz nie spodziewał się aż tak niemaskowanej obojętności.

Montague zerknął na Adaira i w błękitnych oczach Barnaby'ego dostrzegł ten sam wyraz niesmaku oraz dezaprobaty. Potem Adair przeniósł ponownie spojrzenie na zebrane towarzystwo, a Montague uczynił to samo. Jeśli ich domysły były słuszne, przynajmniej jedna osoba przy stole wiedziała wcześniej, że lady Halstead nie żyje. Jednak zważywszy na demonstracyjny wręcz brak dających się rozpoznać i zaklasyfikować uczuć, trudno byłoby powiedzieć, którego z członków rodziny nowina nie zaskoczyła.

Wallace Camberly poruszył się niespokojnie. Wymienił spojrzenia z żoną, a potem spojrział na Stokesa i zauważył cokolwiek zgryźliwie:

– Chociaż śmierć mojej teściowej to oczywiście tragedia, nie bardzo widzę, dlaczego miałaby ona interesować Scotland Yard.

– Pozwolę sobie zatem poinformować pana – Stokes potoczył spojrzeniem po zebranych – podobnie jak resztę państwa, że lady Halstead nie zmarła spokojnie w czasie snu, ale została zamordowana.

I znów zareagowano okrzykami, wyrażającymi tym razem szok i niedowierzenie. Jak poprzednio, trudno byłoby uznać reakcję któregoś z członków rodziny za mniej przekonującą. Wszystkim brakowało emocjonalnej głębi i choć Halsteadowie wydawali się szczerze zaskoczeni, zaszokowani nawet, nie wyglądało na to, by sam fakt śmierci matki i babki szczególnie ich poruszył. Już po chwili jęli się zastanawiać, jak ta śmierć i jej okoliczności wpłyną na każdego z nich, co uniemożliwiało wyłonienie z grona podejrzanych osoby reagującej inaczej niż pozostali.

Ten brak emocjonalnego zaangażowania uwydatnił się jeszcze bardziej, gdy Constance Halstead spytała:

– Jak umarła matka?

Ton nie pozostawiał złudzeń, że pytanie zostało zadane z czystej ciekawości, a także dlatego, iż ktoś powinien być je zadać.

Nim Stokes zdążył się odezwać, mąż Constance zauważył sucho, z nadętym wyrazem twarzy:

– Chciałbym też się dowiedzieć, kim są ci dżentelmeni z panem i dlaczego interesują się czymś, co jest w oczywisty sposób rodzinną tragedią.

Stokes spojrział wpierw na lady Halstead:

– Jej lordowska mość została uduszona. Gdy spała, ktoś przycisnął jej do twarzy poduszkę i trzymał, póki się nie udusiła. Choć była słaba, walczyła z napastnikiem, jednak na próżno.

Na twarzach członków rodziny próżno byłoby szukać współczucia. Jedyne, co udało się dostrzec Montague'owi, to lekki niesmak.

– Co zaś się tyczy moich kolegów – przemówił Stokes, wskazując na Adaira – oto wielmożny pan

Barnaby Adair, konsultant Scotland Yardu. – Następnie wskazał siedzącego po lewej Montague'a: – To zaś jest pan Montague z firmy Montague i Syn, z którym lady Halstead ostatnio się konsultowała. Pan Montague posiada upoważnienie dające mu daleko idący wgląd w sprawy finansów zmarłej. Sprawdziłem je i uznałem za wiarygodne. W konsekwencji pan Montague będzie przyglądał się śledztwu, upoważniony do tego przez samą lady Halstead.

Nowiny wywołały zaskoczenie i lekką konsternację. W pierwszej chwili rodzina nie bardzo wiedziała, jak zareagować, a sądząc po wymianie spojrzeń, Montague domyślił się, że gdyby Stokes nie potwierdził jego prawa do uczestnictwa w śledztwie, zapewne postarano by się go pozbyć.

William Halstead opuścił się niżej na krzesło, wbił dłonie głębiej w kieszenie i wycedził z cynicznym uśmiechem:

– Wygląda więc na to, że mama była bardziej przezorna, niż nam się wydawało.

Violet opisała Williama jako rodzinnego pariasa. Jego wygląd i zachowanie zdawały się ową opinię potwierdzać. Ciemny surdut, który miał na sobie, musiał być kiedyś dobrej jakości, teraz jednak, pomięty i wyświechtany, zdradzał, iż był noszony zbyt długo. Twarz William miał co prawda ogoloną, lecz bardzo niedbale, oczy zapadnięte, a usta bardziej skłonne wykrzywić się w wyrazie pogardy, niżli rozciągnąć w uśmiechu.

W otoczeniu konserwatywnych krewniaków wydawał się zdecydowanie nie na miejscu.

Członkowie rodziny popatrzyli najpierw jak jeden mąż na Williama, potem na siebie nawzajem, by wrócić na koniec spojrzeniem do Stokesa, Adaira i Montague'a. Ten ostatni, wyćwiczony w ocenianiu reakcji klientów, domyślił się, że rodzina uznała, iż ma obecnie poważniejsze problemy niż zwracanie sobie głowy jego obecnością.

Cynthia, drugie w kolejności dziecko lady Halstead i jej jedyna córka, utkwiała spojrzenie w Stokesie i zapytała chłodno:

– Jest pan pewien, inspektorze, że matka została zamordowana? Nie mogła umrzeć w wyniku – machnęła niedbale dłonią – zbiegu nieszczęśliwych okoliczności?

– Była przecież stara i słaba – wtrąciła Constance. – Jest pan pewien, że nie przestała po prostu oddychać?

Jak się spodziewali, rodzina wolałaby, żeby śmierć ich matki nie została uznana za morderstwo.

– Zarówno lekarz lady Halstead, wezwany przez pannę Violet, jak policyjny chirurg mają w tej kwestii podobne zdanie. – Stokes zamilkł, a potem oznajmił zdecydowanie: – Nie może być wątpliwości: lady Halstead została zamordowana.

Cynthia, zirytowana, zacisnęła usta, ale się już nie odezwała.

Constance skrzywiła się i wyprostowała na krzesle.

– Skoro tak się sprawy mają, co uczyniono, by schwytać winowajcę? – zapytał Maurice Halstead, według Violet i osobistej oceny każdego ze śledczych, czarna owca i rodzinny utracjusz.

Pytanie, co zrozumiałe, przyciągnęło natychmiast uwagę pozostałych członków rodziny. Utkwili też zaraz w Stokesie spojrzenia zabarwione, choć w różnym stopniu, poczuciem wyższości.

Inspektor ani trochę się tym nie przejął i jego twarz pozostała nieprzenikniona.

– Dopiero rozpoczęliśmy śledztwo. Wezwałem tu państwa z uprzejmości, aby się upewnić, że usłyszycie o morderstwie jako pierwsi. Będziemy badać różne tropy i zechcemy porozmawiać z każdym z państwa osobno.

Już wcześniej uznał, że zrezygnuje na razie z wypytywania o alibi. Wolał, by któryś z członków rodziny sfabrykował je w razie potrzeby, gdyż nader łatwo byłoby to sprawdzić. Próba taka wskazałaby podejrzanego skuteczniej niż brak alibi w ogóle.

– Musi pan mieć w tej kwestii jakiś pogląd – naciskał Maurice. – Powiedział pan, że będziecie badać

tropy. – Utkwił spojrzenie, ciężkie i znaczące, w twarzy Violet. – Wydaje się mało prawdopodobne, by jakiś złoczyńca wybrał sobie akurat ten dom, żeby się włamać i zabić starszą panią, najwidoczniej bez żadnego powodu.

Stokes uśmiechnął się drapieźnie.

– W rzeczy samej. Jak dotąd, nie mamy jednak powodu podejrzewać konkretnej osoby ani żadnej wykluczyć. – Spojrzał po zebranych. – Na razie chciałbym jedynie zapytać, czy ktoś z państwa wie lub podejrzewa, iż jakaś osoba mogła życzyć lady Halstead śmierci. Z jakiegokolwiek powodu.

Odpowiedziała mu cisza. Halsteadowie i Camberly'owie patrzyli przez chwilę jedni na drugich, lecz nikt się nie odezwał.

Stokes skinął głową.

– Dobrze więc. Przyjmuję, że oznacza to, iż żadne z was nie ma powodu podejrzewać kogoś o zamordowanie matki i babki.

Twarz Mortimera przybrała charakterystyczny dla wyższych urzędników, pełen fałszywego zatroskania wyraz. Powiedział, spoglądając wymownie na Violet:

– Skoro przyglądacie się wszystkim, zapewne obejmuje to również kobiety, na przykład te trzy mieszkające w domu. Każda mogła wejść w nocy do sypialni matki. Może miała powód, znany tylko jej, aby ją zamordować? Matka była stara i słaba. Nie trzeba było wielkiej siły, by ją udusić.

Stokes ostrzegł Violet, że takie oskarżenia mogą się pojawić, zapewniając jednocześnie, że ani on, ani Adair czy też Montague nie znajdują dla nich uzasadnienia. Mimo to odczuła instynktowną potrzebę, żeby odrzucić oskarżenie, bronić nie tylko siebie, ale też Tilly i kucharki. Przypomniała sobie jednak, co polecił jej Stokes, i ugryzła się w język. Siedziała więc tylko, milcząc i wpatrując się bez zmrużenia powiek w Mortimera.

W końcu to on odwrócił wzrok jako pierwszy i spojrzał pytająco na Stokesa, obserwującego cierpliwie ten pojedynek na spojrzenia.

– Nikogo nie wykluczam. Dotyczy to także osób obecnych przy tym stole, jak również wszystkich, którzy kontaktowali się ostatnio ze zmarłą. – Spojrzał znacznie łagodniej na Montague'a. – W tym również pana Montague'a, chociaż zważywszy na jego pozycję w City oraz nieskazitelną reputację, trudno mi sobie wyobrazić, by nie potrafił przedstawić wiarygodnego alibi.

Montague skinął poważnie głową.

Stokes odwrócił się znów do zebranych i potoczywszy dokoła twardym spojrzeniem, powiedział:

– O ile nie uda się szybko zidentyfikować sprawcy, możecie się państwo spodziewać, że zostaniecie w najbliższych dniach przesłuchani. Byłoby wielce pomocne, gdyby każde z was zapisało, gdzie przebywało wczorajszej nocy i kto mógłby jego obecność potwierdzić.

Wstał i odsunął krzesło.

– To na razie wszystko. – Skinął głową Mortimerowi, a później Camberly'emu. – Oczywiście, gdy tylko winowajca zostanie schwytany, natychmiast powiadomimy o tym rodzinę.

Barnaby, Montague i Violet także wstali.

Cynthia spojrzała na Stokesa.

– Chwileczkę, inspektorze. Kiedy będziemy mogli zobaczyć matkę i poczynić przygotowania do pogrzebu?

– Ciało spoczywa obecnie w kostnicy. Powinno zostać wydane w celu pochówku pojutrze, ale mogą państwo już teraz posłać tam przedsiębiorcę pogrzebowego. Będzie wiedział, jakie pytania zadać.

– To wysoce niedogodne – zauważyła Cynthia z kamienną twarzą.

– Taka jest procedura – odparł Stokes niewzruszenie.

Cynthia prychnęła i się poddała.

– Co z jej rzeczami? – spytała Constance, a kiedy Stokes na nią spojrział, wykonała szeroki gest dłonią. – W jej pokoju, w salonie i reszcie domu.

– Dom to teraz scena zbrodni. Nikomu nie będzie wolno zabrać stąd nic bez mojej zgody jeszcze przez dzień lub dwa. Powiadomię państwa, gdy stanie się to możliwe. Do tego czasu wstęp do domu będzie zabroniony.

Constance skrzywiła się, a potem spojrzała na szwagierkę i powtórzyła za nią:

– To w najwyższym stopniu niedogodne.

Cynthia prychnęła znowu, a potem wymamrotała, nie na tyle jednak cicho, by jej nie usłyszano:

– Pochowajmy wpierw mamę.

Constance oblała się rumieńcem. Zaczepnęła oddechu, a jej imponujący biust zafalował.

– Pogrzeb...

– Odbędzie się, oczywiście, u Świętego Piotra – odparła Cynthia cokolwiek szorstko.

– Sądzę, że Święty Jerzy byłby bardziej odpowiedni – zauważył Mortimer.

– Nonsens! – Cynthia wyprostowała się na krześle. – Mama uczęszczała do Świętego Piotra. To od dziesiątków lat nasz rodzinny kościół i tylko dlatego, że postanowiła się wyprowadzić...

Violet odwróciła się i ruszyła ku drzwiom. Montague podążył jej śladem, podobnie Adair i Stokes. Zatrzymała się przy drzwiach, by Montague mógł je przed nią otworzyć, po czym wyszła, kierując się ku frontowej części domu.

Montague dołączył do niej i zapytał:

– Zawsze się tak zachowują? – Skinął głową w kierunku jadalni. – Skaczą sobie do gardeł, nawet w tak bolesnej sprawie jak pogrzeb matki?

– Zawsze. – Zatrzymała się przed drzwiami salonu i obejrzała. Adair podążał tuż za Montague'em, lecz Stokes zatrzymał się, by wydać polecenia konstablowi – bez wątpienia chodziło o to, aby uniemożliwić rodzinie wyniesienie czegokolwiek z domu. Spojrzała na Montague'a, a potem na Adaira. – Są gorsi niż kłócące się dzieci. Wątpię, czy śmierć lady Halstead cokolwiek tu zmieni. Odniosłam wrażenie, że ich docinki nie miały wiele wspólnego z tym, czy matka znajdowała się akurat w pobliżu. Tak to już z nimi jest, nie potrafią dojść do porozumienia bez względu na przedmiot rozmowy.

– Cudowni ludzie – wymamrotał Adair. – Podejrzewam, że Stokes będzie chciał odbyć małą naradę. – Wskazał drzwi do salonu. – Dałoby się porozmawiać tam w spokoju?

Violet skinęła głową, otworzyła drzwi i weszła.

Usiedli z Montague'em na obitej rypsem sofie, a Barnaby zajął jeden z foteli ustawionych naprzeciwko.

Ledwie zdążyli się usadowić, gdy do salonu wszedł Stokes. Zamknął drzwi i powiedział:

– Camberly już się wymówił, najwidoczniej musi udać się na sesję parlamentu. A William wstał i wyszedł po prostu bez słowa. Reszta została w jadalni, wyklócając się o pogrzeb. – Potrząsając z niedowierzaniem głową, przeszedł przez pokój. – Widywałem już trudne rodziny, lecz ci tutaj są jedyni w swoim rodzaju.

Opadł na wolny fotel i przyglądał się przez chwilę Violet.

– Nie wydaje się pani zaskoczona, wnoszę więc, że takie zachowanie jest dla nich normalne.

Violet skinęła głową.

– Dla miotu Halsteadów to coś absolutnie zwyczajnego.

– Muszę powiedzieć – wtrącił Adair, przeciągając po swoim głoski – iż doceniam to, w jaki sposób wygłosiłaś swoje oświadczenie, powiadamiając ich najpierw o śmierci krewnej, a potem wspominając, że została zamordowana. Dało nam to dwie okazje, aby przyłapać mordercę, przekonać się, czy się nie

zdradzi, choć jeśli o mnie chodzi, niczego takiego nie zauważyłem. Żadne z nich się nie wyróżniało.

Spojrzał na Violet i Montague'a.

– A wy? Zauważyliście coś?

Violet potrząsnęła głową, a Montague tylko się skrzywił.

– Zauważyłem jedynie, iż nikt nie przejął się tym, że jej lordowska mość nie żyje. Uznali, że była stara, umarła i tyle. Co się zaś tyczy faktu, iż została zamordowana, odniosłem wrażenie, że dla nich to po prostu niedogodność.

– Niestety, to prawda.

Violet starała się nie myśleć za wiele o lady Halstead, nie zagłębiać w to, że starsza dama została zamordowana, prawdopodobnie przez kogoś ze stada jej toksycznych krewnych. Wspomnienia wszystkich spokojnych godzin spędzonych w towarzystwie staruszki, której rzadko zdarzało się okazać niezadowolenie, a co dopiero szorstkość czy zły humor, czyniło zachowanie stoickiej postawy jeszcze trudniejszym. Najchętniej pograżyłaby się w smutku i zapłakała.

– Proszę mi powiedzieć. – Stokes wstał i Violet uświadomiła sobie, że mówi do niej. – Czy odkąd pani tu zamieszkała, była pani świadkiem kłótni pomiędzy jej lordowską mością a którymś z krewnych albo o takiej słyszała?

Violet zastanawiała się przez chwilę, w końcu potrząsnęła jednak głową.

– Nie. – Zawahała się, a potem dodała: – Lecz nie powinno to pana dziwić, lady Halstead trzymała ich bowiem na dystans. Na tyle, na ile było to możliwe. A oto przykład: sprowadziłam się tutaj po śmierci sir Hugona, lecz nie zatrudnił mnie nikt z rodziny. Na ogół krewni starszej osoby: córki, synowe, czasami nawet synowie, sprawdzają starannie, kogo ich matka czy też teściowa wybiera sobie na towarzyszkę. – Poruszyła się, a potem dodała: – Odbyłam tylko dwie rozmowy o pracę: tę u lady Halstead i wcześniej, gdy zatrudniałam się u lady Ogilvie, lecz wtedy obecne były też jej dwie córki. Z tego, co słyszałam, to norma.

Montague przytaknął, podobnie jak Stokes i Barnaby.

– A nie wie pani przypadkiem, czy któreś z dzieci Halsteadów było zaangażowane w podejmowanie finansowych decyzji dotyczących starszej pani?

– Nie. Jestem pewna, że nic takiego nie miało nigdy miejsca – odparła Violet. – Lady Halstead zauważyła kiedyś, że czuje się o wiele szczęśliwsza, mogąc podejmować własne decyzje. Odrzuciła też propozycję Mortimera, a potem Maurice'a, gdy zaoferowali jej, każdy z osobna, pomoc w zarządzaniu majątkiem. Powiedziała, że sir Hugo wszystkim się zajął, a jej to w pełni odpowiada.

– Hm... – mruknął Adair z nieobecny wyrazem twarzy. Wyglądał, jakby odtwarzał w pamięci rozmowę przy stole. – Zauważyłem jedno, a panna Matcham zapewne to potwierdzi. Otóż animozja, jakiej byliśmy świadkami w jadalni, przejawiająca się w cierpkich komentarzach i złościwościach, to sprawa głównie pomiędzy dziećmi lady Halstead wspieranymi przez współmałżonków. – Unosząc brwi, spojrzał na Violet. – Czy zawsze tak było? To znaczy zawsze odnosili się z niechęcią do siebie, czy też zdarzało się, że agresja skierowana była ku lady Halstead?

– Nie – odparła Violet. – Jej nie dokuczali. Zawsze mnie dziwiło, że podczas tych kolacji jej lordowska mość prawie nie zwracała na nich uwagi. Jadła i ich ignorowała, chyba że zaczynało być naprawdę głośno. Wtedy uciszała towarzystwo, czasami dosyć stanowczo, ale poza tym... nie. Nawet wtedy jej się nie odgryzali.

Barnaby westchnął i spojrzał na Stokesa.

– Czyli poza tym, iż przekonaliśmy się, że Halsteadowie to nader niemiłe plemię, konfrontacja przy stole nic nam nie dała.

Stokes pochylił głowę.

– To prawda, ale zyskaliśmy pewność, że choćkrewni za sobą nie przepadają, nie ma powodu podejrzewać, by któreś z nich żywiło wobec matki szczególną wrogość.

Montague przytaknął i podjął wątek, kontynuując tok myślenia inspektora:

– A skoro mamy powód sądzić, że mordercą jest członek rodziny, nie tylko ze względu na sposób, w jaki dostał się do domu, lecz także dlatego, iż zbrodnia nastąpiła tuż po tym, jak starsza pani przyznała, że zamierza uporządkować swoje sprawy...

– ...i skoro mamy wszelkie powody sądzić – wtrącił Barnaby, prostując się na krześle – że za wpłatami na rachunek milady kryje się coś nielegalnego, to sprawy finansowe wydają się stanowić jedyny motyw zabójstwa. – Spojrzał na Stokesa. – Tu chodzi po prostu o pieniądze.

Stokes z poważną miną skinął głową.

– Dowiedzieliśmy się już, że nie ma innego. Nikt nie żywił do starszej damy szczególnej urazy, z nikim nie była poważnie skłócona. Nie mogło też chodzić o testament. To te wpłaty, czymkolwiek są. Ktoś chciał zapobiec ich odkryciu i w tym celu gotów był nawet mordować. – Spojrzał po kolei na Montague'a, Violet i Barnaby'ego. – Zatem, póki nie wypłynie nic innego, skupimy się na wykryciu źródła tajemniczej gotówki.

*

Na tym narada się zakończyła. Mężczyźni umówili się na spotkanie następnego dnia w biurze Montague'a, gdzie mieli przejrzeć dowody, jakie uda mu się do tego czasu zgromadzić.

Violet odprowadziła ich do drzwi. Czuła się nie tylko akceptowana i doceniona, lecz zapewniono ją także, iż będzie o wszystkim na bieżąco informowana. To wydarzyło się tak szybko: odkrycie ciała lady Halstead, wezwanie pomocy, uspokajanie Tilly oraz kucharki, przeprawa z lekarzem, a potem z policją – o reszcie nie wspominając – że nie miała nawet chwili, by pozwolić sobie na żal, rozeznac się w swoich uczuciach. Jednego była wszak pewna: chce pomóc. Czuła, że musi zrobić coś, by pomóc schwytać mordercę i postawić go przed obliczem sprawiedliwości. Gwałtowność tego pragnienia zaskoczyła ją i zaniepokoiła, dlatego fakt, iż trzech mężczyzn zdawali się w pełni rozumieć jej uczucia, sprawił Violet aż taką ulgę.

Kiedy zmierzali wszyscy ku drzwiom, Stokes zatrzymał się i powiedział:

– Zostawiam w środku konstabla. Drugi czuwa na zewnątrz. Nie widać go, ale tam jest i będzie miał oko na dom. – Zawahał się, a potem dodał: – Zamierzałem pójść do kuchni i zapewnić pokojówkę oraz kucharkę, iż nie są podejrzane. Mogłaby mnie pani w tym wyręczyć?

– Oczywiście – zgodziła się Violet.

Stokes wyszedł. Adair uklonił się i podążył śladem przyjaciela, obdarzywszy przedtem Violet dodającym otuchy spojrzeniem. Uświadomiła sobie, że Montague został w korytarzu, i odwróciła się ku niemu z uśmiechem.

Zareagował podobnie, a potem postąpił krok w przód, ujął śmiałym gestem dłoń Violet i lekko uściśnął jej palce.

– Wszystko dzieje się tak szybko – powiedział.

Nie miał na myśli jedynie śmierci lady Halstead ani tego, co po niej nastąpiło. Nadal starał się dojść do ładu ze swymi uczuciami wobec Violet, intensywnością swojej reakcji na to, że znajdowała się tak blisko mordercy.

Przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu, a potem rzekł:

– Dopiero poznała pani Stokesa i Adaira – zapewniam jednak, iż może pani w pełni zaufać ich kompetencjom. Śledztwo nie mogło trafić w lepsze ręce. Będą pracowali niestrudzenie, by

doprowadzić mordercę przed oblicze sprawiedliwości. Wiem, że to dla pani ważne. I rozumiem dlaczego. Odczuwam podobny przymus, kiedy któremuś z moich klientów dzieje się krzywda, zdaję więc sobie sprawę, że pani uczucia muszą być znacznie silniejsze, zważywszy, jak była pani do swej chlebodawczyni przywiązana.

Violet poczuła, że uśmiech zamiera jej na wargach.

– Była kochaną staruszką i nie zasłużyła sobie na to, by zostać zamordowaną.

– Z pewnością ma pani rację. Jednak – Montague pochylił głowę, jakby zamierzał złożyć przysięgę – ja też jestem zainteresowany znalezieniem winowajcy, a jeśli cała nasza czwórka poświęci się zadaniu, jej lordowska mość zostanie z pewnością pomszczona.

Wpatrywał się w Violet jeszcze przez chwilę, a potem skinął lekko głową i puścił jej dłoń.

Violet odwróciła się ku drzwiom.

– Dziękuję za wszystko, co pan dziś dla nas zrobił. Jestem wdzięczna bardziej, niż potrafię wyrazić.

Montague zatrzymał się w progu i spojrzał znów na nią.

– Pozwolę sobie wpaść, gdy czegoś się dowiemy.

Patrzyła za nim, gdy schodził po schodkach i mijał bramę, a potem szedł ulicą: solidny, z wysoko uniesioną głową i wyprostowanymi plecami – ucieleśnienie męskiej siły oraz pewności siebie.

A kiedy zniknął za rogiem, westchnęła, czując, jak ogarnia ją smutek. Zamknęła drzwi i odwróciła się, powtarzając sobie w duchu, że to nieodpowiedni czas, by odkryć, że jednak potrafi nadal marzyć.

*

Opuściwszy dom przy Lowndes Street, Barnaby i Stokes złapali dorożkę i po krótkiej dyskusji zdecydowali się pojechać do domu Stokesa przy Greenbury Street w St. Johns's Wood, aby podzielić się w spokoju wrażeniami oraz spostrzeżeniami.

Podczas jazdy trzęsącą się dorożką zachowywali milczenie, rozpatrując w duchu to, czego się dowiedzieli, i szukając świeżego spojrzenia, którym mogliby podzielić się w zaciszu salonu Stokesa. Kiedy wreszcie tam dotarli, odkryli, że cicha przystań została już zawłaszczona przez ich żony.

Siedziały na podłodze z rozpostartymi spódnicami, zajęte zabawianiem małego Olivera i nieco młodszej Megan. Dzieci leżały na plecach, chichocząc radośnie i starając się pochwycić zabawki, którymi matki poruszały nad ich głowami.

Chwytający za serce widok sprawił, że obaj mężczyźni zatrzymali się raptownie w drzwiach.

Barnaby poczuł się tak, jakby jakaś niewidzialna siła wymierzyła mu cios w pierś. Sądząc po nagłej ciszy i znieruchomieniu Stokesa, inspektor odczuwał podobnie.

Penelope i Griselda musiały usłyszeć, że nadchodzą, wykorzystały więc moment, by sprawdzić, jakie wywarły wrażenie, i się nim nacieszyć.

A potem Penelope uśmiechnęła się i rzuciła zabawką w pierś Barnaby'ego.

Pochwycił ją, wykazując się refleksem, a potem spojrzał w ciemne, aż nazbyt bystre oczy żony.

Uśmiechnęła się szerzej.

– Śledczy wrócili – powiedziała – i najwidoczniej nie z pustymi rękami. Usiądźcie tu – zachęciła ich – i opowiedzcie, co się wydarzyło.

Griselda także się uśmiechnęła, po czym rzuciła zabawkę Stokesowi i powiedziała:

– Chodź tu i mnie zastąp. – Zaczęła się podnosić. – Muszę polecić Mindy, by przygotowała tacę z herbatą, a tymczasem usiądź, rozprostuj nogi i opowiedz o najnowszej sprawie.

Znają nas zbyt dobrze. Godząc się z tym, co nieuniknione, podszedł do żony, pomógł jej wstać, pocałował lekko w policzek, a potem pozwolił jej odejść do kuchni. Przykucnął, spojrzał w roześmiane,

niebieskie oczy malutkiej córeczki i natychmiast znalazł się znów pod jej urokiem.

Uśmiechając się i poruszając nad główką małej zabawką, nie czuł się przesadnie głupio, ponieważ kątem oka dostrzegł, że również Barnaby uklada się na podłodze tuż obok zawiniętego w becik synka.

Penelope wstała, poprzyglądała się im przez chwilę, upewniając, że wiedzą, co robią, a potem usiadła wygodnie na sofie. Nie odzywała się, lecz tylko patrzyła. Stokes nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ich pilnuje.

Dwadzieścia minut później, gdy senne maluchy zostały przekazane Glorii, niańce Megan, i zabrane do pokoju dziecinnego, a dorośli zasiedli na wyścielanych krzesłach, by poczęstować się herbatą z ciastem drożdżowym, Penelope powiedziała z miną osoby, która czekała cierpliwie, lecz ma już tego absolutnie dosyć:

– Zatem, panowie, cóż to za nowa sprawa?

Stokes spojrział na Barnaby'ego. Przyjaźnili się już tak długo, że mógł bez trudu odgadnąć, o czym myśli kolega. A jednak nadal zaskakiwało go, jak dobrze się rozumieli, mimo iż pochodzili z tak różnych środowisk. Barnaby – syn lorda, i on, syn kupca, choć jak na swoją klasę nader starannie wykształcony. Przyjaźń, prawdziwa i szcera, która połączyła także ich żony, mogła stanowić jeszcze większe zaskoczenie – żona inspektora policji i właścicielka sklepu z galanterią oraz hrabianka, spokrewniona z większością najbardziej wpływowych angielskich rodów, zamężna z synem lorda.

A jednak byli tu wszyscy, popijając w przytulnym saloniku herbatę i pogryzając ciasto drożdżowe. A w przeszłości, zanim zostały matkami, panie okazały mężom znaczącą pomoc w kilku prowadzonych przez nich śledztwach. Obaj z Barnabym żywili przez jakiś czas nadzieję, że pojawienie się dzieci zmniejszy zainteresowanie ich żon policyjną robotą, lecz najwidoczniej tak się nie stało. Z tego właśnie powodu sprawa Halsteadów mogła stać się przysłowiowym darowanym koniem, któremu on i Barnaby nie zamierzali zaglądać zbyt głęboko w zęby.

Morderstwo, gdzie motywem były wyłącznie transakcje finansowe, nie niosło z sobą zbytniego zagrożenia.

Zerknął na przyjaciela, a kiedy ten ledwie dostrzegalnie skinął głową, przeniósł spojrzenie na pełną zapału twarz Penelope.

– Chodzi o morderstwo – zaczął, a widząc, że Penelope i Griselda wydają się jeszcze bardziej zainteresowane, kontynuował: – Dziś rano lady Halstead, zamieszkała przy Lowndes Street, została znaleziona przez domowników martwa...

Opisał krótko i rzeczowo, co wydarzyło się potem.

Jak było do przewidzenia, Penelope natychmiast zaczęła zadawać pytania i nawet Griselda miała ich kilka. Skupiły się na ludziach, nalegając, aby mężowie powiedzieli im, co sądzą o zaangażowanych osobach.

Stokes zdążył już zapomnieć, że w przeciwieństwie do niego i Barnaby'ego ich żony zwykle skupiały się na bohaterach dramatu, ich lękach oraz emocjach, a dopiero potem na faktach i działaniach.

Penelope знаła Montague'a, opisała go zatem Griseldzie, kończąc słowami:

– Jest absolutnie godny zaufania i odpowiedzialny. To prawdziwa opoka. Można być pewnym, że zawsze postąpi tak, by jak najlepiej przysłużyć się sprawiedliwości. – Spojrzała na Stokesa. – Jest też niesamowicie sprawny, jeśli chodzi o znajdowanie informacji dotyczących pieniędzy oraz finansów. Niewiele da się przed nim ukryć.

Stokes prychnął.

– Słyszałem opowieści o jego talentach, ponoć legendarnych. Jeśli chodzi o tę sprawę, nie zamierzam dociekać, jak i gdzie zdobędzie potrzebne informacje.

Penelope się uśmiechnęła.

– Słusznie. Najbardziej interesujące jest wszakże nie to – dodała, zwracając się do Griseldy – że biedna panna Matcham zwróciła się w potrzebie do Montague’a – w końcu miała przeciwko sobie rodzinę, a nawet lekarza – ale że on porzucił inne zajęcia i natychmiast pospieszył jej z pomocą. To doprawdy fascynujące.

Barnaby dostrzegł w oczach żony szczególny błysk i uznał, że lepiej nie drażnić tematu. Zamiast tego powiedział, kierując rozmowę na inny tor:

– Kiedy wiadomość od Montague’a do nas dotarła, byliśmy akurat w Smithfield, więc zanim wróciliśmy, lekarz rodzinny zdążył już zbadać ciało.

Opowiedział dokładnie, co wydarzyło się później, opisując zamieszane w sprawę osoby i ich reakcje. Okazało się to doskonałą retrospekcją i pozwoliło podsumować to, co już wiedzieli i czego dopiero się domyślali.

Jak należało oczekiwać, relacja z przesłuchania członków rodziny zajęła mnóstwo czasu, gdyż obie panie często przerywały, domagając się szczegółowych wyjaśnień.

Wreszcie Penelope powiedziała, spoglądając na męża:

– Twój ojciec będzie znał Camberly’ego, a matka może wiedzieć coś o jego żonie oraz ich synu.

Barnaby skinął głową.

– Zapytam.

– Jesteśmy zaproszeni dziś do nich na kolację, będziesz więc miał okazję. – Penelope spojrzała na Griseldę. – Co sądzisz o tej rodzinie? Wydają się jacyś... dziwni. Destrukcyjni raczej niż wspierający się.

Griselda przytaknęła zamyślona.

– Ale co nimi powoduje, dlaczego są właśnie tacy... – Spojrzała na Penelope. – Myślisz, że to z powodu wieku?

Barnaby wyprostował się, zerknął na Stokesa i spostrzegł, że ten przysłuchuje się paniom z rosnącym zainteresowaniem.

Penelope ściągnęła lekko brwi i powiedziała z namysłem:

– Wiem, co masz na myśli... Tak, może chodzić właśnie o to.

Ponieważ żadna nie zamierzała wyjaśnić, czego dotyczyła ta wymiana zdań, Barnaby zapytał:

– Czyli o co?

A kiedy Penelope podniosła wzrok, pochwycił jej spojrzenie.

– Co przyszło wam na myśl?

– Cóż – zaczęła Penelope – kiedy rodzeństwo dzieli niewielka różnica wieku, na przykład, jak w tym przypadku, niespełna rok, można się spodziewać, że dzieci będą ze sobą zżyte. I tak jest najczęściej, lecz bywa również, zwłaszcza gdy młodsze dziecko odznacza się silnym charakterem, że zamiast się wspierać, zaczynają ze sobą rywalizować. – Spojrzała na Stokesa, a potem na Barnaby’ego. – Czy tak właśnie było podczas rozmowy? Wyczuwaliście tam rywalizację? Walkę o władzę? Szukanie przewag?

Barnaby skinął zdecydowanie głową.

– Właśnie.

– A skoro tak – powiedziała Griselda – czyni to zachowanie Maurice’a oraz Williama bardziej zrozumiałym. Wyobraźcie sobie – dodała, spoglądając na mężczyzn – jak musiało to wyglądać, gdy byli dziećmi. Mortimer i Cynthia walczyli o dominację, zapewne starając się zaprezentować jako potomek pod każdym względem doskonały, by zyskać jak najwięcej pochwał oraz umocnić swoją pozycję w rodzinie. Maurice nie był w stanie z nimi rywalizować, więc jeśli chciał się wyróżnić, musiał obrać inną drogę. Skoro nie mógł być ideałem, został czarną owcą.

– Tak więc. – Penelope uniosła palec. – Maurice znalazł dla siebie ścieżkę, którą mógł podążać,

pozostając, choć z trudem, akceptowanym. Dla Williama nie zostało już nic – nie mógł się wyróżnić, prezentując rozliczne zalety, ani przeciwnie, demonstracyjnie je lekceważąc.

Barnaby przytaknął energicznie.

– Zatem William przekroczył granicę i znalazł się poza nawiasem.

– Otóż to! – Penelope spojrzała na Stokesa. – Właśnie dlatego ta czwórka jest, jaka jest, a jeśli będziecie mieli to na uwadze, łatwiej wam będzie zrozumieć, co nimi kieruje, i przewidzieć ich zachowanie.

Stokes zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Jedna sprawa. Powiedziałaś, że dzieci Halsteadów stały się takie, jakie są teraz, ponieważ chciały za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. – A kiedy obie niewiasty zgodnie przytaknęły, zapytał: – Czyją?

Penelope spojrzała na Griseldę, ta zaś powiedziała, zwracając się do Stokesa:

– Zapewne rodziców.

W pokoju zapadła na chwilę cisza, a potem Barnaby powiedział z namysłem:

– Jak twierdzi Violet – panna Matcham – Halsteadowie byli miłymi ludźmi. A skoro tak, mielibyśmy tu do czynienia z jednym z tych dziwnych przypadków, gdy absolutnie porządni ludzie wychowują stadko niezbyt udanych dzieci.

– To się zdarza – zauważył Stokes.

Umilkli na chwilę, a potem Penelope spytała:

– Co więc zamierzacie?

Stokes wymienił spojrzenia z Barnabym i dostrzegł w jego oczach akceptację. Uwagi ich żon już okazały się pomocne, nie widział też przeszkód, żeby akurat w tej sprawie im nie pomogły. Spojrzał na siedzące na sofie damy.

– Naszym następnym krokiem będzie przyjrzenie się informacjom, które zbierze dla nas Montague, a potem, zważywszy, iż podejrzewam, że tylko on będzie w stanie podążyć śladem pieniędzy, zajmiemy się samym morderstwem.

– Oraz rodziną – dodał Barnaby.

– Hm... – Penelope zamyśliła się, ściągnawszy brwi. – Powinniście się dowiedzieć, jak morderca dostał się do domu.

Barnaby się skrzywił.

– A także przejrzeć wszystkie zgromadzone tam dokumenty, by sprawdzić, czy nie znajdziemy w nich czegoś, co mogłoby rzucić nieco światła na źródło tajemniczych wpłat albo stanowić motyw, którego nie udało nam się jeszcze odkryć.

– W kwestii wpłat: dobrze byłoby sprawdzić, czy któryś z członków rodziny nie zaangażował się aby w przedsięwzięcie wątpliwej natury – zasugerowała Griselda.

Stokes chrząknął i odstawił talerz.

– Po tym, o czym tu mówiliśmy, odczuwam tym większą potrzebę, aby przepytać znowu rodzinę, lecz nim to zrobię, muszę się dowiedzieć więcej o tych szczególnych wpłatach.

Barnaby skrzywił się, ale przytaknął.

– Choć bardzo chciałbym mocniej ich przycisnąć, zważywszy, kim są, lepiej będzie zgromadzić wpierw amunicję.

ROZDZIAŁ 5

Reszta kopii dokumentów, jakich zażyczył sobie od Runcorna Montague, przybyła tuż przed zamknięciem biura.

Gdy Slocum przyniósł je do gabinetu, Montague przeglądał właśnie księgi finansowe pewnego księcia, nad którymi przez kilka godzin pracował. Nie znalazł tam nic, co nie mogłoby poczekać, więc je odłożył.

– Dziękuję, Slocum. – Wziął stos teczek, położył na blacie swojego biurka i spojrzał na starszego urzędnika. – Dobrze się złożyło, że nie umówiłem na dziś żadnych spotkań. – Wrócił akurat na czas, by zdążyć na konsultację z jednym z nowych klientów. – Zważywszy na dramatyczny zwrot w sprawie lady Halstead, mogę być przez kilka dni nieobecny. Jakie spotkania mamy na te dni w planie i które dałoby się ewentualnie przełożyć?

– Proszę pozwolić, że zajrzę do rejestru. – Slocum podszedł do swego biurka i wrócił, niosąc grubą księgę. – Cóż, ma pan szczęście. Na następny tydzień przewidziano jedynie spotkania z mniej ważnymi klientami. Gibbons i Foster doskonale sobie sami poradzą. – Spojrzał na pracodawcę, unosząc brwi. – Omówię to z nimi rankiem, jeśli pan sobie życzy.

– Kim są ci klienci? – Przysłuchiwał się przez chwilę, jak Slocum odczytuje nazwiska i po namyśle powiedział: – Możesz poinformować Gibbonsa i Fostera, że poprowadzą spotkania. Jeśli będę akurat na miejscu, będę także obecny, lecz tylko jako obserwator. Konsultacje poprowadzi Gibbons z Fosterem jako asystą. – Frederick Gibbons był odpowiedzialnym, poważnym pracownikiem związanym z firmą od lat, Phillip Foster zaś, choć nie tak doświadczony, doskonale się zapowiadał. – Pora, żeby zaczęli działać bardziej samodzielnie.

– Zgadzam się. – Slocum zanotował coś w księdze. – Proszę się nie obawiać, poradzimy sobie przez kilka dni bez pana. – Podniósł głowę i spojrzał na stos dokumentów na biurku Montague'a. – Wygląda na to, że i tak będzie pan miał ręce pełne roboty.

– Rzeczywiście. – Montague nie mógł się doczekać, by zabrać się do przeglądania dokumentów. Spojrzał na Slocuma. – Coś jeszcze?

– Nie, to wszystko. – Urzędnik zamknął księgę i się uklonił. – Pozostali poszli już do domu, więc i ja już pójdę.

– Dobranoc.

Nie zaczekał nawet, aż za Slocumem zamkną się drzwi, lecz wziął do rąk pierwszy dokument i zaczął czytać.

Godzina minęła błyskawicznie. Dopiero gdy płomień lampy zaczął migotać, Montague uświadomił sobie, że nafta się wypaliła, a za oknem dawno zapadł już zmierzch. Spojrzał na zegar. Pani Trewick na pewno czeka z kolacją, pomyślał. Starał się nie przysparzać gospodyni więcej pracy, niż było to absolutnie konieczne.

Spojrzał na rozrzucone po blacie papiery. Przymus zbadania, co kryło się za dziwnymi wpłatami, był mu znajomy. Odczuwał go nie pierwszy raz. W przeszłości zdarzało się już, iż nie mógł wręcz się powstrzymać, żeby nie badać sprawy, póki się nie upewnił, że wszystko jest jak należy, a jego klientowi nie dzieje się krzywda.

Tym razem miał jednak dodatkowy motyw. Violet Matcham znalazła się zbyt blisko zbrodniarza, by mógł zachować spokój umysłu.

Choć wolał nie wnikać w to, dlaczego aż tak bardzo się o nią troszczy, samemu faktowi trudno było

zaprzeczyć. Musiał odkryć, co w finansach zmarłej warte było morderstwa. Dopiero gdy winowajca zostanie schwytany, uzna, że wypełnił swój obowiązek.

Dokonał tego, co teraz wydawało się wręcz żywotną koniecznością: ochronił Violet przed mordercą. Sprawił, że była bezpieczna.

Wpatrywał się w dokumenty jeszcze przez chwilę, a potem wstał, zebrał je, wetknął sobie pod ramię i ruszył ku schodom, czekającej kolacji i prywatnemu gabinetowi.

*

Tego wieczoru Violet jadła kolację w kuchni z Tilly i kucharką. W odróżnieniu od pomieszczeń na piętrze, gdzie panował nienaturalny chłód, było tam ciepło i przytulnie.

Kucharka poprawiła wymykające się spod czepka rude loki i grzebiąc bez apetytu w nader smacowym gulaszu, powiedziała:

– A jeśli on wróci?

Violet podniosła wzrok.

– Morderca?

– Tak. – Kucharka nadal wpatrywała się w talerz. – Po prostu wszedł i zamordował panią, czyż nie? Co go powstrzyma, jeśli zechce wrócić i udusić którąś z nas?

Violet spojrzała na Tilly i dostrzegła w jej oczach ten sam niepokój.

– Ja... nie mogę tego wiedzieć, oczywiście. – Spojrzała na kucharkę. – Kto mógłby? Wygląda jednak na to, że morderca miał powód, by zabić lady Halstead, choćby te wpłaty, którymi tak się ekscytowała. A jeśli tak było, cóż, nie bardzo widzę, dlaczego miałby zabijać nas.

Tilly podniosła szklankę z wodą. Upiła łyk, a potem chrząknęła i powiedziała:

– Wydaje się również, że jeśli miał powód zabić panią, jeśli zrobił to i nie został schwytany, ostatnim miejscem, do którego miałby ochotę wracać, byłby jej dom.

– W rzeczy samej. – Violet wyprostowała się na krześle. – Przypomniałam też sobie, że inspektor obiecał, iż zostawi w pobliżu konstabla. Ten, który był w domu, wyszedł, jednak, o ile mi wiadomo, drugi przebywa nadal na zewnątrz.

– Mam nadzieję. – Kucharka odsunęła prawie pełny talerz. – I że temu łotrowi, kimkolwiek jest, bardziej będzie zależało, by ukryć twarz, niż zawracać sobie głowę naszą trójką. Zwłaszcza że i tak nic nie wiemy.

– Właśnie. – Violet, zdecydowana zmienić temat, wstała i wzięła do rąk talerz. – Pozmywajmy.

Zajęcie, choć proste, pomoże jej zapomnieć o tym, że nie siedzi teraz w saloniku, czytając lady Halstead. I że nie wejdą później z Tilly na górę, by pomóc przygotować się starszej pani do snu.

Sypialnia na piętrze stała pusta. Policja zabrała ciało do dalszych badań.

Violet nie chciała o tym myśleć. Kiedy naczynia były już pozmywane, powiedziała do Tilly:

– Może zajęłybyśmy się szyciem?

Obie doskonale radziły sobie z igłą. Kucharka posiedziała z nimi przez jakiś czas, wpatrując się w szybko migające palce, a potem chrząknęła i oddaliła się do swego pokoju za kuchnią.

Violet usłyszała, jak zamykają się za nią drzwi, a potem uszu obu kobiet dobiegł głośny hurgot, jakby kucharka przesuwiała ku drzwiom ciężki mebel.

Violet spojrzała na Tilly, pokojówka wzruszyła jednak tylko ramionami.

– Nie winię jej za to – powiedziała. – Przeżyliśmy nie lada szok.

Violet skrzywiła się lekko i wróciła do swego zajęcia.

W końcu wszystko zostało już naprawione. Zgasiły więc światło w kuchni, a potem, niosąc każda

swoją świecę, weszły po schodach na piętro. Tilly ruszyła korytarzem ku wąskiemu schodkom prowadzącym do izdebki na poddaszu, a Violet zaczerpnęła głęboko oddechu i skierowała się w przeciwnym kierunku. Minęła sypialnię lady Halstead i weszła do swego pokoiku. Zamknęła drzwi i przez kilka chwil wpatrywała się w nie z namysłem. W końcu uznała jednak, że nie ma powodu do paniki. Montague zapewnił ją poza tym, że wraz z Adairem i Stokesem dopilnują, by lady Halstead została pomszczona, a jej morderca oddany w ręce sprawiedliwości. Zaledwie przed tygodniem pokładanie ufności w mężczyźnie, którego ledwie знаła, wydałoby się jej niemądre, lecz teraz wcale takie nie było. Ufała mu, wierzyła, że zrobi to, co obiecał.

A może niezachwiana wiara Montague'a we własne siły pomagała jej zachować własną?

Podeszła do komody i odstawiła świecę. Jako że nic nie rozpraszało już nieproszonych myśli, zmuszona była się im poddać.

Dopiero zaczęła uświadamiać sobie w pełni, że za zamordowaniem chlebodawczyni musieli stać któreś z jej dzieci lub jego małżonek. Albo wnuk. Nie stwierdzono tego z absolutną pewnością, lecz dochodzenie zmierzało nieuchronnie w takim właśnie kierunku.

Było to tym bardziej prawdopodobne, że lady Halstead nie udzielała się towarzysko i prowadziła dość odosobniony tryb życia, przynajmniej przez ostatnie dwa lata.

Zakarbowawszy sobie w pamięci, by wspomnieć o tym któremuś ze śledczych, Violet zaczęła wyjmować szpilki z włosów.

Wyszczotkowała włosy, rozebrała się i włożyła nocną koszulę, wspominając z grymasem niesmaku przebieg ostatnich spotkań lady Halstead z rodziną. Czy wydarzyło się coś, co mogłoby pomóc jej wskazać winowajcę?

Wsuwając się pod kołdrę, uświadomiła sobie z niejakim zaskoczeniem, że czuje się silniejsza i bardziej zdeterminowana, niż byłaby sobie skłonna o to podejrzewać. Pomimo szoku i choć nie była z lady Halstead spokrewniona, czuła, że musi dopilnować, by morderca został schwytany i osądzony.

Świadomość tego nie tyle ją pocieszyła, ile nadała kierunek przyszłym poczynaniom. Wiedziała, że nie zejdzie z raz obranej drogi, i to pomogło jej się uspokoić.

Choć się tego nie spodziewała, zasnęła niemal natychmiast. Musiała być bardziej zmęczona, niż sądziła.

A kiedy jej umysł ogarnęła na dobre senna mgła, wyłoniła się z niej twarz o mocnych i czystych rysach. Tuż za nią majaczyły dwie inne, wszakże nie tak wyraźne.

Mordercy lady Halstead nie ominie sprawiedliwość. Dopilnuje tego, mając u boku Montague'a.

*

Stokes zastał żonę w dzieciennym pokoju. Stała nad kołyską, uśmiechając się w sposób, jakiego nie widział u niej, zanim nie urodziła się Megan. Tak uśmiechać się mogła jedynie matka, patrząc na swoje dziecko. Widok sprawił, że jego usta także wygięły się leciutko, a rysy złagodniały.

Griselda wyczuła, że nadchodzi, i odwróciła się ku niemu z uśmiechem. Był to zupełnie inny uśmiech, a jednak równie cenny, bo zarezerwowany wyłącznie dla niego.

Podszedł, musnął wargami jej usta i spojrzał na córeczkę.

Griselda oparła się o niego, a wtedy objął ją lekko w talii.

– Naprawdę chcesz pomóc w dochodzeniu? – zapytał po chwili. – Interesuje cię to czy podążasz jedynie śladem Penelope?

Griselda uśmiechnęła się do męża.

– Jest jak żywiol, prawda? Jednakże – westchnęła – naprawdę odczuwam potrzebę, by zrobić... coś.

Pomóc, choćby w niewielkim stopniu. – Odwróciła się, objęła męża w pasie i spojrzała mu w oczy. – Jestem tu szczęśliwa, z tobą i Megan. Oczywiście mogłabym zostać w domu, doglądać sklepu i czuć się usatysfakcjonowana, jednakże... zastanawiam się, czy gdybym spojrzała kiedyś wstecz, nie czułabym, cóż... wstydu.

Umilkła, jakby szukała słów pozwalających oddać w pełni jej uczucia, a potem kontynuowała:

– Mam wszystko, czego mogłabym zapragnąć. Moje życie jest nie tylko dobre, ale wręcz cudowne, a przyszłość zapowiada się równie wspaniale. Można powiedzieć, że pomaganie wam to mój sposób, by to uhonorować, zasłużyć na szczęście, które mnie spotyka, pomagając uczynić przy okazji ten świat lepszym miejscem. – Uśmiechnęła się leciutko. – Takim, gdzie sprawiedliwości staje się zadość.

Objął ją mocniej, rozkoszując się ciepłem jej ciała, ufnością, z jaką się na nim wspierała. Zdobył to i nie zamierzał nigdy stracić.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć, choć zastanawiam się również, czy nie zaraziłem cię swoim powołaniem.

Uśmiechnęła się.

– Chodzi raczej o to, jakimi ludźmi jesteśmy. Stanowię dla ciebie idealną parę, gdyż postrzegamy świat w podobny sposób, podobnie czujemy i myślimy.

Zacisnął lekko wargi, a potem zmusił się, żeby zapytać:

– Co więc zamierzasz? Uczestniczyć we wszystkich moich śledztwach?

– Nie, nie odczuwam takiej potrzeby. – Spojrzała mu w oczy. – Zdaję sobie sprawę, że większość twoich spraw dotyczy przestępstw związanych z brutalną przemocą i popełnianych przez zdeklarowanych przestępców. W rozwiązywaniu tych spraw żadna z nas nie mogłaby być wam pomocna. Lecz w śledztwie takim jak to z pewnością znajdzie się dla nas do zrobienia coś użytecznego, jak przekonaliśmy się o tym dzisiaj.

– Nie zamierzam temu zaprzeczać. Wyjaśnienia dotyczące przyczyn, które wpłynęły na to, że rodzina Halsteadów jest taka, a nie inna, już okazały się przydatne. – Zamilkł, a potem skinął głową. – Doskonale. Zobaczymy, jak sprawa się rozwinie.

– A jeśli wyłoni się coś, w czym będziemy mogły być wam pomocne, to nam powiecie.

Przez dłuższą chwilę po prostu wpatrywali się w siebie, a potem Stokes uśmiechnął się lekko.

– Jest coś, w czym mogłabyś pomóc mi już dziś wieczorem.

Uśmiechnęła się szerzej, a potem wspięła na palce, przycisnęła usta do jego warg w szybkim, zachęcającym pocałunku i powiedziała:

– Prowadź, inspektorze.

Stokes zaśmiał się cicho, by nie obudzić dziecka, a potem pochylił się, porwał zaskoczoną Griseldę w ramiona i zaniósł do sypialni w końcu korytarza. Zostawił otwarte drzwi do pokoju Megan, na wypadek gdyby mała się obudziła.

W sypialni opuścił żonę na łóżko, a wtedy uniosła ramiona i pociągnęła go do siebie.

Ciepło, które razem odnaleźli, zapłonęło i ogarnęło ich żarem namiętności. Dzielili się nią, dając i biorąc, ucząc się siebie wciąż od nowa, przypominając, jakim cudem jest łącząca ich więź, jak wiele dostarcza im radości.

Czystej, niezmaconej i tak cudownie intymnej.

Wreszcie, zaspokojeni, spoczęli wtuleni w siebie i bardzo szczęśliwi.

Griselda zasnęła pierwsza. Stokes leżał jeszcze przez chwilę, przysłuchując się spokojnemu oddechowi żony.

Gdzieś w głębi jego duszy rodziła się niepewność, poczucie zagrożenia, jakiego nie doświadczył nigdy przedtem. Czuł się tak, jakby wyruszał w niebezpieczną podróż, zmierzając ku nieznanym

krainom. Implikacje tego, na co wyraził właśnie zgodę, majaczyły w zakamarkach jego umysłu jak mroczne cienie. Lęki, niemądre i bez pokrycia, a mimo to realne, obawa, że zgadzając się na udział żony w dochodzeniach – nie tylko w obecnym, ale i w następnych – mógł otworzyć niechcący drzwi do jakiegoś fundamentalnego wstrząsu, mogącego zagrozić cudownemu poczuciu komfortu, radości, bliskości, jednym słowem, wszystkiemu, co cenił nad życie.

Lecz gdyby zapragnęła, rzuciłby jej do stóp świat, a skoro potrzebowała akurat tego... Będzie stał przy jej boku i razem wypracują nowy schemat działania, oparty na podstawach, które zdążyli już zbudować. Postarają się i na pewno uda im się osiągnąć cel. W końcu czego jak czego, ale zaangażowania z pewnością obojgu nie brakowało.

Czując się nieco pewniej, zaczął zapadać wreszcie w sen.

Kiedy zasypiał, przed oczami pojawił mu się obraz Griseldy z uśmiechem madonny na ustach. Było w nim tyle uczucia, głębokiej, bezwarunkowej miłości, jakiej nie mógłby wzbudzić żaden inny związek. Wiąż, która łączyła matkę i dziecko, była czymś jedynym w swoim rodzaju, niemal świętym.

Co zatem stało się z Halsteadami?

Myśl rozbudziła go na tyle, by uświadomił sobie jasno, że w tej rodzinie wiąż pomiędzy matką a dzieckiem została przynajmniej w jednym przypadku zerwana.

Prowadził – prowadzili – śledztwo dotyczące matkobójstwa.

Zatem jak, albo dlaczego, wiąż uległa zerwaniu?

A może nigdy nie była zbyt silna?

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, świadomy, że będzie musiał podążyć tym tropem.

Zamknął znów oczy i lekko się uśmiechnął. Griselda okazała się bardziej pomocna, niż jej się wydawało.

A kiedy w końcu zasnął, jego ostatnia świadoma myśl była właściwie modlitwą. Modlitwą o to, by nic nie zerwało nigdy tej cennej więzi pomiędzy Griseldą a ich dziećmi.

*

– Twój ojciec określił Wallace'a Camberly'ego jako polityka niezwykle ostrożnego. – Penelope, odziana w suknię z mieniącego się niebieskiego jedwabiu, weszła do głównej sypialni domu przy Albemarle Street. Kiedy zmierzała ku toaletce, aby odłożyć srebrną wieczorową torebkę, w jej uszach oraz na szyi połyskiwały klejnoty.

Barnaby wszedł do sypialni za żoną. Wrócili właśnie z oficjalnej kolacji w londyńskiej rezydencji jego rodziców. Ledwie przekroczyli próg i odpowiedzieli na powitanie Morstyna, skierowali kroki do pokoju dziecinnego. Oliver spał już jednak spokojnie, postanowili więc go nie budzić.

– Powiedział, co rozumie przez „ostrożny”?

– Zapytałam. – Penelope usiadła i zaczęła wyjmować z uszu kolczyki. – Odparł, że Camberly bardzo dba o to, by nie stracić miejsca w parlamencie. I choć jest niezwykle ambitny, w jego postępowaniu przeważa ostrożność.

Barnaby uśmiechnął się, zdejmując wieczorowy surdut.

– Sama zaczynasz mówić jak polityk.

– Cóż, kto z kim przestaje... – Odłożyła kolczyki i spojrzała na męża. – Dowiedziałaś się czegoś więcej?

– Tylko tyle, że pewnie awansuje, choć niezbyt wysoko. – Barnaby zaczął rozwiązywać krawat. – Odniosłem wrażenie, że jest uważnie obserwowany z myślą o przyszłym awansie, może do któregoś z ministerstw. – Spojrzał na Penelope, która zdążyła już zdjąć naszyjnik i zaczynała rozpuszczać włosy.

– Nie spotkałem nikogo, kto byłby związany z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, a ty?

– Nie, wróciłam zatem do twego ojca. Umieszczenie Mortimera Halsteada zajęło mu dobrą chwilę. Wygląda na to, że otrzymał stanowisko bardziej z racji starszeństwa niż talentu. Ojciec określił go jako kujona, wytrwałego i pracowitego, lecz nie błyskotliwego. Nikt się nie spodziewa, że mógłby awansować i wznieść się ponad obecną pozycję asystenta któregoś z podsekretarzy. – Penelope rozpuściła włosy i stanęła odwrócona do męża plecami. – Mógłbyś...?

Barnaby położył krawat na blacie wysokiej komody, a potem uśmiechnął się i zabrał posłusznie do rozpinania rzędu malutkich guziczków biegnących w dół wieczorowej sukni. Był to jeden z tych męzkowskich obowiązków, które dość lubił, a zważywszy na rodzaj noszonych zwykle przez żonę sukien, czuł się tak, jakby rozpakowywał prezent.

W miarę jak guzików ubywało, jego uśmiech bladł.

Po chwili spojrzął na fragment profilu żony, jaki był w stanie zobaczyć.

– Podobało ci się to, prawda? Wyciąganie informacji na temat podejrzanych.

Penelope przytaknęła.

– Owszem. Uczyniło wieczór czymś więcej niż tylko towarzyskim obowiązkiem. Nadało wizycie cel.

Rozpiął ostatni guzik, a potem objął Penelope w talii i przyciągnął do siebie.

Oparła się o niego posłusznie, wtulając tył głowy w zagłębienie w ramieniu męża, z pośladkami przyciśniętymi do jego ud.

Przez chwilę po prostu ją trzymał, rozkoszując się świadomością tego, jak dobrze do niego pasuje, jak oboje do siebie pasują. A potem znalazł w sobie odwagę, a także właściwe słowa, żeby powiedzieć:

– Nie jestem pewien, jak się z tym czuję. To znaczy z tym, że znów angażujesz się w dochodzenie.

Miał nadzieję, że narodziny Olivera położą kres potencjalnie niebezpiecznym przedsięwzięciom, w głębi duszy czuł jednak, że ta nadzieja nie ma szansy się ziścić. Dociekliwy umysł jego żony nie zadowoliliby się bowiem rozwiązywaniem problemów codziennego życia – potrzebował stymulacji, jaką zapewniało, także jemu, rozwiązywanie zagadek kryminalnych. To ich kiedyś połączyło i jak widać, nie zmieniło się po urodzeniu dziecka.

Nie odpowiedziała od razu, ale i nie zeszywniała w jego objęciach. Po chwili uniosła dłoń i zdjęła okulary w pozłacanych oprawkach. A potem odchyliła głowę w tył. Z tak niewielkiej odległości nie potrzebowała szkielec, by móc odczytać każde malujące się na twarzy Barnaby'ego uczucie, każdą myśl.

– Ja też nie byłam pewna – powiedziała po chwili.

Nie wiedział, jak rozumieć jej słowa, milczał więc, póki znów się nie odezwała.

– Kiedy urodził się Oliver, zastanawiałam się, czy wypełni moje życie, nie pozostawiając miejsca na nic innego, a już zwłaszcza na uczestnictwo w dochodzeniach. Myślę, że to tak nie działa. Mam wrażenie, że teraz w moim życiu przesunął się horyzont i – kontynuowała, nie przestając się w niego wpatrywać – pojawiła się dodatkowa przestrzeń, którą trzeba wypełnić. Jakby pojawienie się Olivera otworzyło nowy rozdział. Uświadomiłam sobie, że dla mnie, a mam nadzieję, że i dla ciebie, życie nie jest czymś statycznym, ustalonym raz na zawsze, zdecydowanym. Przez kilka pierwszych miesięcy byłam zbyt zajęta przystosowywaniem się do nowej sytuacji, zaniedbałam więc inne obszary moich zainteresowań. Lecz one nadal tam są, a ja nadal ich potrzebuję. Są częścią mnie. Potrzebuję ich, aby pozostać sobą. – Spojrzała na męża pytająco. – Czy to ma sens?

– Jak na razie, nadażam. Interesująca hipoteza – odparł.

– Tak, rzeczywiście. – Pomachała okularami. – Oczywiście to, że urodził nam się Oliver, wiele w moim życiu zmieniło, i w twoim również, a te zmiany wpływają także na inne dziedziny, choć w różnym stopniu i w różny sposób. – Zamilkła, a potem opuściła głowę i wtuliła się znów w jego pierś. – Czuję się tak, jakby równowaga w moim życiu została nieco zachwiana, zwłaszcza w obszarze

moich innych zainteresowań, w tym śledztw. Muszę ją odzyskać lub stworzyć nową, ale jak miałyby ona wyglądać... – Spojrzała mu znów w oczy. – Uważam, że coś takiego można wypracować jedynie metodą prób i błędów.

– Zaczniemy więc od najnowszej sprawy? – zapytał.

Odwróciła się i objęła go za szyję, pieszcząc dłońmi kark.

– Spróbujemy. A jeśli za pierwszym razem nie wszystko będzie idealnie, wniesiemy konieczne poprawki. – Przechyliła w bok głowę, wpatrując się w twarz męża. – Pomożesz mi wypracować tę nową równowagę?

Spojrzał na nią i uświadomił sobie, że odkąd zaangażowała się w dochodzenie, sprawia wrażenie bardziej ożywionej w sposób, którego brakowało mu w ostatnich miesiącach, choć sobie tego nie uświadamiał. Jak zwykle, odczuwał pokusę, wręcz przymus, by dać jej to, czego pragnie, zgodzić się na wszystko, byle poczuła się szczęśliwa. Powstrzymywała go jedynie chęć ochrony jej.

Instykt opiekuńczy, któremu nie podobało się, że mogłaby otrzeć się choćby o niebezpieczeństwo. A śledztwa bywały niebezpieczne.

Równowaga. Dobrze to ujęła.

Skinął głową.

– Zatem... próba, zgoda na ewentualne błędy, a potem praca nad wyeliminowaniem ich.

Uśmiechnęła się z pełnym zrozumieniem.

– Dziękuję.

Objęła jedną dłonią policzek męża, a drugą kark i przycisnęła wargi do jego ust. Jakakolwiek wątpliwość, choćby cień wątpliwości, że mogła nie zrozumieć, o czym on myśli, co napawa go troską, zniknęła, wymazana przez pocałunek.

Byli razem i razem stawia czoło wyzwaniu.

Później, o wiele później, kiedy wtuliła się w jego ramiona, nim zasnęli, uniósł jej dłoń do ust, pocałował i zapewnił:

– Razem znajdziemy sposób.

*

– Cóż! Poszło łatwiej, niż się spodziewałem. – Z ulgi, satysfakcji i podekscytowania tym, co właśnie zrobił, niemal kręciło mu się w głowie. Kiedy zapalał lampę w garderobie, jego dłoń lekko drżała.

Gdy płomień przestał migotać, założył klosz, a potem przyjrzał się ubraniu, które miał na sobie. Było już po północy i dookoła panował absolutny spokój. Tylko on czuwał w tej godzinie pomiędzy jednym dniem a drugim.

Zadowolony, że na ubraniu nie znalazł śladów popełnionego czynu, zdjął je, pozbywając się wraz z nim wyrzutów sumienia.

– Nie dało się tego uniknąć, naprawdę, nie po tym, jak staruszka puściła kulę w ruch. Nie mogłem pozwolić, by to się dalej toczyło. Gdyby tylko zostawiła finanse w spokoju, ale nie. Musiała zrobić, co należy, i uporządkować swoje sprawy!

Włożył nocną koszulę i spojrzał na siebie w lustrze, jak czynił to każdego wieczoru.

I jak każdego wieczoru w jego głowie zrodziła się wątpliwość. Ze wzrokiem utkwionym we własne odbicie, wymamrotał:

– A jeśli rozmawiała już ze swym agentem? Zapewne musiała z nim rozmawiać...

Skrzywił się i odsunął od lustra.

– Do licha! Nie jestem jeszcze bezpieczny! – wyszeptał i się wyprostował.

ROZDZIAŁ 6

– To tam – powiedział Montague, wskazując skinieniem głowy wejście do biura firmy Runcorn i Syn.

Pani Adair – Penelope, jak poleciła mu się do siebie zwracać – osłoniła oczy dłonią.

– Ach tak. Wygląda przyzwoicie. – Opuściła rękę i rozejrzała się po ulicy. – Jestem tu po raz pierwszy. Nie przestaje mnie zadziwiać, jak ogromny jest w rzeczywistości Londyn.

Towarzyszący żonie Barnaby uśmiechnął się, lecz nic nie powiedział. On również rozglądał się bacznie, studiując otoczenie.

Przybyli do biura Montague’a, jak było umówione, rankiem, przynosząc wiadomość, że Stokes został wezwany w związku z innym śledztwem i ma nadzieję dołączyć do reszty towarzystwa za kilka godzin.

Adair wyjaśnił żonie krótko, czego zamierzają dowiedzieć się od Runcorna, poinformował ją również, iż Stokes wyraził zgodę na zaangażowanie jej w dochodzenie. Montague’a, przyzwyczajonego do bogatych klientek, obecność damy nie zdziwiła.

Nie był tak niemądry, by nie doceniać jej nadzwyczajnych zdolności i nietrudno mu było wyobrazić sobie, w jaki sposób mogłaby być im pomocna. Nie widział zatem powodu, by nie podzielić się z nią, podobnie jak z Adairem, szczegółami tego, czego dowiedział się na temat finansów lady Halstead, jej rachunków bankowych, inwestycji oraz posiadłości ziemskich.

Choć spędził nad dokumentami długie godziny, nie udało mu się znaleźć źródła, z którego mogłyby pochodzić wpłacane na tajemniczy rachunek pieniądze. Sir Hugo inwestował jednak w wiele różnych przedsięwzięć, więc prześledzenie wszystkich dochodów musiało zająć sporo czasu.

Wpływy nie tworzyły znanego mu wzoru, nie oznaczało to jednak, iż nie mogą pochodzić z legalnego źródła. Dopóki nie uda się czegoś takiego wykluczyć – a będzie to wymagało mnóstwa dociekliwych poszukiwań – przypuszczenie, iż pieniądze stanowią dochód z nielegalnego przedsięwzięcia, pozostawało wyłącznie przypuszczeniem.

Przeciwno temu, jak zauważyła Penelope, przemawiał wszakże fakt, iż lady Halstead została zamordowana niemal natychmiast po tym, jak rodzina dowiedziała się, iż starsza dama zażyczyła sobie, by jej finanse zostały szczegółowo sprawdzone.

Uznali, że zapytanie Runcorna, czy zdążył sporządzić już listę wszystkich inwestycji Halsteadów, stanowi logiczny krok. Adair i Penelope chcieli też poznać młodego właściciela firmy, ich zdaniem, kolejnego uczestnika gry.

Podeszli do drzwi biura. Montague otworzył je, cofnął się, aby przepuścić oboje Adairów, a potem wszedł za nimi.

I zatrzymał się skonsternowany na widok bladego jak płótno Pringle’a, śpieszącego ku nim z głębi sali.

– Nie, nie, przykro mi, lecz biuro jest dziś zamknięte – powiedział urzędnik, machając rękami.

Penelope zamrugała i spojrzała w głąb sali, ku miejscu, gdzie stali dwaj konstable.

– Dłaczego?

Pytanie wprowadziło Pringle’a w jeszcze większą konsternację.

– Ach... – Wykręcając sobie dłonie, spojrzał na Adaira, a potem spostrzegł i rozpoznał Montague’a.

– Och, proszę pana! – zawołał z ulgą. – Zdarzyło się coś strasznego! Pan Runcorn! Nie żyje!

– Nie żyje? – powtórzyli mężczyźni jednym głosem.

Adair zerknął szybko na Montague'a.

– Jak? – zapytał ten ostatni, ruszając ku urzędnikowi.

– Ja... nie jestem pewny. – Pringle ze zdenerwowania ledwie trzymał się na nogach. – Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że otrzymał cios w głowę i został potem uduszony. Boże!

Penelope podeszła, ujęła niemłodego mężczyznę pod ramię i podprowadziła do krzesła za stojącym na podwyższeniu biurkiem. – Proszę usiąść i zebrać myśli. – Rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu. – Czy mogłabym zrobić tu panu gdzieś herbaty?

Pringle wybełkotał podziękowanie i wskazał drzwi prowadzące do niewielkiej kuchenki. Penelope poklepała go po ramieniu i odeszła.

Montague przyglądał się uważnie urzędnikowi. Choć wydawało się to niemożliwe, Pringle zbladł jeszcze bardziej.

– Wie pan, kiedy to się zdarzyło? – zapytał delikatnie.

Pringle przełknął głośno ślinę.

– Zostawiłem go, jak zwykle, około siódmej. Nadal przeglądał teczkę z dokumentami lady Halstead. Leżały rozłożone na biurku. Nadal tam leżą. Zobaczyłem je, gdy wszedłem rano do gabinetu i go znalazłem. – Głos mu się załamał. – Leżał na podłodze za biurkiem... martwy. – Spojrzał na Montague'a. – Wiedziałem od razu, że nie żyje.

– Po co wszedł pan do gabinetu? – zapytał łagodnie Barnaby. – Coś pana zaniepokoiło?

– Nie, nie. – Pringle potrząsnął głową. – Zamierzałem odnieść oryginały dokumentów, które kopiowałem dla pana Montague'a. Skończyłem kopiowanie wczoraj po południu i nie zwróciłem jeszcze oryginałów do teki z dokumentami Halsteadów. Pan Runcorn zabrał ją do siebie i był tak pogrążony w pracy, że wolałem mu nie przeszkadzać, zostawiłem więc dokumenty na swoim biurku. Rano uznałem, że pewnie uporał się już z robotą, i wszedłem, by je odłożyć... – Westchnął. – Wtedy go znalazłem.

– To musiało być okropne przeżycie – zauważyła współczująco Penelope. Nalała z dzbanka mocnej herbaty. – Proszę, niech się pan napije i spróbuje przez chwilę o tym nie myśleć.

– Dziękuję pani. – Pringle wziął filiżankę i objął ją dłońmi. – Jest pani bardzo uprzejma.

Barnaby odczekał, aż Pringle upije łyk herbaty – z pewnością szczerze posłodzonej, Penelope wiedziała bowiem, co jest najlepsze na szok – a potem spytał łagodnie:

– I co pan zrobił, kiedy go znalazł?

Pringle westchnął.

– Nie wiedziałem, co robić... Ogarnięty paniką, rzuciłem dokumenty na biurko, wybiegłem na ulicę i natknąłem się na dwóch konstabli, którzy mieli akurat obchód. Zaciągnąłem ich tutaj i pokazałem zwłoki. – Skinął głową w kierunku drzwi do gabinetu. – Cały czas tam są. Posłali chyba kogoś na posterunek, żeby sprowadził pomoc. – Upił trochę herbaty, a potem spojrzął na zegar. – To nie było znowu tak dawno. Przyszedłem około dziewiętej. – Spuścił wzrok. – Uznałem po prostu, że pan Runcorn już wziął się do pracy.

Barnaby spojrzął na Montague'a, a potem ruszył ku drzwiom gabinetu. Były szeroko otwarte, lecz zanim wszedł, drogę zastąpił mu potężnie zbudowany konstabl.

– Przykro mi, ale nie może pan tam wejść. Popelniono okropne morderstwo. Czekaemy na lekarza i naszego sierżanta. Nie mogę pozwolić, by dotykano czegoś, nim przyjdą.

– I bardzo słusznie. Mam nadzieję, że sami też niczego nie dotykaliście. – Wyjął wizytownik i otworzył go zgrabnym ruchem. – Jestem konsultantem Scotland Yardu i pracuję obecnie nad pewną sprawą z inspektorem Stokesem. Dotyczy klientki pana Runcorna, która także została ostatnio zamordowana. Dlatego uważam za wielce prawdopodobne, że obie sprawy się łączą. Właśnie z racji

tamtego śledztwa przyszliśmy tu dzisiaj – wskazał Penelope i Montague’a – by skonsultować się z panem Runcornem. – Wręczył konstablowi jedną z wizytówek Stokesa, dodając swoją. Wiedział bowiem, że bywają chwile, gdy słowo „wielmożny” przed nazwiskiem potrafi zdziałać cuda. – Sugeruję, by posłał pan natychmiast kogoś do Scotland Yardu i powiadomił o sytuacji inspektora. Odbywa tam właśnie spotkanie. – Wyobraził sobie reakcję Stokesa i uśmiechnął się krzywo. – Zapewniam, że nie będzie miał pretensji, iż mu przeszkodzono.

Konstabl ściągnął brwi, przyjrzał się uważnie wizytówkom, a potem spojrzął na Barnaby’ego i skinął głową.

– W porządku. Dziękuję panu, zaraz wyślę tam mojego kolegę.

Barnaby pochylił głowę, odszedł i dołączył do pozostałych.

– Dajmy im kilka minut, żeby się jakoś zorganizowali.

I rzeczywiście, kilka minut w zupełności wystarczyło: postawny konstabl polecił młodszemu, chuderlawemu koledze, by wziął dorożkę, pojechał do Scotland Yardu i zdał jak najszybciej raport inspektorowi Stokesowi.

Ledwie drzwi zamknęły się za młodszym policjantem, Barnaby uniósł brwi, a potem ruszył ku gabinetowi z Montague’em i Penelope depczącymi mu po piętach.

Konstabl zobaczył, że nadchodzą, i się wyprostował.

– Tak, proszę pana?

Barnaby domyślał się, iż lekarz policyjny, choć mocno znękany nadmiarem pracy, może przybyć przed Stokesem, uznał więc, że dobrze byłoby popchnąć nieco sprawę.

– Zastanawiam się, konstablu, czy mógłbym rzucić okiem na miejsce zbrodni. Mamy dużo do zrobienia w związku z naszym śledztwem, a sprawy ewidentnie się łączą. Gdybym mógł zerknąć na ciało, zwłaszcza na papiery na biurku, zyskalibyśmy mocno na czasie.

Sądząc po wyrazie twarzy konstabla, biedak nie był pewien, czy może na to pozwolić, ani czy rozsądnie będzie odmówić.

Barnaby zrozumiał jego rozterkę, dlatego zapewnił:

– Obiecuję niczego nie dotykać.

Konstabl spojrzął na Penelope i Montague’a.

– Tylko pan?

Penelope uśmiechnęła się i powiedziała:

– Nie wejdziemy. Staniemy w progu i będziemy jedynie patrzeć.

Konstabl zastanawiał się jeszcze przez chwilę, a potem ustąpił.

– No dobrze, zgoda. Tylko proszę niczego nie dotykać, bo mógłbym stracić pracę.

Barnaby skinął głową, a potem wsunął demonstracyjnie dłonie do kieszeni płaszcza i wszedł do gabinetu. Konstabl obserwował go, stojąc u drzwi. Penelope stanęła po przeciwnej stronie, podczas gdy Montague zatrzymał się w progu.

Adair okrążył z wolna biurko, a Montague jął się rozglądać po pokoju, sprawdzając, czy coś zmieniło się od jego ostatniej wizyty.

– I co pan zauważył? – spytał Adair.

– Poza ciałem na podłodze – ze swego miejsca w progu mógł dostrzec jedynie wyciągniętą rękę i fragment ramienia; wyglądało na to, że Runcorn został ściągnięty z krzesła – spostrzegłem jedynie brak podstawki do książek. Stała na tamtej półce. – Wskazał półkę w połowie ściany. Puste miejsce świadczyło, że coś stamtąd zabrano. – Przedstawiała chyba końską głowę. – Przyjrzał się dokumentom na biurku. Poza stosem, który zostawił tam Pringle, reszta spoczywała porozrzucana bezładnie po blacie. – Ten bałagan nie jest normalny. Kiedy tu byłem, dokumenty poukładane były w schludne stosy.

Wygląda na to, że ktoś tu czegoś usilnie szukał, rozrzucając po kolei dokumenty, i potem ich nie poukładał. Runcorn nigdy by tak tego nie zostawił.

– Hm... – Adair zatrzymał się z boku biurka i spojrział na zwłoki. – Konstablu... Przepraszam, jak brzmi pańskie nazwisko?

– Watkins, proszę pana.

– Konstablu Watkins, czy pan lub pański kolega ruszaliście ciało?

– Nie, proszę pana. Sprawdziliśmy jedynie puls na nadgarstku i szyi. Oczywiście nic nie wyczuliśmy.

– Dobrze. – Adair spojrział na Penelope. – Zapytaj Pringle'a, dobrze?

Penelope skinęła głową i wyszła, mijając Montague'a.

Wróciła po niespełna minucie.

– Powiedział, że nie dotykał ciała.

Adair spojrział w dół i aż się skrzywił.

– To zrozumiałe. – Podciągnął spodnie, a potem kucnął. Montague widział teraz jedynie jasne loki nad jego karkiem. – Doskonale. Widzę podstawkę. Lekarz będzie musiał to jeszcze potwierdzić, możemy jednak założyć, że został uderzony w bok głowy, podstawka wydaje się wystarczająco ciężka, a potem... Morderca, kimkolwiek był, a możemy już chyba bezpiecznie założyć, że to mężczyzna, zrobił pętlę z jakiegoś sznura...

Przesunął się i rozejrzał, szukając czegoś na podłodze.

– Jest. Niezbyt rozsądnie z jego strony, że to zostawił. Pętla wygląda na zrobioną ze sznura od zasłon. Leży pod biurkiem.

Wstał i wsunął znów dłonie w kieszenie, a potem pochylił się nad biurkiem i zaczął wpatrywać w dokumenty, przesuwać po nich kolejno wzrokiem.

– O ile mogę stwierdzić, wszystkie odnoszą się do stanu posiadania Halsteadów. Nie widzę tu nic oczywistego w rodzaju oderwanego skrawka papieru albo tekstu odbitego na bibule. – Pochylił się i obejrzał spód bibularza. – Tu także nie widać, by coś niedawno się odcisnęło.

– Należy zatem przypuszczać – wtrącił Montague – że jakiś dokument został po prostu zabrany: list, rachunek, wyciąg.

Adair skrzywił się i wyprostował.

– Trudno będzie dociec, co też to mogło być takiego.

Montague przytaknął. Spojrział na Watkinsa, a potem znów na Adaira.

– Kiedy policja już tu skończy, moi ludzie mogliby poszukać luki w dokumentach, najlepiej z pomocą Pringle'a. Warto przynajmniej spróbować.

Adair skinął głową i spojrział znowu na ciało.

– Myślę, że cios był na tyle silny, iż natychmiast pozbawił go przytomności. Nie widzę śladów walki, więc Runcorn chyba się nie bronił.

Ciężkie milczenie, jakie zapadło na chwilę w pokoju, świadczyło, iż żadna z obecnych osób nie uznała tego za szczególnie pocieszające.

Adair zdążył właśnie ku drzwiom, a pozostali zdążyli wyjść już z gabinetu, kiedy z ulicy wszedł ubrany na ciemno osobnik z czarną torbą w dłoni. Spojrział zmęczonymi oczami na Watkinsa i odezwał się ostro:

– Konstablu?

Watkins wskazał gestem gabinet.

– Jest tam i nie, nikt go nie dotykał.

Lekarz skinął głową Adairowi, Penelope i Montague'owi, po czym wyminął ich i wmaszerował do

gabinetu.

Montague podszedł do Pringle'a.

– Teczka Halsteadów... Zauważył pan dokumenty na biurku pana Runcorna?

Pringle, którego twarz odzyskała już nieco kolorów, przytaknął.

– Owszem. Wyglądały, jakby ktoś je dokładnie przeszukał.

– Jest szansa na to, by zorientował się pan, czy coś zostało zabrane? – zapytał. Adair i Penelope zbliżyli się i stanęli obok biurka starszego urzędnika.

Pringle uniósł brwi i zastanawiał się przez chwilę.

– Cóż, najważniejsze dokumenty miałem u siebie, w szufladzie biurka, wiemy zatem, że nie wziął żadnego z nich.

– Jest pan pewien, że szuflada nie została przeszukana? – zapytał Barnaby.

– Tak, jestem. Zostawiłem je ułożone w schludny stos – wskazał drugą szufladę po prawej stronie biurka. – Postawiłem na nich kałamarz z atramentem i położyłem kilka piór. Gdy otworzyłem rano szufladę, butelka i pióra leżały dokładnie tak, jak je zostawiłem.

– Doskonale – powiedział Barnaby. – Mamy więc pewność, że przynajmniej te dokumenty pozostały nietknięte. A co z resztą – tymi, które leżą teraz na biurku Runcorna?

– Co się tyczy ich – Pringle wypiął z dumą pierś – mamy własny system numerowania. – Rozejrzał się po sali. – Kiedy policja pozwoli mi tam wejść, będę mógł posortować dokumenty, sprawdzić, czy i których numerów brakuje, a skoro mamy je spisane... Lista znajduje się co prawda w biurze pana Runcorna, jednak o ile morderca nie domyślił się, do czego służy, nie miał powodu jej zabierać. – Głos urzędnika brzmiał teraz zdecydowanie mocniej. Mężczyzna wyprostował się i spojrzał na Barnaby'ego. – Mogę zrobić przynajmniej tyle, by pomóc schwytać potwora, który zrobił to panu Runcornowi. To był porządny człowiek, chociaż jeszcze tak młody.

Barnaby skinął głową.

– Postaram się, by miał pan szansę sprawdzić dokumenty.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do biura wmaszerował dziarsko Stokes. Podszedł prosto do nich.

– Co się wydarzyło?

Barnaby powiedział mu to, co już wiedzieli i czego się domyślali.

Stokes wysłuchał sprawozdania z kamienną twarzą, a kiedy Penelope przedstawiła Pringle'a i wyjaśniła, jaką rolę odegrał w ostatnich wydarzeniach, pochylił w ukłonie głowę, bacznie przyglądając się urzędnikowi.

– Zatem – podsumował inspektor Barnaby – jeśli lekarz potwierdzi nasze przypuszczenia co do tego, jak został zabity Runcorn, mamy tu dwa główne tropy: sznur oraz dokumenty. – Skinął głową w kierunku Pringle'a. – Ten tu Pringle przejrzy je i powie nam, czy coś zostało zabrane.

Stokes przytaknął.

– Dobrze. Pozwólcie, że się tym zajmę.

Minął ich i wmaszerował pewnym krokiem do gabinetu. Wkrótce dobiegł ich stamtąd jego głęboki głos, lecz słów nie dało się rozpoznać. Po pięciu minutach inspektor wyłonił się z pokoju, niosąc stos dokumentów. Na jego szczycie spoczywała, chwiejąc się, koperta.

Stokes wręczył dokumenty Pringle'owi.

– To wszystko, co było na biurku. Scotland Yard przejął je oficjalnie jako dowody rzeczowe, a ja przekazuję je panu. Zatem, dla jasności: dokumenty są teraz własnością policji i nie można ich udostępnić nikomu bez mojej zgody.

– Oczywiście, proszę pana. – Pringle odebrał od inspektora dokumenty.

Stokes wziął do rąk leżącą na szczycie kopertę, pokazał ją Barnaby'emu, a potem wsunął do kieszeni.

– Sznur – wyjaśnił. – Interesujące znalezisko.

– Możemy tylko mieć nadzieję, iż okaże się użyteczne – skomentował Barnaby.

Pringle odłożył dokumenty na biurko i zwrócił się do Montague'a:

– Nie wiem, co robić, proszę pana. Było nas tu tylko dwóch i choć mogę zająć się papierami, nie poradzę sobie z klientami, a wkrótce jacyś na pewno się pojawią.

Montague zastanawiał się przez chwilę, a potem skinął głową.

– Rzeczywiście. – Sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę. – Proponuję, aby umieścić pan w oknie notkę, że biuro pozostaje zamknięte do odwołania, jednak klienci mogą uzyskać informacje pod tym adresem. – Podał Pringle'owi wizytówkę. – Następnie proszę spakować dokumenty Halsteadów i... –

Sięgnął po arkusz czystego papieru oraz ołówek i zaczął pospiesznie coś pisać. – Proszę przekazać ten list mojemu starszemu urzędnikowi, panu Slocumowi. Znajdzie dla pana jakieś biurko. Przede wszystkim powinien pan przystąpić do sprawdzania, czy w teczce Halsteadów niczego nie brakuje. Jeśli pojawi się jakiś klient pana Runcorna, mój młodszy urzędnik, pan Phillip Foster, pomoże panu załatwić sprawę. – Podpisał list, złożył go i wręczył Pringle'owi. – To na razie wystarczy, a kiedy sprawa morderstw zostanie rozwiązana, zastanowimy się, co dalej.

Pringle skłonił się lekko.

– Dziękuję panu. – Wziął list i spojrzał na imponujący stos papierów na biurku. – Zaraz się do tego zabiorę.

– Nim pan to zrobi – wtrącił Stokes – chciałbym zadać panu kilka pytań.

Pringle wyprostował się i czekał.

Stokes spojrzał na pozostałych.

– Posłałem już konstabli, by przepytali w okolicy, czy ktoś coś zauważył. – Powrócił spojrzeniem do urzędnika i kontynuował: – Chciałbym zatem, by wrócił pan pamięcią do chwili, gdy widział pan swego szefa po raz ostatni. Kiedy to było?

– Wczoraj wieczorem, około siódmej. Wszedłem do gabinetu powiedzieć mu, że wychodzę. Nadal przeglądał dokumenty Halsteadów.

– Czy to dla niego normalne pracować tak długo?

Pringle skinął głową.

– Często pracował do późna. Jak już powiedziałem, był jedynym właścicielem w firmie, musiał więc zajmować się wszystkim, czemu ja nie byłem w stanie podobać.

– Zdarzało mu się spotykać z klientami po tym, gdy pan już wyszedł?

Pringle zmarszczył nos.

– Czasami, lecz niezbyt często. O ile wiem, na wczoraj nie przewidywał żadnego spotkania. Gdyby było inaczej, wzmianka o tym znalazłaby się w księdze. Zawsze sprawdzam rano wpisy, by się upewnić, że kiedy wyjdę, pan Runcorn będzie miał na podorędziu odpowiednie dokumenty.

– Zatem to raczej pewne, że ktokolwiek spotkał się z nim wczoraj wieczorem, nie był wcześniej umówiony. – Stokes z ponurą miną skinął głową, przytakując samemu sobie. – Czy pański szef wpuściłby kogoś obcego? Nie tylko do głównej sali, ale do swego gabinetu? Wydaje się bowiem jasne, że ktokolwiek to był, pan Runcorn czuł się przy nim na tyle swobodnie, by usiąść za biurkiem. Zapewne przeglądał właśnie papiery, gdy został zaatakowany.

Pringle zastanawiał się przez chwilę, a potem potrząsnął głową.

– Nie wiem, co odpowiedzieć, inspektorze. Nie widziałem nigdy, aby przyjmował tu znajomych. Jedynie klientów.

Albo, pomyślał Stokes, ich krewnych.

– Czy kiedy pan wyszedł – spytał Barnaby – zauważył pan może kogoś na ulicy? Lub kogoś pan minął? Kogokolwiek? Choćby osobę, która miała prawo tam się znajdować?

Pringle zamrugał i się zamyślił.

– Koło pubu kręcili się, jak zwykle, klienci, ale nie szedłem tamtędy. Skierowałem się w dół ulicy, ku Broad Street i... – Zamilkł, wpatrując się przed siebie niewidzącym spojrzeniem, a potem dodał cicho: – Rzeczywiście, był tam ktoś, kogo nie widziałem wcześniej. Jakiś mężczyzna stał pod daszkiem, przy wejściu do trafiki. Patrzył na wystawę, choć, kiedy teraz o tym myślę, nie mógł tam wiele zobaczyć, ponieważ sklep był już zamknięty, a Samuel, właściciel, zawsze zdejmuje na noc towary i zostawia puste półki. Minałem tego mężczyznę, lecz miał na sobie pelerynę i kapelusz z szerokim rondem opuszczonym tak, że trudno było dostrzec jego twarz.

Stokes poczuł znajomy przyływ emocji.

– Jakiego był wzrostu?

– Niewiele wyższy ode mnie.

– Zatem wysoki albo średniego wzrostu. Zdołał pan dostrzec, jakiego koloru miał włosy?

Pringle zmrużył oczy.

– Nie widziałem zbyt dobrze, lecz były co najmniej brązowe. Na pewno nie jasne. – Spojrzał na blond kędziory Barnaby'ego. – Tak, z pewnością nie jasne.

Stokes zaczerpnął oddechu.

– A jego twarz? – spytał. – Widział go pan na tyle wyraźnie, by móc rozpoznać?

Daleki strzał, ale... zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

Pringle westchnął zrezygnowany.

– Nie. – Skrzywił się i dodał: – Przykro mi, inspektorze, ledwie zerknąłem na jego profil. Mogę jedynie powiedzieć, że był starannie ogolony i miał bokobrody. – Przesunął palcami po szczęce, jakby próbował narysować ich kształt. – A jego policzki nie były – spojrzał na Stokesa, a potem na Barnaby'ego – takie jak u panów, lecz bardziej zaokrąglone. Pełniejsze.

Stokes kiwnął głową.

– Dziękuję. Chociaż nie byłby pan w stanie go zidentyfikować, i tak bardzo nam pan pomógł.

– Chciałabym o coś zapytać. – Cichy, a mimo to stanowczy głos Penelope kontrastował z głębokim barytonem inspektora tak bardzo, że wszyscy natychmiast zwrócili na nią uwagę. Spojrzała na Pringle'a, pochyliła głowę i uśmiechnęła się zachęcająco.

– Często styka się pan z klientami i ma do czynienia z różnymi ludźmi, więc będzie pan mógł odpowiedzieć na moje pytanie. Kiedy je zadam, proszę się nie zastanawiać, lecz odpowiedzieć od razu, bez namysłu. Dobrze?

Pringle przytaknął, choć trochę niepewnie.

– Mężczyzna, którego pan zobaczył... Czy pańskim zdaniem był to arystokrata, dżentelmen, kupiec, a może robotnik?

Pringle odpowiedział bez wahania.

– Dżentelmen.

Zamrugał i wydawał się zdziwiony, lecz nie wycofał się z tego, co powiedział.

Twarc Penelope pojaśniała.

– Dziękuję.

– W rzeczy samej – poparł ją Stokes. – Dziękujemy, panie Pringle, był pan bardzo pomocny. – Wskazał papiery Halsteadów. – Jeśli chce pan napisać tę notkę, a potem pojechać do biura pana Montague'a, nie będziemy pana zatrzymywać.

Pringle pochylił lekko głowę.

– Dziękuję, inspektorze.

Skłoniwszy głowę, wrócił do swego biurka i zaczął układać dokumenty, rozglądając się jednocześnie za sznurkiem, którym mógłby je związać.

Stokes podprowadził pozostałą trójkę ku drzwiom, ale nim zdążył się odezwać, zapukano w szybę.

Odwrócił się i zobaczył konstabla, którego wysłał, aby przepytał sąsiadów. Stał teraz na chodniku, ewidentnie przygotowany, żeby zdać raport. Stokes otworzył więc drzwi i wpuścił go do środka.

– I co, Phipps? Dowiedziałeś się czegoś?

– Niewiele, sir. Poza klientami pubu na ulicy nie było prawie przechodniów. Siódma to pora kolacji i większość siedziała wtedy w domach. I tak... – zaczął przerzucać z namaszczeniem strony notatnika – mamy tu kilka osób, głównie z pubu, lecz także kobietę handlującą zapalkami. Stała ze swoim towarem na rogu i widziała wchodzącego do biura dżentelmena. Wyszedł po półgodzinie. Czas pasuje. Pozostali też twierdzą, że kiedy wszedł, musiało być trochę po siódmej, i został tam około trzydziestu minut. Z okolic wejścia do pubu doskonale słychać dzwonek u drzwi kantoru Runcorna.

– Jaki opis podali? – zapytał Stokes.

– Niezbyt dokładny. Nie znalazł się też nikt, kto mógłby tego człowieka rozpoznać.

Zaczął podawać opis uzyskany od pięciorga różnych osób.

Pasował w każdym calu do podanego przez Pringle'a.

– Zatem – podsumował Stokes – mamy dżentelmena, co do tego wszyscy są zgodni, gładko ogolonego, ale z krótkimi bokobrodami i pełnymi policzkami. Wzrost nieco powyżej średniego. Włosy brązowe albo ciemniejsze.

– Zgadza się, proszę pana. – Phipps zamknął notatnik.

– Jedno pytanie, sierżancie. – Znów oczy wszystkich zwróciły się na Penelope. – Ci ludzie, którzy widzieli mężczyznę... Czy ktokolwiek z nich odniósł wrażenie, że został przez niego zauważony?

Phipps potrząsnął głową.

– Nikt o niczym takim nie wspomniał, proszę pani. Wszyscy twierdzili, że minął ich, patrząc prosto przed siebie. Kobieta z zapalkami powiedziała, że była pewna, iż jej nie widział. Przemaszerował, powiewając peleryną, tuż obok, jakby jej w ogóle nie zauważył.

Penelope się uśmiechnęła.

– Dziękuję, sierżancie.

Phipps spojrział na Stokesa, a ten odprawił go skinieniem głowy.

Gdy za sierżantem zamknęły się drzwi, Stokes powiedział ściszym głosem:

– Mamy więc opis, który, o ile pamiętam, może pasować do każdego z Halsteadów. – Przerwał, a po chwili dodał: – Nie jestem pewien, czy dosłownie do każdego, ale na pewno w grę wchodzi więcej niż jeden.

– Uważam – powiedział Barnaby, również ścisząc głos ze względu na Pringle'a, który w holu sposobił się, by wyjść – że biorąc pod uwagę wszystko, czego udało nam się dowiedzieć, możemy bezpiecznie założyć, iż motywem obu zabójstw była chęć ukrycia niezgodności na rachunku lady Halstead.

Montague zaczął przytakiwać, lecz zamarł, nim się odezwał. Zamrugnął, a potem odwrócił się gwałtownie.

– Jeszcze jedno, Pringle.

Urzędnik spojrział na niego znad stosu papierów, które zdążył wziąć już do rąk.

– Tak, panie Montague?

Nie wspomniano dotąd w obecności Pringle'a o śmierci lady Halstead.

– Czy wasza firma została powiadomiona o śmierci lady Halstead, a właściwie o jej zamordowaniu?

Wyraz twarzy Pringle'a powiedział mu wszystko, czego chciał się dowiedzieć.

– Lady Halstead? Zamordowana? – Wytrzeszczył na nich oczy. – Ona też?

Jeśli Runcorn nie wiedział, zatem... Montague znów się odwrócił.

– Wielki Boże! Pieniądze!

Ruszył pospiesznie ku drzwiom.

Pozostali zamarli na chwilę, zaskoczeni, a potem zerwali się i pobiegli za nim.

Dogonili go szybko, nawet Penelope, chociaż musiała unieść przy tym suknię. I to ona spytała stanowczo:

– Co z pieniędzmi?

Montague nie zwolnił, lecz zmusił się, by uporządkować myśli.

– Jeśli mamy rację i wpłaty stanowiły motyw morderstwa, to pieniądze należą do zabójcy. Teraz, gdy lady Halstead nie żyje, jej rachunek zostanie wkrótce zamknięty. Normalnie zająłby się tym Runcorn, tuż po tym, gdy dowiedział się o śmierci pracodawczyni. Pieniądze zostałyby zamrożone...

– ...a tym samym niedostępne dla mordercy – dokończyła Penelope. – Musi więc podjąć je z konta najszybciej, jak tylko będzie to możliwe.

– A – dodał ponuro Stokes – jeśli już tego nie zrobił, zyskamy szansę, żeby go przyuważyć i aresztować.

– W którym banku starsza pani miała rachunek? – zapytał Adair, ujmując ramię Penelope, gdyż przedzierali się właśnie przez bardziej zatłoczoną Broad Street.

Montague rzadko zapominał podobne szczegóły.

– U Grimshawa przy Threadneedle Street.

Threadneedle nie znajdowała się daleko, nie było więc sensu brać dorożki. To było terytorium Montague'a – poprowadził ich zatem obok biura, gdzie pobierano akcyzę, a potem w dół wąskiej ulicy. I nagle byli już na Threadneedle, niemal przed wejściem do banku.

– Ma pan upoważnienie? – zapytał Stokes.

Montague poklepał się po górnej kieszeni surduta.

– Dobrze – mruknął inspektor. – Poprowadzi pan rozmowę, ja będę trzymał się z tyłu. Nie informujmy o morderstwie nikogo, kto nie musi o nim wiedzieć.

Montague skinął głową i wszedł do banku.

Wiedziano tu najwyraźniej, kim jest, gdyż niemal od razu wprowadzono go do biura dyrektora, gdzie okazał pełnomocnictwo i pozwolił, aby zostało dokładnie zbadane. Utwierdziwszy się w przekonaniu, że wszystko jest, jak należy, dyrektor wezwał urzędnika i polecił mu przynieść rejestr z informacjami na temat konta lady Halstead.

A kiedy już go dostał, zamrugał, a potem obrócił księgę, by Montague mógł przekonać się osobiście, co tam zapisano.

– Hm – chrząknął. – Wygląda na to, panie Montague, że lady Halstead zamknęła dziś rano, niemalże przed godziną, rachunek.

Montague popatrzył z nieprzeniknioną miną na wpis.

– Pieniądze zabrano w gotówce?

Spojrzał na urzędnika, a ten przytaknął.

– W rzeczy samej, proszę pana. Wezwano mnie, bym zatwierdził wypłatę, lecz wszystko wydawało się w porządku...

Montague skrzywił się, a potem spojrzał na dyrektora.

– Za pańską zgodą... – popatrzył znowu na urzędnika. – Mógłby pan poprosić dwóch dżentelmenów i damę, którzy czekają teraz za drzwiami, by do nas dołączyli? Uważam, że powinniście dowiedzieć się

o ostatnich wydarzeniach.

Dyrektor, acz mocno zdziwiony, skinął głową. Urzędnik podszedł do drzwi i wpuścił Stokesa, Adaira i Penelope.

Dyrektor i Montague wstali, po czym ten ostatni przedstawił przybyłych. Przyniesiono więcej krzesel, a kiedy wszyscy usiedli, Stokes powiedział do dyrektora:

– Z żalem muszę pana poinformować, że lady Halstead została przedwczoraj w nocy zamordowana.
– Przeniósł spojrzenie na urzędnika. – Uważamy, że to pieniądze, które znajdowały się na jej rachunku, stanowiły główny motyw zabójstwa. Muszę więc spytać, kto je podjął i jakie przedstawił upoważnienie.

Urzędnik, zachęcony przez dyrektora, chrząknął.

– Pieniądze zostały podjęte przez damę – powiedział. – Z uwagi na kwotę zająłem się tym osobiście.
– Proszę ją opisać – zażądał Stokes.

Urzędnik zawahał się, a potem powiedział:

– Przeciętnego wzrostu i tuszy, lecz co się tyczy reszty... Miała kapelusze z woalką. Widziałem jej twarz, lecz niezbyt wyraźnie.

– Jakiego koloru miała włosy? – spytała Penelope.

– Brązowe i niezbyt ciemne. – Spojrzał na bujne loki Penelope. – Średni brąz, zwyczajny.

– A w jakim wieku mogła, pańskim zdaniem, być? – kontynuowała Penelope.

Urzędnik zastanawiał się przez chwilę, a potem pokręcił głową.

– Na pewno nie stara ani nie w średnim wieku. Ale i nie bardzo młoda.

– Powiedział pan: dama. – Penelope uniosła brwi. – Odniósł pan wrażenie, że była damą?

– Była dobrze ubrana i umiała się wysłowić, *madame*. Sympatyczna i... cóż, pewna siebie, jeśli wie pani, co mam na myśli.

Penelope skinęła głową.

– Dziękuję.

– Ma pan jeszcze to upoważnienie? – zapytał Montague. – Chciałbym mu się przyjrzeć.

Urzędnik i dyrektor wymienili znowu spojrzenia, a potem urzędnik sięgnął po rejestr, spoczywający nadal przed Montague'em, i odwrócił stronę, wskazując napisany odręcznie list.

– Operacja miała miejsce zaledwie przed godziną, nie zdążyłem więc schować dokumentu.

Montague przytaknął i wziął do rąk upoważnienie. Przeczytał je, a potem podał Stokesowi.

– Napisano tu, iż lady Halstead poleca, by wypłacono całą sumę osobie, która zgłosi się z listem.

Gdy Stokes przyglądał się dokumentowi, Montague wyjął pełnomocnictwo, które dała mu lady Halstead. Odczekał, aż Stokes przeczyta dokument, a potem podał mu swój. Inspektor wziął go i jął porównywać oba dokumenty.

Montague przysunął się bliżej, a w ślad za nim Barnaby i Penelope. Wpatrywali się w dokumenty, porównując charakter pisma.

W końcu Stokes westchnął. Oddał Montague'owi jego pełnomocnictwo i spojrzał na dyrektora banku.

– Zatrzymam to, podobnie jak rejestr. Oba są teraz dowodami rzeczowymi.

– Upoważnienie? – zapytał dyrektor, błędąc.

– Zostało sfalszowane – odparła Penelope. – Lecz bardzo zręcznie. Gdybyśmy nie mieli listu napisanego w całości przez lady Halstead, wątpię, czy ktokolwiek by się zorientował.

– Nie sądzę, żeby bank lub pracowników spotkały z tego tytułu jakieś nieprzyjemności – pocieszył dyrektora Montague, spoglądając na Stokesa.

Inspektor przytaknął. Wsunął fałszywe upoważnienie do teczki, zamknął ją i wstał.

– Dziękujemy za współpracę. Nie trzeba nas odprowadzać.

Wyszli, zatrzymali się na chodniku i spojrzeli po sobie.

– Co teraz? – zapytał Montague.

– Cóż – odparł Stokes – jeśli macie wszyscy czas, proponuję, żebyśmy usiedli i poświęcili godzinę lub dwie, by podsumować to, czego się dziś dowiedzieliśmy, co zobaczyliśmy i cośmy usłyszeli.

Penelope skinęła zdecydowanie głową.

– Jeśli tego nie zrobimy, coś może nam umknąć. – Spojrzała na Stokesa. – Czy mogę zasugerować, byśmy udali się w tym celu na Greenbury Street? To dom Stokesa – wyjaśniła, spoglądając na Montague’a. – Griselda nie była świadkiem niczego, co się dziś wydarzyło, będzie więc mogła spojrzeć na sprawy z dystansu. Głosuję za tym, byśmy udali się na Greenbury Street i wszystko jej opowiedzieli.

Stokes westchnął i skinął głową.

– Doskonale, zatem Greenbury.

*

Wzięli dwie dorożki i przybyli na Greenbury Street akurat w chwili, kiedy Griselda wracała z Megan ze spaceru w pobliskim parku.

Ucieszyła się na widok znajomych. Penelope cmoknęła ją w policzek, a potem pochyliła się, by zagadać do Megan. Dziecko zareagowało, chichocząc radośnie i machając rączkami. Barnaby przywitał się z Griseldą, a potem pochylił nad wózkiem, aby podziwiać małą.

Stokes pocałował żonę w policzek i ją przyglądać się z ojcowską dumą, jak znajomi zachwycają się jego córką.

Montague przystanął z boku, obserwując, co dzieje się pomiędzy dwiema parami, i odnotowując, jak serdeczne i niewymuszone łączą ich więzy. A potem Stokes przedstawił go żonie, Griseldzie – nalegała, by tak się do niej zwracać – oraz dziewczynce, która z ciekawością wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Ostrożnie – wymamrotał Stokes. – Potrafią owinąć sobie człowieka wokół palca jednym spojrzeniem.

Montague uświadomił sobie, że się uśmiecha, oczarowany równie mocno jak pozostali.

Ku swemu zaskoczeniu czuł się świetnie w koleżeńskej, pełnej entuzjazmu atmosferze. Usiedli w schludnej bawialni, czekając, aż Griselda przekaże małą niani i do nich dołączy.

Pani domu opadła wreszcie na sofę obok Penelope i zażądała:

– A teraz proszę wszystko mi opowiedzieć!

Zrobili, o co prosiła, porządkując przy okazji fakty. Za niemą zgodą trzymali się ich ściśle do chwili, gdy opuścili bank z fałszywym upoważnieniem w teczce.

Dopiero kiedy opowieść dobiegła końca, pozwolili sobie snuć przypuszczenia, zadawać pytania, jakie zrodziły się w związku z wydarzeniami poranka.

– Kobieta, która przedstawiła upoważnienie – mruknął Stokes. – Skąd mogła je wziąć? I co nam to o niej mówi?

Penelope wyprostowała się, a potem oznajmiła, podejmując wyzwanie:

– Zostało sfalszowane tak dobrze, że musiał tego dokonać ktoś obeznany z charakterem pisma zmarłej.

– Lub ktoś mający dostęp do listów, jakie napisała – wtrącił Adair.

Penelope pochyliła głowę.

– Racja. Co stawia na szczycie listy podejrzanych damę do towarzystwa lady Halstead, pannę

Matcham. – Uniosła dłoń. – A jednak poważnie wątpię, żeby chodziło właśnie o nią.

– Dlaczego? – zapytał Stokes, nim zdążył to zrobić Montague.

– Cóż, nie poznałam jeszcze panny Matcham i mogę polegać jedynie na tym, czego dowiedziałam się od was, uderza mnie jednak, że gdyby to ona podjęła pieniądze, postarałaby się, żeby nie można jej było tak łatwo z nimi powiązać. Jest chyba na to dość inteligentna. Upoważnienie wystawione zostało na okaziciela, bez wymieniania nazwisk, mogła zatem ubrać się jakkolwiek. Poprosić o dokonanie wypłaty znajomego. Albo też – tak ja bym postąpiła – przebrać się za mężczyznę. To nic trudnego, zwłaszcza na krótko i tylko po to, by oszukać urzędnika bankowego. – Zmarszczyła brwi. – Nie mogę pozbyć się wrażenia, że komuś zależało, by rzucić podejrzenie właśnie na pannę Matcham, a to oznacza, że jest niewinna.

– No i jest jeszcze fakt – wtrącił Montague – że panna Matcham była, i nadal jest, bardzo oddana lady Halstead. Naprawdę trudno mi sobie wyobrazić, by mogła współdziałać z mordercą, a co dopiero okraść zmarłą.

– To samo tyczy się pokojówki – dodał Stokes – niejkiej Tilly Westcott. Na pierwszy rzut oka mogłaby odpowiadać rysopisowi osoby, która zjawiała się w banku, lecz ona też była swej chlebodawczyni bardzo oddana. – Spojrzał na Montague'a. – Zakładam, że lady Halstead nie zalegała służbie z wypłatą?

Montague zastanawiał się przez chwilę, a potem z przekonaniem potrząsnął głową.

– Nie, jesteśmy pośrodku kwartału i jak do tej chwili służba została opłacona.

– Dobrze. – Stokes wyciągnął nogi i skrzyżował je w kostkach. – Możemy chyba wykluczyć, że to panna Matcham lub Tilly Westcott zjawiała się, ukryta za woalką, w banku...

– ...ale nie to, że ktoś próbował rzucić na nie podejrzenia. – Adair rozejrzał się po bawialni. – Ponieważ ten, kto sfalszował upoważnienie, musi być niemal na pewno członkiem rodziny.

– Właśnie – zgodził się z nim Stokes. – Co więcej, mogę się założyć, że rodzina wykorzysta mglisty, acz sugestywny opis tajemniczej kobiety, by wskazać palcem pannę Matcham, a jeśli nie ją, to pokojówkę.

– Już raz próbowali – przypomniał im Montague.

– Jestem pewna, że spróbują ponownie – powiedziała Penelope. – Już choćby dlatego, że to łatwiejsze, niż przyznać, iż jedno z nich zamordowało dwie osoby.

– Co prowadzi nas znów do mordercy – kontynuował Stokes. – Widziano go, jak wchodzi do biura Runcorna, a potem je opuszcza. Opis pasuje do mężczyzn z rodziny, lecz do którego szczególnie?

Stokes, Adair i Montague wymienili spojrzenia.

Penelope dostrzegła ich wahanie, powtórzyła więc opis, kończąc stwierdzeniem:

– Ani ja, ani Griselda nie widziałyśmy żadnego z Halsteadów, jednak z pewnością bokobrody mogą stanowić jakąś wskazówkę.

Barnaby się skrzywił.

– Można by tak pomyśleć, ale niestety, mają je wszyscy, i to dość podobne. – Zawahał się, a potem kontynuował: – Jak dla mnie, opis nie wyróżnia żadnego z piątki – Mortimera, jego syna Haydena, Maurice'a, Williama ani syna Cynthii, Waltera. – Spojrzał na pozostałych. – Prawdę mówiąc, gdybym zobaczył któregoś na ulicy, w marnym świetle, nawet mnie trudno byłoby ich rozróżnić. W blasku dnia nie sposób się pomylić, jednak w półmroku... – Spojrzał na Stokesa. – Podobna budowa, wzrost, koloryt i rysy, włączając pełne policzki. Nawet ubierają się podobnie.

Stokes skinął z wolna głową.

– Różnią ich jedynie oczy, Hayden, Walter i Maurice mają jaśniejsze tęczówki. Inaczej też zaciskają usta, a ich nosy różnią się wielkością, chociaż nie kształtem. Lecz jeśli nie wiedziało się tego

wcześniej... – Wskazał głową Barnaby'ego. – Zgadzam się. Rozróżnienie ich nie jest sprawą łatwą.

Zastanawiali się przez chwilę nad implikacjami tego faktu. Wreszcie Griselda wstała i klepnąwszy się dłońmi po udach, rzekła:

– Nie, nie wstawajcie. Przygotuję coś na lunch. Z pewnością potrzeba wam paliwa na to całe myślenie.

– Pomogę ci. – Penelope też się podniosła.

Gdy damy zniknęły w głębi domu, Stokes spojrzął na Barnaby'ego i Montague'a.

– Musimy być przy tym śledztwie bardzo ostrożni. Uważać na to, co robimy. Należy liczyć się zwłaszcza z Camberlym. Choć sam nie jest podejrzany, to jego syn jak najbardziej... No i mamy jeszcze Mortimera. Przeczucie podpowiada mi, że nie pogodzi się bez walki z tym, iż ktoś z jego rodziny może być głównym podejrzanym.

– O tak – zgodził się z nim Barnaby. – Z pewnością to człowiek właśnie takiego pokroju. A zważywszy na zadziwiający brak lojalności wobec zmarłej – udowodnili nam już, że dla nich liczy się przede wszystkim własny interes – będą nam rzucali kłody pod nogi. Nie będzie łatwo z nimi sobie poradzić, zwłaszcza że musimy schwytać przy tym mordercę.

Montague westchnął.

– Można by założyć, że podczas śledztwa w sprawie morderstwa osoby, które nie są przestępcami, zrobią wszystko, co możliwe, aby sprawiedliwości stało się zadość, ale, niestety, rzadko tak się dzieje.

W bawialni zapadło ponure milczenie i trwało, póki w otwartych drzwiach nie pojawiła się Penelope.

– Jeśli zechcecie przejść do jadalni, lunch czeka.

Mężczyźni wstali i ruszyli za nią do jadalni, gdzie zasiedli przy owalnym stole. Podawali sobie talerze z kanapkami i zimnymi mięsami, a młoda pokojówka nalewała panom piwo i paniom lemoniadę.

Jedząc, wymieniali zaledwie zdawkowe komentarze.

Stokes odczekał, aż kanapki znikną z talerzy, a mężczyźni, najedzeni, zaczęli sączyć niespiesznie piwo. Dopiero wtedy odchylił się na krzesło.

– Będziemy musieli dokładnie przyjrzeć się Halsteadom – rzekł. – Kimkolwiek jest morderca, a chyba się zgadzamy, że musi nim być mężczyzna z rodziny, nie jest głupi. Zdziałął błyskawicznie, gdy tylko się dowiedział, że finanse lady Halstead mają zostać zbadane, zapewne dlatego, iż obawiał się wykrycia dodatkowych wpłat. Nie wiedział, że to się już stało, więc wyeliminował na wszelki wypadek także Runcorna, ponieważ uznał, że jest on jedyną osobą, która miałaby prawo zadawać niebezpieczne pytania. Nie wiedział, i nadal nie wie, że Montague został już o wpłatach poinformowany.

– Hm. – Penelope oparła łokcie na stole i utkwiała wzrok w Montague'u. – Załóżmy, że sytuacja wygląda tak, jak ją przedstawiłeś. Ciekawe, jak morderca wyobraża sobie jej dalszy rozwój? Po tym, jak lady Halstead została zamordowana, po niej Runcorn, a pieniądze zniknęły z konta? Nie sądzi chyba, że wszystko ujdzie uwagi policji?

Montague zastanawiał się przez chwilę, a potem odparł:

– Gdybym nie wiedział, że z tymi płatnościami jest coś nie tak... po śmierci lady Halstead oraz Runcorna i wyprowadzeniu pieniędzy wszystko wydawałoby się mniej więcej w porządku, przynajmniej przy pobieżnym sprawdzeniu. Gdybyśmy nie wiedzieli o reszcie, dzisiejsza kradzież gotówki zostałaby uznana za godną pożałowania stratę, niewymagającą wszakże zbadania reszty finansów.

– Zatem z punktu widzenia mordercy – kontynuowała Penelope – wszystko jest tak, jak sobie

złożył, a prowadzące do niego ślady zostały skutecznie zatarte.

– Mimo to może uznać Montague'a za zagrożenie i spróbuje go wyeliminować.

Montague uniósł brwi, a potem wzruszył ramionami.

– Nie widzę powodu, przynajmniej na razie, zważywszy, jak niewiele im zdradziliśmy. Morderca wie tylko, że lady Halstead zatrudniła mnie ostatnio, bym przejrzał jej finanse. Nie ma pojęcia, że chodziło szczególnie o wpłaty, a ja przejąłem wszystkie dokumenty i pomagam policji. Jeśli o tym nie wspomnimy, nie będzie miał powodu, by podejmować przeciwko mnie lub moim pracownikom jakiegoś działania.

Stokes uśmiechnął się powoli i drapieźnie.

– Co prowadzi z powrotem do pytania, jak poradzimy sobie z Halsteadami. – Spojrzał na przyjaciół.

– Skoro sądzimy, że morderca jest jednym z nich, lepiej zbyt wiele im nie zdradzać.

– W rzeczy samej – poparł go Barnaby. – Jak udowodnił przed chwilą Montague, im mniej będą wiedzieć, tym lepiej.

Stokes skrzywił się nieznacznie.

– Myślę, że nie należy też wtajemniczać panien Matcham i Westcott. Bo choć wierzymy, że nie mają z tą sprawą nic wspólnego, są jednak podejrzane, przynajmniej w oczach rodziny, i – wzruszył lekko ramionami – właśnie tak musimy je traktować.

Penelope nie zgadzała się z tym poglądem i jasno to wyraziła.

Choć żadna z pań nie poznała dotąd Violet Matcham ani Tilly Westcott, Griselda natychmiast zgodziła się z przyjaciółką.

– Z tego, co wiemy, może grozić im niebezpieczeństwo, a jeśli ich nie ostrzeżemy, nie będą miały się na baczności.

Montague chrząknął i zabrał głos.

– Uważam, że panna Matcham jest wystarczająco inteligentna, by zdawać sobie sprawę, że morderca należy prawdopodobnie do rodziny. A skoro tak, nie widzę powodu, by mówić jej o zabójstwie Runcorna. Tylko przysporzylibyśmy obu paniom stresu. – Spojrzał na Stokesa. – Poznała Runcorna, gdyż była obecna podczas kilku jego spotkań z lady Halstead.

Stokes skinął głową.

– Zatem ustalone. Postaramy dowiedzieć się wszystkiego, co możliwe, o rodzinie, trzymając karty przy orderach.

Mężczyźni pokiwali na znak zgody głowami. Panie pozostały sceptyczne, lecz nie protestowały.

– No dobrze. – Stokes odstawił pusty kufel. – Muszę wrócić do biura Runcorna i dopilnować badania miejsca zbrodni. A gdy już tam będę, wyślę konstabli, by rozpytali w okolicy, czy ktoś nie widział kobiety w woalce. – Spojrzał na Adaira, a potem na Montague'a. – Już choćby tylko po to, by się upewnić, że tajemnicza dama nie odegrała w tej historii roli większej, niż nam się wydaje.

Adair skinął głową.

– Ja wrócę do banku i popytam, czy ktoś nie spostrzegł, z jakiego kierunku nadeszła owa dama. Nie wiadomo, może zyskamy w ten sposób jakiś trop.

– Kiedy pan już tam będzie – powiedział z namysłem Montague – proszę zapytać głównego kasjera, jak dokonano wypłaty. To daleki strzał, zwłaszcza że chodzi o gotówkę, lecz nigdy nie wiadomo: kasjerzy mogą coś pamiętać. – Zobaczył, że Adair mu się przygląda i dodał: – Warto zapytać. A gdyby urzędnik nie przypomniał sobie, w jakiej roli pan występuje – wyjął wizytówkę i podał ją Adairowi – proszę powołać się na mnie.

Adair wziął ją i podniósł, jakby salutował:

– Tak zrobię. Dobra myśl.

– Ja zaś – kontynuował Montague – zajmę się tym, co umiem najlepiej, czyli szukaniem źródła pieniędzy. Jeśli nie uda mi się go wykryć, badając finanse Halsteadów, poproszę o pomoc paru kolegów. Może będą mieć jakieś sugestie. – Spojrzał na Stokesa. – Z zachowaniem absolutnej dyskrecji, oczywiście.

Stokes przytaknął i odsunął krzesło.

– Mamy zatem co robić.

Adair także wstał.

– Sprawy do wyjaśnienia, tropy, którymi można podążać.

Montague skrył uśmiech i także się podniósł. Podziękował Griseldzie, komplementując lunch, pożegnał się z Penelope i podążył w ślad za dwójką mężczyzn.

Na chodniku Stokes zatrzymał się i powiedział:

– Proponuję, byśmy spotkali się po południu w pańskim biurze w City i wymienili informacjami. Oczywiście będziemy musieli przesłuchać jeszcze raz rodzinę, dlatego lepiej dowiedzieć się przedtem jak najwięcej.

Adair przytaknął, podobnie Montague. Pożegnali się i rozeszli w różne strony.

Penelope stała przy oknie bawialni i patrzyła, jak odchodzą.

– No i poszli sobie, wielce zajęci dochodzeniem – powiedziała do stojącej obok Griseldy. – Chcesz się założyć, że planują spotkać się później tylko we trzech?

Griselda prychnęła.

– Nie ma się co zakładać, to pewnik. – Skrzyżowała pod biustem ramiona i skinęła głową w kierunku chodnika. – Właśnie po to się zatrzymali, żeby ustalić czas i miejsce spotkania.

– Przypuszczam – zauważyła Penelope – że skoro w grę wchodzi dwa morderstwa, staną się jeszcze bardziej opiekuńczy.

– Tak jakby nie byli tacy dotychczas. Ale zgadzam się z tobą. – Spojrzała na Penelope. – Okoliczności się zmieniły, musimy się więc dostosować.

– W rzeczy samej – zgodziła się z nią Penelope. – Poszli sobie i wiemy, co zamierzają. A co my możemy zrobić? – Zastanawiała się przez chwilę, a potem odpowiedziała sobie sama: – Na przykład dowiedzieć się jak najwięcej o Halsteadach, o ich pozycji w towarzystwie. A także o Camberlych.

– Cóż, skoro tak – powiedziała Griselda, wyraźnie podekscytowana – wiem, od czego zacząć. – Spojrzała na przyjaciółkę i się uśmiechnęła. – Daj mi chwilę. Porozmawiam tylko z Glorią i upewnię się, że Megan ma wszystko, czego jej trzeba. Potem wezmę kapelusz i ci pokażę.

– Co mianowicie? – spytała Penelope z ciekawioną.

– To, co kryje się za kupowaniem modnych rzeczy i o czym nie masz zapewne pojęcia – odparła z uśmiechem Griselda.

Zaintrygowana Penelope machnęła dłonią, zachęcając przyjaciółkę do pośpiechu, a potem wyszła za nią z bawialni.

– Wezmę płaszcz i kapelusz. Spotkamy się przy drzwiach.

ROZDZIAŁ 7

Stokes spędził w biurze Runcorna około półtorej godziny, doglądając śledztwa i upewniając się, że miejsce zbrodni zostanie należycie zabezpieczone.

– Na wszelki wypadek – powiedział do miejscowego sierżanta – życzę sobie, by kantor był pilnowany na okrągło przez dwóch konstabli. Nie muszą być widoczni. Jeden niech siedzi w środku, a drugi ma oko na drzwi i ulicę, począwszy od wejścia do pubu.

Sierżant uniósł brwi.

– Myśli pan, że sprawca może wrócić?

– Uważam to za możliwe. – Spojrzał na trzech konstabli, których wysłał, by rozpytali, czy ktoś widział w ciągu kilku ostatnich dni damy w woalce.

Zasalutowali, a potem najstarszy pokręcił przecząco głową.

– Nie poszczęściło się nam, sir. Pytaliśmy po obu stronach Winchester Street, udało nam się nawet znaleźć sprzedawczynię zapalek, a ta kobieta umie z pewnością patrzeć, lecz nikt nie widział w okolicy zawoalowanej damy.

Stokes skinął głową.

– To był daleki strzał, lecz musieliśmy sprawdzić. Dobra robota.

Zostawił sierżanta oraz konstabli, by zorganizowali obserwację, i ruszył z powrotem do Scotland Yardu.

*

Barnaby zdecydował się wpaść do banku, nim główny kasjer zdąży o nim zapomnieć. Choć tak się nie stało, pokazał mu wizytówkę Montague'a, słusznie podejrzewając, że w tych kręgach znaczy ona więcej niż jego własna.

– Pan Montague zasugerował, iż któryś z kasjerów może wiedzieć coś na temat sposobu, w jaki dokonywano wpłat na konto lady Halstead. – Postarał się, by jego spojrzenie wyrażało nadzieję. – Każda pomoc ze strony pana lub pracowników banku zostanie w pełni doceniona.

– Hm... – Główny kasjer, mężczyzna niewysoki i przekonany o własnej ważności, zacisnął wargi, a potem skinął głową.

– Chociaż nie mogę niczego obiecać, bo mamy tu wiele rachunków i duży ruch, spróbuję czegoś się dowiedzieć.

Barnaby skinął głową i skierował się ku rzędowi krzeseł pod ścianą. Usiadł i jął się przyglądać, jak kasjer podchodzi do swego biurka, szuka czegoś w stosie papierów, wyjmuje jeden i przegląda go, zmierzając do kas. Minał cztery i podszedł do ostatniego stanowiska obsługiwanego przez starszego mężczyznę.

Zaczekał, aż ten obsłuży klienta, a potem pokazał kasjerowi dokument i zadał pytanie. Zamienili kilka słów i kasjer skinął głową.

Barnaby zwalczył chęć, by wstać i wypytać go osobiście. Wiedział, że będzie musiał tak postąpić bez względu na to, co sądzi o tym zwierzchnik starszego mężczyzny.

Na szczęście ten popatrzył na Barnaby'ego i przywołał go do siebie.

A kiedy Barnaby podszedł do okienka, uśmiechnął się z pełną arogancji satysfakcją.

– Pan Wadsworth przypomina sobie dokładnie, jak to było z wpłaceniem ostatniego depozytu na

rachunek lady Halstead. Sądzi też, że odbyło się to tak samo jak za każdym razem od mniej więcej roku.

Barnaby pochylił się ku kasjerowi.

– Doskonale. Pamięta pan, kto wpłacił pieniądze?

– W rzeczy samej, proszę pana – odparł Wadsworth. – Zwróciliśmy na to z kolegami uwagę, ponieważ transakcja wydawała się dosyć, hm, niezwykła, jak na kogoś o pozycji lady Halstead.

Barnaby spytał więc zaintrygowany:

– W jakim sensie niezwykła?

Kasjer spojrział na zwierzchnika, a kiedy ten skinął głową, wyjaśnił:

– Pieniądze były dostarczane przez kuriera, za każdym razem innego. Ponieważ przedstawiał niezbędny dokument, podpisany jak należy, musieliśmy przyjąć gotówkę.

Barnaby się zawahał. Nie takich wieści się spodziewał, ale... może powinien był.

– Usługa kurierska... Ma pan na myśli sposób, jakim posługują się przestępcy, by dokonywać podejrzanych wpłat?

Wadsworth skinął głową.

– Właśnie, proszę pana. My, kasjerzy, znamy kurierów, wiemy, co to za osoby. Z pewnością nie dysponują gotówką, jaką zazwyczaj wpłacają.

Barnaby przytaknął.

– Dziękuję obu panom. Przekażę informacje inspektorowi i panu Montague'owi. – Popatrzył z poważną miną na mężczyzn i ściszył głos. – Z pewnością nie muszę panom przypominać, że są bardzo poufne i nie należy przekazywać ich nikomu.

– Oczywiście, proszę pana. Nie ma powodu się martwić – zapewnił go Wadsworth.

Jego szef wyprostował się i powiedział:

– My tu, w Banku Grimshawa, szcycimy się dyskrecją.

Barnaby skłonił się, skrywając uśmiech.

– Jeszcze raz dziękuję i życzę panom miłego dnia.

Odszedł od lady i wymaszerował z banku, tłumiąc chęć, by przyspieszyć kroku.

– Jedna sprawa załatwiona – powiedział do siebie. – Pora na kolejną.

Następną godzinę spędził, wypytyując ludzi na ulicy pod bankiem, czy nie widzieli wcześniej tego ranka zawołanej damy. Już miał się poddać, uznając, iż jeden sukces dziennie będzie musiał mu wystarczyć, kiedy zobaczył chłopca, mniej więcej dziesięcioletniego, który zamiatał ulicę na rogu, w miejscu, gdzie zaczynała się Bishopsgate.

Podszedł do niego, chowając ręce głęboko w kieszeniach, i zagadnął, posługując się historyjką obmyśloną podczas bezowocnych poszukiwań:

– Miałem spotkać się tu rano z siostrą, ale, oczywiście, zasnęłam. Wybierała się do tamtego banku, a potem miała czekać na mnie przed wejściem. Teraz nie wiem, czy załatwiła już swoją sprawę i poszła, czy też wcale się nie pokazała. To dama i nosiła zapewne woalkę – zwykle ją zakłada, kiedy wybiera się w te okolice.

– Taa...? – Chłopak uważnie mu się przyjrzał. – A jak ta siostra wygląda? Poza tym, że jest kobietą i nosi woalkę?

Barnaby podał przybliżony opis: brązowe włosy, przeciętny wzrost, mniej więcej w jego wieku.

Nie mógł uwierzyć we własne szczęście, gdy chłopak skinął głową.

– Widziałeś ją? – zapytał.

– Tak. – Chłopak wskazał kierunek. – Nadeszła od strony Threadneedle Street. Przykro mi to mówić, ale w powozie przy krawężniku czekał na nią dżentelmen.

– Dżentelmen? – Stłumił podniecenie i przybrał znudzoną minę. – To pewnie mój kuzyn. Widziałeś go?

– Niezbyt dobrze. Nie wysiadł, otworzył tylko drzwi i podał damie rękę, żeby pomóc jej wsiąść.

Chłopak spojrział na Barnaby'ego z oczekiwaniem.

Barnaby westchnął, wyjął pół korony i pokazał monetę chłopcu.

– To jak wyglądał?

– Dżentelmen. Nie wiem, jakiego wzrostu, bo przecież siedział. – Chłopak nie spuszczał wzroku z błyszczącej monety. – Nie miał brody, ale to modne coś z boku twarzy, okrągłe policzki i brązowe włosy.

Zerknął na Barnaby'ego, jakby chciał sprawdzić, czy zasłużył już na datek.

– Ostatnia rzecz: w jakim był wieku?

Chłopak zamrugał.

– Myślałem, że to pański kuzyn. Nie wie pan, w jakim jest wieku?

– Mam ich kilku.

– Och. – Chłopak zawahał się, a potem skrzywił. – Nie mogę powiedzieć na pewno. Nie widziałem go dobrze, ale... w tym samym co dama?

Jego ton świadczył jasno, że zgaduje. Mimo to Barnaby dał mu monetę.

– To wystarczy.

Chłopak powiedział dość, by go upewnić, że kobieta pracowała z jednym z Halsteadów, a może raczej na zlecenie jednego z Halsteadów.

Barnaby odwrócił się, żeby odejść, a potem zatrzymał, pogrzebał w kieszeni i wyjął suwerena.

– Łap! – krzyknął do chłopca, który zdążył już schować półkoronówkę, a potem rzucił mu pieniądz.

Chłopak, szybki niczym jastrząb, wyciągnął rękę i złapał go w locie. Widok jego osłupiałej z niedowierzania twarzy, kiedy wpatrywał się w monetę, sprawił, że Barnaby po prostu musiał się uśmiechnąć.

Gdy chłopak oderwał wreszcie wzrok od suwerena, zasalutował mu żartobliwie i powiedział:

– Nagroda za spostrzegawczość. Dobrze ją wykorzystaj.

Zostawił chłopaka gapiącego się na skarb w dłoni, a potem, dziwnie zadowolony, ruszył ku siedzibie firmy Montague'a.

*

Pierwszą rzeczą, którą zrobił Montague po powrocie do Chanel Court i swego biura, było sprawdzenie, jak sobie radzi Pringle. Urzędnik siedział przy biurku wyznaczonym mu przez Slocuma, przedzierając się przez stosy dokumentów finansowych Halsteadów.

– Sięgają trzydziestu lat wstecz. – Podniósł jeden z rachunków. – Pełnomocnikiem sir Hugona był wtedy ojciec pana Runcorna. Nie potrafię powiedzieć, kto tu zawinił: morderca czy policjanci, którzy zbierali papiery, ale panuje wśród nich straszny bałagan.

– Nie potrafi pan zatem powiedzieć, czy któregoś brakuje? – zapytał Montague.

Pringle potrząsnął głową.

– Nie, póki wszystkiego nie uporządkuję.

Zostawił urzędnika z jego zadaniem, a potem, stłumiwszy chęć, by zacząć natychmiast działać – przeanalizować rachunki, znaleźć mordercę i zapewnić tym samym pannie Violet Matcham bezpieczeństwo – porozmawiał z Gibbonsem i Fosterem, dokonując przeglądu bieżących zadań. Potwierdził również, że przez kilka najbliższych dni będą musieli radzić sobie sami, po czym wszedł

do gabinetu i z czystym sumieniem zasiadł za biurkiem.

Skopiowane przez Pringle'a dokumenty piętrzyły się z boku blatu. Kusilo go, by natychmiast się do nich zabrać, przewycięzył jednak pokusę. Istniał bowiem inny, bardziej obiecujący sposób wytropienia źródła tajemniczych przychodów. Wyjął kopię zestawienia bankowego – tę samą, która wzbudziła wątpliwości lady Halstead, i sporządził dokładną listę dziwnych depozytów, sięgającą czternastu miesięcy wstecz.

Przestudiował ją, a potem wezwał Slocuma i podyktował mu cztery listy.

W każdym przypominał adresatowi, a byli to jego koledzy po fachu, o przysługach, jakie oddał im kiedyś, zwracając się jednocześnie z prośbą o przyjrzenie się wpłatom na konto lady Halstead. Ciekawiło go, czy któryś widział u swego klienta podobny wzór wpłat, a jeśli tak, z jakiego źródła mogłyby pochodzić pieniądze.

W wąskim kręgu pełnomocników finansowych, do którego należał, dyskrecja była rzeczą zrozumiałą sama przez się.

Gdy Slocum wyszedł, żeby rozesać listy, Montague zapatrzył się po raz kolejny na spis depozytów, a potem się skrzywił.

– Kto wie? Może to szersze zjawisko, coś, z czym mieli już do czynienia również inni?

A jeśli tak nie było, może któremuś z kolegów przyjdzie na myśl prawdopodobne rozwiązanie zagadki denerwująco nieregularnych wpłat.

Westchnął w duchu, przysunął sobie stos dokumentów i umieścił go pośrodku blatu. Były tam zarówno oryginały, przekazane mu kilka dni temu przez Runcorna, jak i kopie, dostarczane systematycznie przez Pringle'a. Odchylił się na krześle i utkwil wzrok w papierach.

Czy Runcorn mógł być na jakimś etapie współnikiem mordercy?

Jął odtwarzać w pamięci spotkanie z młodszym kolegą, wspomniawszy jego świeżą, szczerą twarz, zapał, pragnienie, by zadowolić innych... a także podziw, z jakim na niego, Montague'a, patrzył.

Wszystko w młodym człowieku wydawało się autentyczne. Nawet teraz, gdy miał czas się zastanowić, nie był w stanie wyczuć w jego postawie czy zachowaniu odrobiny fałszu.

– Zatem – skupił się znów na stosie dokumentów – Runcorn nie miał pojęcia, co się dzieje, morderca uznał jednak, że kiedy zacznie przeglądać dokumenty finansowe, odkryje coś, co ujawni jego nielegalną działalność.

Porządkowanie spraw finansowych klienta wymagało, poza innymi rzeczami, także sporządzenia kompletnej listy wszelkich źródeł dochodu, w tym aktualnych inwestycji, z dołączoną oceną ich zyskowności oraz wartości rynkowej, a także sprawdzenia zgodności wszelkich rachunków bankowych, wydatków, przychodów i depozytów. Poprzedniego przeglądu dokonano zapewne przed laty, krótko po śmierci sir Hugona.

Młody Runcorn wyciągnął wraz z Pringle'em i skopiował wszelkie dokumenty, potrzebne, aby dokonać oszacowania majątku rodzinnego Halsteadów, a także osobistego lady Halstead.

– Co oznacza – wymamrotał, sprawdzając numery umieszczone przez Pringle'a w lewym dolnym rogu każdej ze stron – że gdzieś w tym stosie znajduje się informacja, której ujawnienia morderca bał się tak bardzo, iż by ją ukryć, gotów był zabić dwie osoby.

Upewniwszy się, że dokumenty ułożone zostały, jak zapowiedział Pringle, od najstarszych do najbardziej aktualnych, wziął do rąk pierwszy i zaczął od początku.

Zegar na biurku tykał miarowo, odliczając minuty.

Montague, zatopiony w pracy, sprawdzał każdy rachunek, każdy wyciąg, czyniąc notatki i porównując przychody z wydatkami. W pewnej chwili zorientował się jednak, że pracując, zerka co rusz na listę dziwnych, niedających się do niczego przypisać dochodów, którą sporządził wcześniej

i odłożył na bok.

Wytrzymał godzinę, a potem jeszcze kwadrans, po czym odsunął stos dokumentów wraz z notatkami i wziął znów do rąk listę. Przyglądał się jej przez chwilę, wstał i podszedł do drzwi. Wyrzwał z gabinetu.

– Gibbons? – zawołał. A kiedy urzędnik podniósł wzrok, pomachał listą i powiedział: – Chciałbym poznać pańską opinię.

Czasami świeże oczy widzą wyraźniej.

Gibbons wstał posłusznie i wszedł za szefem do gabinetu.

Montague usiadł i wskazał pracownikowi krzesło przed biurkiem. Zaczekał, aż ten usiądzie i na niego spojrzy, a potem powiedział:

– Chciałbym, by przyjrzał się pan tej liście. Są na niej depozyty złożone w gotówce w banku. Spisałem zarówno kwoty, jak i daty, kiedy każdy z depozytów został złożony. Próbuję ustalić, co mogło być źródłem tego rodzaju przychodów.

Podał urzędnikowi listę, a potem patrzył, jak Gibbons przegląda ją i się zastanawia.

– Na pewno nie są to wpływy z inwestycji – nadchodzą zbyt nieregularnie i kwoty za bardzo się różnią... – Spojrzał na pracodawcę. – Wygląda mi to na zyski z jakiegoś rodzaju działalności handlowej – na przykład sprzedaży.

Montague zamrugnął. Nie zajmował się dotąd rozliczeniami w handlu, przeciwnie niż Gibbons, który miał z nimi do czynienia, nim zatrudnił się w firmie Montague'a.

Wspomniał liczby widoczne na liście i wyciągnął rękę:

– Proszę mi to dać.

Gibbons oddał listę. Montague położył ją przed sobą, wziął do rąk ołówek i zaczął coś obliczać, zapisując kwoty z boku każdego depozytu.

Liczby stanowiły jego mocną stronę. By znaleźć rozwiązanie, potrzebował jedynie tropu, a tego dostarczył mu Gibbons.

Urzędnik pochylił się nad biurkiem, zerkając z ciekawością na sumy, jakie Montague umieszczał kolejno przy dacie każdego depozytu.

Skończywszy, podniósł listę, przyjrzał się jej raz jeszcze i podał podwładnemu.

– I co pan sądzi?

Gibbons przejrzał listę z dołączonymi wyliczeniami, a potem skinął zdecydowanie głową.

– Zgadza się. Każdy depozyt to zysk ze sprzedaży od pięciu do dziewięciu przedmiotów, wartych dwieście pięćdziesiąt funtów, minus kwota stanowiąca pomiędzy dwa a trzy procent jej wartości. – Spojrzał na Montague'a. – Czy depozyty były składane przez kuriera?

– Nie wiemy, ktoś właśnie to sprawdza, lecz większość firm kurierskich pobiera opłatę w takiej właśnie wysokości: dwa do trzech procent wpłacanej kwoty.

Gibbons nadal wpatrywał się w listę.

– Próbuję wyobrazić sobie, jakież to przedmioty, warte dwieście pięćdziesiąt funtów każdy, można sprzedawać w takiej liczbie. Co miesiąc minimum pięć, z nużącą regularnością.

Montague zastanawiał się przez chwilę, w końcu potrząsnął jednak głową.

– Lukratywny interes, ale z pewnością nielegalny.

Gibbons prychnął i zwrócił zwierzchnikowi listę.

– Gdyby był legalny, chętnie sam bym się nim zajął. I nie tylko ja.

– W rzeczy samej. – Montague wziął listę i znów na nią spojrział. – Wygląda jednak na to, że by go ukryć, zabito już dwie osoby.

– W takim razie – Gibbons odsunął krzesło i wstał – rezygnuję. Coś jeszcze, proszę pana?

Montague się uśmiechnął.

– Nie. Dziękuję, Fredericku. Bardzo mi pan pomógł.

Gibbons odpowiedział uśmiechem, skłonił się lekko i wrócił do swego biurka.

Montague przyglądał się liście jeszcze przez chwilę, a potem uśmiechnął się szerzej. Był to niewielki sukces, czuł jednak, że osiągnęli przełom. Poza tym będzie miał się czym pochwalić, kiedy Stokes i Adair zawitają po południu do jego biura.

*

Gdy wiozący je powóz skręcił w Dover Street, Penelope nadal potrząsała głową, zaskoczona liczbą informacji, jakie udało się im zgromadzić tego popołudnia.

– Nigdy więcej nie zignoruję sprzedawczyni. – A kiedy Griselda tylko się roześmiała, zapewniła: – To prawda. Teraz, gdy wiem, jak dużo potrafią zapamiętać, zawsze już będę miała się w sklepie na baczności.

– Sądzę raczej, że Halsteadowie to klienci szczególnego rodzaju – zauważyła Griselda. – Niemile zachowanie zawsze dłużej się pamięta.

Zabrała Penelope na wyprawę po sklepach przy Kensington High Street, nieopodal Lowndes Street, gdzie mieszkała lady Halstead. Jak się okazało, były to też ulubione sklepy pani Camberly, zamieszkałej przy Belgrave Square, i – co ważniejsze – jej służby. Kiedy Penelope odgrywała damę, przeglądając wystawione towary, Griselda wcielała się w rolę pokojówki, gawędząc ze sprzedawczyniami.

– Zapewne, lecz zostawiając na boku zachowanie, i tak komentarze i informacje, których dostarczyła służba Camberlych, są... cóż, zaskakujące. – Otworzyła szerzej oczy, ukryte za okularami. – Oraz zaskakująco dokładne.

– Pomogło nam to, że personel pamięta Mortimera i jego rodzinę z czasów, nim się przeprowadzili. – Powóz zwolnił i Griselda wyjrzała przez okno. – To, co usłyszałyśmy, to nie były jedynie paskudne plotki, lecz informacje potwierdzone przez służbę Halsteadów.

Powóz się zatrzymał.

– Tak czy inaczej – Penelope wyprostowała się i lekko uniosła – zyskałyśmy obraz obu rodzin, widzianych oczami służby. Zobaczmy, co mogą dodać do niego wielkie damy.

Lokaj pomógł im wysiąść, a kiedy stanęły na chodniku, Penelope powiedziała:

– Wrócimy do domu piechotą, Phelps.

– Doskonale, proszę pani.

Skłonił się i powóz odjechał. Albemarle była oddalona od Dover zaledwie o przecznicę.

Penelope odwróciła się i zaczęła wchodzić po schodach domu swej ciotki, Horatii Cynster.

– Jesteś pewna, że moja obecność nie spowoduje, iż sytuacja stanie się... niezręczna? – spytała cicho Griselda. – Nie należę do kobiet, które spotyka się w salonach dam.

Penelope zatrzymała się na niewielkim podeście i rzuciła przyjaciółce dodające otuchy spojrzenie.

– Nie martw się. Horatia przyjmuje z taką regularnością, że można by nastawiać według niej zegarek. Teraz będą tam zapewne jedynie kobiety Cynsterów i może lady Osbaldestone. Wszystkie poznały przy tej czy innej okazji Stokesa i wiedzą, że niejedyn raz pomógł rodzinie. Na przykład, jak choćby ostatnio, Henriecie i Jamesowi. – Uśmiechnęła się szelmowsko i sięgnęła po kołatkę. – Zaufaj mi, na pewno będą cię ciekawe.

Griselda powstrzymała ciętą ripostę, ponieważ drzwi się otworzyły i stanął w nich sztywno wyprostowany kamerdyner. Spojrzał na Penelope i się odprężył.

– Pani Adair, to przyjemność widzieć panią znowu.

– Dziękuję, Grantley. Czy twoja pani przyjmuje?

– Właściwie nie, lecz jestem pewien, że ucieszy się, kiedy przyłączy się pani do reszty dam.

Penelope ruszyła za nim przez hol.

– Czy poza paniami Cynster jest tam ktoś jeszcze? – spytała.

– Tylko lady Osbaldestone, *madame* – odparł.

Podążyła kamerdynerowi płaszcz, a potem wskazała Griseldę i poinformowała go:

– To pani Stokes, żona inspektora Stokesa.

– Witam, *madame*. – Grantley uklonił się i zapytał: – Mogę wziąć pani płaszcz?

Griselda podała mu okrycie, naśladując sposób zachowania się Penelope.

– Dziękuję – powiedziała.

– Są w salonie? – spytała Penelope.

– Tak, proszę pani. – Grantley podszedł do drzwi. – Proszę mi pozwolić. – Otworzył je

i zaanonsował: – Pani Adair i pani Stokes.

Penelope przeszła spiesznie przez próg. Griselda przezwyciężyła nagły atak paniki i podążyła śladem przyjaciółki, uniósłszy wysoko brodę.

Gdy tylko weszła, jej wątpliwości co do znalezienia się w zamkniętym kręgu tak wysoko postawionych dam natychmiast się rozwiały. Na sofie oraz fotelach wokół kominka siedziało ich pięć. Uśmiechnęły się ciepło do Penelope, a potem przeniosły spojrzenie, pełne ciekawości, a zarazem serdeczne, na Griseldę.

Wszystkie były dosyć wiekowe, a jedna – jak domyślała się Griselda, zapewne lady Osbaldestone – nawet bardzo.

Ciemnowłosa dama wstała, by je przywitać. Zapewne była to gospodyni, lady Horatia.

– Witaj, kochanie. – Uścisnęła palce Penelope, musnęła policzkiem jej policzek, po czym utkwiała spojrzenie jasnych oczu w Griseldzie. – A to zapewne pani Stokes? Żona inspektora?

– W rzeczy samej. – Penelope spojrzała na Griseldę z uśmiechem, który znaczył: *A nie mówiłam?*

Griselda także się uśmiechnęła, dotknęła nieśmiało dłoni gospodyni, a potem wymieniła pozdrowienia z resztą dam: lady Louise Cynster, lady Celią Cynster, Heleną, owdowiałą księżną St. Ives i w końcu Therese, lady Osbaldestone.

Gdy się witała, lady Horatia poleciła lokajowi, by przyniesiono krzesła dla gości. A kiedy usiadły, zaopatrzone w filiżankę mocnej herbaty doskonałej jakości i drobne, kruche ciasteczka, lady Osbaldestone postukała laską w podłogę – zupełnie jakby chciała zaprowadzić porządek na zebraniu.

– Zatem, moje drogie, jak możemy wam pomóc? – Uniosła ładnie zarysowane brwi ponad czarnymi oczami o przerażająco bystrym spojrzeniu. – Domyślam się, że właśnie po to przyszłyście?

Penelope przytaknęła ani trochę niezakłopotana.

– My, to znaczy Barnaby i Stokes z pomocą moją, Griseldy i pana Montague’a, którego także znacie, próbujemy rozwiązać zagadkową sprawę, która doprowadziła zapewne do dwóch morderstw. Pierwszą ofiarą była lady Halstead, zamieszkała przy Lowndes Street, a drugą jej pełnomocnik. Ostatnią godzinę spędziłyśmy, próbując dowiedzieć się jak najwięcej o krewnych zmarłej z bardziej ogólnych źródeł, a teraz chętnie usłyszałybyśmy, czy macie na temat rodzin Halsteadów i Camberlych coś do powiedzenia.

Cztery z pięciu twarzy pozostały obojętne. Po chwili lady Celia spytała:

– Kim właściwie są ci ludzie, kochanie?

Penelope skrzywiła się, ale odpowiedziała:

– Mortimer Halstead i jego żona Constance, Mortimer zajmuje dość wysokie stanowisko

w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. A także dwójka ich dzieci: Hayden i Caroline. Ci drudzy to Wallace Camberly, członek parlamentu, i jego żona. Mieszkają przy Belgrave Square i mają jedno dziecko, syna Waltera.

Horatia, Celia, Louise i Helena wymieniły spojrzenia. Lady Osbaldestone zmarszczyła w skupieniu czoło, jakby sięgała w głąb swej pamięci, ta zaś była, doprawdy, imponująca.

Helena spojrzała na starszą damę, a potem powiedziała do Penelope:

– Niestety, nie możemy wam pomóc. Ci ludzie nie obracają się w tych samych kręgach co my. Podejrzewam jednak, że droga Caro mogłaby coś o nich wiedzieć. Ona i Michael nadal bardzo interesują się tym, co robi parlament.

– Możecie również – dodała Celia – zapytać Heather, zwłaszcza o Camberlych. Teraz, kiedy ten Breckenridge, właściwie należałoby powiedzieć Brunswic, zgodził się przyjąć po ojcu tytuł i miejsce w Izbie Lordów, z pewnością bardziej zaangażował się w politykę.

– Rzeczywiście. – Lady Osbaldestone skinęła głową. – A skoro Michael Anstruther-Wetherby ma fotel w Izbie Gmin, on też powinien wiedzieć coś o Camberlych. – Utkwiła spojrzenie czarnych oczu w Penelope. – Oczywiście kiedyś ja też obracałam się w kręgach rządowych, lecz było to dawno temu. Nie mogę powiedzieć wam nic o Mortimerze Halsteadzie ani o Camberlych, ale pamiętam całkiem dobrze sir Hugona Halsteda. Przykro mi słyszeć, że jego żona nie żyje.

– Znała ich pani? – spytała Penelope ewidentnie zainteresowana.

– To za dużo powiedziane, ale sir Hugo pełnił służbę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, więc kilka razy się spotkaliśmy. Uchodził za człowieka rozsądnego i odpowiedzialnego.

– Może nam pani powiedzieć o nim... o nich coś więcej? – spytała Penelope.

Lady Osbaldestone uniosła lekko brwi.

– Spędził większość lat aktywnej pracy w Indiach. Był wysokim, jowialnym dżentelmenem o miłym usposobieniu. Jedną z tych osób, którym od razu się ufa. Możecie sobie wyobrazić, jak bardzo przydatne to było w kontaktach z miejscowymi. Był delegowany na długie lata do Kompanii Wschodnioindyjskiej, pracował też w biurze gubernatora. Jego żona – miała chyba na imię Agatha – była spokojną, sympatyczną i miłą w obejściu damą. Stanowiła dla niego idealną partnerkę. Towarzyszyła mu podczas wyjazdów na placówki, a kiedy odszedł na emeryturę, powszechnie stawiano ich za wzór pary, która dobrze przysłużyła się krajowi oraz królowi. – Zamilkła i ściągnęła znów brwi. – Jedyne, co mogę sobie przypomnieć na temat ich potomstwa, to pewien komentarz. Ktoś powiedział wtedy, że choć dzieci Halsteadów wydają się dobrze wychowane, to nie stają im charakteru.

Zadźwięczał dzwonek, a potem w holu rozbrzmiały kobiece głosy. Po chwili drzwi salonu otworzyły się i do pokoju weszła młodo wyglądająca dama w średnim wieku, otoczona wianuszkami innych pań.

– Przepraszamy, mamie. Nie udało nam się wyjść na czas z Osterly Park. Zgadnij, przez kogo.

Horatia roześmiała się i nadstawiła policzek do pocałunku, a potem poleciła Grantleyowi, by przyniesiono więcej krzeseł.

– Tak się składa, moje drogie, że przybyłyście akurat na czas. Penelope i Griselda, która jest żoną inspektora Stokesa, poprosiły o informacje natury towarzyskiej, ale nie bardzo byłyśmy w stanie ich udzielić. Sądzę, że wy możecie okazać się bardziej pomocne.

Kiedy zaczęto przedstawiać ją damom, od tytułów Griseldzie zakręciło się w głowie. Wyglądało jednak na to, że młodsze panie będą się zachowywały podobnie jak starsze, jakby nie zdawały sobie sprawy z różnicy klas pomiędzy nimi a żoną zwykłego inspektora policji.

Grantley i dwaj lokaje przynieśli kolejne krzesła oraz zastawę i po chwili siedziały już wszystkie wygodnie, racząc się herbatą i ciasteczkami. Horatia spojrzała na nowo przybyłe i powiedziała

rozkazująco:

– Mortimer Halstead i jego żona, Constance, on zajmuje poważne stanowisko w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Plus ich syn, Hayden, i córka, Caroline. A także pan Wallace Camberly, członek parlamentu, jego żona oraz ich syn, Walter. Mówcie, co o nich wiecie.

– Żona Camberly'ego ma na imię Cynthia, nazwisko panieńskie Halstead. Jest siostrą Mortimera – wyjaśniła Penelope. – Mamy też Maurice'a Halsteada, o którym być może słyszałyście, oraz Williama, najmłodszego z braci.

– Och, słyszałam o Maurisie... – Dama, która wmaszerowała na czele innych, Patience Cynster, zmarszczyła brwi. – Lecz było to wieki temu, kiedy wchodziłam dopiero w towarzystwo. Ostrzeżono mnie, że powinnam go unikać.

Penelope skinęła głową.

– Ma opinię hulaki, starzejącego się rozpustnika, hazardzisty i, ogólnie mówiąc, utracjusza. Uchodzi jednak za nieszkodliwego i ponoć potrafi być czarujący.

– Tak, zgadza się – wtrąciła Louise. – Pamiętam, że kilka lat temu ostrzegałam przed nim bliźniaczki. – Ściągnęła brwi. – O ile sobie jednak przypominam, porusza się na obrzeżach towarzystwa.

Penelope skinęła zachęcająco głową.

– Opis wydaje się pasować.

Kilka młodszych pań spotkało na swojej drodze Camberlych, choć tylko przelotnie.

– Odniosłam wtedy wrażenie, być może mylne – powiedziała Honoria, księżna St. Ives – że to ludzie nader ambitni. Camberly bardzo chce awansować, a żona wspiera go w tych dążeniach.

– Ponieważ oznaczałoby to awans społeczny także dla niej. – Damą, która to powiedziała, była wspomniana wcześniej Caro. Skinęła głową w kierunku Penelope. – Spotkałam ich kilka razy i nie mam wątpliwości, że Camberly to karierowicz, lecz jest na tyle ostrożny i inteligentny, by nie posuwać się w dążeniu do kariery zbyt daleko. Buduje sobie reputację, dbając, by o nim słyszano. Podejrzewam, że po następnych wyborach będzie się starał o stanowisko podsekretarza.

– A jako ludzie jacy są? – spytała Penelope.

Caro zmarszczyła nos, upiła łyk herbaty, a potem opuściła filiżankę i powiedziała:

– Nie tacy, jakich chciałoby się mieć za przyjaciół. Camberly jest bezlitosny. Za uśmiechem i nieskazitelnymi manierami kryje się człowiek dążący za wszelką cenę do celu. Można wyczuć, że nie cofnąłby się przed niczym, by go osiągnąć. Jego żona jest podobnie bezlitosna, a do tego drażliwa i złośliwa. – Umilkła, a potem zakończyła: – Nie potrafię ubrać tego w słowa, ale odnosi się wrażenie, że patrzy na wszystko pod kątem osobistej korzyści. Co do syna, spotkałam go jedynie raz. Jak to się często zdarza, kiedy rodzice mają tak silne charaktery, jest tylko ich bladym odbiciem.

– A Halsteadowie? – spytała Penelope z nadzieją.

Caro się skrzywiła.

– Z nimi również zetknęłam się tylko raz, podczas jakiegoś spotkania, ale słyszałam plotki, tego rodzaju, jakie słyszy się zwykle w kręgach rządowych. Nie mogę zaręczyć, że są prawdziwe, lecz jeśli to wam pomoże, a podejrzewam, że macie też inne źródła informacji i możecie je zweryfikować... – Zaczerpnęła oddechu i kontynuowała: – Słyszałam, że Mortimer i Constance również są bardzo ambitni i z nadziejami na przyszły awans, choć mają po temu znacznie mniej podstaw. On jest uważany za solidnego urzędnika, lecz wszyscy, z wyjątkiem jego oraz zapewne jego żony, wiedzą, że osiągnął już szczyt swoich możliwości i raczej nie wespnie się wyżej.

Caro spojrzała na lady Osbaldestone i dodała:

– Słyszałam, jak ktoś wyrażał zdziwienie, że Mortimer nie poszedł w ślady ojca i nie próbował zrobić

kariery w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie jego nazwisko coś by znaczyło, wygląda jednak na to, że nie ma zamiaru wyjeżdżać z kraju.

– Zważywszy, czego dowiedziałam się od Barnaby’ego i Stokesa, a także od teścia i dzisiaj od was – powiedziała Penelope, odstawiając filiżankę na spodek – można przyjąć hipotezę, że to, jakimi ludźmi stali się w dorosłym wieku młodzi Halsteadowie, stanowi konsekwencję nadzwyczaj ostrej rywalizacji pomiędzy Cynthią a Mortimerem. Są najstarsi z rodzeństwa i zbliżeni do siebie wiekiem. Zmusiło to Maurice’a, który nie był w stanie z nimi współzawodniczyć, by został rodzinną czarną owcą, a najmłodszego, Williama, wyrzuciło poza nawias ludzi z jego klasy. Tylko w ten sposób mogli zwrócić na siebie uwagę rodziców.

Lady Osbaldestone spojrzała na Penelope z czymś w rodzaju zaprawionej dumą aprobaty.

– Ależ wnikliwa diagnoza, moja droga! O ile pamiętam, jedyne, co zarzucano Halsteadom, mamie i tacie, było to, że zmarnowali potencjał swojej rodziny przez brak uwagi, a mówiąc otwarcie, rodzicielskie zaniedbanie, doprowadzając do jej rozbicia.

– Widzisz – lady Osbaldestone utkwiała w twarzy Penelope spojrzenie czarnych oczu – podczas gdy sami spędzali produktywnie czas w Indiach, ich dzieci pozostawały przez długie lata w Anglii pod opieką jedynie nianiek, guwernantek i nauczycieli. W końcu sir Hugo też miał ambicje związane, niestety, wyłącznie z pracą, a Agatha we wszystkim go wspierała.

Uniosła brwi i spojrzała na pozostałe damy.

– Trudno się zatem dziwić, że pozbawieni rodzicielskiego przewodnictwa, odziedziczywszy po ojcu ambicję, miast zbliżyć się do siebie, zaczęli konkurować, walcząc o uwagę i dominację i zmuszając młodszych, by poszukali innej drogi, jeśli chcą czymś się wyróżnić i znaleźć dla siebie własne miejsce.

Panie jęły z zapałem potakiwać, a Caro powiedziała:

– Właśnie takie wrażenie odniosłam, poznając Cynthię Camberly i Mortimera Halsteada. – Zmrużyła z namysłem oczy. – Nigdy nie widziałam ich razem, nie pamiętam nawet, by przebywali jednocześnie w tym samym pomieszczeniu, jednak u obojga wyczułam tę samą potrzebę, by iść do przodu, na tyle silną, że można tu nawet mówić o przymusie.

Panie zaszemrały, zgadzając się z tą opinią.

Penelope spojrzała na Griseldę i uniosła brwi.

– Tak się cieszę, że tu przyszłyśmy.

Griselda uśmiechnęła się, skinęła głową i dopiła herbatę.

Wkrótce potem wstały, pożegnały się i wyszły.

Na chodniku Penelope ujęła przyjaciółkę pod ramię i ruszyły spacerkiem wzdłuż ulicy. Skrzyły w prawo w Grafton Street, a potem jeszcze raz w prawo w Albemarle i stanęły przed domem Penelope.

Popołudnie było chłodne, a niebo zachmurzone. Słońce zdążyło się już skryć za budynkami po zachodniej stronie ulicy. Lekki wiaterek przemykał między budynkami, flirtując ze wstążkami kapelusza Penelope i wysnuwając pasma czarnych włosów Griseldy ze skromnego upięcia na czubku głowy.

– Hm... – mruknęła Penelope. – Naprawdę mam ochotę, nazwałabym to nawet potrzebą, aby zaangażować się znów w dochodzenia i nadać swojemu życiu dodatkowy sens. Nie zamierzam jednak w żadnym razie zaniedbywać Olivera, ani też innych dzieci, które będziemy jeszcze mieć.

Griselda nie była zaskoczona, ponieważ podobne myśli chodziły po głowie także jej. Uśmiechnęła się więc kątem ust i powiedziała:

– Wiesz, myślałam o tym samym. Co więcej, nie chodzi jedynie o to, by nie zaniedbać dzieci, ale też o to, że śledztwo może doprowadzić nas do sytuacji grozących niebezpieczeństwem. Nie wolno nam do tego dopuścić. – Spojrzała w ciemne oczy Penelope. – Nasze dzieci nie mogą sobie pozwolić, żeby

nas stracić.

Penelope zgodziła się z nią, wyrażając aprobatę krótkim i zdecydowanym skinieniem głowy.

– W rzeczy samej, powinniśmy znaleźć sposób pozwalający unikać sytuacji, które mogłyby nam zagrozić. Musimy nad tym jeszcze popracować.

– I nie tylko my – dodała Griselda.

Penelope roześmiała się, a potem spoważniała i pochyliła głowę.

– Zważywszy, czego dowiedziałyśmy się od lady Osbaldestone i co przydarzyło się Halsteadom, musimy zadbać, by nasze małeństwa nie pozostawały zbyt długo bez rodzicielskiej opieki. I choć będziemy poświęcały dzieciom zapewne więcej czasu niż nasi mężowie, oni także powinni uczestniczyć w ich wychowaniu.

– Znaleźć dla nich miejsce w swoim życiu – dodała Griselda.

– Właśnie. – Penelope milczała, póki nie znalazły się przed wejściem do domu Barnabych. Dopiero wtedy powiedziała, spoglądając na drzwi: – To odpowiedzialność, jaką każdy z nas musi ponieść, sprowadzając na świat dziecko. Oboje rodzice muszą znaleźć dla niego jasno określone, prawdziwe i niekwestionowane miejsce w swoim życiu.

– Jasno określone, prawdziwe i niekwestionowane – powtórzyła za nią jak echo Griselda.

ROZDZIAŁ 8

– Zatem – powiedział Stokes, opadając na krzesło przed biurkiem Montague’a – w pobliżu biura Runcorna nikt nie widział kobiety, która mogłaby być naszą tajemniczą damą. Zaczynam podejrzewać, że mogła zostać przywieziona, a może nawet wynajęta jedynie po to, by podjąć z banku gotówkę. – Spojrzał na siedzącego po prawej stronie Barnaby’ego. – Dowiedziałeś się czegoś więcej na Threadneedle Street?

– Dopisało mi szczęście, nie tylko pod jednym względem – odparł Barnaby. – Po pierwsze, dowiedziałem się, że pieniądze były dostarczane za pośrednictwem kurierów. Kasjerzy, którzy je przyjmowali, są wystarczająco doświadczeni, by ich rozpoznać, a zapamiętali właśnie te depozyty, ponieważ wydawało im się dziwne, że dama w rodzaju lady Halstead wpłaca w ten sposób fundusze.

Stokes chrząknął.

– To kolejna wskazówka, że mamy tu do czynienia z nielegalną działalnością, co więcej, ten, kto ją prowadzi, ma powiązania ze światem przestępczym.

Montague przytaknął.

– Pasuje to do mojego odkrycia, lecz zanim do niego dojdziemy... – Spojrzał na Barnaby’ego. – Czego jeszcze się pan dowiedział?

Barnaby się uśmiechnął.

– Pewien młody i spostrzegawczy zamiatacz ulic przypomniał sobie, że widział, jak nasza zawołowana dama zmierza z banku wprost do powozu czekającego przy krawężniku. Gdy się zbliżyła, siedzący w środku dżentelmen otworzył drzwi i pomógł jej wsiąść.

– A czy nasz spostrzegawczy urwis był w stanie opisać dżentelmena? – zapytał Stokes.

– Widział dosyć, by powiedzieć, że był gładko ogolony, miał bokobrody, pełną twarz i brązowe włosy. Nie potrafił jedynie określić, jakiego był wzrostu ani w jakim wieku.

– Wygląda na to, że wszystkie ślady prowadzą do Halsteadów – stwierdził inspektor ponuro.

– Rzeczywiście. – Barnaby się skrzywił. – Jest ich, niestety, aż pięciu i, przynajmniej na razie, nie możemy wykluczyć żadnego.

– Jak również tego, że mogą działać we dwóch albo nawet we trzech – dodał Stokes. – Zmarszczył brwi. – Jeśli tak jest, znacznie utrudni nam to robotę.

– Hm. – Barnaby też ściągnął brwi. – Jeżeli jeden popełnił pierwsze morderstwo, a drugi kolejne...

Stokes potrząsnął głową.

– Nie chcę nawet o tym myśleć.

Po chwili Barnaby spojrzał na Montague’a.

– Powiedział pan, że coś odkrył?

Montague, zajęty śledzeniem toku myślenia obu panów, potrząsnął głową, by wrócić do teraźniejszości, a potem się uśmiechnął.

– W rzeczy samej. – Wziął do rąk listę wpłat wraz z poczynionymi na marginesie notatkami. – Możemy podziękować za to mojemu urzędnikowi, Gibbonsowi, ponieważ to on zasugerował, że wpłaty wyglądają na dochód uzyskiwany ze sprzedaży. A skoro już raz wpadliśmy na trop, nietrudno było domyślić się reszty.

Podał listę Stokesowi, a ten przytrzymał dokument, tak by obaj z Barnabym mogli spoglądać na niego jednocześnie.

Montague odczekał chwilę, dając im czas na zapoznanie się z obliczeniami, a potem wyjaśnił:

– Jeśli założyć, że nasz sprawca sprzedaje coś wartego dwieście pięćdziesiąt funtów i do transakcji dochodzi pięć do dziewięciu razy w miesiącu, to po odliczeniu opłat za usługi kurierskie otrzymujemy kwoty, które zgadzają się mniej więcej z depozytami.

Barnaby spojrział na niego, a potem znowu na listę.

– Czternaście różnych wpłat i wszystkie pasują.

Stokes chrząknął.

– Nie znam się na liczbach, ale i mnie wydaje się to pewne. – Spojrział na Montague'a i pomachał listą. – Mogę to zatrzymać?

– Oczywiście – odparł Montague. – Zrobiłem już kopię.

Stokes złożył kartkę i schował do kieszeni surduta.

– Mamy więc dżentelmena, niemal na pewno któregoś z Halsteadów albo Waltera Camberly'ego, który handluje lub pośredniczy w handlu przedmiotami wartości dwustu pięćdziesięciu funtów i sprzedaje ich miesięcznie od pięciu do dziewięciu. Zważywszy, iż starał się ukryć przychody na koncie lady Halstead i że w obiegu jest niewiele przedmiotów o takiej wartości, możemy bezpiecznie założyć, że to, co sprzedaje, musi być nielegalne.

– Zapewne dlatego tak starannie ukrył pieniądze – dodał Barnaby. – Nasuwa się interesujące pytanie, który z Halsteadów straciłby najwięcej, gdyby jego nielegalna działalność wyszła na jaw?

Stokes zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział:

– Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale najbardziej prawdopodobnym podejrzanym wydaje się Mortimer. Łeb w łeb z nim idzie Wallace Camberly, a biorąc pod uwagę możliwość, iż z Camberlym może współdziałać syn, nie możemy wyłączyć naszego parlamentarzysty z grona podejrzanych, nawet jeśli to nie on zabił.

Barnaby przytaknął.

– A tuż za dwoma starszymi mężczyznami umieściłbym Haydena Halsteada i Waltera Camberly'ego. Obaj są synami poważanych ojców. Gdyby jakaś ich nielegalna działalność wyszła na jaw, wybuchłby skandal.

Montague ściągnął brwi.

– A co z Maurice'em Halsteadem i najmłodszym z braci, Williamem? – Kiedy Barnaby na niego spojrział, wzruszył lekko ramionami. – Odniosłem wrażenie, że żadnemu z nich nie zależałoby na tyle, by zabić. Zamiast bać się skandalu, troszczyliby się raczej o to, by nie zostać złapanym.

Barnaby zastanawiał się przez chwilę, a potem skinął głową.

– Muszę się z tym zgodzić. Nie widzę powodu, dla którego Maurice lub William mieliby się posługiwać rachunkiem matki, a tym bardziej zatrudniać kurierów. Przeciwnie, sądzą, że woleliby oszczędzić sobie wydatku.

Stokes się skrzywił...

– Kuszące byłoby założyć, że obaj mieli większą niż inni członkowie rodziny wiedzę o tym, jak zatrudnić kuriera, nie wydaje się jednak, by mieli po temu jakiś motyw.

Przez kilka następnych minut zastanawiali się w milczeniu nad tym, czego się dowiedzieli. Potem Stokes wstał, a Barnaby poszedł w jego ślady.

– Muszę wracać do Scotland Yardu – powiedział inspektor. Uniósł pytająco brew i spojrział na Barnaby'ego.

– Chciałbym zamienić słowo z policyjnym chirurgiem, upewnić się, że nie ma nam nic więcej do powiedzenia. Jeśli dowiem się czegoś nowego, natychmiast cię powiadomię.

Spojrzeli obaj na Montague'a.

Zauważył to i zmarszczył brwi.

– Powiniennem zrobić jeszcze jedną rzecz. Pieniądze zabrane z konta lady Halstead musiały dokądś powędrować. – Spojrzał na zegar na swoim biurku. – Choć wątpię, bym uzyskał odpowiedzi jeszcze dzisiaj, spróbuję dyskretnie popytać, czy któryś z Halsteadów albo Camberlych nie złożył ostatnio na swoim rachunku większego depozytu. – Uśmiechnął się do Stokesa. – Proszę nie pytać, jak zamierzam to załatwić, ale postaram się również, aby mnie powiadomiono, gdyby taki depozyt został w najbliższej przyszłości złożony.

Stokes pochylił głowę.

– Przez wzgląd na to, jak przydatna byłaby to informacja, powstrzymam się od wypytywania o pańskie metody.

– Oczywiście – powiedział Barnaby – to raczej mało prawdopodobne, zważywszy, iż morderca wykorzystywał przedtem rachunek lady Halstead, by nie wpłacać gotówki na własny. Jednakże – dodał, kierując się ku drzwiom – ma pan rację. Musimy to sprawdzić, gdyż nigdy nie wiadomo, kiedy łotrowi powinie się noga i popełni błąd...

– A wtedy go dopadniemy. – Stokes uniósł dłoń w pożegnalnym geście i obaj wyszli.

Montague wstał i także wyszedł. Kiedy Stokes i Barnaby opuścili biuro, a Slocum zamknął za nimi drzwi, wrócił do biurka.

– Slocum! – zawołał. – Mam do podyktowania kilka listów.

*

Po pracy zamierzał wrócić do siebie na górę, jednak chłód zaskakująco miłego wieczoru sprawił, że zapragnął się przejść. Dopiero zapalano lampy, ale dziennego światła pozostało jeszcze dość, by mógł swobodnie spacerować, rozkoszując się ciszą i spokojem, jakie zapanowały w City, gdy rzesze zapracowanych urzędników opuściły biura i udały się do domów na kolację.

Jednak to nie wieczorny chłód ani spokój były odpowiedzialne za to, że przywołał dorożkę i kazał się wieźć na Lowndes Street.

Rozumiał, dlaczego Stokes wolał nie informować Violet o śmierci Runcorna i pojawieniu się tajemniczej damy, którą mogła być właśnie ona, Violet, oraz jej roli w opróżnieniu rachunku lady Halstead. I nawet częściowo się z nim zgadzał, przynajmniej póki w ciągu kilku ostatnich godzin słowa Griseldy i Penelope nie zaczęły na nowo rozbrzmiewać mu w głowie. Teraz, chociaż wolałby nie dostarczać Violet kolejnych powodów do niepokoju, niepowiadomienie jej o rozwoju wydarzeń wydawało się po prostu zbyt niebezpieczne. Uznał, że nie stać go na takie ryzyko.

Dorożka zatrzymała się przed domem Halsteadów. Montague zapłacił woźnicy, otworzył furtkę i poszedł ścieżką prowadzącą ku stopniom na ganek. Zdjął kapelusz i zastukał do drzwi, unikając rozmyślenia o tym, dlaczego to robi.

Usłyszał kroki, a potem w drzwiach stanęła Violet. Od kiedyż to przestał myśleć o niej jako o panie Matcham? Gdy tylko go zobaczyła, jej twarz pojaśniała z radości.

– Pan Montague. Dobry wieczór. – Odsunęła się, by go przepuścić. – Proszę wejść. Domyślam się, że ma pan nowiny?

Przekroczył próg i odparł:

– Można tak powiedzieć. – Teraz, gdy już tu był, musiał pomyśleć o wszystkim, nad czym tak bardzo starał się nie zastanawiać podczas jazdy. – Och... mam nadzieję, że nie zakłóciłem paniom posiłku?

Uśmiechnęła się i sięgnęła po jego kapelusz.

– Nie. Lady Halstead lubiła jadać późno, a my...

Zamilkła, wstrzymując łzy.

Podał jej kapelusz. Odwróciła się, by go odwiesić, a kiedy znowu na niego spojrzała, była już opanowana.

– Proszę wejść – powiedziała, wskazując drzwi do bawialni – i się rozgościć.

Pochylił głowę, pozwalając się prowadzić. Weszli do pokoju, w którym rozmawiał kilka dni temu z lady Halstead. W przeciwieństwie do formalnego salonu pomieszczenie to sprawiało wrażenie bardziej zamieszkanego. W kominku płonął niewielki ogień, odganiając chłód, jaki zakradł się wraz z zapadnięciem zmroku.

– Zatem – Violet usiadła na krześle przed kominkiem – co to za nowiny? Czy inspektor Stokes już kogoś podejrzewa?

Montague spojrzał na nią i spostrzegł, że minę ma poważną, a palce złożonych na kolanach dłoni zaciśnięte. Mimo pozorów swobody wydawała się mocno zaniepokojona.

– Co do tej kwestii... – zawahał się, a potem powiedział: – Z przykrością muszę panią poinformować, że kiedy zaszliśmy dziś rano z panem Adairem do biura pana Runcorna, przekonaliśmy się, że biedak został zamordowany.

Violet uniosła dłoń i przyłożyła ją sobie do szyi. Jej oczy w pobladłej nagle twarzy wydawały się olbrzymie. Po chwili, kiedy to wydawało się, że zapomniała nawet oddychać, zaczerpnęła głośno powietrza i wyciągnęła przed siebie dłoń jakby w poszukiwaniu oparcia.

– Mój Boże... Czy to z powodu tej sprawy?

Montague nie zastanawiał się ani chwili, ale wyciągnął rękę i zamknął dłoń wokół palców kobiety. Były lodowate, objął je więc swoimi, a kiedy wreszcie skupiła na nim wzrok, skinął z powagą głową.

– Niestety, na to wygląda. Na biurku leżały porozrzucane papiery lady Halstead. Pracownik twierdzi, że kiedy wieczorem wychodził, Runcorn nad nimi pracował. Uważamy, że biuro zostało przeszukane.

Jej ładna twarz o delikatnych rysach posmutniała tak bardzo, że aż go to zdziwiło. Nie wiedział, że znała Runcorna na tyle dobrze, aby go oplakiwać.

– Ten biedny młodzieniec. Był tak... pełen zapału, gotów zrobić wszystko, by jego firma prosperowała. Wystarczyło raz spojrzeć na jego twarz, żeby się o tym przekonać. Och! – Zerknęła w dół, na ich splecione dłonie i przycisnęła palce drugiej ręki do warg. – Przepraszam. Proszę mi wybaczyć...

– Nie ma za co przepraszać – powiedział cicho, wzruszony jej reakcją i zaskoczony nagłym poczuciem straty.

Violet uniosła głowę i powiedziała, mrugając gwałtownie:

– To, że zamordowano lady Halstead, jest już wystarczająco okropne, ale śmierć kogoś tak młodego, z takim potencjałem, mającego przed sobą całe życie, to tragedia. Widziałam się z nim zaledwie trzy razy, i to krótko, ale wydawał się tak gorliwy i... szczery, jeśli wie pan, co mam na myśli. – Cofnęła delikatnie dłoń, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że Montague nadal ją ściska. – Przepraszam – powiedziała. – Musiał pan pomyśleć, że jestem okropnie niemądra, przejmując się śmiercią osoby, którą ledwie znałam.

– Nie, wcale tak nie pomyślałem. Uważam, że jest pani raczej – *śliczna, cudowna, wspaniała* – niespotykana współczująca, a to cecha godna podziwu. – Zamilkł, a po chwili dodał poważnie i szczerze: – Śmierć Runcorna to strata, której świat zdecydowanie nie potrzebował.

Spojrzała na niego, odwracając wzrok od płomieni w kominku.

– Właśnie. Widzę, że pan rozumie.

Pochylił głowę.

Przyglądała mu się przez chwilę, a potem spytała:

– Czy jest coś jeszcze, co chciałby mi pan powiedzieć? Pojawili się jacyś podejrzeni?

Montague zawahał się, a potem podjął decyzję. Do diabła ze Stokesem!

– Był pewien człowiek: dżentelmen.

Opowiedział o mężczyźnie, widzianym w pobliżu biura Runcorna przed i po morderstwie, a potem o wszystkim, czego się od tego czasu dowiedzieli. A także o swoich przypuszczeniach w kwestii wykorzystania konta lady Halstead. A kiedy spróbował przypisać całą zasługę za to odkrycie Gibbonsowi, zaprotestowała zdecydowanie. Doceniała wkład urzędnika, lecz spoglądała przy tym na Montague'a z takim uznaniem, iż ją się zastanawiać, czy tak właśnie czuje się ktoś uwodzony.

Uwodzony słowami i kryjącymi się za nimi myślami, a także jawnie okazywanym podziwem.

Uważał, by nie opisać zbyt szczegółowo kobiety, która zjawiała się w banku, lecz kiedy skończył, Violet zamyśliła się, a potem powiedziała, udowadniając, że nie brak jej inteligencji:

– Rodzina będzie utrzymywała, że to musiałam być ja i że to ja wyciągnęłam pieniądze z banku. A skoro tak, zapewne jestem też winna morderstwa albo przynajmniej współudziału w nim.

Coś w jej twarzy, dumnym uniesieniu brody, powiedziało mu, że nie warto zaprzeczać.

Westchnął więc tylko i pochylił głowę.

– Stokes, Adair i ja również to przewidujemy. Albo pani, albo, gdyby z jakichś względów okazało się to niemożliwe, pokojówka. Nie muszę jednak dodawać, iż żaden z nas w to nie wierzy.

Wyprostowała się, cofając i zamykając w sobie.

Poddał się impulsowi i ujął jej dłonie. Nie zaprotestowała. Spojrzał jej w oczy.

– Violet... Mogę się tak do pani zwracać?

Wpatrywała się weń przez chwilę, a potem z wolna, jakby wbrew sobie, skinęła głową.

Zaczerpnął oddechu i kontynuował:

– Musi pani uwierzyć, iż żaden z nas... to znaczy żadna z osób uczestniczących w śledztwie nie wierzy, by pani lub Tilly były winne tych zbrodni czy choćby w nie zamieszane. Dla nas podejrzenie którejs z was nie ma sensu, zdajemy sobie jednak sprawę, że Halsteadowie spróbują wskazać palcem każdego, byle spoza rodziny. Zatem... – Przerwał, aby odetchnąć. Czuł, jak z każdą chwilą dojrzewa w nim postanowienie. – Stokes wie, co robi. Ma doświadczenie, pozycję zawodową oraz świadomość, iż nie należy mówić rodzinie wszystkiego. Dlatego jeszcze ich tu nie wezwał, nie poinformował nawet o zamordowaniu Runcorna, a tym bardziej o tym, co stało się z rachunkiem lady Halstad. Zanim to zrobi, chce zgromadzić jak najwięcej informacji. Im większą wiedzę zyskamy, tym bardziej oczywiste się stanie, iż nie sposób obwinić o te przestępstwa żadnej z was.

Ściszył głos i mówił dalej, nie przestając się w nią wpatrywać:

– Musi mi pani uwierzyć, gdy mówię, że pracujemy nad tym, by schwytać winowajcę i tym samym oczyścić was z podejrzeń. – Nagle wydało mu się bardzo ważne, aby w to uwierzyła. – Zaufaj mi, Violet – powiedział cicho. – Tak czy inaczej, dopilnuję, aby nie stała się pani krzywda.

Spojrzała na jego szczerą twarz i wiedziała już, że mu wierzy.

Nie była pewna, jak to stało, że niemal od razu zaczęła tak wysoko go cenić i że stał się dla niej opoką, jedynym człowiekiem, na którym mogła polegać.

– Ufam panu. – Słowa spłynęły jej z ust, wypowiedziane tonem, który sprawił, że zarumieniła się z zażenowania. Chrząknęła zatem i szybko dodała: – A także inspektorowi i panu Adairowi. Ja... pokładam wiarę w tym, że znajdziecie mordercę, a przynajmniej zrobicie wszystko, co możliwe...

– Znajdziemy go.

I znów to poczuła – tę niezachwianą pewność wynikającą, jak zaczęła to sobie uświadamiać, z niezłomnego oddania. Już podczas pierwszego spotkania uznała go za człowieka ostrożnego, nierzucającego słów na wiatr, lecz kiedy coś obiecał...

Pochyliła głowę i powiedziała tylko:

– Dziękuję panu.

Zacisnął palce wokół jej dłoni i już miał coś powiedzieć, gdy powiew wiatru uderzył nagle o ściany. Montague zmilczał, przyglądając się przez jakiś czas twarzy Violet, a potem ucisnął lekko jej palce i je wypuścił. Wstał i podał jej ramię, pomagając wstać.

Gdy się wyprostowała, czubkiem głowy ledwie sięgała mu brody. Ich spojrzenia znów się spotkały i Violet wyczuła, że Montague zastanawia się, co zrobić. Po chwili, podjąwszy widać decyzję, cofnął się o krok i powiedział:

– Naprawdę muszę już iść. Zakłócałem paniom spokój wystarczająco długo.

Mogłaby zapewnić go, że nic takiego nie miało miejsca, podejrzewała jednak, że mieszka daleko, a sądząc po dobiegających z zewnątrz odgłosach, pogoda zaczynała robić się paskudna.

– Odprowadzę pana.

Podążył za nią do holu i wziął kapelusz. Na progu przystanął jednak i się skłonił.

– Zajrzę do pań, gdy znów czegoś się dowiem – rzekł. Włożył kapelusz, zapiął płaszcz i zszedł po stopniach na ulicę.

Violet przytknęła drzwi, aby powstrzymać nadciągający chłód, lecz odczekała w progu, póki gość się nie oddalił. Zamknęła je, dopiero gdy przeciął plac i zniknął jej z widoku. Pozostała jednak przez chwilę w holu, odtwarzając w myślach kilka ostatnich kwadransów, wir emocji, jakie – była tego pewna – oboje odczuli. Nigdy przedtem nie doświadczyła tak dziwnej, wzajemnej bliskości.

Wiatr uderzył o ściany i wyrwał ją z zamyślenia.

Wzdrygnęła się, a potem przesunęła ciężkie zasuwki w górze i w dole drzwi. Wątpiła, by ktoś jeszcze dziś je odwiedził. Na zewnątrz zapadła bowiem ciemna i dziwnie złowróżbna noc. Violet zajrzała do bawialni i upewniła się, czy ogień wygaśnie bezpiecznie sam, a potem ruszyła wąskim korytarzem do pokrytych rypsem drzwi na końcu. Pchnęła je i weszła do kuchni.

Od śmierci lady Halstead – czy to możliwe, by wydarzyło się to zaledwie przed dwoma dniami? – właśnie kuchnia stała się centrum ich małego świata. Zbierały się tutaj w ciepłe, otoczone znajomym zapachem piekących się mięs i warzyw, jak najdalej od chłodu i pustki pozostałej części domu.

Prawdę mówiąc, gdyby było to możliwe, Violet wolałaby spać właśnie tutaj zamiast w pokoju na piętrze, oddalonym zaledwie o troje drzwi od sypialni, gdzie została zamordowana lady Halstead.

Kucharka usłyszała, że nadchodzi, i uniosła zarumienioną od ognia twarz znad garnka z gęstym gulaszem, który rozlewała właśnie do misek.

– Jest pani. Myślałam już, że będę musiała posłać po panią Tilly. Kto to był?

– Pan Montague.

Wśliznęła się na krzesło przy stole. Choć podczas oficjalnych okazji jadała razem z chlebodawczynią, poza tym spożywała posiłki w kuchni z Tilly oraz kucharką. Wspólnie przeżyte lata zadzierzgnęły pomiędzy nimi silną więź, która zdawała teraz egzamin.

– Ten specjalny pełnomocnik, z którym konsultowała się pani? – Tilly, siedząca naprzeciw Violet, odbierała od kucharki napełnione miski.

Violet skinęła głową.

– Tak, on.

– Czego chciał? Spędziła z nim pani ponad pół godziny. – Kucharka odstawiła garnek na piec i usiadła przy stole.

Violet wzięła do ust łyżkę gulaszu, zaczekała, aż pozostałe kobiety zrobią to samo, po czym przełknęła kęs i powiedziała:

– Miał do przekazania nowiny.

Opowiedziała krótko o zamordowaniu Runcorna i o kobiecie, która podjęła z banku pieniądze, skupiając się bardziej na opisie mężczyzny widzianego w okolicy biura Runcorna i banku. Ponieważ obie kobiety były przekonane, że to ktoś z rodziny zamordował ich chlebodawczynię, chętnie skupiły uwagę na tym właśnie aspekcie, nie uświadamiając sobie tego, co Violet dostrzegła od razu – że rodzina niechybnie oskarży o pomoc w dokonaniu zbrodni jedną z nich. Nie widziała powodu, aby dostarczać im jeszcze więcej stresu, więc o tym nie wspomniała.

– A to ci dopiero – wzdrygnęła się Tilly. Spojrzała przez stół na Violet. – Lecz my jesteśmy tu bezpieczne, prawda? To znaczy nie ma powodu sądzić, że morderca wróci?

Violet zastanawiała się przez chwilę.

– Nie wiem, po co miałby to robić. Jeśli chodziło mu o pieniądze, to już je dostał. – Ściągnęła brwi, a potem potrząsnęła głową. – To dla mnie zbyt skomplikowane, ale panowie Montague, Adair i Stokes pracują usilnie, by schwytać mordercę.

– Cóż, dobrze. – Kucharka włożyła do ust kolejną łyżkę gulaszu. – Chyba powinniśmy im to zostawić. Mamy bardziej naglące problemy. – Spojrzała na Tilly, a potem na Violet. – Zapłacono nam za kwartał, ale musimy znaleźć sobie nowe posady, prawda? Po pogrzebie rodzina prawdopodobnie zamknie dom.

*

Po rozmowie z policyjnym z chirurgiem, z której nie dowiedział się niczego, o czym by już nie wiedzieli, Barnaby wrócił do gabinetu Stokesa.

Inspektor spojrzał na niego i spytał:

– Coś nowego?

Barnaby potrząsnął głową.

– Było dokładnie tak, jak się domyślaliśmy. Sprawca ogłuszył Runcorna podpórką, a potem udusił sznurem, ściągając przy tym z krzesła.

Stokes chrząknął, pomachał trzymaną w dłoni notatką i powiedział:

– Zostaliśmy wezwani.

– Ach tak? – Barnaby opadł na ulubione krzesło, odwrócone bokiem do biurka. – Dokąd? Po co? I przez kogo?

– Na Albemarle Street. Na kolację. Przez nasze żony.

– Ach. – Barnaby skinął głową. – Będą chciały wyciągnąć od nas wszystkie szczegóły, czego udało się nam dowiedzieć.

– Bez wątpienia – zgodził się z nim Stokes, zerkając znowu na liścik. – Wspominają też jednak, że mają za sobą dzień pełen sukcesów, gdyż dowiedziały się dużo o Halsteadach i Camberlych.

Barnaby otworzył szeroko oczy.

– Doprawdy? Ciekawe jak. – Zastanawiał się przez chwilę, a potem spojrzał na przyjaciela. – Lepiej pójdźmy i się dowiedzmy.

– Właśnie. – Stokes wstał i sięgnął po płaszcz. – Nie mam tu już nic do roboty, więc...

Machnął dłonią w kierunku drzwi, po czym obaj wyszli.

Mogli wrócić do domu spacerkiem przez Mall i Green Park, lecz zajęłoby to dobre pół godziny. Przywołali zatem dorożkę i po dziesięciu zaledwie minutach stali już u drzwi domu Adairów.

Barnaby otworzył je kluczem i weszli do holu. Mostyn pojawił się niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i wziął od nich płaszcze.

– Panie i dzieci są w saloniku z widokiem na ogród, sir – powiedział.

– Dziękuję, Mostyn. – Barnaby poprowadził Stokesa korytarzem do wygodnego saloniku, zajmującego niemal cały tył domu.

To właśnie tutaj, nie w położonej po przeciwnej stronie bibliotece, można było znaleźć Penelope najczęściej, zwłaszcza gdy miała przy sobie Olivera lub kogoś z przyjaciół. Jedną z bocznych ścian pomieszczenia zajmowały niemal w całości okna i drzwi balkonowe, toteż w ciągu dnia pokój dosłownie skąpany był w świetle. W chłodne wieczory, takie jak dzisiejszy, okna i przeszklone drzwi zasłaniały ciężkie kurtyny, a w kominku zajmującym centralną część jednej ze ścian płonął suty ogień. Wszędzie pełno było wyściełanych, krytych adamaszkiem krzesel i sof, a liczne lampy dodawały ciepłego blasku złotemu światłu płomieni. Wszystko to razem sprawiało, że salonik Penelope stanowił istną oazę przytulności oraz wygody.

Widok, jaki napotkali po wejściu Barnaby i Stokes, rozgrzałyby każde męskie serce. Penelope i Griselda siedziały na podłodze pomiędzy dwiema bliźniaczymi sofami, a wokół nich piętrzyły się rozłożone szeroko spódnice. Kobiety śmiały się, poświęcając całą uwagę dwojgu maluchom brykającym na grubym futrze rzuconym na dywan Aubusson w bezpiecznej odległości od paleniska osłoniętego kratą.

Gdy usłyszały, że mężczyźni nachodzą, uniosły ku nim twarze i się uśmiechnęły.

Barnaby i Stokes zatrzymali się na chwilę, napawając rozkosznym widokiem, a potem uśmiechnęli się, ucałowali policzki żon, po czym opadli na podłogę i przyłączyli się do zabawy.

Przez następnych dwadzieścia minut nie wspomniano nawet słowem o morderstwie, pieniądzach ani czymkolwiek mającym związek ze śledztwem.

W końcu dzieci zrobiły się senne. Penelope wstała, spojrzała z satysfakcją na grupkę na dywanie, podeszła do dzwonka i pociągnęła za sznur.

Nianie czekały, kiedy zostaną wezwane. Przyszły i zabrały podopiecznych do pokoju dziecinnego. Mostyn poskładał futro oraz zabawki dzieci i także wyszedł, zatrzymując się jedynie, aby powiedzieć:

– Kolacja czeka, *madame*. Możemy podawać, jeśli pani sobie życzy.

– Dziękuję, Mostyn – odparła Penelope. – Zaraz idziemy.

Ruszyli do jadalni spowici ciepłem, jakie pozostawiły po sobie dzieci, wymieniając się anegdotami na temat malców i wychwalając ich ostatnie osiągnięcia.

Dopiero kiedy zasiedli przy stole i Mostyn podał pierwsze danie, wrócili do spraw związanych ze śledztwem.

Na prośbę pań Stokes, wspomagany przez Barnaby'ego, przekazał, czego się w ciągu popołudnia dowiedzieli. Nie próbowali zatrzymać niczego dla siebie. Zważywszy, iż Penelope była obecna, gdy znaleziono ciało Runcorna, pomyślał, by teraz trzymać żony z dala od nieprzyjemnych aspektów dochodzenia, wydawał się cokolwiek spóźniony.

Jak należało się spodziewać, miały pytania, niektóre bardzo wnikliwe i trafiające w sedno.

To Penelope skupiła się na powodach, dla których zarówno kasjer, jak handlarka zapałkami uznały kobietę składającą wizytę w banku za damę. Po kilku minutach ożywionej dyskusji zgodzono się, że musiało chodzić o strój, maniery i sposób wyrażania się. Wszystko to, jak zauważyła Griselda, nietrudno uzyskać.

– Czyli, bazując na tym, czego dowiedzieliśmy się wcześniej, oraz na tym, że ktoś przeszukał papiery Runcorna, należy uznać, iż sprawcą był któryś z Halsteadów lub młody Camberly – podsumowała Penelope. – Zakładamy, że zabił Runcorna, a potem zapłacił jakiejś kobiecie, mogącej ująć za damę, by pokazała w banku sfałszowany dokument i podjęła pieniądze z rachunku lady Halstead. – Spojrzała płonącymi podekscytowaniem ciemnymi oczami na zebranych, a kiedy wszyscy przytaknęli, spytała: – Czy to możliwe, aby ktoś inny zabił Runcorna, a Halstead tylko przeszukał

papiery na biurku?

Stokes zastanawiał się przez krótką chwilę, w końcu potrząsnął jednak głową.

– Mało prawdopodobne, zważywszy na czas, kiedy widziano go wchodzącego, a potem wychodzącego z biura. Wszedł krótko po tym, jak opuścił je Pringle. Gdyby chciał przeszukać jedynie papiery, spostrzegłby, że Runcorn jeszcze pracuje i aloby wyszedł, albo go przepytał. W obu przypadkach dokumenty na biurku nie leżałyby w takim nieładzie.

– Hm... – Penelope skinęła głową. – Tak, muszę się z tym zgodzić. Biednego Runcorna zabił któryś z Halsteadów.

Griselda ściągnęła brwi.

– Z opisu zwłok wnoszę, że nie bierzecie pod uwagę, by mogła to zrobić kobieta, dama czy nie. – A kiedy potrząsnęli zdecydowanie głowami, spytała: – A lady Halstead? Czy ją mogła zabić kobieta?

Stokes spojrział na Barnaby'ego.

– Tak, to byłoby możliwe. Dama była starsza, słaba i krucha. Każda kobieta, przeciętnego wzrostu i w miarę silna, mogłaby przytrzymać poduszkę na tyle długo, żeby udusić ofiarę.

– Zatem – kontynuowała Griselda – niewykluczone, że mamy tu do czynienia z dwoma różnymi mordercami, działającymi razem bądź niezależnie od siebie. Mogą to być: kobieta i któryś z Halsteadów, dwaj Halsteadowie lub, jak zakładaliśmy od początku, tylko jeden.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, a potem Barnaby się skrzywił.

– Masz rację, nie wiemy, czy mamy do czynienia z jednym mordercą, czy z dwoma, wątpię jednak poważnie, aby działali niezależnie. Zbieżność pomiędzy tym, iż lady Halstead została zamordowana niemal natychmiast, gdy oznajmiła, że poleciła sprawdzić swoje finanse, a potem ktoś zabił człowieka, któremu zleciła to zadanie, nie może być przypadkowa. – Spojrział na pozostałych. – Motywem obu zbrodni była chęć ukrycia depozytów. W konsekwencji ten, kto je ukrywał, postarał się, aby zniknęły z banku, zanim policja zorientowała się i go obstawiała.

Penelope przytaknęła.

– Brzmi logicznie. – A po chwili dodała: – Z tego, co odkrył Montague, wynika, że pieniądze pochodzą z handlu nielegalnym towarem, możemy więc założyć, iż gdyby wyszło na jaw, czym zajmuje się sprawca, wybuchłby skandal. Zatem, moim zdaniem, jedynym, którego możemy wykluczyć, jest Wallace Camberly. Nie mógł być mężczyzną widzianym w pobliżu biura, prawda? – Przerwała i zmarszczyła nos. – Widzę tu jednak pewną lukę. Osobą, która boi się skandalu, mógł być Wallace, lady Halstead mogła zabić jego żona, a Runcorna syn.

– W rzeczy samej – stwierdził ponuro Stokes. – Jeśli dopuścimy możliwość, że w zbrodni zaangażowana jest więcej niż jedna osoba, w grę wchodzi praktycznie wszyscy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

– Jednakże – Griselda uniosła dłoń – trudno sobie wyobrazić, aby przynajmniej jednym z morderców nie był ktoś związany z tym domem, nawet kobieta.

– Zwłaszcza jeśli łączył ją z którymś z Halsteadów niewiadomego rodzaju związek – wtrąciła Penelope. – Jednak zważywszy, czego dowiedzieliśmy się już o tej rodzinie oraz zapatrywaniach jej członków na kwestie społeczne, wątpię, by któryś z nich zniżył się do tego, aby zadawać się z kimś ze służby lady Halstead czy nawet panną Matcham.

Barnaby prychnął zdegustowany.

– Powiedziałbym, że jest wręcz przeciwnie: to panna Matcham nie chciałaby mieć nic do czynienia z żadnym z nich.

Penelope ściągnęła brwi.

– Czyli dokąd nas to prowadzi?

– Do tego, że trzeba sprawdzić alibi każdego z Halsteadów i to w przypadku obu morderstw – burknął Stokes. Poruszył się na krześle i wyprostował, pozwalając, by Mostyn zmienił mu talerz. – Muszę zebrać ich wkrótce i poruszyć ten temat. Założę się, że będzie to istne pole minowe.

Mostyn krążył, nalewając dyskretnie wino i zmieniając dania. A kiedy na stole znalazły się owoce i sery, Barnaby spojrzął na Penelope.

– Napisałaś, że miałyście cudowny dzień i dowiedziałyście się sporo o Halsteadach i Camberlych. Czego się zatem dowiedziałyście? I od kogo?

– Poznałyśmy raczej tło wydarzeń niż istotne informacje. – Penelope poczęstowała się biszkoptem w winie, a potem się uśmiechnęła. – Griselda opowie wam o pierwszej cześci, tej najbardziej interesującej, a ja o reszcie.

Griselda opisała ich wizyty w sklepach przy Kensington High Street i powtórzyła, czego dowiedziała się od sprzedawczyń.

– Krótko mówiąc, oba domy: Mortimera Halsteda i Cynthii Camberly nieustająco ze sobą rywalizują.

– I to nader zażarcie – dodała Penelope, wylawiając maliny z pucharka.

– Zważcie, że o ile jaśnie państwo bardzo przejmują się rywalizacją – dodała Griselda – to służba traktuje ją z przymrużeniem oka, by nie powiedzieć, pobłażaniem.

– Dlaczego dwoje dorosłych ludzi, brat i siostra, mieliby zachowywać się w ten sposób? – zapytał Stokes szczerze zdziwiony.

– Ach. – Penelope odłożyła łyżeczkę. – Pamiętacie, jak rozmawialiśmy o tym, że Cynthia i Mortimer rywalizowali ze sobą w dzieciństwie, walcząc o uwagę rodziców?

A kiedy obaj panowie przytaknęli, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Miałam rację co do rywalizacji, bardziej zaciętej, niż sądziłam, lecz nie do końca co do jej powodów. Wprawdzie ani Halsteadowie, ani Camberly'owie nie obracają się w kręgach arystokracji, jednak lady Osbaldestone, a także Caro miały na tę sprawę interesujący pogląd.

Przekazała panom w skrócie, czego dowiedziały się w salonie Horatii.

– Zatem, krótko rzecz ujmując, dziećmi Halsteadów, zwłaszcza Cynthią i Mortimerem, kieruje mieszanka osobistych ambicji i przymus rywalizacji.

Stokes i Barnaby przysłuchiwali się tym rewelacjom z należytą uwagą.

Po chwili namysłu Stokes skinął głową. Spojrzął na Penelope, a potem na Griseldę.

– Dziękuję. Mamy teraz jaśniejszy obraz tego, kim są ci ludzie i co jest dla nich ważne. Pomogłyście odkryć też motyw pierwszej zbrodni: nikt nie popełnia matkobójstwa ot tak, jeśli nie kryje się za tym silna animozja pomiędzy matką a dzieckiem. Wiemy, że między lady Halstead a jej potomstwem niczego takiego nie było, potrzeba byłoby zatem niezwykle silnego motywu, by któreś z nich ją zabiło. Oczywiście gdyby byli normalną rodziną. Lecz ta rodzina nie jest normalna, zatem w obliczu rodzicielskich zaniedbań, jakie wskazała lady Osbaldestone, motyw nie musiał być aż tak silny. – Wykrzywił usta w grymasie niemal drapieżnego oczekiwania. – Wszystko, czego się od was dowiedzieliśmy, pomoże nam, kiedy będziemy poddawać ich przesłuchaniu, pytając o alibi.

– À propos tego właśnie przesłuchania – powiedziała Penelope. – Zważywszy, jak cennych dostarczyłyśmy informacji, uważamy, że powinniśmy być przy nim obecne. – A widząc, że obaj panowie nie odnoszą się do tego pomysłu z entuzjazmem, dodała: – Widzimy więcej niż wy.

Temu nie dało się zaprzeczyć. Stokes poruszył się niespokojnie.

– Nie wyobrażam sobie, jak moglibyśmy to zaaranżować – rodzina z pewnością sprzeciwi się waszej obecności.

– Przeczytałam dziś rano w „Timesie”, iż pogrzeb lady Halstead ma odbyć się pojutrze – powiedziała

Penelope. – Nikt nie może zabronić mnie i Griseldzie, byśmy przyłączyły się do żałobników lub wzięły udział w stypie. Jestem pewna, że jeśli szepniemy słówko pannie Matcham, zdoła przedstawić nas jako osoby udzielające jej wsparcia i przy odrobinie szczęścia będziemy mogły być obecne przy odczytywaniu testamentu.

Barnaby spojrział na uśmiechniętą, niepoprawną żonę i pokręcił głową z podziwu. Zdążyła wszystko zaplanować, a skoro nie kryło się za tym niebezpieczeństwo... Zerknął na Stokesa.

– To dobry pomysł. – Widać było, że choć inspektor ma pewne zastrzeżenia, plan mu się podoba. Barnaby spojrział zatem na żonę i powiedział: – Jeśli już nic innego, przynajmniej będziecie mogły obserwować reakcje członków rodziny, gdy my będziemy wypytywać ich o alibi.

– Właśnie – zgodziła się z nim ochoczo Penelope. – Zatem ustalone. Idziemy z wami na pogrzeb, a potem na stypę.

*

– Muszę przyznać – powiedziała, kiedy zmierzali kilka godzin później ku sypialni – że nie mogę się już doczekać tego pogrzebu, a jeszcze bardziej stypy.

Barnaby zamknął za nimi drzwi i się uśmiechnął.

– Jedyne ty mogłaś powiedzieć coś podobnego tak pełnym radosnego oczekiwania tonem.

Penelope także się uśmiechnęła.

– To niezwykle zajmujące brać udział w śledztwie. – Podeszła do toaletki i zaczęła wyjmować z włosów szpilki mocujące skomplikowaną fryzurę. – Zapomniałam też, jakie to ekscytujące. Odkrywanie, kim jest morderca, zwłaszcza w sprawie takiej jak ta, to skomplikowana łamigłówka, absorbująca i stanowiąca nie lada wyzwanie, ponieważ trzeba się dowiedzieć jak najwięcej o ludziach, zrozumieć ich aspiracje oraz pobudki, jakie nimi kierują, a potem poskładać to wszystko, by znaleźć drogę przez labirynt poszlak i dojść do właściwych wniosków.

Barnaby zrzucił surdut i powiesił go na stojaku, a potem rozwiązał i zdjął krawat. Chociaż rozumiał jak mało kto zainteresowanie żony zagadkami, zwłaszcza natury kryminalnej, nie był pewien, co czuje w związku z tym, iż znów się w nie zaangażowała.

– Wiem, że pomogłyśmy wam z Griseldą przy sprawie Henrietty i Jamesa, ale sprowadziło się to głównie do planowania i organizacji. Trudno porównać to z wyzwaniem, jakie stanowi prawdziwe dochodzenie. – Rozpuściła włosy, a potem zdjęła naszyjnik oraz kolczyki i zaczęła szczotkować bujne loki.

Barnaby przyglądał się temu jak zawsze zafascynowany. Podeszedł z wolna do żony i jął rozpinać długi rząd guziczków z tyłu jej sukni.

Penelope zorientowała się, co mąż robi, odłożyła szczotkę i stała spokojnie, wsparłszy dłonie na biodrach, aby ułatwić mu zadanie.

– Rozmawialiśmy o tym z Griseldą, zastanawiając się, ile czasu możemy poświęcić na dochodzenie, i uznałyśmy, że trzeba zachować równowagę pomiędzy ważnymi dla nas sferami życia, chociaż nie wszystkie są tak intelektualnie pobudzające jak policyjne śledztwo.

Ulżyło mu, że Penelope zdaje sobie sprawę z tej konieczności, mimo to...

– Dobrze się dzisiaj spisałyście – mruknął, a po chwili wewnętrznej walki dodał: – Nie wiedziałem, że zamierzacie wyjść, i to w takim celu.

– To było coś, co mogłyśmy zrobić bez wątpienia tylko my, a ty i Stokes nie. Nie wymagało nawet szczególnego namysłu.

Barnaby ściągnął brwi.

– Nie?

Ostatni guzik został rozpięty.

Penelope zsunęła suknię z ramion, ta zaś opadła z cichym szelestem na podłogę. Podniosła ją i rzuciła na stołek przed toaletką, a potem odwróciła się ku niemu, ubrana jedynie w przejrzystą koszulę. Położyła okulary na stole i powiedziała:

– Namysłu w kwestii tego, czy z naszymi badaniami wiąże się jakieś niebezpieczeństwo.

– Ach tak.

Wyciągnął ku niej ramiona. Podeszła i wtuliła się w nie, wsunąwszy ręce pod poły rozpiętej koszuli męża. Zamknął dłonie wokół jej talii, zafascynowany smukłością i ciepłem skóry okrytej jedynie śliskim jedwabiem.

Odchyliła w tył głowę i spojrzała na niego, unosząc brwi.

Nie zadali sobie trudu, żeby zapalić choć jedną lampę. Napotkał w półmroku jej spojrzenie.

– Chociaż ulżyło mi i bardzo mnie ucieszyło, że powstrzymałyście się od działania przynajmniej na tyle długo, żeby się nad tym zastanowić, muszę przyznać, iż dla mnie, podobnie jak dla Stokesa, troska o wasze bezpieczeństwo stanowi sprawę kluczową. Obawiamy się, że ryzyko, jakie pewnego dnia podejmiecie, nawet bezwiednie, może skutkować fizycznym zagrożeniem.

Charakterystycznym gestem przechyliła głowę i jęła mu się przyglądać, próbując odczytać wyraz jego twarzy, całej, nie tylko oczu.

– Może cię zainteresuje – powiedziała, unosząc kąciki warg w ledwie dostrzegalnym uśmiechu – pewna szczególna uwaga, jaką podzieliła się z nami dziś lady Osbaldestone. Słuchałyśmy bardzo uważnie, bo kiedy ktoś tak wiekowy i mądry chce dzielić się swoimi przemyśleniami, niemądrze byłoby z tego nie skorzystać.

– Naturalnie – stwierdził Barnaby z nutką cynizmu w głosie.

Penelope się uśmiechnęła.

– Tak czy inaczej, uznałyśmy, że to akurat spostrzeżenie wydaje się zbyt trafne, aby nie przywiązywać do niego wagi. Opisując, jak to się stało, że młodzi Halsteadowie tak bardzo się od siebie oddalili, lady Osbaldestone wskazała na fakt, iż nie wychowywali ich rodzice, a niemal wyłącznie nianie i guwernantki. Tym samym dorastającemu potomstwu zabrakło rodzicielskiego przewodnictwa, przykładu. Zdaniem lady Osbaldestone to właśnie sprawiło, że choć ich rodzice byli ludźmi prowadzącymi przykładny żywot, o dzieciach nie da się tego powiedzieć.

Barnaby uniósł brwi.

– I jaką naukę z tego wyciągnęłyście?

– Taką, iż bez względu na to, jaką równowagę uda nam się uzyskać pomiędzy różnymi sferami życia, naszym obowiązkiem jest zapewnić dzieciom dość wspólnie spędzanego czasu, którego potrzebują. – Ona także uniosła brwi. – I, jak wskazuje przykład Halsteadów, ta zasada tyczy się nie tylko matek, lecz także ojców.

Barnaby wytrzymał jej spojrzenie. Widział, że jest absolutnie zdecydowana przeprowadzić w tej kwestii swoją wolę, a jej pragnienie angażowania się w śledztwa powściąga i ogranicza miłość do syna... oraz kolejnych dzieci, które zapewne się pojawią. Pochylił głowę.

– Nie zamierzam z tym polemizować – powiedział z przekonaniem.

Penelope uśmiechnęła się, a potem objęła męża za szyję i musnęła wargami jego usta.

– Jak widzisz, nie macie się ze Stokesem o co martwić.

– A to dlaczego? – zamruczał, odpowiadając żarliwie na pocałunek.

A kiedy oderwał usta od jej ust, odparła z lekkim zniecierpliwieniem:

– Ponieważ, wzięwszy głęboko do serca słowa lady Osbaldestone, przyrzekłyśmy sobie z Griseldą, że

choćby pokusa była nie wiem jak silna, nie zrobimy nic, co mogłoby powstrzymać nas przed bezpiecznym powrotem do domu wieczorem.

– Ach, rozumiem.

Czasami, gdy wyjaśniała mu zawilóści kobiecego sposobu myślenia, czuł się niemal tępy, jednak tym razem, gdy wszystko, co powiedziała, połączyło się w jego głowie w jedno, poczuł, że zalewa go fala ulgi.

Przysunęła się do niego, obejmując drugim ramieniem i przyciskając swoje krągłości do jego twardego ciała.

– Kończąc sprawę: przyrzekamy, że nie będziemy wypuszczać się poza modne dzielnice bez Phelpsa i dwóch lokajów, tak jak to robiłam, zanim Oliver pojawił się na świecie. – Przyciągnęła go mocniej do siebie. – Nie musisz więc się zamartwiać.

Odsunął się jedynie na tyle, by móc spojrzeć jej w oczy, odczytać w nich, że rozumie jego niepokój.

Czasami to, jak bardzo była mu bliska, jak precyzyjnie potrafiła odczytać jego myśli oraz emocje, budziło w Barnabym lęk. Lecz przynosiło również korzyści i to była właśnie jedna z nich.

Penelope rozumiała, co myśli i czuje, a skoro tak, będą szli ręką w rękę przez pole minowe swoich emocji. Zważając na jej pragnienia i jego potrzeby, znajdą w końcu równowagę, która pozwoli im żyć pełnią życia, wykorzystać zdolności, jakimi zostali obdarzeni, by zyskać największą, najgłębszą satysfakcję z tego, co dają sobie nawzajem, swojej rodzinie i społeczeństwu.

– Dziękuję – wyszeptał z wdzięcznością i zadowoleniem.

– Być może – odparła, uśmiechając się szelmowsko – mógłbyś wyrazić swoją wdzięczność w inny sposób. Niewymagający słów.

Roześmiał się bezgłośnie i przywarł ustami do warg żony, dzieląc z nią pasję i radość.

Zaczęli wspólny taniec, poruszając się z wprawą i bez wysiłku. Pozbywszy się ubrań, pieścili się, poddając i obejmując w posiadanie.

Znaleźli drogę do łóżka, gdzie ich namiętność mogła osiągnąć spełnienie. Ostatnia bariera runęła, unosząc oboje na szczyt.

Z zamkniętymi oczami, splecionymi palcami, całując się, przywierając do siebie, a potem się rozdzielając, wędrowali poprzez znajomy krajobraz, ten zaś, jak zawsze, na nowo ich zachwycił.

Kiedyś zdarzało mu się zastanawiać, czy wraz z upływem lat małżeńska bliskość nie osłabi intensywności tych przeżyć, ale tak się nie stało. Jeśli już, ich podróż obfitowała teraz w jeszcze więcej cudownych przeżyć, bardziej kolorowych, wibrujących, nasyconych przyjemnością.

Bardziej poruszających.

Kiedy zawisnął nad nią po raz ostatni z napiętymi mięśniami, żyłami twardymi niczym postronki, gdy wbijał się w jej chętne ciało, a potem zrywając ostatnią zasłonę, prowadził ich do raju, wiedział bez słów, rozumiał sercem i duszą, że ten cud, ta radość, ta niemal bolesna bliskość nigdy ich nie opuści.

Nie w tym życiu, a jeśli będą mieli w tej sprawie coś do powiedzenia, także w przyszłym.

ROZDZIAŁ 9

Następnego ranka Violet zeszła na śniadanie spóźniona. Minęła drzwi do kuchni, wpinając we włosy ostatnie szpilki.

– Nie mogłam zasnąć, a potem zasnęłam – powiedziała.

Kucharka siedziała przy stole, chrupiąc grzankę posmarowaną szczodrze marmoladą. Skinęła ponuro głową.

– Wiem, o czym mówisz. Mnie też zapadnięcie w sen zabrało wieki, a rano nie mogłam podnieść się z łóżka.

Violet nalala sobie herbaty z czajnika stojącego na podgrzewaczu. Postawiła filiżankę i spodek obok talerza i opadła na krzesło.

– A gdzie Tilly?

– Zapewne też jeszcze śpi.

Sączyły herbatę, pogryzając grzanki. Nie potrzebowały słów, by dzielić się spokojem poranka i prostym posiłkiem. W nocy Violet nie mogła przestać myśleć o tym, co przytrafiło się Runcornowi – zdrowemu, dziarskiemu mężczyźnie, młodszemu od niej o kilka lat. Jeśli zbrodniarz był w stanie z taką łatwością pozbawić życia krzepkiego mężczyznę, co mógłby zrobić z nią? Czy była tu bezpieczna?

Nie dawało jej to spać, aż wreszcie uznała, że nie zaśnie, póki czegoś nie zrobi. Wstała zatem i przesunęła pod drzwi niewielką toaletkę, czując się odrobinę głupio.

Powtarzała sobie, że przesadza, lecz zdołała usnąć dopiero wtedy, gdy wąta barykada zabezpieczyła jako tako wejście do sypialni.

Oczywiście konieczność odsunięcia rano toaletki opóźniła jeszcze bardziej pojawienie się Violet w kuchni. Kiedy odsuwała mebel, spostrzegła, że drzwi są lekko uchylone. Uznała jednak, że widać Tilly, schodząc, próbowała zajrzeć do jej pokoju. Przygotowała się więc, aby udzielić jak najmniej ambarasującego wyjaśnienia... Zmarszczyła brwi i spojrzała na zegar.

– Tilly... Lepiej pójdźmy i spróbujmy ją obudzić. Może źle się poczuła.

Kucharka spojrzała niebieskimi oczami na Violet i ta uświadomiła sobie, że myślą o tym samym – jakie to nieprawdopodobne, by Tilly, chora czy nie, nie zeszła do tej pory na dół. Nic poza absolutną niezdolnością do wstania z łóżka nie zmusiłoby jej, by nie zjawiła się w kuchni, zwłaszcza że było tu przyjemnie ciepło w przeciwieństwie do reszty domu, gdzie panował, dosłownie i w przenośni, przenikliwy chłód.

Poczuła, że ogarnia ją złe przeczucie.

Kucharka zacisnęła wargi i oznajmiła:

– Pójdę z tobą.

Violet skinęła głową i wstała. Na piętrze zatrzymała się u szczytu schodów i, podobnie jak kucharka, wyętyżyła słuch. Niczego jednak nie usłyszały – żadnych kroków ani szelestów.

Nawet śladu życia.

Czując się tak, jakby jej ramiona przygniatał wielki ciężar, wymieniła z kucharką zatroskane spojrzenia, a potem ruszyła ku wąskim drzwiom w końcu korytarza. Podobnie jak drzwi jej pokoju, te również pozostawiono uchylone. Violet zaczerpnęła oddechu, wyciągnęła rękę i pchnęła drzwi. Za nimi, pograżone w półmroku, widniały schody na poddasze.

Obydwie nasłuchiwały znowu przez chwilę, z podobnym rezultatem.

– Tilly? – zawołała kucharka.

Nic. Cisza.

Weszły na schody, Violet pierwsza, kucharka za nią. Kiedy znalazły się w wąskim korytarzyku prowadzącym do trzech niewielkich pokoiów, podeszły ku najbliższym drzwiom.

Były zamknięte, lecz nie na klucz. Violet zapukała:

– Tilly?

Drzwi uchyliły się szerzej, a kiedy z pokoju nie dobiegł żaden dźwięk, pchnęła je mocno i otworzyła.

Nie potrzebowały wchodzić do środka, żeby zobaczyć, co się wydarzyło.

Tilly leżała na plecach, z rozrzuconymi rękami i nogami, wpatrując się martwym wzrokiem w sufit.

Usta miała otwarte szeroko, jakby zaraz miał dobyć się z nich krzyk.

Violet wpatrywała się w przyjaciółkę – a właściwie w zwłoki, czując lodowaty chłód. Choć nadal patrzyła, jej mózg odmawiał przyjęcia do wiadomości tego, co widziały oczy.

– O Boże, Boże...

Przerażony szept sprawił, że się otrząsnęła. Spojrzała na kucharkę. Rumiana zazwyczaj kobieta była blada jak prześcieradło. Stała, wpatrując się w zwłoki szeroko otwartymi oczami, i przyciskała do ust dłoń, szepcząc przez palce.

Violet przełknęła ślinę i zaczerpnęła gwałtownie oddechu, po czym, nie oglądając się na łóżko, objęła kucharkę ramieniem i wyprowadziła z pokoju jak najdalej od straszego widoku.

– Już nic się nie da zrobić. – Jej głos brzmiał pewnie, spokojnie, choć wcale tak się nie czuła. – Zejdźmy i wezwijmy policję.

Nie mogły zrobić dla Tilly nic więcej niż tylko dopomóc, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

Nie pamiętała, jak znalazły się w kuchni. Ocknęła się dopiero, nalewając do kubków mocną herbatę dla siebie i kucharki. Kobieta opadła na krzesło, łkając donośnie.

Violet chwyciła kawałek szorstkiego papieru oraz ołówek, używane przez kucharkę do sporządzania listy zakupów, usiadła przy stole i zaczęła pisać.

Kucharka uniosła ku niej zaczerwienioną od płaczu twarz.

– Nie waż się wzywać tego głupiego lekarza. Powie, że Tilly umarła ze starości!

– Nie zamierzam. – Nawet nie przyszło jej do głowy, by wezwać doktora Milborne’a. – Poślę wiadomość inspektorowi Stokesowi i panu Montague’owi. Jej lordowska mość mu ufała i ja też ufam.

Nie miała pojęcia, czy Montague będzie mógł zrobić coś, by pomóc, mimo to... chciała, żeby tu był. Musiała znów go zobaczyć, poczuć jego siłę, pozwolić, aby zapewnił ją, że nic się jej nie stanie. Bez tego... Natychmiast gdy tylko przestawała robić coś konkretnego, ogarniało ją uczucie, że jej mózg zaraz się rozpadnie.

Kucharka pociągnęła nosem i zapytała płaczliwie:

– Będziesz potrzebowała dwóch posłańców?

Violet przytaknęła, nie odrywając wzroku od kartki.

– Jednego, by zaniósł wiadomość do Scotland Yardu, i drugiego, by pobiegł do Chapel Court w City.

Kucharka westchnęła ciężko, a potem otarła oczy fartuchem, odsunęła się od stołu i wstała.

– Zawołam Tommy’ego i Alfiego z sąsiedztwa. Załatwią sprawę szybko i jak należy.

– Dziękuję. – Violet nie przestawała pisać, starając się skupić na tym, co robi, żeby nie myśleć o tym, czego zrobić już nie mogła.

Nie mogła cofnąć czasu i powiedzieć Tilly, że się boi – na tyle, by zabarykadować drzwi. Gdyż właśnie ten strach ją ocalił... Nie miała jednak dość odwagi, by wspomnieć o nim Tilly i ocalić także ją.

Stokes ledwie mógł uwierzyć w to, co widzi. Stał w progu maleńkiego pokoju na poddaszu, wpatrując się z gniewem w ciało na łóżku.

Przyprowadził ze sobą policyjnego chirurga, Pemberton, który badał właśnie zwłoki. Dokonawszy oględzin, wyprostował się i spojrział na Stokesa.

– To samo co przedtem. Uduszona poduszka. – Machnął dłonią, wskazując poduszkę rzuconą na krzesło przy drzwiach. – Jak sądzę, tamtą.

– Jak się panu zdaje, o której nastąpiła śmierć? – zapytał Stokes.

Pemberton się skrzywił.

– Gdzieś nad ranem, ale to tylko przypuszczenie.

Stokes nadal wpatrywał się w łóżko. Po chwili zauważył:

– Starsza pani była słaba, ta nie.

– Rzeczywiście – zgodził się z nim Pemberton. – Walczyła, jak mogła, jednak ten, kto przycisnął jej do twarzy poduszkę, był silniejszy.

– Zatem, pańskim zdaniem, to mało prawdopodobne, by zbrodni dokonała dama.

– Ani dama, ani w ogóle kobieta. – Pemberton spojrział na ciało. – Ofiara była zdrowa i silna. Z pewnością niełatwo było sobie z nią poradzić.

Stokes chrząknął.

– Coś jeszcze?

Pemberton potrząsnął głową.

– Nic, czego by pan już nie wiedział.

– Zostawię więc pana, by robił swoje.

Zdażył przeszukać pokój, ale morderca nie okazał się zbyt uprzejmy i nie zostawił wizytówki ani też nic przypominającego trop. Pokój był mały i było w nim niewiele rzeczy. Wątpił, żeby morderca zadał sobie trud i je przeszukał, tym bardziej że nic nie wskazywało, aby to zrobił.

Schodząc wąskimi schodami, a potem szerszymi na parter, mamrotał pod nosem:

– Przyszedł jedynie po to, żeby ją zabić. Lecz po co zabijać pokojówkę?

W holu podszedł do konstabla strzegącego drzwi.

– Coś się działo? A może ktoś przyszedł?

– Tylko pan Adair, sir, ze swoją żoną i pańską, tak jak się pan spodziewał. Poszli do kuchni i powiedzieli, że zaczekają tam na pana.

Stokes skinął głową, zaskoczony, że Barnaby nie wszedł od razu na górę... skoro były z nim panie, nie mógł ryzykować i wybrał bardziej bezpieczną ścieżkę.

– Wkrótce pojawią się tu ludzie z kostnicy, lecz do tej pory nikogo się nie spodziewam. Powiadom mnie natychmiast, jeśli ktoś się pojawi.

– Tak jest, sir.

Gdy przybył na Lowndes Street, w progu powitał go Montague. Chętnie powierzył mężczyźnie misję uspokojenia panny Matcham i zapłakanej kucharki, gdyż pozwoliło mu to przystąpić od razu do działania. Zanim opuścił Scotland Yard, wysłał wiadomość Barnaby'emu, sugerując, aby dołączył do niego na miejscu zbrodni, i rozciągając zaproszenie na Penelope oraz Griseldę, którą odwiózł rankiem na Albemarle Street.

Zważywszy, jak wiele zdołały się poprzedniego dnia dowiedzieć, oraz na to, iż patrzyły na sprawy z innej perspektywy, dostrzegając rzeczy, których nie byli w stanie zobaczyć on ani Barnaby, przewyciężył naturalny opór przed włączeniem ich do śledztwa, ponieważ zdawał sobie sprawę, że wzdragając się przed tym, postąpiłby niemądrze.

I to nie tylko w sensie zawodowym.

Wszedł do kuchni, gdzie powitało go sześć par spoglądających z zaciekawieniem oczu. Wszyscy siedzieli wokół stołu.

– I co? – zapytał Barnaby, kiedy Stokes przysunął sobie krzesło.

Inspektor usiadł obok Griseldy, spojrział na Barnaby'ego, Violet – pannę Matcham – i wreszcie na kucharkę.

– Jak zdążyłeś już bez wątpienia się domyślić, Tilly Westcott, pokojówka lady Halstead, została zamordowana w ten sam sposób co jej chlebodawczyni, czyli uduszona poduszką podczas snu.

– Jakies różnice? – dopytywał się Barnaby.

– Nie w kwestii *modus operandi*, ale jest jedna, zdaniem doktora Pembertona, dosyć znacząca. – Spojrział na Violet i kucharkę. – Czy panna Westcott była zdrowa?

– Jak ryba – odparła kucharka.

Violet przytaknęła.

– Z tego, co wiemy, nic jej nie dolegało.

– A czy była silna? – kontynuował Stokes.

– Silna jak koń – zapewniła kucharka. – Mogła podnieść i udźwignąć rzeczy, od których chyba pękłyby mi kręgosłup.

Violet spojrzała po siedzących przy stole osobach.

– Tilly była wyższa niż ja, mocno zbudowana i raczej grubokoścista. Czyli tak – spojrzała znowu na Stokesa. – Musiała być dość silna.

Stokes pochylił głowę.

– Zatem była o wiele silniejsza niż lady Halstead i walczyła z napastnikiem. Tyle wiemy. A jednak udało mu się ją udusić.

– Zatem morderca nie mógł być kobietą, nie w tym przypadku. – Penelope spojrzała na Barnaby'ego, a potem na Stokesa. – Jakie jest prawdopodobieństwo, że lady Halstead i Tilly nie zabiła ta sama osoba?

– Praktycznie żadne. – Stokes zamilkł, a potem dodał: – Morderca jest więc mężczyzną na tyle silnym, by obezwładnić silną kobietę.

– Jakies przypuszczenia co do czasu napaści? – zapytał Barnaby.

– Pemberton twierdzi, że stało się to nad ranem. – Od strony frontowego holu dobiegł ich nagły hałas. Stokes wstał. – To pewnie moi konstable. Wysłałem ich, by popytali w okolicy, czy ktoś coś widział, ale zważywszy na porę i paskudną pogodę, zapewne nie dopisze nam szczęście.

Wyszedł, zostawiwszy pozostałych pogrążonych w rozmyślaniach. Po dwóch minutach wrócił i usiadł.

– Jak się dostał do domu? – Penelope popatrzyła wpierw na Stokesa, a potem na Barnaby'ego, Montague'a i siedzącą tuż obok Violet. – Jakies pomysły?

Barnaby się wyprostował.

– Nie udało nam się tego ustalić po śmierci lady Halstead. – Spojrział na Stokesa. – Ostatniej nocy mocno padało, tuż przed północą. Jeśli zaczniemy teraz szukać, może natkniemy się na jakies ślady.

Wiatr, który zerwał się wieczorem, przyniósł burzę i ulewny deszcz, poza tym był październik i wszędzie leżały mokre liście. Stokes spojrział na Violet.

– Czy kiedy podeszła pani rano do drzwi, zauważyła pani wilgoć, liście lub jakies zabrudzenia we frontowym holu?

Violet potrząsnęła głową.

– Weszłam tam dopiero, by wpuścić pana i pana Montague'a, ale nie przyglądałam się podłodze. Nie jestem pewna, czy coś bym zauważyła.

– A od tej pory przeszło tamtędy już tyle osób, że nie ma sensu sprawdzać – dodał Stokes.

– Jednak wchodzenie od frontu byłoby przejawem skrajnej arogancji. – Penelope spojrzała na kucharkę. – Gdzie znajdują się tylne drzwi?

Kucharka odwróciła się i wskazała kierunek.

– Tam. Ale – spojrzała na Stokesa, który zdążył już wstać – wychodziłam tamtędy dziś rano, by wysłać chłopców z wiadomością do Scotland Yardu i pana Montague’a.

– Nic nie szkodzi. – Stokes podszedł do łukowego przejścia, za którym znajdował się boczny korytarz. – Barnaby – poprosił przyjaciela. – Reszta niech zostanie w kuchni.

Sprawdzili podłogę w korytarzu, lecz nie znaleźli mokrych śladów. Nawet kucharka ich nie zostawiła.

Wrócili do kuchni i Stokes się skrzywił.

– Nic z tego, czyli drzwi mamy z głowy...

– Niezupełnie, są jeszcze boczne – wtrąciła Violet, a kiedy wszyscy na nią spojrzeli, wyjaśniła: – Wychodzą na boczną alejkę pomiędzy ulicą a stajniami. – Odsunęła krzesło. – Pokażę panom.

Montague wstał i podał jej ramię.

Podziękowała mu słabym uśmiechem, okrążyła stół i poprowadziła Stokesa oraz Adaira do tylnej części frontowego holu, a potem wąskim przejściem pod schodami. Jeszcze dwa zakręty i zatrzymała się przed krótkim, ciemnym korytarzykiem. Na jego końcu znajdowały się drzwi. – Oto one – powiedziała, a potem odsunęła się, by Adair i Stokes mogli obejrzeć korytarz. Stokes postąpił krok w przód, lecz Adair został na swoim miejscu.

– Światło – powiedział. – Potrzebujemy co najmniej dwóch lamp.

Stokes skinął głową i odwrócił się do Violet.

– Domyślam się, że te drzwi są zwykle zamknięte.

Spojrzała na majaczące w cieniu panele.

– Zazwyczaj tak.

– Kto ma klucz? – zapytał Stokes.

– Lady Halstead ma... miała kółko z kluczami do wszystkich drzwi. O ile wiem, nadal znajdują się w toalecie, gdzie zwykle je zostawiała. Jest tam też klucz do bocznych drzwi. Drugi wisi na haczyku w kuchni. – A potem dodała, nie czekając, aż zostanie zapytana: – Te drzwi są rzadko używane, a jeśli już, to głównie przez modystki, krawcowe i dostawców ze sklepu Hatcharda. Żywność przechodzi przez tylne drzwi, a reszta zakupów tędy.

– Kiedy ostatni raz ich używano? – zapytał Adair. – Wie pani?

Violet zastanawiała się przez chwilę, spoglądając na drzwi. W końcu powiedziała:

– O ile wiem, nie były używane od kilku miesięcy, może nawet od Bożego Narodzenia.

Stokes spojrzał na Adaira.

– Zorganizujmy to oświetlenie.

Znaleziono lampy i Violet wzięła jedną, a Montague drugą. Oświetlili korytarz, który Adair i Stokes zaczęli uważnie przeszukiwać, zwracając szczególną uwagę na podłogę.

Adair, który posuwał się powoli, podczas gdy Violet świeciła mu ponad ramieniem, zatrzymał się przed drzwiami.

– Może pani skierować światło na tę listwę? A konkretnie na szparę pomiędzy listwą a podłogą?

Zrobiła, o co prosił, a wtedy kucnął i sięgnął po coś palcem.

– Mam cię!

Stokes odwrócił się na pięcie i przyjrzał pojedynczemu listkowi na czubku palca Adaira.

– Jest ciągle na tyle wilgotny, by przylgnąć do skóry – stwierdził ten ostatni.

Stokes zadrżał niczym trzymany na smyczy pies myśliwski.

– Jest pani pewna, że nikt nie wchodził tędy dziś rano? – zapytał Violet.

– Absolutnie – zapewniła.

Uśmiech, jaki pojawił się na ustach inspektora, nie wróżył przestępcy nic dobrego.

– Zatem – powiedział – wiemy, że mordercą jest mężczyzna z rodziny Halsteadów, posiadający klucz do bocznych drzwi.

Przyjrzeni się zamkowi, lecz nie dostrzegli śladów wskazujących, by próbowano otworzyć go siłą, a potem wrócili wszyscy do kuchni. Kiedy szli, Violet wyczuła zmianę nastroju mężczyzn – o ile przedtem wydawali się nieco zagubieni, niepewni, teraz zachowywali się, jakby chwycili wreszcie trop i nie mogli się doczekać, by za nim podążyć.

Ich zdecydowanie i pewność udzieliły się pozostałym, gdy dowiedzieli się o nowym odkryciu.

Kucharka wstała od stołu i zaparzyła dwa dzbanki świeżej herbaty. Violet uświadomiła sobie, że kobieta musi być nieco onieśmielona tym, iż podejmuje w swojej kuchni tak wyśmienite towarzystwo. Gdy przyszli, Adair przedstawił swoją żonę i żonę Stokesa. Violet była wtedy zbyt zaabsorbowana, żeby zdać sobie sprawę, jak bardzo dziwaczna jest to sytuacja. Panie okazały się wszakże rozsądne i pomocne, była zatem wdzięczna za ciepło, jakie wniosły do tego ponurego dnia, którego jedynym jaśniejszym momentem było pojawienie się Montague'a.

Bez niego czuła się samotna i odizolowana.

Zamilkli, by napić się herbaty. Violet niemal słyszała, jak obracają się trybiki w ich głowach.

Żona Stokesa, Griselda – gdyż właśnie tak poleciła Violet się nazywać – odstawiła filiżankę i powiedziała, ściągając lekko ciemne brwi:

– Nie rozumiem tylko, po co zabił pokojówkę? Jakże mogła stanowić dla niego zagrożenie? – Spojrzała przez stół na Violet. – Proszę wybaczyć, że spytam, ale czy Tilly mogła być w zмовie z mordercą?

– Absolutnie nie! – zadeklarowały unisono Violet i kucharka.

– Muszę się z tym zgodzić – dodał Adair. – Po prostu nie jestem w stanie sobie wyobrazić, by Tilly mogła mieć coś wspólnego z zamordowaniem swojej pani, a co dopiero Runcorna.

– Co prowadzi nas znów do pytania Griseldy – zauważyła Penelope. – Po co zabijać pokojówkę?

Po chwili zastanowienia Stokes powiedział:

– Może to coś takiego, jak przydarzyło się Henriecie Cynster. – Spojrzał na Violet. – Jedna z ostatnich spraw.

– Hm... – Penelope zmrużyła z namysłem oczy i odstawiła filiżankę. – Masz na myśli, że mogła coś wiedzieć lub coś zobaczyć i choć w danej chwili nie wydawało się to ważne w zestawieniu z innymi informacjami...

– ...na przykład – wtrącił Montague – takimi, które mogłyby wyjść na jaw, gdyby zbadano finanse lady Halstead.

Penelope skinęła głową.

– Właśnie. Gdyby więc okazało się, że to, co wie Tilly, ma znaczenie...

– ...i mogłoby wskazać na przykład mordercę – przytaknął Stokes z ponurą miną. – Tak, to ma sens. Zatem reasumując: uważam, że Tilly została zamordowana, ponieważ wiedziała coś, z czego znaczenia nie zdawała sobie sprawy.

– On się zabezpiecza – powiedział Adair, a kiedy wszyscy na niego spojrzeli, kontynuował: – Wyjaśnialoby to wszystkie trzy morderstwa – nie sądzę, byśmy musieli szukać dodatkowego motywu. Wykorzystywał rachunek lady Halstead, by ukryć dochody z nielegalnego przedsięwzięcia i żeby zachować swoje działania w tajemnicy, zabił w pierw lady Halstead, następnie Runcorna, a teraz Tilly.

Stokes przyglądał się Adairowi przez chwilę, a potem skinął głową. Zmarszczył brwi i spojrzał na pannę Matcham.

Nim zdążył zadać pytanie, Montague nakrył dłonią spoczywającą na stole dłoń Violet.

– Uważam, że powinna pani powiedzieć Stokesowi to, co powiedziała pani mnie.

Spojrzała na niego i nie spuściła wzroku, choć miała świadomość, że wszyscy jej się przyglądają. Skinął głową, by dodać jej otuchy, a wtedy, nie cofając dłoni, zaczerpnęła oddechu i spojrzała na Stokesa.

– Pan Montague odwiedził nas wczoraj i opowiedział o postępach w śledztwie, a także o tym, że pan Runcorn został zamordowany. – Umilkła, gdy Stokes spojrzał na Montague'a, unosząc pytająco brwi.

Ten nie spuścił wzroku, lecz ścisnął lekko dłoń Violet, zachęcając ją, by kontynuowała. Zaczerpnęła więc kolejnego, drżącego oddechu i powiedziała:

– Dziś rano, kiedy przybył pan Montague, powiedziałam mu, jak bardzo wstrząsnęła mną śmierć pana Runcorna. Czułam się tak niespokojna, że zanim się położyłam, przesunęłam pod drzwi sypialni toaletkę.

Zerknęła na Montague'a, a potem przeniosła spojrzenie znowu na Stokesa.

– Kiedy ją rano odsuwałam, odkryłam, że drzwi są uchylone. – Zamilkła, aby obecni mogli wyrazić zaskoczenie i wzburzenie, a potem kontynuowała: – Kiedy się kładłam, były na pewno zamknięte, lecz rano...

Odwróciła dłoń i splotła konwulsyjnie palce z palcami Montague'a, a potem uniosła wyżej brodę i zakończyła:

– Podejrzewam, że gdyby pan Montague nie powiedział mi o śmierci pana Runcorna, nie byłabym na tyle przerażona, aby zabarykadować drzwi, i leżałabym teraz w sypialni martwa.

Zebrani wydali kilka stosownych, wyrażających przerażenie okrzyków.

– Nie przypuszczam, żeby wiedziała pani, co wie, że tak się wyrażę? – spytała Penelope.

Violet potrząsnęła głową.

– Gdyby tak było, gdybym mogła zidentyfikować mordercę lady Halstead, a teraz także Runcorna i Tilly, na pewno bym powiedziała... cóż, wszystko i każdemu.

Penelope się skrzywiła, a pozostali zamamrotali pocieszająco.

Stokes, siedzący z posępną miną za stołem, postukał palcami w blat, a kiedy się uciszyli, stwierdził ponuro:

– Mamy więc trzy morderstwa oraz pieniądze pochodzące zapewne z nielegalnej działalności. Mamy też powód podejrzewać, że winowajcą jest któryś z Halsteadów, a to dlatego, iż nie tylko pasują oni do opisu osoby widzianej w pobliżu biura Runcorna i banku, lecz mogli też wejść w posiadanie klucza do bocznych drzwi, zyskując dostęp do domu oraz możliwość zamordowania lady Halstead i pokojówki. – Spojrzał po zebranych i powiedział stanowczo: – Myślę, że najwyższy czas znowu porozmawiać z rodziną.

ROZDZIAŁ 10

Rozesłał oficjalne wezwania, nakazując członkom rodziny stawić się przy Lowndes Street o drugiej po południu.

– To doskonała pora, nie mogą się bowiem wykręcić, oświadczając, iż umówili się z kimś na lunch lub muszą uczestniczyć w zebraniu towarzyskim innego rodzaju – zauważyła Penelope.

Patrzył, jak wchodzi o oznaczonej godzinie do salonu, i zastanawiał się, czy przywiodły ich tutaj niemożność znalezienia wiarygodnej wymówki, czy raczej ciekawość. Przyglądając się im ze swego miejsca w końcu korytarza, mruknął do Adaira:

– Ta ich rywalizacja może zadziałać na naszą korzyść.

Barnaby uśmiechnął się ironicznie.

– Myślisz, że przyszli, by wy badać, czego dowiedziałeś się o innych? – Przyjrzał się Constance Halstead szepcząc coś do córki i skinął głową. – To możliwe.

Po chwili Stokes powiedział:

– Chciałbym wierzyć, że poszukiwania Montague'a na coś się zdadzą, wątpię jednak, aby morderca okazał się na tyle głupi i umieścił pieniądze w miejscu, gdzie łatwo można je znaleźć.

– Nie. Na pewno nie będzie aż tak głupi. – Montague powiedział im, że rozpoznanie stanu finansów Halsteadów zajmie mu kilka dni. – Zgadzam się z Montague'em, że jest to coś, co wymaga sprawdzenia i bylibyśmy głupi, zaniedbując to, jednak od początku nasz łotr był na tyle sprytny, by wiedzieć, że musi ukryć pieniądze. Teraz jeszcze skuteczniej niż przedtem. Nie dopuści więc, aby zostały znalezione i by można go było z nimi powiązać.

Stokes prychnął.

– Gdybym był na jego miejscu, schowałbym je w puszcze pod łóżkiem.

– Lepiej na szafie – odparł Barnaby równie cicho. – Prędzej czy później pokojówki znajdują rzeczy schowane pod łóżkiem.

Stokes błysnął uśmiechem.

Lecz kiedy wchodził wraz z Adairem oraz Montague'em do salonu, był już śmiertelnie poważny. Violet, Penelope i Griselda zasiadły tam, zanim członkowie rodziny Halsteadów zaczęli się schodzić. Gdyby któreś z nich zakwestionowało obecność obu pań, Penelope zamierzała wyjaśnić, iż przyszły, by wspierać Violet. Stokes zauważył natychmiast, że wszystkie trzy zajęły miejsca na sofie pod oknem, naprzeciw kominka, co pozwalało im obserwować członków rodziny zmuszonych zadowolić się krzesłami i bliźniaczymi sofami po obu stronach paleniska.

Siedząc, przyglądały się rodzinie. Stokes nie spodziewał się, by wzięły czynny udział w przesłuchaniu, i miał szczerą nadzieję, że tego nie zrobią. Wyjaśnienie, dlaczego ich żony czują się upoważnione zadawać pytania, przerastałoby nawet możliwości obdarzonego bujną wyobraźnią Adaira.

Przyjrzał się rodzinie i stwierdził, że wszyscy są obecni, przeszedł zatem przez pokój i zajął miejsce przed kominkiem, skąd miał doskonały widok na całe pomieszczenie. Barnaby i Montague podążyli za nim. Barnaby zatrzymał się po prawej stronie inspektora, a Montague nieco z tyłu. Oni również mogli swobodnie przyglądać się twarzom obecnych, zwracając uwagę na każdy szczegół.

Dwaj konstable weszli do pokoju, zamknęli cicho drzwi i zajęli miejsca po obu ich stronach.

Postanowiono przeprowadzić przesłuchanie w salonie zamiast w jadalni, ponieważ układ mebli w pokoju pozwalał Stokesowi, Barnaby'emu i Montague'owi wykorzystać przewagę wzrostu. Stali,

podczas gdy mężczyźni Halsteadów zajęli uprzywilejowane, jak im się zdawało, miejsca na sofach i w fotelach.

Stokes zdecydowany był potrząsnąć rodzinnym drzewkiem i sprawdzić, co spadnie.

– Cóż, inspektorze – zagaił Wallace Camberly. – Jakież nowiny?

– Mam nadzieję, że nie zebrał nas pan tu dzisiaj, żeby powiedzieć, iż morderca naszej matki nie znalazł się jeszcze za kratkami – prychnął Mortimer. – Bóg wie, że policja pana Peela dysponuje wystarczającymi środkami.

Cynthia Camberly, z domu Halstead, uśmiechnęła się do Stokesa cokolwiek obłudnie.

– Proszę nie zwracać uwagi na mojego brata, inspektorze. To ten jego biurokratyczny umysł. Domyślam się jednak, że ma nam pan coś do przekazania?

Stokes, który zdążył już przenieść wzrok z Wallace'a na Mortimera, utkwiał go teraz w Cythii. Wpatrywał się w nią długo i z obraźliwą wyższością, a kiedy przestała czuć się swobodnie, przesunął z wolna spojrzeniem po twarzach reszty zebranych w pomieszczeniu osób. Dopiero gdy dotarł do ostatniej, powiedział:

– Zebrałem tu dziś państwa, aby poinformować, że pan Andrew Runcorn z firmy Runcorn i Syn, którego lady Halstead zatrudniła, by przyjrzał się jej finansom, został przedwczoraj zamordowany.

Barnaby skupił uwagę na młodszych mężczyznach – Walterze Camberlym i Haydenie Halsteadzie – pozostawiając obserwowanie ich ojców Montague'owi. Z tego, co zdołał zauważyć, reakcja obu młodzieńców odpowiadała w pełni ich charakterom. Walter, starszy o kilka lat, wydawał się z lekka zaszokowany, lecz także zaciekawiony, podczas gdy Hayden pozostał znudzony i nadąsany. Walter nie spodziewał się usłyszeć czegoś takiego i nie bardzo wiedział, jak przyjąć nowinę, podczas gdy Haydena to naprawdę nie obchodziło – śmierć Runcorna nic dla niego nie znaczyła.

Ktokolwiek zabił Runcorna, uznał Barnaby, mordercą nie był z pewnością żaden z nich.

Po chwili nieuchronnego zaskoczenia Cynthia pochyliła się w przód i przygwoździwszy Stokesa rozkazującym spojrzeniem, spytała:

– Sugeruje pan, inspektorze, że zabójstwo tego pana Runcorna miało coś wspólnego z faktem, iż badał finanse mojej matki?

Stokes nie spieszył się z odpowiedzią, lecz w końcu odparł:

– Zważywszy, że na biurku leżały porozrzucane dokumenty związane z matką pani i że ktoś ewidentnie je przeszukał, trudno uniknąć takiego wniosku, prawda?

– Cóż! – Biust Constance Halstead zafalował, uniesiony świętym oburzeniem. – Doprawdy nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego ktoś miałby się interesować sprawami mojej teściowej. To musiał być przypadek, że na biurku leżały akurat te papiery.

– W rzeczy samej – stwierdził oschle Wallace Camberly. – Skoro jej lordowska mość zażyczyła sobie, aby sprawdzono jej finanse, nie widzę powodu, aby tyczące się tego zadania akta nie mogły znajdować się na biurku. – Spojrzał oczami bez wyrazu na Stokesa. – Uważam, że za dużo stara się pan wydedukować. Runcorn miał bez wątpienia wielu klientów, a kim my jesteśmy, aby orzekać, kto przeszukał, bądź nie, jego papiery? Zabójstwo może mieć związek z każdą ze spraw, którymi się zajmował. Tak jak ja to widzę, nie ma powodu szukać przyczyny akurat w tym, że pracował dla lady Halstead.

Stokes wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę nieporuszony, a następnie potoczył spojrzeniem po zebranych.

– Może zainteresuje państwa także wiadomość, iż następnego ranka po tym, jak pan Runcorn został zamordowany, z rachunku lady Halstead zniknęła pokaźna suma pieniędzy.

To ich z pewnością zainteresowało.

– Kto podjął pieniądze? – zapytał władczo Mortimer.

– Do diabła! – Maurice wyprostował się na sofie, gdzie dotąd zalegał w milczeniu. – Chce pan powiedzieć, że my... nasza mama została obrabowana?

Na twarzy Cynthii odmalowało się wzburzenie, zastąpione niemal natychmiast chłodną kalkulacją.

– Ile zostało zabrane?

– I jak? – Nie było to pytanie, lecz raczej żądanie. – Boże święty, banki powinny mieć procedury chroniące przed czymś podobnym! – oburzył się Wallace.

– I mają – prychnął Mortimer. – Co tu się dzieje, inspektorze? Czy to bank zawinił?

Komentarze, domysły i przypuszczenia napływały ze wszystkich stron. Nawet Caroline czuła się na tyle poruszona, by ubolewać nad stratą funduszy.

Wreszcie Stokes zdecydował, że dość tego – obserwatorzy mieli wystarczająco dużo czasu, aby wyrobić sobie zdanie. Poruszył się znacząco i wszyscy natychmiast na niego spojrzeli. Odczekał, aż przestaną paplać i się uciszą.

– Policja ustaliła, że bank w niczym tu nie zawinił. Wypełniono pisemne polecenie lady Halstead. Nie powiadomiono ich, iż dama nie żyje. Powinien był to zrobić Runcorn, ale nie zdążył. Przy bliższym przyjrzeniu się stwierdziliśmy, że zlecenie przedstawione w banku zostało sfalszowane, choć bardzo umiejętnie. Ktokolwiek je napisał, musiał być dobrze obznajomiony z pismem lady Halstead.

– Kto przedstawił zlecenie w banku? – zapytał William.

Stokes przyglądał mu się przez chwilę, nim odpowiedział:

– Zawołowana kobieta, wyglądająca i zachowująca się jak dama, chociaż jej status to jedynie domysły.

Wszyscy zamilkli zdziwieni. Constance Halstead odwróciła pierwsza głowę i spojrzała na Violet, siedzącą na sofie pomiędzy Griseldą a Penelope.

Jej córka, Caroline, zauważyła to i także się odwróciła.

Po chwili wszyscy spoglądali już na Violet, niektórzy jedynie szacująco, inni wręcz oskarżycielsko.

– Po co ta woalka? – zastanawiała się Cynthia na głos.

Mortimer natychmiast podjął wyzwanie:

– To oczywiste. Nie chciała, aby ją rozpoznano.

Cynthia wykrzywiła pogardliwie usta i spojrzała na brata.

– Właśnie. To zaś sugeruje, iż mogłaby zostać rozpoznana. – Spojrzała na Stokesa. – Czy nie wskazuje to, że zawołowana kobieta była w jakiś sposób związana z moją matką?

Constance odwróciła wreszcie wzrok od Violet, by dodać:

– Zwłaszcza jeśli pismo na zleceniu tak bardzo przypominało pismo mamy.

– To jedna z możliwości – zgodził się z nią Stokes. – Lecz skoro policja wykluczyła już osoby z najbliższego otoczenia lady Halstead, chciałbym usłyszeć, czy jakieś inne kobiety związane ze sprawą wydają się państwu warte sprawdzenia.

Zarówno Cynthia, jak i Constance natychmiast się wycofały. Wymieniły spojrzenia, lecz się nie odezwały.

Wallace Camberly poruszył się niespokojnie.

– Wracając do bardziej naglących spraw: ile pieniędzy ukradziono, inspektorze?

– Obawiam się – odparł gładko Stokes – że nie mogę podać państwu tej odpowiedzi.

Barnaby nie przestawał obserwować obu młodzieńców; Walter wydawał się nieco zaintrygowany, podczas gdy Hayden z uwagą przyglądał się swoim paznokciom.

Postanowili wcześniej, że zatrzymają dla siebie informację o dżentelmenie czekającym na tajemniczą damę w powozie, trafnie przewidując, że rodzina w poczuciu zagrożenia mogłaby zewrzeć

szyki i jeszcze trudniej byłoby cokolwiek z nich wyciągnąć.

I tak nie bardzo się starali.

Stokes zajrzał do swego notesu, a potem podniósł wzrok i powiedział znacznie bardziej zdecydowanym tonem:

– Muszę też państwa zawiadomić, że dzisiaj rano pokojówka lady Halstead, Tilly Westcott, została znaleziona w swoim pokoju martwa.

To wzbudziło zainteresowanie wszystkich, nawet Haydena. Zainteresowanie, ale nie smutek czy choćby współczucie.

Walter wytrzeszczył oczy w zdumieniu, ale się nie odezwał, pozwalając, aby rodzice, ciotka i wuj zrobili to za niego.

Reakcję rodziny można byłoby podsumować jednym niewypowiedzianym pytaniem: A co to ma wspólnego z nami? Patrzyli na Stokesa z minami wyrażającymi kompletne niezrozumienie, czekając, aby wyjaśnił, dlaczego mieliby przejmować się czymś tak niewiele znaczącym jak śmierć pokojówki.

– Panna Westcott została zamordowana w ten sam sposób co lady Halstead – wyjaśnił zatem. Zamilkł na chwilę, a potem kontynuował: – My, to znaczy policja, uważamy, że zrobił to ten sam człowiek, który zamordował jej lordowską mość. Powodem była zaś obawa, iż rzeczona pokojówka wie coś, co pomogłoby nam go zidentyfikować.

Barnaby zaczął tracić zainteresowanie oboma młodzieńcami. Jedyne, co udało mu się zaobserwować, to zaskoczenie oraz ciekawość. Żaden nie zdradzał oznak, jakoby wiedział cokolwiek o trzech morderstwach czy choćby czegoś się domyślał.

Wallace Camberly spochmurniał.

– Skoro tak, nie od rzeczy byłoby zapewne przypuścić, że pokojówka, która zdążyła się zapewne przez lata sporo o swojej pani dowiedzieć, mogła pomagać w zamordowaniu lady Halstead, a potem udać się w przebraniu do banku, podjąć pieniądze i zostać zamordowana przez współnika?

– W rzeczy samej, inspektorze. – Mortimer Halsteadskinął sztywno głową, potwierdzając, acz niechętnie, słowa szwagra. – Taki scenariusz pasowałby bez wątpienia do faktów. – Popatrzył na Stokesa, unosząc arogancko brwi. – To z pewnością bardziej prawdopodobne niż zakładanie, że któryś z członków tej rodziny mógłby mieć cokolwiek wspólnego ze zbrodnią.

Stokes przysłuchiwał się tym wywodom z kamienną twarzą, a po chwili zapytał, ledwie trzymając gniew na wodzy:

– Jedna sprawa nadal domaga się wyjaśnienia, nawet przy założeniu, jakie pan poczynił. Chodzi o to, że morderca dostał się bocznym wejściem do domu, posługując się kluczem, i to aż dwa razy. – Przesunął pytającym spojrzeniem po rodzinie. – A skoro już przy tym jesteśmy, proszę pozwolić, że zapytam: kto z państwa posiada taki klucz?

Przez pokój przetoczył się szmer zaniepokojenia, choć jeszcze nie lęku.

Camberly spojrział ostro na żonę.

– O ile wiem, my go nie mamy.

Cynthia zacisnęła usta, jakby pytanie sprawiło jej ból.

– Nie mamy – odpowiedziała jednak. A potem spojrzała na Stokesa i dodała zjadliwie: – O ile wiem, nie ma go nikt z rodziny.

Mortimer także wydawał się zirytowany.

– Widzi pan, inspektorze, matka była... cóż, niezależna. Nawet gdy umarł nasz ojciec, a ona została tu sama, nie dała nikomu z nas kluczy do domu. – Popatrzył znowu na Violet. – Myślę, że panna Matcham może to potwierdzić.

Violet spojrzała przez pokój na Stokesa i skinęła niechętnie głową.

– Nie wiem nic o tym, by lady Halstead dała komukolwiek klucz do domu. Twierdziła, że nie ma takiej potrzeby.

– Właśnie! – Cynthia spojrzała triumfująco na Stokesa. – Zatem widzi pan, inspektorze, że nikt z rodziny nie mógł być w to zamieszany.

– Choć raz muszę zgodzić się z siostrą, inspektorze. – Wyraz twarzy Mortimera świadczył, iż robiąc to, czuje się tak, jakby zmuszono go do ssania cytryny. – To zaś rodzi pytanie: co robi policja, by schwytać tego złodzieja i mordercę?

Stokes zlekceważył przytyk wyczuwalny w tonie głosu Mortimera i odpowiedział jak gdyby nigdy nic:

– Podążamy kilkoma tropami. Jeśli na coś wpadniemy, rodzina zostanie poinformowana, teraz jednak następny nasz krok będzie polegał na ustaleniu alibi osób powiązanych z ofiarami i tym samym potencjalnie podejrzanych. Każdy, kto mógł, bezpośrednio lub nie, skorzystać na śmierci jej lordowskiej mości, jest w oczach prawa podejrzany. A skoro tak, to choć zakładam, że okaże się to czystą formalnością, muszę zapytać każdego z państwa, gdzie byli i co robili w te trzy wieczory, kiedy popełniono morderstwa.

Natychmiast rozległy się gniewne okrzyki. Damy udawały zdumienie i oburzenie, podczas gdy bracia Halsteadowie protestowali donośnie, kwestionując konieczność spowiadania się z tego, jak spędzali czas.

Walter Camberly i Hayden Halstead nie przyłączyli się do protestów, Barnaby zauważył jednak, że miny mają nietęgie. Spoglądali niepewnie na swoje szacowne matki, co dowodziło, iż boją się nie tyle ujawnienia związków ze zbrodnią, ile pospolitych grzeszków.

Wallace Camberly także nie protestował. Siedział w kącie sofy, zaciskając wargi z miną człowieka, którego cierpliwość zaraz się wyczerpie. Promieniował irytacją i zdenerwowaniem, lecz w przeciwieństwie do pozostałych chyba wiedział, że protesty na nic się nie zdadzą.

Tymczasem Stokes czekał cierpliwie, aż towarzystwo się uspokoi, i Camberly wreszcie stracił cierpliwość.

– Jestem bardzo zajęтым człowiekiem, inspektorze. – Wyprostował się i spojrzał na Stokesa. – Widzę, że jest pan zdecydowany poznać nasze alibi, a skoro tak, czy mógłbym zaprezentować je panu jako pierwszy? Po południu odbywa się w parlamencie debata, w której chciałbym uczestniczyć.

Stokes pochylił głowę, ale nim zdążył odpowiedzieć, Mortimer oznajmił:

– Na mnie też czekają. – Podchwycił spojrzenie inspektora. – Muszę wracać do biurka i obowiązków. Machina władzy nie zatrzyma się z powodu czegoś tak nieistotnego jak domowa zbrodnia.

Barnaby się spodziewał, że Stokes zaprotestuje, gdyż sam z pewnością by tak postąpił. Tymczasem...

Stokes, ewidentnie zadowolony, lecz starając się to ukryć, skinął głową w kierunku Mortimera, a potem Camberly'ego.

– Pozwoli pan tutaj? – zapytał, wskazując temu ostatniemu alko w kącie pokoju, gdzie ustawiono krzesła i stół. – A kiedy już złożę pan oświadczenie, będę mógł wysłuchać pana Halsteada.

– Doskonale. – Camberly wstał, obciągnął surdut oraz rękawy i ruszył za Stokesem.

Mortimer Halstead spoglądał w ślad za nimi.

Jego żona i siostra zaczerpnęły oddechu, a potem zaczęły kłócić się o to, która jest bardziej oczekiwana w innym miejscu i tym samym powinna zostać przepytana jako pierwsza.

Barnaby stłumił uśmiech. Spojrzał na Montague'a i wymamrotał: – Jakieś postrzeżenia?

Montague potrząsnął głową.

– Zarówno Camberly, jak i Mortimer Halstead za bardzo przywykli maskować swoje reakcje. Przez cały czas panowali nad wyrazem twarzy i nie sposób było poznać, co naprawdę myślą.

Barnaby skrzywił się lekko.

– Może damom bardziej się poszczęści.

Po drugiej stronie pokoju Penelope spytała Violet:

– Czy zachowanie któreś z tych osób panią zaskoczyło?

Violet zastanawiała się przez chwilę, lecz potrząsnęła głową.

– Trochę zdziwiło mnie, że Caroline w ogóle się odezwała, lecz to, co powiedziała, w pełni do niej pasuje. Ona, Hayden i Walter bywali na kolacjach u babki, ponieważ życzyli sobie tego ich rodzice, lecz rzadko brali udział w rozmowie. Zazwyczaj po prostu siedzieli pogrążeni we własnych myślach. Dzisiaj... powiedziałabym, że nieco bardziej skupili się na tym, co działo się dookoła, ale... – Skrzywiła się. – Wynikało to chyba raczej z ciekawości, niezdrowej fascynacji, jaką budzą u niektórych przemoc i śmierć.

Griselda potoczyła spojrzeniem po zebranych przed kominkiem członkach rodziny i przytaknęła:

– Doszłam do tego samego wniosku. – Spojrzała na Penelope. – Nie zauważyłam podejrzanego reakcji, a ty?

Penelope zmarszczyła nos i popatrzyła znów na Halsteadów.

– Nie. – A po chwili dodała: – Mimo to, kiedy już ich poznałam i przekonałam się, jak bardzo są samolubni, umocniłam się jeszcze bardziej w przekonaniu, że to któreś z nich jest mordercą. Już choćby tylko dlatego że nie potrafię wyobrazić sobie nikogo, kto miałby motyw, by zamordować zarówno lady Halstead, jak i Runcorna i pokojówkę. Nie mówiąc o próbie zamordowania Violet. – Spojrzała znów na Halsteadów i Camberlych. – Zatem to któryś nich, ale który?

– Może podane alibi dostarczą nam jakiegoś śladu. – Griselda przyglądała się mężowi siedzącemu przy okrągłym stole, podczas gdy Mortimer Halstead relacjonował z miną męczennika swoje poczynania. Wallace Camberly tymczasem, zakończywszy zeznania, skinął krótko głową żonie i wyszedł drzwiami, które jeden z konstabli przed nim otworzył. Griselda wiedziała, że w holu czeka ich jeszcze kilku. Mieli za zadanie dopilnować, by podejrzani wyszli z domu od razu, nie zaglądając na piętro ani do bawialni.

Mortimer wstał, rozejrzał się z nieodgadnioną miną po salonie i skierował ku drzwiom. Jego żonie, Constance, udało się wyprzedzić Cynthię, zajętą rozmową z synem. Stali przy kominku, rozmawiając przyciszonymi głosami, z głowami pochylonymi ku sobie.

– Założę się, że Cynthia poucza syna, co ma powiedzieć – zauważyła Griselda, przyglądając się im.

Penelope prychnęła.

– Tak jakby Stokes i jego ludzie nie byli w stanie tego sprawdzić.

Constance wstała i Cynthia pospieszyła zająć jej miejsce, wyprzedziwszy Caroline. Dziewczyna zmarszczyła gniewnie brwi, lecz ustąpiła i odsunęła się, aby poczekać na swoją kolej.

Constance przystanąła i rozejrzała się po salonie. Zatrzymała wzrok na Violet, osłanianej z obu stron przez Penelope oraz Griseldę, a następnie, uniósłszy wysoko głowę, popłynęła ku nim niczym fregata pod pełnymi żaglami. Zatrzymała się przed sofą, spojrzała z góry na Violet, ignorując Griseldę i Penelope, po czym oznajmiła z miną matrony, wykonującej domowe obowiązki:

– Panno Matcham, uważam, że lepiej niż ktokolwiek z nas nadaje się pani do tego, aby zająć się tą niefortunną sprawą związaną z panną Westcott. W rzeczy samej, podejrzewam, że wchodziłoby to w zakres pani obowiązków względem jej lordowskiej mości.

Violet spojrzała na przemawiającą z irytacją panią Halstead i przygryzła mocno język, by nie zareagować ostro na tę „niefortunną sprawę”. Zamiast tego skinęła sztywno głową i powiedziała:

– Jak pani sobie życzy. Z uwagi na jej lordowską mość zawiadomię rodzinę panny Westcott.

Z pewnością nie zamierzała zostawić sprawy pogrzebu biednej Tilly w rękach Halsteadów. Spojrzała

na Stokesa nadal zajętego pisaniem. Cynthia wstała, a jej miejsce zajęła Caroline. Violet spojrzała znów na Constance i dodała:

– A przynajmniej pozostanę w kontakcie z policją i dowiem się, co może zostać zrobione.

– Nie sądzę, żeby policja zajmowała się tym ostatnim morderstwem zbyt długo. Nie było przecież ważne – zauważyła Constance, jeszcze bardziej zirytowana.

I nim któraś z nich zdążyła wyartykułować ciętą odpowiedź, obok szwagierki zatrzymała się z szelestem modnie skrojonych spódnic Cynthia. Wszystkie trzy damy – Constance, Caroline i Cynthia – zrobiły co mogły, aby wyglądać, jakby były w żałobie, jednak, oczywiście, prawdziwie żałobne suknie nadal były u szwaczek.

– Jak pani zapewne rozumie, panno Matcham – powiedziała Cynthia, spoglądając z góry na Violet – rodzina będzie chciała zamknąć jak najszybciej dom. Zważywszy, że jej lordowska mość odeszła, nie ma powodu, by pozostała tu pani zatrudniona. To samo tyczy się reszty personelu. Choć pogrzeb jej lordowskiej mości odbędzie się u Świętego Piotra, zgodziliśmy się, że najwygodniej będzie zorganizować stypę tutaj. Potem będziemy chcieli od razu zamknąć dom.

– Właśnie – przytaknęła jej Constance. – Proszę poinformować zatem kucharkę, że będziecie musiały poszukać sobie innego lokum.

– Aby zapewnić należyty standard, przyślę jutro mojego kamerdynera i podkuchenną. Pomogą w serwowaniu przekąsek i sprzątaniu kuchni – dodała Cynthia. – Lecz później możecie uznać, że wasze zatrudnienie dobiegło końca.

Violet przysłuchiwała się dwóm stojącym przed nią wiedzmom z twarzą wypraną z wszelkich emocji. Mieszkała w tym domu, wypełniając bez zarzutu swe obowiązki, przez osiem lat, a kucharka jeszcze dłużej.

Poczuła, że palce Penelope zaciskają się wokół jej dłoni w geście zarówno pociechy, jak i ostrzeżenia. Siedząca z drugiej strony Griselda przysunęła się nieco bliżej, okazując w ten sposób swoje wsparcie. Violet opanowała się i skinęła sztywno głową. Usłyszała, jak mówi:

– Przekażę instrukcje kucharce.

– Doskonale.

Cynthia z wyższością skinęła głową, po czym odplynęła majestatycznie, a za nią Constance i Caroline. Pozbierały swoje szale i skierowały się ku drzwiom.

Cynthia zatrzymała się jeszcze na chwilę, aby popatrzeć, jak jej brat Maurice zajmuje miejsce przy stole. Wreszcie, prychnąwszy głośno, zadarła wysoko brodę i podążyła za szwagierką.

Griselda, Penelope i Violet przyglądały się jej, gdy wychodziła.

Po chwili Penelope zauważyła:

– Nie przypominam sobie, bym spotkała kiedykolwiek równie niemiłych ludzi.

Griselda zaśmiała się złośliwie i spojrzała na tych, którzy zostali jeszcze w pokoju.

– Muszę przyznać, iż rzadko zdarza się napotkać tak jednolicie nieprzyjemne towarzystwo. Nie ma wśród nich ani jednej sympatycznej osoby!

– Zawsze tak się zachowują? – Penelope spojrzała na Violet. – Są tacy niemili?

Violet zastanawiała się przez chwilę, a potem odparła:

– Zawsze. Znam ich od ośmiu lat i zawsze byli właśnie tacy. Oziębli i skupieni na sobie.

À propos skupienia na sobie... będzie musiała znaleźć szybko dach nad głową. Na samą myśl, że mogłaby zostać w tym domu, kiedy zapadnie noc, ciarki przebiegły jej po plecach.

Podniosła wzrok i zauważyła, że Montague przygląda się jej z troską.

Gdy damy wyszły, panowie złożyli szybko zeznania. Kiedy ostatni z nich, Hayden, opuścił salon, Stokes wstał i przeszedł przez pokój.

Barnaby i Montague, którzy trzymali się do tej pory z tyłu, oderwali się od kominka i podszli do grupki skupionej wokół sofy.

– Masz tam cokolwiek? – zapytał Barnaby, wskazując notes, który Stokes właśnie przeglądał.

Inspektor rzucił mu zakłopotane spojrzenie.

– Pytałem o alibi na czas wszystkich trzech morderstw, a także poranka, kiedy wyprowadzono z banku pieniądze. Jeśli chodzi o damy, mają alibi towarzyskiej natury – da się je sprawdzić, choć będzie to wymagało sporo pracy. Lecz skoro zgodziliśmy się, że Runcorna i Tilly zamordował mężczyzna i że to on czekał pod bankiem, panie nie są szczególnie podejrzane. – Przerzucił stronę notesu. – Alibi dżentelmenów są bardziej zróżnicowane i trudniejsze do zweryfikowania. Panowie twierdzą, że rankiem, kiedy skradziono pieniądze, byli w łóżku, spacerowali w parku albo po prostu kręcili się tu czy tam. Wieczory spędzali w klubach, jaskiniach hazardu, na tym czy innym przyjęciu. – Spojrzał na zapisaną stronę i prychnął zniesmaczony. – Alibi Williama, choć wydaje się najsłabsze, zapewne najłatwiej będzie zweryfikować. Utrzymuje, że pił w tawernie na nabrzeżu przez wszystkie trzy wieczory.

Barnaby skinął głową.

– Jeżeli bywa tam regularnie, barman i kelnerki powinny go znać i będą w stanie potwierdzić jego słowa.

Stokes skinął ponuro głową.

– Właśnie. – Spojrzał na panie, a potem na Montague'a i Barnaby'ego. – Zatem, pomijając kwestię niezbyt pomocnego alibi, co dało nam dzisiejsze spotkanie z podejrzanymi?

Barnaby wsunął dłonie w kieszenie spodni i zaczął:

– Wątpię, żeby mordercą był Walter Camberly lub Hayden Halstead. Żaden nie potrafi panować zbyt dobrze nad emocjami – nie tak jak ich ojcowie – i nie zareagowali na wiadomość o kolejnych morderstwach w sposób mogący świadczyć o winie.

Penelope i Griselda wymieniły spojrzenia.

– Co się tyczy pań – zauważyła Penelope – one również nie zdradziły się z niczym, co świadczyłoby, iż wiedzą o morderstwach więcej, niżby należało.

– Niestety – wtrącił Montague – z twarzy starszych mężczyzn nie sposób nic wyczytać. – Spojrzał na Stokesa. – Przez wszystkie lata, kiedy to miałem styczność z klientami, nie zetknąłem się z podobną samokontrolą.

Stokes przytaknął.

– Ja również. William Halstead jest z nich chyba najłatwiejszy do rozszyfrowania. Wydawał się obojętny i niezainteresowany, ale czy nie jest to jedynie maska? Zważywszy, jak doskonale potrafią ukrywać myśli i uczucia, nie dałbym głowy, że byłbym w stanie z ich zachowania cokolwiek wyczytać.

Montague westchnął.

– Jeśli mieliśmy zatem nadzieję, że uda nam się skłonić jakoś mordercę, żeby się zdradził, to nic z tego.

Pozostali skinęli ponuro głowami.

Violet spojrzała na nich i wstała.

– Chyba przydałaby się nam herbata. Zamienię słówko z kucharką. I tak muszę jej powiedzieć, że rodzina nas zwalnia. Polecono nam opuścić dom najdalej jutro wieczorem.

Stokes uniósł brwi.

Montague wydawał się jeszcze bardziej zatroskany.

Violet zostawiła ich i pospieszyła do kuchni.

– I bardzo dobrze – powiedziała kucharka, kiedy Violet przekazała jej, że mają opuścić dom. – Tego się właśnie po nich spodziewałam i prawdę mówiąc, nic nie zmusiłoby mnie, żebym spędziła tutaj kolejną noc. – Spostrzegłszy, że pozostali wchodzi do kuchni, odwróciła się i sięgnęła po czajnik. – Jeszcze dzisiaj pojedę do siostry – powiedziała, nalewając wrzątek do wielkiego dzbanka. – Wrócę jutro, by przygotować przekąski, lecz jestem już spakowana i żadna siła nie zmusi mnie, bym tu została.

Odstawiła czajnik i ujęła silnymi dłońmi dzbanek. Obróciła go i spojrzała na Violet.

– Powinnaś zrobić to samo, kochanie. Nie zostawaj tu. Masz powód, żeby poszukać bezpiecznego schronienia, i to ważniejszy niż ja.

Violet się skrzywiła. Gdybyż tylko istniało takie miejsce... Jednak myśl o tym, że miałyby zostać w domu sama, umocniła ją w postanowieniu.

– Tak, masz rację. Na pewno znajdzie się tu w pobliżu jakiś hotelik.

Montague odsunął krzesło dla Penelope, a potem dla Griseldy. Barnaby i Stokes gawędzili w proggu, wymieniając się opiniami na temat Halsteadów. Montague odsunął krzesło także dla Violet, a potem powiedział, wskazując wzrokiem kucharkę:

– Zgadzam się. Nie wolno pani tutaj zostawać.

Gdyby nie fakt, że było to absolutnie nie do zaakceptowania, zaproponowałby jej gościnę u siebie. Nie mógł też zostać z nią sam na sam w domu przy Lowndes. Puścił więc krzesło i zaproponował:

– Jeśli potrzebuje pani pomocy przy znalezieniu przyzwoitego miejsca do zatrzymania się, z przyjemnością będę towarzyszył jej w poszukiwaniach.

– W kwestii tychże – Penelope obróciła się na krzesło i spojrzała na Violet – mam propozycję.

Violet otworzyła szerzej oczy, zachęcając Penelope, by kontynuowała.

Penelope przyjęła z rąk kucharki filiżankę.

– Dziękuję. – Postawiła filiżankę ze spodkiem na stole i uśmiechnęła się do Violet. – Muszę wpięrować, że poza okazjonalnym uczestnictwem w śledztwach oraz opieką nad synkiem – Oliver ma dopiero osiem miesięcy – zajmuję się też trochę nauką. Badam starożytne języki i koresponduję z wieloma ekspertami z całego kraju. Zdarza mi się też wykonywać tłumaczenia na zlecenie różnych instytucji akademickich. Przekonałam się jednak, że odkąd na świecie pojawił się Oliver, moja korespondencja uległa skandalicznemu zaniedbaniu. Do tego stopnia, iż by wyprowadzić ją znowu na prostą, będę potrzebowała pomocy sekretarza. – Upiła łyk herbaty i skrzywiła się wymownie. – Proszę mi wierzyć, nie wymyśliłam sobie tego. Zarówno Barnaby, jak Griselda czy Mostyn, nasz majordomus, mogą potwierdzić, że właśnie tak przedstawia się sytuacja. – Spojrzała na Violet z nadzieją w oczach. – Jak zrozumiałam, jest pani córką pastora i potrafi radzić sobie z pisaniem lepiej niż przeciętna osoba, poza tym sprawowała też pani podobną funkcję przy lady Halstead. Zatem... zastanawiam się, czy nie zechciałaby pani przenieść się na Albemarle Street i zająć stanowisko mojej sekretarki?

A kiedy Violet nie odpowiedziała, spojrzenie Penelope przybrało błagalny wyraz.

– Przynajmniej na próbę? Jeśli nie spodoba się pani praca, nie będę jej zatrzymywała, obiecuję.

Violet musiała się uśmiechnąć. Przyglądała się przez chwilę bacznie Penelope, a nie doszukawszy się w jej spojrzeniu niczego poza szczerością, odstawiła filiżankę, zawahała się na chwilę, a potem zapytała:

– Nie wymyśliła sobie pani tego stanowiska, ponieważ tak rozpaczliwie potrzebuję posady?

Penelope przyłożyła rękę do serca.

– Przysięgam, że przyda mi się pani pomoc.

Griselda pochyliła się nad stołem i powiedziała, spoglądając na Violet:

– To rzeczywiście prawda. Jej biurko usłane jest listami, dokumentami i otwartymi książkami. Prawie nie widać spod nich blatu.

– Poza tym – Penelope spojrzała na Montague’a, zajętego rozmową z kucharką – pani położenie nie jest wcale tak dramatyczne, jak by się mogło wydawać. – Uśmiechnęła się. – Ma pani przyjaciół. I tak byśmy pani pomogli, lecz skoro potrzebuję sekretarki, a pani wydaje się idealną kandydatką...

Griselda uniosła dłoń.

– Popieram. Poza wszystkim innym udowodniła już pani, że zdoła przeciwstawić się Penelope, kiedy sytuacja będzie tego wymagała, a proszę mi wierzyć, niewiele osób by się na to zdobyło.

Penelope wykrzywiła się pod adresem Griseldy, lecz obie się uśmiechały.

Szansa, by do nich dołączyć, stać się częścią tej zaprzyjaźnionej gromadki, która tak bez wysiłku przekraczała społeczne bariery, mieć kogoś, kto rozumie jej troski i potrafi okazać sympatię... Violet zamrugnęła. A kiedy obie panie spojrzały na nią z nadzieją, skinęła głową.

– Doskonale – powiedziała. – Zamieszkać przy Albemarle Street i zostanę pani sekretarką.

– Cudownie. – Penelope dopiła herbatę. – Skoro tak, chodźmy na górę, pomogę się pani spakować.

Violet zatrzymała się, aby zamienić słowo z kucharką, potwierdzić, że spotkają się następnego dnia w kościele. Zmierzając ku drzwiom, czuła utkwiony w niej wzrok Montague’a, ewidentnie zadowolonego, że zdecydowała się przyjąć ofertę Penelope. Oznaczało to bowiem, że będzie bezpieczna.

Zostawiły mężczyzn, by popijali dalej herbatę, rozprawiając o śledztwie, i podążyły ku drzwiom, a potem na piętro. Violet uświadomiła sobie, że minęło już bardzo dużo czasu, odkąd ktoś troszczył się, naprawdę się troszczył, o jej bezpieczeństwo. Nie zdarzyło się to, odkąd jej ojciec... Pomimo iż była z lady Ogilvie, a potem lady Halstead dosyć zaprzyjaźniona, ich stosunki nie były aż tak bliskie.

Na piętrze zaprowadziła panie do swego pokoju. Pudła i niewielka walizka spoczywały pod łóżkiem. Wyjęcie ich i otarcie z kurzu zajęło minutę, a potem wszystkie trzy przystąpiły do składania i pakowania jej niewielkiego dobytku.

Potrwało to ledwie kwadrans. Violet zatrzymała się i spojrzała na stosik bagażu na łóżku. Jej zimowy płaszcz i kapelusz leżały w gotowości tuż obok. Ogarnęło ją uczucie dojmującej pustki. Spojrzała na Penelope oraz Griseldę.

– Rzeczy Tilly są nadal w pokoju na poddaszu. Miała ich jeszcze mniej niż ja. Jeśli za bardzo się paniom nie spieszy, mogłybyśmy spakować je teraz i zabrać ze sobą, żeby...

– Żeby nie musiała już pani wchodzić więcej na piętro? – Okulary Penelope zabłysły, kiedy skinęła energicznie głową. – Doskonały pomysł.

– Owszem – uzupełniła Griselda. – Mamy czas. Pomożemy.

W towarzystwie obu dam wyprawa na poddasze nie wydawała się już tak okropna. Drzwi pokoju Tilly zostawiono szeroko otwarte. Violet weszła, a potem stanęła, przytłoczona widokiem wąskiego łóżka pozostawionego w takim stanie, w jakim znajdowało się, gdy zabierano ciało Tilly. Prześcieradła świadczyły o stoczonym tu walce, na poduszce zachował się jeszcze odcisk głowy pokojówki. Violet uświadomiła sobie z całą mocą, że Tilly naprawdę nie żyje, i poczuła się tak, jakby na ramiona zarzucono jej ołowiany ciężar, a serce ścisnęło imadło.

Tilly była dobrą kobietą, przyjazną oraz uczynną. Przyjaciółką, choć nie łączyło ich tego rodzaju wzajemne zrozumienie, jakie wyczuwała pomiędzy Griseldą a Penelope czy między nimi trzema. Życie było właśnie takie – jedni ludzie natychmiast stawali się bliscy, inni zaś pomimo częstego przebywania razem pozostawali emocjonalnie oddaleni.

A jednak, gdy odchodzili, i tak czuło się ból.

Penelope i Griselda minęły Violet i zaczęły zdejmować z łóżka pościel.

To przełamało zakłęcie. Violet podeszła do umywalni i sięgnęła po stojącą niżej zniszczoną walizkę.

Otworzyła ją i zaczęła pakować zawartość szuflad.

Zdażyła opróżnić środkową, kiedy od strony schodów dobiegł je odgłos ciężkich kroków.

– Panno Matcham? Violet?

Montague.

– Jesteśmy w pokoju Tilly! – zawołała.

Stanął w progu i się rozejrzał. Violet podniosła się i podeszła do niego.

Wyciągnął bez wahania ręce i ujął jej ręce. Przesuwał przez chwilę kciukami po grzbietach dłoni

Violet, gładząc je, a potem, ignorując obecność pozostałych dam, uściśnął lekko jej palce i powiedział:

– Dowiemy się, kto to zrobił... Kto zabił Tilly, lady Halstead, Runcorna. Nie spoczniemy – skinął głową w kierunku Penelope i Griseldy, a w domyśle także Barnaby'ego i Stokesa – póki winowajca nie zostanie schwytany, a ofiary pomszczone.

Ku zaskoczeniu Violet podniósł jej dłoń do ust i ucałował grzbiety palców, a potem uśmiechnął się lekko i nieco odsunął.

– Nie trać wiary, moja droga. Znajdziemy go.

Puścił niechętnie jej dłonie. Potrzebowała całej siły woli, by nie zacisnąć palców i go nie zatrzymać.

– Muszę iść, lecz zobaczymy się jutro – powiedział.

Skłonił się Penelope i Griseldzie.

– Drogie panie... – Spojrzał znowu na Violet. – Do zobaczenia na pogrzebie.

Skinęła głową, a wtedy spojrział na nią po raz ostatni i odszedł.

Stała przez chwilę nieruchomo, nasłuchując odgłosu jego kroków, a potem westchnęła i wróciła do pakowania. Panie zdjęły tymczasem pościel, poprawiły materac oraz poduszki, a potem, nie czekając, aż je poprosi, podeszły i pomogły jej zamknąć walizkę.

*

– Sytuacja rozwija się inaczej, niż można byłoby się spodziewać. – Penelope zmierzała, jak miała w zwyczaju, przodem ku eleganckiej sypialni, którą wbrew panującym zwyczajom dzieliła z mężem.

Wieczór dobiegł końca i nad Mayfair zapadła noc. Barnaby wszedł za żoną do sypialni. Zatrzymał się, by zamknąć drzwi, i stał, przyglądając się, jak Penelope odkłada torebkę na toaletkę i podchodzi do wysokich okien. Za nimi nocne niebo połyskiwało odcieniami szarości, a znad Tamizy nadciągała zimna mgła. Penelope zaciągnęła zasłony, odcinając ich od mroku i chłodu. Teraz byli tylko oni i ciepło ich wspólnego życia.

Wcześniej, późnym popołudniem, kiedy wrócili na Albemarle z Violet, Penelope zajęła się sprawami związanymi z włączeniem nowej sekretarki w domowe życie, podczas gdy on sprawdził korespondencję, odpisał na listy, porozmawiał z Mostynem, a potem wycofał się do pokoju dzieciennego, aby omówić wydarzenia dnia z synem. W końcu Penelope też do nich dołączyła – pełna entuzjazmu i bardziej ożywiona niż kiedykolwiek od czasu, gdy urodziła Olivera.

Pozostawiwszy Violet, by urządziła się w nowym domu – co, jak zapewniła, w pełni jej odpowiadało – spędzili wieczór na imprezie rodzinnej w Calverton House z Ashfordami. Ci ostatni stawili się licznie, łącznie z dziećmi oraz Minervą, hrabiną wdową Calverton, która przewodniczyła zgromadzeniu z wdziękiem i radością, zajmując miejsce u szczytu długiego stołu.

Wszyscy robili, co mogli, by sprawić przyjemność starzejącej się matronie. Minerva poświęciła życie swojej gromadce i teraz byli jej bardzo oddani.

Spoglądając na tę jakże zżytą rodzinę, nie mógł się powstrzymać, aby nie myśleć o tym, jak bardzo różniła się od Halsteadów.

Po powrocie na Albemarle położyli śpiącego smacznie Olivera do kołyski, a potem stali, trzymając się za ręce i wpatrując w syna. Były to chwile, które Barnaby nauczył się bardzo sobie cenić. Potem, jakby za sprawą milczącego porozumienia, odwrócili się i ruszyli na górę, do swojej sypialni.

Penelope zasłoniła pozostałe okna i odwróciła się z uśmiechem do męża.

– Dobre wieści są takie, że bez wątpienia robimy postępy.

– Nie posunąłbym się aż tak daleko – sprzeciwił się jej Barnaby, zdejmując surdut. – Nadal nie mamy pojęcia, który z Halsteadów jest mordercą.

Penelope, zajęta zdejmowaniem naszyjnika oraz kolczyków, rzuciła mu współczujące spojrzenie.

– Nie miałam na myśli śledztwa, lecz to, jak udaje się nam pogodzić je z innymi sprawami.

– Ach tak. – Skinął głową. – Twój genialny pomysł, aby zatrudnić Violet jako sekretarkę.

– Właśnie. Musisz przyznać, że to mistrzowskie posunięcie. Dwa ptaki zabite jednym strzałem.

Uśmiechnął się do siebie, a potem przyznał:

– Gdybyś tego nie zasugerowała, zrobiłbym to sam. Mostyn zdążył już mi się poskarżyć, że na twoim biurku zalegają istne pokłady kurzu.

Penelope westchnęła.

– Tak, cóż, nie zdawałam sobie sprawy, że posiadanie dziecka, a właściwie niemowlęcia, może być tak absorbujące. Cudownie absorbujące. Jak zapewne pamiętasz, byłam w rodzinie najmłodsza i nie wiedziałam, że małe dzieci są takie rozkoszne, zabawne i potrafią dostarczyć tyle radości. Oliver zaczyna machać rączkami, a ja wpatruję się w niego jak zaczarowana, i czas mija niepostrzeżenie.

– Nie jesteś w tym osamotniona – powiedział. – Ze mną jest podobnie.

Objął ją w talii, gdy go mijala, przyciągnął do siebie i zamknął w objęciach.

Pocałował, a ona oddała pocałunek. Jej usta poruszały się przez chwilę pod dotykiem jego warg, a potem się odsunęła.

Spojrzał jej w oczy, tak ciemne w świetle lampy, że ich wyrazu nie sposób było odczytać, a potem powiedział cicho i niepewnie:

– Zastanawiam się, czy przy drugim dziecku będzie tak samo.

Przesunęła dłońmi po jego przedramionach i uśmiechnęła się leciutko:

– Zapewne nie, ale dowiemy się tego we właściwym czasie.

Przechyliła w bok głowę i kontynuowała:

– Chcę w pełni nacieszyć się wszystkim, co mamy teraz – naszym dzieckiem, nami – nim bardziej wszystko skomplikujemy. Chcę mieć pewność, że wypracowaliśmy tę równowagę, tak bym mogła cieszyć się wszystkimi aspektami mojego życia na równi, nie zaniedbując przy tym żadnego. Ostatnio czułam się bowiem nieco rozdartą. I choć bardzo starałam się działać równie skutecznie na różnych frontach, nie mogłam pozbyć się wrażenia, że zawodzę na każdym.

Przyglądał się jej przez chwilę.

– Nie wiedziałem, że to dla ciebie takie trudne i że przysparza ci tyle rozterek.

Skinęła głową zdecydowanie, jak miała w zwyczaju.

– Właśnie tak się czułam... jakby umysł pocięto mi na ćwiartki. – Uśmiechnęła się, objęła go za szyję i zakotłosała się lekko na boki. – Ale, jak powiedziałam, robimy postępy i jesteśmy na dobrej drodze, bym uzyskała równowagę i czuła się szczęśliwa oraz spełniona w każdym aspekcie mojego życia.

– To dlatego tak bardzo chciałaś mieć Violet za sekretarkę. Stanowi część planu.

– Właśnie. Uporanie się ze stosami papierów na moim biurku wymaga pomocy, jakiej nie może mi udzielić Griselda, lecz Violet jak najbardziej. Podejrzewam również, że i ona czuła się niedoceniona,

ponieważ zdawała sobie sprawę, że jej umiejętności nie są w pełni wykorzystywane. – Spojrzała mu w oczy. – Ale co z tobą? Co myślisz o nowych porządkach w naszym domu i moim poszukiwaniu równowagi? Ponieważ, oczywiście, jesteś jednym z tych aspektów, którym chciałabym poświęcić jak najwięcej starań i jak najlepiej się spisać.

Zdawał sobie w pełni sprawę, że dobór ostatnich słów nie był przypadkowy, tym bardziej że przyciskała się do niego, kołysząc sugestywnie z boku na bok i pocierając odzianymi w śliski jedwab biodrami o jego uda i wzwiedziony członek. Wszystko to sprawiało, że po prostu musiał się uśmiechnąć, ale jej mina, czujny wyraz twarzy, sugerowały, że pytanie jest poważne i Penelope oczekuje na nie poważnej odpowiedzi. Zajrzał w głąb siebie i ku swemu zaskoczeniu odkrył, że prawda już tam jest, czekając, aby ją wyartykułował.

– Podoba mi się to. Lubię mieć cię przy sobie, jeśli nie fizycznie, to przynajmniej mentalnie, kiedy prowadzę śledztwo. – Zamilkł, a potem przyznał: – Nie zdawałem sobie sprawy, jak mi tego brakuje, póki nie skłoniłaś mnie, żebym pozwolił ci wrócić. – Uświadomił sobie coś jeszcze. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zatrzymać tego dla siebie, lecz w końcu zaczerpnął głęboko oddechu i wyznał: – Podejrzewam, właściwie jestem tego pewny, że potrzebuję twojej inteligencji, błyskotliwości, aby mój umysł mógł pracować na najwyższych obrotach. – Zniżył głos. Następne słowa dobieły się z takich głębi jego duszy, że były dla niego niczym katharsis. – Bez ciebie nie byłbym ani w połowie tak dobry w tym, co robię.

Penelope spojrzała mu w oczy, połyskujące błękitem nawet w półmroku, i wyczytała w nich, że mówi prawdę. Prawda dźwięczała też w jego głosie: głębokim, szorstkim, stłumionym. Czowała ją w sercu i w całym ciele.

Uśmiechnęła się szerzej, wspięła na palce i przysunęła usta do jego ust. Zanim ich wargi się spotkały, wyszeptała:

– Jesteśmy parą, ty i ja, i najlepiej działamy razem.

Przycisnęła wargi do jego ust, a potem rozchyliła je nieco, puszczając wodze i wyzbywając się kontroli. Poczwała, że on robi to samo, poddaje się chwili. Nocy. I jej.

Ubrania opadały na podłogę, a dłonie przesuwały się w ciemności, pieszcząc, gładząc i ugniatając.

Przyjemność stanowiła jedyny cel tych zabiegów – to, a także jedność. Dzieląc się nie tylko fizyczną bliskością, ale też radością, zaspokajali dręczącą tęsknotę, wyzbywając się wszelkiego skrępowania.

Znali dobrze tę podróż i nie widzieli powodu, żeby się spieszyć. Chwile jasne i przejrzyste jak kryształ rozszerzały się, rozciągały, kruche i cudowne, aż wreszcie przyływ pożądania sprawił, że przyspieszyli na drodze ku rozkoszy.

Nagie ciała lśniły w świetle lampy, gdy kołysali się, łącząc w odwiecznym tańcu. Ręce wielbiły, a usta składały hołd, żądza tętniła pod skórą, rozgrzewając, płonąc, smagając ich ciała, ich zmysły.

Wreszcie czas się wypełnił, namiętność porwała ich, zostawiając bez tchu, kiedy jęknęli w kaskadzie doznań i emocji, zmuszającej, aby skupili się bezlitośnie na sobie, na tym, czym i kim byli, co mogli sobie dać i co tworzyli razem.

Na cudownej, niemożliwej do opisanego, wszechogarniającej radości.

Oddychając z trudem, odrzuciła w tył ciężką grzywę ciemnych włosów, a potem odsunęła wilgotny od potu lok z czoła Barnaby'ego i spojrzała mu w oczy płonące nieustającym pożądaniem.

Odczytała w nich potrzebę, niemaskowaną i rzeczywistą, niesłabnące oddanie i miłość.

Wiedziała, że czuje to samo.

Pochyliła głowę i przycisnęła usta do jego warg, oddając mu siebie – wszystko, czym była – i całą swoją miłość.

Tak jak on oddał się jej.

Zjednoczeni ciałem i umysłem. Rozkoszą.
Mając siebie nawzajem, mieli wszystko.

*

Mgła spowiła ulice, otulając domy szarą opończą, nieprzeniknioną i dezorientującą.
Schody domu przy Lowndes, poddawane od lat działaniu wilgotnego klimatu, zaskrzypiały.

Zatrzymał się i przez chwilę nasłuchiwał, lecz z góry nie dobiegł zaden odgłos, nic świadczącego o tym, że go usłyszała.

Zaczerpnął oddechu i jał wspinać się ostrożniej, trzymając się skraju stopni. Na piętrze przystanął i wyteżył słuch.

Gdy jego uszu nie wypełniło nic poza ciszą, odetchnął znów głębiej i przygotował się wewnętrznie.

Galka nie stawiała oporu i ku jego zdumieniu drzwi otworzyły się bez przeszkód.

Zatrzymał się w progu, wpatrując w oświetlony blaskiem księżycy fragment podłogi.

Spodziewał się, że będzie musiał siłą odsunąć toaletkę, ryzykując, że obudzi Violet. Ufał jednak, że o tej porze kucharka będzie już mocno spać, a on zrobi to, po co przyszedł, i spokojnie odejdzie.

Nie ryzykując, że zostanie rozpoznany.

Gdyby okazało się to konieczne, był gotów zabić także kucharkę.

Sięgnął dłonią w rękawiczce i pchnął drzwi, tak by całkiem się otworzyły.

Już wtedy, choć nadal starał się zachowywać jak najciszej, domyślał się, co zobaczy. Rozumiał, dlaczego drzwi nie zostały zablokowane.

Łóżko było puste, pościel nienaruszona.

– Nie ma jej. – Szept zakłócił nocną ciszę. Rozbrzmiał echem w uszach mordercy, wypełniając głowę.

Potrząsnął głową, by go uciszyć.

Rozejrzał się i zauważył, że w sypialni nie ma szczotek, grzebieni, żadnych osobistych przedmiotów.

– Dokąd, u licha, ona się wyniosła? – zapytał, marszcząc brwi i wpatrując się w puste łóżko.

ROZDZIAŁ 11

Pogrzeb lady Halstead odbył się następnego ranka. Cynthii udało się postawić na swoim i uroczystość miała miejsce w kościele pod wezwaniem Świętego Piotra przy Grosvenor Street, a pochówek tuż po niej na przykościelnym cmentarzu.

Violet była zadowolona, że Cynthia wygrała tę rundę, ponieważ wielu parafian znało lady Halstead. Przybyli tłumnie, wypełniając kościół śpiewem, żalem i smutkiem. Mowę pogrzebową wygłosił pastor, który znał lady Halstead osobiście. Liczba osób, które przybyły na pogrzeb, zarówno dam, jak i dżentelmenów, których konserwatywny strój świadczył dobitnie, iż powiązani są z kręgami bliskimi dyplomacji oraz rządowi, zaskoczyłaby Violet, gdyby Penelope nie powiedziała jej o niegdysiejszych dokonaniach obojga Halsteadów.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, uznała, iż zmarłej oddano należny hołd.

Zajęła miejsce w drugiej ławie, mając z jednej strony Montague'a, a z drugiej Penelope. Griselda siedziała za nimi, kucharka w rogu. Przyglądali się, jak synowie, wnuki i zięć zmarłej wynoszą trumnę.

Cynthia i Constance, spowite w żałobny strój, podążyły w ślad za mężczyznami, a za nimi potulnie Caroline.

Gdy ich minęły, Montague wyszedł z ławy i podał Violet ramię.

Ujęła je i poczuła jego siłę, niewzruszoną pewność siebie, tak dlań charakterystyczną. Zacisnęła palce i pozwoliła mu się prowadzić.

Penelope i Griselda ruszyły za nimi, wspierając uprzejmie kucharkę.

Pochówek odbył się szybko i był nieskomplikowany. Lady Halstead spoczęła obok męża w rodzinnym grobowcu. Violet zauważyła na obrzeżach tłumu Stokesa, Adaira i kilku konstabli. Wcześniej stali z tyłu nawy, obserwując i notując, chociaż nie wyglądało na to, by działało się coś, co mogłoby okazać się przydatne w śledztwie.

Wszystko odbyło się gładko, bez zwyczajowego dogryzania, za co Violet była nieskończenie wdzięczna. Nie sądziła bowiem, by członkowie rodziny nie wzdragali się przed zrobieniem sceny, choćby i na cmentarzu.

Pierwszą garść ziemi rzucił na trumnę Mortimer, następną Cynthia.

– Wracajmy – zasugerował Montague. – Dobrze byłoby dotrzeć na Lowndes przed tłumem.

Skinęła głową i pozwoliła, by poprowadził ją do miejsca, gdzie czekały powozy. Penelope i Griselda zdążyły już wsiąść do miejskiego powozu Adairów. Zabrały też kucharkę, zostawiwszy mały czarny powozik Stokesów Montague'owi i Violet.

Kiedy pomagał jej wsiąść, spytała cicho:

– A Stokes i pan Adair?

– Pojadą powozami Scotland Yardu, z konstablami – odparł Montague, siadając obok niej. Zaczekał, aż pojazd włączy się do ruchu, a potem powiedział: – Powinna pani być obecna przy odczytaniu testamentu. – A kiedy Violet spojrzała na niego zaskoczona, skinął głową. – Lady Halstead najwidoczniej bardzo panią ceniła, podobnie jak Tilly i kucharkę.

Violet zamrugnęła, a potem prychnęła cicho.

– Rodzina nie będzie zadowolona.

– To bez znaczenia. – Był w dziwnie wojowniczym nastroju i podobało mu się to. Tak jak podobał mu się mężczyzna, jakim się stawał, gdy obok była właśnie ta dama. – Widziałem dokument – powiedział, patrząc wprost przed siebie. – Jest nie do obalenia. Każda próba byłaby jedynie stratą czasu.

Czuł, że Violet mu się przygląda.

– To pan będzie go odczytywał?

– Zważywszy, że lady Halstead udzieliła mi pełnomocnictwa i zapoznałem się już z rodziną, prawnik zmarłej, pan Entwaite, poprosił, bym czynił owe honory. – Spojrzał na Violet. – To człowiek poważny i uczciwy, wolałby jednak uniknąć niepotrzebnej konfrontacji, zwłaszcza z ludźmi pokroju Halsteadów.

Uśmiechnęła się lekko i cień, który zdawał się zamykać wokół niej od rana, zniknął. Usatysfakcjonowany Montague odwrócił znów wzrok i wsłuchał się w turkot kół powozu, pokonującego krótką trasę na Lowndes Street.

Gdy tam przybyli, obecność tak wielu gości sprawiła, że nietrudno im było zebrać się w kącik, nie wzbudzając niepotrzebnego zainteresowania.

Kucharka udała się do swojego królestwa dopilnować przygotowania przekąsek.

– Uznała, że to jej ostatni obowiązek względem lady Halstead – zaraportowała Penelope.

Zarówno Camberly, jak i Mortimer przysłali do pomocy lokajów, a także kamerdynerów. Montague skinął głową, wskazując dwóch mężczyzn, spoglądających na siebie niczym koguty szykujące się do walki.

– Miejmy nadzieję, że nie dojdzie tu do wymiany ciosów – zauważył.

Podążyli za nim spojrzeniem. Griselda uśmiechnęła się leciutko i powiedziała:

– Niechaj Bóg im pomoże, jeśli to zrobią. Wyobrażacie sobie, jak zareagowałyby ich chlebodawczynie?

Po ostrej wymianie spojrzeń kamerdynerzy wycofali się jednak i zajęli pozycje po przeciwnych stronach pokoju.

Penelope parsknęła.

– Kryzys zażegnany. Wygląda na to, że zdali sobie sprawę z ograniczeń, jakie ich obowiązują.

– A skoro już o tym mowa – Barnaby spojrział na Montague’a – jakie są szanse, że rodzina zignoruje tłum gości i będzie domagała się natychmiastowego odczytania testamentu?

Montague prychnął zirytowany.

– Moim zdaniem bardzo duże. À propos testamentu... – Spojrzał na Stokesa. – Jak wspomniałem Violet, na prośbę prawnika Halsteadów i na mocy udzielonego mi pełnomocnictwa to ja odczytam ostatnią wolę zmarłej. Violet i kucharka powinny być obecne, rodzina nie może się sprzeciwić, ponieważ też są beneficjentkami. A jako że lady Agatha Halstead została zamordowana, przedstawiciel Scotland Yardu również ma uzasadniony powód, by przy tym być. Bo wyobrażam sobie, że chciałby pan być obecny?

Stokes skinął głową.

– Zdecydowanie.

– Tylko jeden przedstawiciel? – zapytał Barnaby żałośnie.

Montague uśmiechnął się krzywo.

– Niestety. Obecność jednego policjanta można usprawiedliwić, zwłaszcza że to inspektor, lecz gdyby pojawiło się was dwóch, rodzina mogłaby protestować. A jeśli zaczną utrudniać nam życie, odczytanie testamentu może się odwlec, a tego chyba by pan nie chciał? – Spojrzał na Stokesa.

– Im szybciej, tym lepiej – powiedział inspektor. – Im więcej się wydarzy i w jak najkrótszym czasie, tym większą presję odczuje morderca. Kto wie? Może w ostatniej woli znajdzie się coś, co rzuci światło, choćby i mgliste, na jego motywę?

– Widziałem testament i mocno w to wątpię. – Montague przerwał, dostrzegłszy, że stary prawnik przyzywa go do siebie. Stał w progu, wyciągając chudą szyję i starając się dostrzec coś przez tłum.

– No proszę – powiedział Montague – nie zajęło im to zbyt wiele czasu.

Żegnany chóralnym: „Powodzenia!” ujął pod ramię Violet i poprowadził ją przez tłum.

Gdy odchodzili, Stokes powiedział, ścisząc głos, tak by tylko oni mogli go usłyszeć:

– Byłbym wdzięczny, gdybyście przyjrzeni się uważnie reakcji naszych podejrzanych. Zważywszy, że będzie nas tam tylko troje, skupmy się na tych, którzy znaleźli się już w kręgu naszego zainteresowania.

Montague skinął głową, podobnie Violet.

Na odczytanie testamentu rodzina wybrała bawialnię. Kiedy Montague wprowadził Violet do środka, przekonała się, że meble zostały przestawione. Biurko lady Halstead stało teraz przed kominkiem, a za wąskim blatem zasiadał niski, szczupły, pedantycznie schludny mężczyzna, odziany w ciemny strój, tak lubiany przez prawników. Gdy weszli, umieścił na nosie *pince-nez* w złożonych oprawkach, a potem przyglądał cokolwiek nerwowym gestem rzędzące siwe włosy, spoglądając przy tym z miną wyrażającą złe przeczucia na członków rodziny, zasiadających na ustawionych w półkole wygodnych krzesłach.

Montague poprowadził Violet do grona osób stojących obok wykuszowego okna w końcu pokoju. Podziękowała mu szeptem i uświadomiła sobie, że mając światło z tyłu, może obserwować spokojnie członków rodziny.

Oczywiście oni też mogli obserwować ją, a także stojącego tuż obok Stokesa.

Gdy wszyscy zajęli miejsca, Montague podszedł do biurka i wolnego krzesła.

Mortimer Halstead ściągnął brwi i spytał gniewnie:

– Co pan tu robi?

Prawnik – Entwaite – chrząknął.

– Jako że pan Montague posiada ważne pełnomocnictwo lady Halstead dające mu szerokie uprawnienia, jak również bogate doświadczenie w sprawach majątkowych, poprosiłem go, by asystował mi podczas odczytywania testamentu jej lordowskiej mości oraz udzielił wyjaśnień, gdyby okazały się konieczne. – Zamilkł na chwilę, a potem dodał: – To często spotykana procedura.

Mortimer skrzywił się, ale nic nie powiedział.

– Uważam – wyręczyła go Cynthia ze wzrokiem utkwionym w kucharkę i Violet – że przy odczytaniu testamentu matka powinna być obecna jedynie rodzina.

Montague wziął do rąk dokument, który nie mógł być niczym innym, jak tylko testamentem, i odparł spokojnie:

– Wszyscy wymienieni z nazwiska beneficjenci mają prawo być przy tej okazji obecni. I nie tylko oni. Zważywszy, iż lady Halstead została zamordowana, Scotland Yard wydelegował swojego przedstawiciela. Policję interesuje bowiem, czy treść testamentu może zostać podważona.

Violet zauważyła, jak gładko i przekonująco wysławia się Montague, i uśmiechnęła się w duchu. Jedyne, co zrobił, to skonstatowanie rzeczy oczywistych, lecz kiedy spod uniesionych brwi spoglądał po kolei na członków rodziny, ewidentnie wypatrując osoby, która zechce mu się sprzeciwić, kilkoro spośród Halsteadów poruszyło się niespokojnie, lecz żadne nie odważyło się przemówić.

Drzwi się otworzyły i do bawialni weszła kucharka, zamykając je starannie za sobą.

Montague uśmiechnął się zachęcająco i skinął głową w kierunku, gdzie siedziała Violet.

Kucharka przemknęła skulona przez pokój i opadła z ulgą na krzesło, które zatrzymał dla niej Stokes. Violet poklepała ją po dłoni.

– Proszę się nie denerwować – wyszeptała.

– Doskonale. – Montague spojrział na Entwaite'a. – To już chyba wszyscy?

Entwaite przytaknął.

– Owszem. Możemy zacząć.

Montague wziął do rąk testament, skupiając na sobie uwagę obecnych. Czystym, spokojnym głosem odczytał wstęp i przeszedł do ustępów opisujących sposób rozporządzenia majątkiem wyrażony w ostatniej woli sir Hugona, a potem do klauzuli wyliczającej osobiste dochody oraz majątek lady Halstead.

Chociaż przeczytał wcześniej dokument, nadal musiał uważać na słowa. Po każdym ustępie przerywał na chwilę, by zerknąć na wpatrzone w siebie twarze.

W testamencie nie znalazło się nic zaskakującego. Jak się spodziewano, wolą obojga zmarłych było, aby majątek, poza kilkoma niewielkimi darowiznami, został rozdzielony równo pomiędzy czwórkę ich dzieci.

Rzeczono dzieci wysłuchały nowin i – jak można się było spodziewać – każde wydawało się rozczarowane faktem, iż matka w jakiś sposób go nie wyróżniła.

Jak oczekiwał Montague, cała rodzina zgodnie zainteresowała się tym, co lady Halstead zostawiła innym; kiedy wymienił sumę rocznego dochodu, jaki miał przypaść Violet – a było tego dość, by przy oszczędnym gospodarowaniu panna Matcham nie musiała już nigdy pracować – jeśli rzucać ku niej mroczne spojrzenia. Mniejsze sumy, zapisane Tilly i kucharce, wywołały jedynie sporadyczne pomruki. Zignorował je i wykorzystał moment, aby potwierdzić, że skoro Tilly zmarła po lady Halstead, część spadku przypadająca pokojówce przejdzie na dziedziczących po niej.

Entwaite, uciszając ewentualne protesty, dodał, że zdążył odszukać już brata Tilly i zarazem jej spadkobiercę.

Montague podziękował skinieniem głowy. Przyjrzał się jeszcze raz uważnie członkom rodziny, ale choć wydawali się jak zwykle nieco zirytowani i zawiedzeni, nie wyglądało na to, by ustalenia testamentu szczególnie ich zaskoczyły.

Podniósł do oczu dokument i zaczął odczytywać kolejne jego paragrafy. Lady Halstead rozdzieliła bowiem – postępując, zdaniem Montague'a, bardzo rozsądnie – całą swoją biżuterię między poszczególnych członków rodziny, wymieniając każdego z imienia. Na końcu zaś okazało się, że zostawiła również to, co sama nazwała dowodem sympatii, trzem członkiniom swego gospodarstwa – krótki perłowy naszyjnik Violet, broszkę z perłami Tilly i pierścionek z perłą kucharce.

Słyszając to, Cynthia Halstead syknęła gniewnie i przez chwilę Montague spodziewał się, że zaprotestuje. Skrzywiła się jednak tylko z dezaprobatą, a z jej zaciśniętych ust nie dobyło się ani jedno słowo.

Już miał obwieścić, że na tym koniec, gdy Caroline Halstead powiedziała:

– Nie ma sensu dawać broszki z perłami zmarłej kobiecie, a tym bardziej jej bratu. – Utkwiła w Montague'u spojrzenie równie aroganckie jak u jej matki i oznajmiła:

– Jako jedyna wnuczka mojej zmarłej babki, to ja powinnam ją dostać.

Montague miał nadzieję – niemal się o to modlił – że ktoś oprotestuje którąś klauzulę. Słowa Caroline dostarczyły mu pretekstu, by mógł powiedzieć:

– Jeśli zamierza pani przy tym obstawać, będzie pani musiała zakwestionować testament, co, oczywiście, spowoduje zwłokę i opóźni przejęcie majątku przez pozostałych spadkobierców.

Mortimer zmarszczył brwi.

– Spowoduje zwłokę... Co znaczyłoby to dla reszty z nas?

Montague uniósł brwi.

– To mianowicie – powiedział, obrzucając spojrzeniem obecnych i skupiając uwagę szczególnie na mężczyznach – iż żadne z was nie dostałoby ani pensa, póki sąd nie rozstrzygnąłby spornej kwestii i testament nie został uznany za ważny.

Jako że istniała szansa, iż morderca potrzebuje gwałtownie gotówki, miał nadzieję, że któryś z podejrzanych zdradzi się, głośno protestując. Zamiast tego...

Cynthia odwróciła się do Mortimera i oznajmiła piskliwie:

– Nie pozwolę, by moja część majątku stała się okupem dla twojej chciwej córki!

Maurice niemal podniósł się z krzesła.

– Nie bądź idiotką! To tylko broszka, niemądra dziewczucho!

– Postradałaś rozum, dziewczyno? – burknął William.

Camberly wydawał się zdecydowanie zdegustowany. Nawet Constance patrzyła z niesmakiem na córkę, kulącą się pod mrocznym spojrzeniem ojca.

– Nie zamierzamy – oznajmił Mortimer głosem twardszym niż dotąd – opóźnić uznania testamentu z powodu byle błyskotki.

Caroline skuliła się na krześle jeszcze bardziej.

I to był koniec tematu broszy.

Montague chrząknął zatem i oznajmił, że na tym odczytywanie testamentu zostało zakończone. Oddał dokument Entwaite'owi i spojrzał obojętnie na rodzinę.

– Zważywszy, iż pan Runcorn też został zamordowany, na żądanie Scotland Yardu zatrzymam dokumenty finansowe Halsteadów do czasu, aż poinformują mnie państwo za pośrednictwem pana Entwaite'a, komu mam je przekazać.

Przez chwilę gapili się na niego w milczeniu, aż wreszcie Mortimer ściągnął brwi i powiedział:

– Wydaje się pan kompetentny. Nie może pan nadal się tym zajmować?

Oczywiście mógł, miał jednak wystarczająco dużo doświadczenia, żeby nie tykać klientów w rodzaju Halsteadów dwumetrowym kijem.

– Niestety, nie. Moja lista klientów jest już zamknięta. Będziecie musieli państwo znaleźć sobie innego pełnomocnika.

Skinąwszy krótko głowę, pożegnał się z Entwaite'em, a potem zostawił starego prawnika zajętego zbieraniem dokumentów i podszedł do miejsca, gdzie czekali Violet i Stokes. Kucharka wymknęła się już z pokoju, żeby poszukać bezpiecznego schronienia w kuchni.

Z tyłu zaczęły dobiegać pierwsze odgłosy kłótni.

Zatrzymał się przed Violet i spojrzał w szare oczy Stokesa.

– Nie zauważyłem niczego, co mogłoby okazać się pomocne.

Stokes się skrzywił.

– Ja także nie. – Przesunął się nieco, by móc obserwować rodzinne konklawe przed kominkiem. – Entwaite stara się wyjść jak najszybciej, choć żadne i tak nie zwraca na niego uwagi.

Violet potrząsnęła głową.

– Zbyt są zajęci kłóceniem się o to, jak podzielić majątek.

Pozostali na swoich miejscach jeszcze przez chwilę, starając się usłyszeć jak najwięcej z toczącej się przed kominkiem dyskusji. Okazało się, ku zaskoczeniu naszej trójki, że czworo Halsteadów zgadza się co do jednego: nie zamierzali zatrzymać rodzinnych posiadłości. Lecz na tym zgoda się skończyła. Mortimer i Maurice optowali za tym, by domy i ziemię sprzedano, a pieniądze podzielono, podczas gdy Cynthia i William nalegali – nie wiadomo, szczerze czy po to, by przeciwstawić się pozostałym – by je wynająć.

Po trzech minutach Stokes potrząsnął głową i zauważył:

– Niczego się tu już nie dowiemy. Barnaby, Penelope i Griselda krążyli wśród gości. Dołączmy do nich i przekonajmy się, czy poszczęściło się im bardziej niż nam.

Violet skinęła głową. Montague podał jej ramię. Przyjęła je i wstała.

Stokes powstrzymał ich, unosząc dłoń. Violet podążyła za nim spojrzeniem i przekonała się, że patrzy na Caroline, czekającą z nadąsaną miną, aż starsi skończą się kłócić.

Stokes wymienił spojrzenia z Montague'em, a potem przeniósł wzrok na Violet.

– Podejrzewam, że byłoby rozsądnie, gdyby pani, eskortowana przez Montague'a i może Penelope oraz Griseldę, udała się do sypialni lady Halstead i zabrała stamtąd przedmioty wymienione w testamencie, klejnoty pozostawione pani, Tilly oraz kucharce.

Violet zamruwała, a potem spojrzała na Caroline.

– Chyba ma pan rację. – Spojrzała z kolei na Montague'a. – Napisałam do brata Tilly. Wpadnie do pańskiego biura, kiedy przyjedzie do miasta odebrać ciało. – Odsunęła od siebie myśl o zabieraniu zwłok. Nie mogła pozwolić sobie na dekoncentrację, nie teraz. Uniosła więc tylko wyżej brodę i kontynuowała: – Gdyby mógł pan odesłać go do mnie... Mam już pozostałe rzeczy Tilly, więc dodam do nich broszę. Zanim wyjdę, przekażę też kucharce pierścionek.

Montague i Stokes skinęli głowami.

– Chodźmy. – Montague podał jej ramię. – Poszukamy Penelope i Griseldy, a potem wejdziemy na piętro.

– Radziłbym się pospieszyć – rzucił w ślad za nimi Stokes. – Mogę się założyć, że gdy tylko skończą się kłócić, rzucą się do rozdzielania biżuterii.

Violet wiedziała, że inspektor ma rację, zrezygnowała więc z pożegnania gości, czym nie raczyły zająć się Cynthia ani Constance, i pozwoliła, aby Montague zaprowadził ją do Griseldy i Penelope. Następnie udali się wszyscy na górę.

Posprzątały sypialnię na dzień przed tym, jak Tilly została zamordowana... Violet zmusiła się, by o tym nie myśleć, i skupiła na zadaniu. Podeszła do toaletki i wysunęła drugą szufladę po prawej.

– Lady Halstead trzymała perły tutaj.

– Lepiej niech ja to zrobię. – Montague pochylił się i wysunął całkiem szufladę. Postawił ją na stole i wyjaśnił: – Jeśli Halsteadowie pytają, będę mógł z czystym sumieniem powiedzieć, że jako wykonawca testamentu zmarłej zabrałem perły i przekazałem je pani.

Jej twarz pozostała poważna – nie mogła się przecież uśmiechać, nie w tym pokoju, ale zrobiła to w duchu.

– Dziękuję. – Spojrzała na szufladę i wskazała małą szkatułkę. – Tam jest brosza. Naszyjnik powinien się znajdować w woreczku z niebieskiego aksamitu. Pierścionek... w tym małym puzderku.

Montague wyjął wszystkie trzy przedmioty, obejrzał starannie i podał Violet.

Pozostawiła mu wsunięcie szuflady i zobaczyła, że Penelope i Griselda zagląдают do garderoby. Penelope przyglądała się sukniom, a Griselda butom oraz pantoflom. Violet zmarszczyła brwi.

– Czego panie szukają?

Spojrzały na nią, a potem ostatni raz na wnętrze szafy, i odsunęły się.

– Próbujemy poznać charakter zmarłej – wyjaśniła Penelope. – Jeśli chodzi o kobiety, ubrania i buty potrafia wiele powiedzieć. – Machnęła ręką w kierunku garderoby. – Sądząc po sukniach, była miłą, spokojną damą.

– Właśnie tak. Ale nie była słaba. Nie lubiła swoich dzieci, a że nie mogła ich zmienić, dała sobie z nimi spokój.

– To pasuje do butów – wtrąciła Griselda. – Są modne i dobrej jakości, lecz także wygodne. Lubiała modę, ale w rozsądnych granicach. Była też praktyczna.

Violet poczuła, że jej twarz łagodnieje.

– Tak, to cała ona.

Zebrały się przy drzwiach. Violet spojrzała po raz ostatni na pokój, a potem wyszły.

Na dole zatrzymała się i zerknęła za otwarte drzwi salonu, skąd dobiegał stłumiony gwar głosów. Najwidoczniej znajdowali się tam jeszcze żalobnicy.

Zaczerpnęła oddechu i odwróciła się ku pozostałym. Spojrzała na Penelope, a potem na Montague'a.

– Naprawdę nie mam ochoty wchodzić tam i zabawiać towarzystwo.

– Nie ma powodu, byś to robiła – oświadczyła Penelope. – Zrobiłaś i tak dosyć.

Montague dotknął jej ramienia – leciutko, ale i tak odczuła to jako wsparcie.

– Nie musi pani zostawać tu ani chwili dłużej.

Violet spojrzała na klejnoty w swoich dłoniach.

– Pozwólcie, że oddam kucharce pierścionek i pożegniam się z nią, a potem będę gotowa wyjść.

I nigdy tu nie wrócę. Nie powiedziała tego na głos, lecz słowa rozbrzmiały jej w głowie. Kończył się pewien etap jej życia, czuła to w głębi serca. Pora opuścić ten dom i ruszyć dalej. Przyszłość przedstawiała się co prawda nieco mgliście, lecz Violet miała teraz przyjaciół, a także, dzięki szczodrości lady Halstead, środki do życia.

Weszli wszyscy do kuchni. Pożegnanie z kucharką okazało się bardzo wzruszające, w końcu otarły jednak łzy i wymieniwszy adresy – Penelope zapisała adres swojego domu, pani Edmonds zaś domu siostry w Bermondsley – wreszcie się rozstały.

Barnaby i Stokes czekali w holu frontowym.

– Jesteście – powiedział Barnaby.

Violet poczuła na twarzy przenikliwe spojrzenie jego błękitnych oczu. Nie wiedziała, co tam dostrzegł, ale gdy się odezwał, jego głos brzmiał zdecydowanie łagodniej:

– Gotowa, by wyjść?

Skinęła głową.

Stokes i Griselda ruszyli przodem, a za nimi Adairowie. Montague podał ramię Violet, a ona je ujęła, wdzięczna za jego siłę i wsparcie.

Wyszli na chłodne jesienne powietrze, pachnące opadłymi liśćmi.

Poprowadził ją krótką ścieżką do furtki, przytrzymywanej przez Barnaby'ego. Mijając ją, uświadomiła sobie, że pozostali cicho o czymś rozmawiają, wymieniając się zapewne spostrzeżeniami. Nie usiłowali jednak włączyć jej do rozmowy, ani nawet na nią nie spojrzeli. Gdy furka się za nimi zamknęła, pozostałe dwie pary ruszyły chodnikiem ku miejscu, gdzie czekały powozy. Violet podążyła za resztą towarzystwa, trzymając pod rękę Montague'a.

Nagle zatrzymała się i obejrzała na dom, w którym spędziła osiem lat, spokojna i zadowolona, pracując z dwiema kobietami, których miała już nigdy nie zobaczyć.

Montague zatrzymał się tuż obok, lecz patrzył na nią, nie na dom.

Już miała się odwrócić, gdy nagły ruch za oknem bawialni przyciągnął jej uwagę.

Stał tam Mortimer, wyglądając na ulicę. Trudno było powiedzieć, czy wpatruje się w nią, w całą ich grupę, czy spogląda po prostu przed siebie. Nawet z tej odległości nietrudno było zauważyć, że jest skrzywiony i poirytowany. Po chwili odwrócił się i wycofał w głąb pokoju.

– Wygląda na to, że nadal się kłóca – zauważyła Violet.

Montague znów podał jej ramię.

– Z tą rodziną zawsze tak będzie – prychnął.

*

Nic nie dało się zrobić, musiał na razie zostawić pannę Matcham w spokoju. Pomijając wszystko inne, nie wiedział, gdzie się zatrzymała, a gdyby ktoś usłyszał, że o nią rozpytuje... Nie mógł sobie na

to pozwolić.

Lepiej się przyczaić, przynajmniej na jakiś czas.

Poza tym miał na głowie inne problemy – co, u licha, działo się z rachunkiem starszej pani?

Sugestia Wallace'a, jakoby to Tilly zabrała z banku pieniądze, a potem została zamordowana przez współnika, któremu pomogła zabić lady Halstead, była genialna. Dla niego zaś stanowiła istny dar niebios.

Policja nie była zbyt dużym zagrożeniem. Kręcili się w kółko, próbując znaleźć złodzieja i zakładając, że ten, kto podjął pieniądze, jest także mordercą. Kto wie? Ich wysiłki mogą zaowocować znalezieniem odpowiedniego kozła ofiarnego.

Dzięki Bogu Montague odmówił zajmowania się finansami staruszki. Gdy sprawdził jego referencje i dowiedział się, jak doskonałą ten człowiek ma opinię, uświadomił sobie, że niewiele brakowało.

Jednak Montague odmówił i papiery znajdowały się teraz w jego biurze, bez wątpienia wepchnięte na najdalszą półkę. Mogą sobie tam leżeć i pokrywać się kurzem, aż znajdzie odpowiedniego pełnomocnika – takiego, którego da się zastraszyć albo przekupić – i skłoni rodzinę, by zaakceptowała jego wybór.

Powóz toczył się przez noc, wioząc go z klubu do domu, a on analizował fakty, konfrontując je ze swoimi odczuciami, by upewnić się za wszelką cenę, że jest bezpieczny i nic nie zagrazi mu w przyszłości.

Nieważne, jak oceniał fakty i jak silną odczuwał potrzebę, nie był to najlepszy czas, by działać.

Nie, absolutnie. Wszystko układało się doskonale – a przynajmniej lepiej, niż oczekiwał. I nim ośmielał się mieć nadzieję.

Nie pora bezrozumnie ryzykować, postawić źle stopę i się potknąć.

Nie kwestionował swojej pewności w kwestii tego, iż uciszenie panny Matcham jest niezbędne, by mógł czuć się na dłuższą metę bezpieczny, nie musiał jednak działać natychmiast.

Gdyby zdawała sobie sprawę z wagi informacji, jaką posiada, już dawno podzieliłaby się nią z innymi, lecz tego nie zrobiła i nikt go nie podejrzewał.

Należało utrzymać ten stan rzeczy.

Zaczeka na sposobniejszą chwilę. W końcu nadarzy się okazja, uciszy pannę Matcham i wreszcie poczuje się wolny.

– Kto wie? – Spowity mrokiem uniósł brwi. – Może uda się zrzucić winę na nieistniejącego kochanka pokojówki?

*

Dwa dni później Violet weszła rankiem do zalanego słońcem pokoju śniadaniowego w domu Adairów przy Albemarle Street. Penelope siedziała już przy stole.

Violet skrzywiła się żartobliwie, siadając na krześle obok swej nowej chlebobawczyni, która nie zachowywała się wcale tak, jakby Violet była jej płatną pomocnicą.

– Zawsze wstaje pani tak wcześnie?

Penelope przełknęła kęs grzanki z dżemem i skinęła głową.

– Zazwyczaj. Już jako dziecko byłam rannym ptaszkiem. – Uśmiechnęła się. – To okropne, prawda?

– Powstrzymam się od odpowiedzi. – Violet naląła sobie herbaty.

– Polecam dżem. – Penelope pomachała grzanką. – Kucharka otworzyła świeży słoik agrestowego, zapewne na twoją cześć, musisz więc spróbować, by móc powiedzieć jej z czystym sumieniem, jaki jest pyszny. Bo jest. Oczywiście, jeśli lubi się agrest.

Chociaż spędziła w tym domu zaledwie dwa dni, przywykła już do nagłych i często chaotycznych uwag swej gospodyni – na tyle przynajmniej, by nie pogubić się w rozmowie.

– Na pewno zajrzę później do kuchni.

Przez kilka minut chrupały grzanki i popijały herbatę, a potem Penelope odsunęła pusty talerz.

– Zastanawiałam się, czy chciałabyś robić dzisiaj coś szczególnego. Oliver jest trochę przeziębiony, więc Hettie ostrzegła mnie, bym nie zabierała go na spacer. – Spojrzała na Violet niewinnie przez szkła okularów i uniosła brwi. – Może chciałabyś kogoś odwiedzić? Rozerwać się jakoś?

Violet spojrzała w brązowe oczy Penelope i uznała, że w tym, iż tak bardzo ją polubiła, nie ma nic dziwnego. Wiedziała dokładnie, dlaczego Penelope zaproponowała jej, by trochę się rozerwała – wczorajszy dzień był bowiem dla Violet wyczerpujący, zarówno emocjonalnie, jak i fizycznie.

Odwiedził ich brat bliźniak Tilly, tak do niej podobny, że z trudem wstrzymała łzy. Nie chciała jednak wprawiać biedaka w jeszcze większe zakłopotanie. I tak trudno mu było uwierzyć, że siostra nie żyje.

Mieszkał w Kent i przyjechał do miasta małym wozem. Najpierw, kierując się wskazówkami Violet, zaszedł do biura Montague'a, następnie wrócił na Albemarle Street i zabrał rzeczy Tilly. Odebrał z kostnicy jej ciało i wrócił z nim do wioski, gdzie miała spocząć na małym wiejskim cmentarzu obok rodziców.

Ciało Tilly zostało więc zabrane, a po odjeździe Freda Violet czuła się roztrzęsiona.

Rozumiała teraz, jak destrukcyjne może być morderstwo.

Penelope i służba, a nawet mały Oliver, robili, co mogli, by ją czymś zająć. Także Barnaby był podczas kolacji wprost niemożliwie uprzejmy.

Gdy nadszedł wieczór, schroniła się w sypialni, gdzie uświadomiła sobie, że w przeciwieństwie do Tilly nadal ma dach nad głową, cel i powód do życia.

Obudziwszy się następnego ranka, odkryła, że jej determinacja, by znaleźć mordercę, jeszcze wzrosła.

Spojrzała teraz na Penelope i powiedziała:

– Prawdę mówiąc, przypomniało mi się coś dziwnego dotyczącego posiadłości Halsteadów.

Penelope, zainteresowana, otworzyła szerzej oczy.

– Mów, proszę.

– Kiedy rodzina zaczęła się kłócić o to, co zrobić z ziemią i domami, pobudziło to moją pamięć. Wspomnieli o domu rodzinnym na wsi, zwanym Laurels. Kłócili się, czy lepiej będzie go sprzedać, czy wynająć. – Zlizwała resztkę dżemu z palców, faktycznie doskonałego, a potem kontynuowała: – Nie mam powodu sądzić, by miało to związek z tym, co dzieje się teraz, z tymi dziwnymi wpłatami na konto lady Halstead, wiem jednak, że starsza pani niepokoiła się z powodu listu, jaki dostała od sąsiadki z wioski, żony pastora. Wspomniała ona o ludziach wynajmujących Laurels, a z tego, co wiedziała lady Halstead, dom powinien stać pusty i zamknięty od lat.

– Ach tak. – Penelope zastanawiała się przez chwilę, a potem spytała: – Nie czytałaś zapewne tego listu?

– Nie – odparła Violet. – Wiem jednak, gdzie go szukać.

– Gdzie?

– W podróznym sekretarzyku lady Halstead, ten zaś schowany jest w najniższej szufladzie dużej komody w jej sypialni. – Zamilkła na chwilę, a potem dodała: – Do tej pory zdążyli już chyba zabrać biżuterię, wątpię jednak, by zawracali sobie głowę sekretarzykiem. Jest stary i niezbyt wartościowy.

– Mogli się nawet jeszcze na niego nie natknąć. – Ukryte za okularami oczy Penelope zabłyśły.

Violet skinęła głową.

– Dziś rano przypomniałam sobie coś jeszcze.

– Co mianowicie?

– Nie oddałam panu Montague’owi kluczy do domu.

– Ojej. – Penelope uśmiechnęła się radośnie. – To załatwia sprawę – powiedziała zdecydowanie, spoglądając na Violet. – Powinniśmy wrócić do tego domu, przeczytać list, a jeśli okaże się interesujący, to go zabrać. Kto wie? Może będzie stanowił istotny dowód, chociaż na razie o tym nie wiemy. – Przerwała dosłownie na sekundę, a potem kontynuowała: – Sugeruję, droga Violet, byśmy kazały postawić powóz, wstąpiły na Greenbury Street po Griseldę, która na pewno chciałaby w tym uczestniczyć, a potem udały się we trzy na Lowndes i zabezpieczyły list. Następnie możemy pojechać do City i wpaść do biura Montague’a, byś mogła zostawić mu klucze.

Penelope wręcz promieniała. Violet nie mogła się powstrzymać, by nie czuć podobnie.

– Coś mi się wydaje, że będziemy miały cudowny poranek – zakończyła Penelope, odsuwając krzesło.

*

Dom przy Lowndes wyglądał na opuszczony.

Kiedy powóz Adairów zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, Violet spojrzała na zasłonięte ciężkimi storami okna.

– Musieli polecić lokajom i kamerdynerom, by zaciągnęli wszystkie zasłony.

Griselda wzdrygnęła się lekko.

– Nie znoszę, kiedy tak robią. Zupełnie jakby dom także umarł.

– Na kłamce nie ma nawet czarnej wstążki. – Penelope wychyliła się przez okno i jęła przyglądać domowi. – I bardzo dobrze. Nikt nie będzie się dziwił, że tam wchodzimy.

Spojrzała na Violet.

– Gotowa?

Violet wyłowiła z torebki klucze i skinęła z determinacją głową. Spojrzała na dom, a potem wysiadła z powozu w ślad za Penelope i Griseldą.

Zostawiły pojazd pod opieką lokaja i przeszły przez ulicę – trzy damy na porannym spacerze.

– Szybko. – Penelope otworzyła furtkę. – Nikogo nie ma w pobliżu. Wejdzmy.

Violet wiedziała, iż Penelope nie tyle każe jej się pospieszyć, ile apeluje, żeby nie zwlekać. Ruszyła więc szybko ścieżką, wsunęła klucz do zamka, przekręciła go, a potem otworzyła drzwi i weszła. Odwróciła się i zamknęła je za Griseldą.

W ponurym mroku frontowego holu zatrzymały się na chwilę, nasłuchując. Rodzina mogła zostawić bowiem kogoś ze służby, aby pilnował dobytku. Gdyby je przyłapano, Violet miała powiedzieć, że zapomniała czegoś ze swego pokoju. Na wszelki wypadek przyniosła nawet ślicznie rzeźbiony napastrzek, by mieć co pokazać.

Nikt jednak się nie pojawił.

Po chwili Griselda potrząsnęła głową.

– Nikogo tu nie ma.

– Nie spodziewałam się, że będzie inaczej. – Violet odwróciła się ku schodom. – Ta rodzina nie troszczy się o nic, co do nich nie należy.

Ruszyły schodami na górę: Violet pierwsza, a za nią Penelope oraz Griselda.

Violet cieszyła się, że nie jest sama. Panująca w domu atmosfera pustki i chłodu zdawała się niepokojąca, a nawet nieco groźna. Sytuację pogarszał jeszcze panujący dokoła półmrok.

Gdy weszły do sypialni lady Halstead, natychmiast stało się jasne, że rodzina już tu była. Pomimo iż przez zasłony wpadało niewiele światła, brak niektórych przedmiotów wręcz rzucał się w oczy.

– Kasetka na biżuterię zniknęła – zauważyła Penelope, wskazując dłonią toaletkę.

– Podobnie jak oprawione w srebro szczotki do włosów oraz grzebień z kości słoniowej – dodała Griselda. – I kryształowa taca, na której leżały.

– Przekonajmy się zatem, czy się nie spóźniłyśmy.

Violet podeszła do dużej komody i wyciągnęła najniższą szufladę. Spojrzała na towarzyszki i uśmiechnęła się.

– Tak jak się spodziewałam, nie zdążyły się tym zająć.

– Albo nie były zainteresowane. – Penelope odsunęła się, gdy Violet wyjęła sekretarzyk.

Podeszła do łóżka i położyła drewniane pudło o pochyłym blacie na pościeli.

Griselda odsunęła jedną z zasłon. Słabe jesienne światło padło na łóżko i sekretarzyk.

– Dziękuję – powiedziała cicho Violet. Otworzyła pokrywę, odsłaniając szufladę pełną leżących luzem listów, pokrytych drobnym pismem.

Sięgnęła po zmięty arkusz na wierzchu.

– To powinien być ten list.

Uniosła go ku światłu, trzymając tak, by mogły patrzeć na niego wszystkie trzy.

List nie był szczególnie długi. Sądząc ze swobodnego, gawędziarskiego tonu, w jakim był utrzymany, należało sądzić, że panie dobrze się znały, i to od dawna. Pani Findlayson, żona pastora z Noak Hill, donosiła, iż znajomych lady Halstead ciekawiło, kim są osoby mieszkające od jakiegoś czasu w jej domu i nieutrzymujące z nikim bliższych kontaktów. I choć nie podawała żadnych szczegółów i zdawała się nie podzielać zainteresowania mieszkańców wioski, z tego, co napisała, i tak wynikało, iż w Laurels może dziać się coś podejrzanego.

Penelope przeczytała list dwukrotnie, a potem spojrzała na towarzyszki.

– Nie mam pojęcia, gdzie znajduje się Noak Hill, lecz jeśli to Essex, nie może być daleko.

– Może twój woźnica będzie coś wiedział? – zasugerowała Griselda.

Penelope przytaknęła, a potem dodała:

– Może będzie też w stanie powiedzieć, jak długo by się tam jechało.

– I z powrotem – dodała Griselda. – Minęła jedenasta, a nie chcemy wrócić zbyt późno.

– Oczywiście. Uważam jednak – twarz Penelope przybrała wyraz absolutnego zdecydowania – że skoro pani Findlayson i jej przyjaciele z wioski nie dowiedzieli się jeszcze o śmierci lady Halstead, twoim obowiązkiem, Violet, jest pojechać tam, w towarzystwie moim oraz Griseldy, i poinformować ją, że przyjaciółka odeszła.

– Rzeczywiście, tak właśnie należy postąpić – odparła Violet. – Jestem pewna, iż lady Halstead życzyłyby sobie, bym powiadomiła jej znajomych ze wsi o tym, co się wydarzyło.

– Cóż, o ile zdołałyśmy się zorientować, rodzina na pewno się tym nie zajmie – wtrąciła Griselda. – Zatem ja również opowiadam się za tym, byśmy odwiedziły plebanię w Noak Hill, o ile uda nam się wrócić przed wieczorem.

– Przy okazji mogłybyśmy rzucić też okiem na Laurels.

Penelope ruszyła ku drzwiom. Zatrzymała się jednak i zaczęła, aż Violet odniesie na miejsce sekretarzyk, schowawszy wpierw list do torebki. – Ostatni punkt programu – powiedziała, kiedy Violet wyprostowała się, a Griselda zaciągnęła z powrotem zasłonę. – Powiemy naszym panom przed wyprawą czy po niej?

Violet spojrzała na Griseldę, a potem na Penelope.

– Choć list zaniepokoił lady Halstead, w końcu uznała jednak, że nie ma on nic wspólnego

z wpłatami na rachunek, już choćby dlatego, że kwoty tychże były za wysokie, by mogły pochodzić z czynszu. Uznała, że ktoś zatrzymał się w domu, będąc w okolicy przejazdem, i że nie jest to sprawa warta uwagi. Sądziła, że należy skupić się przede wszystkim na kwestii tajemniczych wpłat, i nie wspomniała panom Runcornowi i Montague'owi o dziwnych lokatorach, by nie rozpraszać ich uwagi. – Zamilkła, a potem dodała z wolna: – Co więcej, nie wspomniała o liście nikomu z rodziny, zatem cokolwiek się tam dzieje, nie może mieć związku z morderstwami.

– Doskonale! – powiedziała Penelope. – Czyli, skoro jest to kwestia poboczna, którą nasi panowie nie mają czasu się zająć, nie ma powodu, byśmy nie zrobiły tego my i nie spróbowały sprawdzić, czego możemy się dowiedzieć. Zwłaszcza – dodała, kierując się ku schodom – że nic nie wskazuje, by miało to związek z morderstwami.

– Przynajmniej taką mamy nadzieję – uzupełniła Griselda.

Penelope skinęła głową.

– Właśnie. – Zaczęła schodzić po stopniach. – Tak czy inaczej, nie ulega kwestii, że potrafimy przepytąć żonę pastora, panią Findlayson, skuteczniej, niż zrobiłby to którykolwiek mężczyzna.

ROZDZIAŁ 12

Penelope weszła do biura firmy Montague i Syn jako pierwsza. Główny urzędnik Montague'a, Slocum, rozpoznał ją natychmiast i podszedł z uśmiechem.

– Pani Adair. – Zerknął poza nią, na Griseldę, której nigdy dotąd nie widział, a potem jego spojrzenie pojaśniało. Uśmiechnął się szerzej. – I panna Matcham, prawda?

– A to pani Stokes. – Penelope wskazała Griseldę. – Poznał pan chyba ostatnio jej męża, inspektora Stokesa.

– W rzeczy samej, tak. – Slocum się uklonił. – Dzień dobry paniom. W czym mogę pomóc?

Violet także się uśmiechnęła.

– Dzień dobry, panie Slocum. Przybyłam, żeby oddać klucze do domu lady Halstead. Jeśli pan Montague znajdzie dla mnie chwilę, wołałabym zrobić to osobiście.

– Oczywiście, proszę pani. – Obejrzał się na drzwi gabinetu, lecz były zamknięte. – Ma teraz klienta, ale ponieważ spotkanie może się przeciągnąć, wejść tam i zapytam, czy mógłby przerwać je na chwilę i wyjść.

– Dziękuję, panie Slocum. Chwila w zupełności wystarczy.

Penelope zauważyła znajomą twarz, zostawiła zatem Violet oraz Griseldę przed biurkiem Slocuma i podeszła do innego, mniejszego. Urzędnik, który tam pracował, podniósł co prawda wzrok, gdy weszły, lecz wrócił zaraz do pracy. Penelope zatrzymała się przed biurkiem.

– Pan Pringle, prawda?

Pringle spojrzał na nią i uśmiechnął się z niejakim znużeniem.

– Tak, pani Adair.

Slocum zniknął w biurze Montague'a, Violet i Griselda podeszły zatem z szelestem spódnic do Penelope. Ta zaś odwróciła się i powiedziała, wskazując Pringle'a:

– Pringle pracował u pana Runcorna. – Spojrzała z powrotem na urzędnika. – Teraz pracuje pan tutaj?

Pringle przytaknął.

– Pan Montague był tak dobry i mnie przygarnął. Prowadzi szeroką i zróżnicowaną praktykę, więc zawsze znajdzie się tu dla mnie coś do roboty. I muszę powiedzieć, że odetchnąłem z ulgą, kiedy mi to zaproponował. W moim wieku znalezienie nowej posady nie byłoby rzeczą łatwą. Niewielu pracodawców ceni dziś doświadczenie.

– Rzeczywiście – zgodziła się z nim Violet. – Jestem panna Matcham. Byłam towarzyszką lady Halstead i spotkałam kilka razy pana Runcorna. Jego śmierć bardzo mnie zasmuciła. Pan musiał odczuć to jeszcze boleśniej, skoro pracował pan z nim na co dzień. Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia.

Griselda i Penelope pokiwały głowami, potwierdzając, że zgadzają się z Violet.

Pringle skłonił się ze smutkiem.

– Dziękuję pani, i paniom. – Zaczerpnął oddechu, a potem się wyprostował. – Jak wspomniałem, w tej sytuacji dobrze jest mieć się czym zająć. Dlatego jestem podwójnie wdzięczny panu Montague'owi, że zechciał mnie zatrudnić.

Penelope przechyliła głowę, zerkając na rozłożone dokumenty.

– Pracuje pan nad sprawami nowych klientów?

Pringle też spojrzał na dokumenty.

– Na razie żadni się nie pojawili. Moim pierwszym zadaniem jest zaprowadzić porządek w dokumentach Halsteadów.

– I co, robi pan postępy? – spytała Penelope.

Pringle westchnął.

– Niestety, bardzo powoli. Mam świadomość, że informacje mogłyby popchnąć śledztwo naprzód, jednak sir Hugo miał w kwestii inwestycji dość eklektyczne gusta. Dokumenty bardzo się więc różnią i często nie są takie, jakich można by się spodziewać. Właściwe poukładanie ich trochę potrwa.

Drzwi gabinetu się otworzyły. Panie odwróciły się i zobaczyły, że Montague wychodzi w ślad za Slocumem. Penelope zauważyła, że wzrok pełnomocnika powędrował natychmiast ku Violet.

– Violet? – zapytał Montague z troską, zmierzając ku niej przez pokój. Zauważył Penelope oraz Griseldę, zwolnił i lekko się im uklonił.

– Penelope, Griseldo, witam panie. – Zatrzymał się, a potem wrócił spojrzeniem ku Violet. Przyglądał się jej przez chwilę, nim spytał: – Co się stało?

Violet uśmiechnęła się uspokajająco.

– Nic ważnego. – Uniosła rękę i pokazała mu klucze. – Przypomniałam sobie, że jeszcze ich nie oddałam. To klucze do drzwi wejściowych i tylnych domu Halsteadów. Pomyślałam, że zostawię je panu, a pan przekaże przy okazji rodzinie.

Montague wziął klucze.

– Dziękuję. Tak będzie rzeczywiście najlepiej. – Zatroskanie malujące się na jego twarzy zniknęło. Spojrzał na Penelope i Griseldę, a potem znowu na Violet. – Co panie zaplanowały na dziś?

Penelope uśmiechnęła się olśniewająco i powiedziała, nim zaskoczone towarzyszki zdołały się odezwać:

– Wybieramy się na krótką wycieczkę na wieś.

– Właśnie. – Violet odzyskała błyskawicznie kontenans. – Nie będziemy więc pana zatrzymywać.

Podawała mu rękę. Ujął ją, przytrzymał i spojrzał znowu na Penelope.

– Tak się składa, że klient, z którym odbywam właśnie spotkanie – skinął głową w kierunku gabinetu – to krewny pani, Dexter. Jest chyba kuzynem. Chciałaby pani zamienić z nim słowo?

Dexter? Penelope uśmiechnęła się szerzej, ale machnęła przy tym dłonią, odrzucając pomysł.

– Nie, nie. Nie ma potrzeby zwracać mu głowy.

Dexter był pod wieloma względami bardzo podobny do jej starszego brata, Luca. Przez większość życia byli wręcz nierozłączni – poślubili nawet bliźniaczki. Gdyby więc Dexter usłyszał, że wybierają się na wieś, stałby się natychmiast podejrzliwy i zacząłby wypytywać: dokąd, w jakiej sprawie i co Penelope zamierza tam robić... A choć Barnaby był na najlepszej drodze, by stać się nowoczesnym mężczyzną, takim, który nie czuje potrzeby pilnowania damy na każdym kroku, Luc i Dexter byli okazami z wcześniejszej epoki.

– Zobaczymy się wkrótce podczas rodzinnej kolacji – powiedziała, uśmiechając się nadal promiennie – lecz proszę go ode mnie pozdrowić. – Naciągnęła pospiesznie rękawiczki i powiedziała do towarzyszek: – Teraz naprawdę musimy już iść.

Wyczuły, że chce jak najszybciej opuścić biuro, gdyż wolałaby uniknąć spotkania z Dexterem. Uśmiechnęły się zatem na pożegnanie i podążyły za nią do wyjścia.

Penelope nie odetchnęła swobodnie, póki drzwi powozu nie zamknęły się za nimi i koła nie zaturkotały na bruku. Dopiero wtedy uśmiechnęła się, oparła o poduszki i zawołała wesoło:

– Do Essex!

– Do Noak Hill! – dodała Griselda.

– I Laurels – zawtórowała im Violet – oraz wszystkiego, czego się tam dowiemy.

Phelps, woźnica Penelope, musiał zatrzymywać się kilka razy, by lokaj, Conner, mógł zapytać o drogę, lecz w końcu pojazd wtoczył się na skrzyżowanie wiejskich dróg i stanął. Ostatnie wskazówki uzyskali w gospodzie Pod Niedźwiedziem, niecałe pół mili od miejsca, w którym się obecnie znajdowali, zatem musiało to być właśnie Noak Hill.

Damy wyjrzały przez okna powozu.

– Widzę znak z napisem: „Na plebanie” – zaraportowała Griselda.

Penelope skinęła w przeciwnym kierunku.

– Sama wioska leży chyba po tej stronie.

Powóz zakotłosał się, gdy Conner zeskoczył z kozła.

– Którędy, *madame*? Kościół jest przed nami, a większość domów w dole po lewej.

Penelope zastanawiała się przez chwilę.

– Przyjechałyśmy spotkać się z żoną pastora, więc pewnie zastaniemy ją na plebanii.

Conner przytaknął.

– Wygląda na to, że plebania znajduje się tuż obok kościoła.

– Hm, tak, lecz może lepiej byłoby zlokalizować wpierw dom Halsteadów, Laurels. Powinien znajdować się gdzieś wzdłuż drogi prowadzącej przez wioskę. – Spojrzała na Connera. – Powiedz Phelpsowi, żeby przejechał powoli przez wieś, a jeśli zauważymy dom – zapewne będzie tam gdzieś jego nazwa – niechaj go minie i zawróci. Chcemy tylko na niego rzucić okiem, by się przekonać, co to za miejsce.

– Tak, proszę pani – odparł posłusznie Conner i się skłonił.

Wdrapał się na kozioł i po chwili powóz ruszył, minął zakręt i jął toczyć się sennie wzdłuż drogi.

Violet i Penelope wyglądały przez okno z jednej strony, a Griselda z przeciwnej.

– Wiejskie chaty – poinformowała ją Penelope.

– Trzy niewielkie szeregowe domki – zrewanżowała się Griselda. – Takie, jakie buduje się dziś dla robotników rolnych.

Minęły duży dom, położony nieco dalej od drogi.

– Orchard. – Violet wskazała przymocowaną do słupka bramy tabliczkę.

Potem zobaczyły jeszcze kilka niewielkich domów, stojących każdy na swojej działce. Zbliżyły się już do końca wioski, kiedy Griselda powiedziała:

– Jest!

Violet i Penelope przesunęły się na lewą stronę powozu i zapatrzyły na solidny, wolno stojący dom zbudowany z czerwonej cegły i cofnięty sporo od drogi. Przed nim znajdował się duży ogród, bardzo teraz zaniedbany.

– Trawnik został jednak ostatnio skoszony – zauważyła Penelope, kiedy minęły dom.

– Zasłony w kilku oknach na piętrze są rozsunięte, a w innych całkiem zaciągnięte – dodała Griselda.

– Dziwne, jeśli dom miał być zamknięty – zauważyła Penelope. – Możemy chyba bezpiecznie założyć, iż żona pastora wykazała się bystrością. W Laurels ktoś mieszka.

Dom okazał się ostatni w wiosce. Powóz zwolnił, a potem zawrócił. Penelope wstała i otworzyła okienko w dachu.

– Z powrotem na plebanie, Phelps, lecz zwolnij jak najbardziej przy tym domu z lewej.

Phelps posłuchał i wyjrzały znów wszystkie trzy przez okno. Wysoki kamienny mur ogrodu porastał niemal całkowicie bluszcz. Wkrótce oplecie też zapewne żelazną bramę, usytuowaną dokładnie naprzeciw głównego wejścia. Ponad nią wstęga z kutego żelaza informowała: Laurels.

– Bluszcz został przycięty, by odsłonić nazwę – zauważyła Violet. – Lecz zostawili ten rosnący na samej bramie. – Ściągnęła brwi. – Dziwne, doprawdy.

Za bramą krótka żwirowa dróżka, porośnięta miejscami trawą, prowadziła wprost ku wąskiemu podjazdowi. Trawa wdzierała się także na nią.

Gdy powóz potoczył się dalej drogą, zauważyły większą bramę, także z kutego żelaza. Ta stała dla odmiany otworem, a prowadzący od niej podjazd, wolny od chwastów i nieźle utrzymany, skręcał za róg pudełkowatego budynku.

Penelope spojrzała na dom, a potem westchnęła i opadła na poduszki.

– Trzy kondygnacje. Nad piętrem widać okna mansardy. Jest rozsądnych rozmiarów, ale niewielki. Dokładnie taki, jakiego można się spodziewać u rodziny o dochodach Halsteadów.

– Zatem – powiedziała Violet – budynek niczym nas nie zaskoczył. Pytanie brzmi: kto go wykorzystuje i w jakim celu?

Penelope skinęła głową.

– Miejmy nadzieję, że żona pastora będzie w stanie rzucić na tę sprawę nieco światła.

Kiedy ruszyły dróżką ku drzwiom plebanii, było wczesne popołudnie. Powiedziały, że chciałyby zobaczyć się z panią Findlayson, i niemal natychmiast wyszła ku nim miło wyglądająca kobieta o bujnych kształtach, z kręconymi siwymi włosami, okalającymi sympatyczną twarz, z której patrzyły na świat pełne spokoju niebieskie oczy.

Teraz inicjatywę przejęła Violet. Przedstawiła siebie i towarzyszkę, po czym wyjaśniła, że wpadły z wizytą, ponieważ z ostatniego listu lady Halstead wynika, iż panie dobrze się znały.

Pastorowa szczerze się ucieszyła. Nalegała, by zasiadły w przytulnym saloniku, poleciła, by podano herbatę, a potem spytała, zwracając się do Violet:

– I jak też się ma droga lady Halstead?

Violet przekazała nowiny tak oględnie, jak tylko była w stanie.

Pani Findlayson posmutniała.

– Boże... Zamordowana, powiada pani? To z pewnością okropne. Tyle jest dzisiaj zła na świecie...

Pokojówka wniosła tacę z herbatą i Penelope przystąpiła do pełnienia honorów pani domu: naląła do filiżanki mocnej herbaty, dorzuciła kilka kostek cukru i podała ją pastorowej.

Pani Findlayson przyjęła napój oszołomiona.

Penelope i Griselda naląły herbaty sobie i Violet.

Violet popijała przez chwilę gorący płyn, a potem spytała cicho, nie spuszczać wzroku z gospodyni:

– Dobrze znała pani jej lordowską mość, prawda?

– Och, tak. – Pani Findlayson przytaknęła z nieobecną miną. – Przyjechałyśmy do wioski w tym samym czasie, obie jako świeżo poślubione małżonki. Bardzo się podczas tych pierwszych lat zbliżyłyśmy, lecz potem sir Hugo objął posiadłość za granicą i wyjechali, zostawiając dzieci. Wtedy było ich tylko dwoje: Mortimer i Cynthia. – Zaciśnęła z lekką dezaprobatą wargi. – Oczywiście Agatha nie chciała narażać ich na trudy życia w tych okropnych dalekich miejscach, lecz z biegiem lat zaczęłam się zastanawiać, i nie tylko ja, czy była to aby na pewno słuszna decyzja.

Spojrzeła na Violet i uśmiechnęła się słabo.

– Skoro pani ją znała, zgodzi się pani ze mną, że trudno byłoby znaleźć osobę bardziej łagodną i miłą. Zawsze podejrzewałam, że zamierzała przyjeżdżać do domu częściej, lecz sir Hugona wysyłano wciąż dalej i dalej, a podróż statkiem trwa na tyle długo, że nie wracali do Anglii tak często, jak by chcieli.

Potaknęła sama sobie, a potem mówiła dalej:

– Agatha wróciła, żeby urodzić Maurice’a, lecz wyjechała, kiedy był jeszcze prawie niemowlęciem. William urodził się za morzem, chyba w Indiach, jednak Agatha i Hugo przywieźli go tutaj, umieścili w pokoju dziecinnym i znów wyjechali.

Zmarszczyła brwi i poruszyła się na krześle.

– Nie lubię mówić źle o zmarłych i Bóg jeden wie, że pozostałyśmy z Agathą przyjaciółkami, lecz gdy sobie przypomnę, jak to biedactwo płakało za matką... Cóż, wiedziała o tym cała wieś. Uciekał też kilka razy, lecz guwernerzy zawsze go znajdowali i sprowadzali z powrotem do domu. – Zacisnęła usta i odstawiła filiżankę. – Jak w każdej przyjaźni, pomiędzy mną a Agathą zdarzały się rzeczy, których nie aprobowałam, i to była właśnie jedna z nich. – Zaczerpnęła oddechu, spojrzała na Violet, a potem na Penelope oraz Griseldę. – Poza tym byli oboje uroczyimi ludźmi, tak oddanymi sprawie służenia krajowi, że trudno za cokolwiek ich potępiać.

Zamyśliła się na chwilę, a potem uśmiechnęła:

– Papłę, a przecież skoro oboje nie żyją, nie ma co roztrząsać przeszłości.

– Jednak to miłe, że nadal pani o nich pamięta i ceni sobie wspomnienia. – Violet zamilkła, a potem powiedziała: – Jestem pośrednio zaangażowana w rozpoznawanie majątku lady Halstead, a jak może sobie pani zapewne wyobrazić, jej dzieci nie potrafią dojść w kwestii spadku do porozumienia. Zastanawiam się więc – spojrzała kobiecie w oczy – czy mogłaby mi pani coś o nich, to znaczy o dzieciach, powiedzieć? Jest pani jedną z nielicznych osób, które znały całą czwórkę na tyle dobrze, by wypowiedzieć się na temat ich charakterów, a to mogłoby bardzo nam pomóc.

Twarz pani Findlayson, dotąd łagodna, ściągnęła się w grymasie niechęci. Kobieta zawahała się, wstrzymując najwidoczniej słowa, które cisnęły się jej na usta, spojrzała jednak w końcu na Violet i skinęła głową.

– Agatha nie żyje – została zamordowana – i z tego, co wiem, winowajcą może być któreś z jej dzieci. Prawdę mówiąc, to by do nich pasowało. Trudno byłoby znaleźć bardziej zmijowate plemie, choć muszę przyznać, że docinki i złośliwości rezerwowali zwykle dla siebie nawzajem. Wszystko miało zostać w rodzinie, że tak powiem.

Zamilkła, a potem kontynuowała:

– William, pomimo wszystkich swoich kłopotów, jest i tak z nich najlepszy. A po nim Maurice, choć nie powierzyłabym mu niczego, co posiada jakąkolwiek wartość. Lecz jeśli chodzi o dwójkę najstarszych, to gdyby nie byli dziećmi Agathy i Hugona, nie chciałabym mieć z nimi nic do czynienia, chyba że się ostatnio bardzo poprawili. Cynthia to skupiona wyłącznie na sobie harpia, a Mortimer... Cóż, mój mąż opisał go kiedyś jako bezbarwnego egotyka, posiadającego o sobie nadmiernie wysokie mniemanie.

– Oboje, Cynthia i Mortimer, zaciekle o wszystko rywalizują – zauważyła Violet.

Pani Findlayson przytaknęła.

– Życie w Laurels zawsze tak wyglądało: nieustanna rywalizacja pomiędzy tą dwójką. Przez lata odbyliśmy z mężem niezliczone konsultacje z nianiami, guwernantkami i troszczącymi się o swych podopiecznych nauczycielami. Wielu musiało szukać u nas rady. – Ściągnęła brwi, ewidentnie porządkując wspomnienia, a potem mówiła dalej: – To było dziwne, mieć pod opieką dzieci, które były tak świętoszkowate, kołtuńskie, konserwatywne i obsesyjnie wręcz przestrzegające zasad. Nie sposób było niczego im zarzucić, rozumiecie? Jak można ukarać dziecko za to, że zbyt ściśle stosuje się do zasad? Bierze je aż nazbyt dosłownie? Co więcej, ich działania i zachowanie nigdy nie były szczerze, lecz wynikały wyłącznie z ambicji. Nieskazitelnym zachowaniem przysporzyli opiekunom więcej siwych włosów niż William, Maurice czy dzieci z wioski wybrykami właściwymi dla ich wieku. Wiedzieliśmy, jak sobie z takimi radzić, z dwoma młodszymi Halsteadami, nawet jeśli nadużywali do maksimum

naszej cierpliwości. Dwójka starszych wymykała się jednak zrozumieniu.

Umilkła. Violet kusiło, by dalej naciskać, lecz żona pastora poruszyła się i mówiła dalej:

– Mąż zauważył kiedyś, że u początków takiego zachowania mogła leżeć rywalizacja o jak największą akceptację ze strony rodziców, pragnienie, żeby być lepszym od rodzeństwa, zauważonym i docenionym. Rodziców nie było jednak na ogół w pobliżu, więc walka nigdy się nie zakończyła. Na Mortimera wpłynęło to bardziej niż na pozostałych. Jako najstarszy sądził, że powinien być przywódcą, lecz Cynthia nigdy się z tym nie pogodziła, a pozostali dwaj poszli za jej przykładem, przynajmniej w tym wypadku.

Upiła łyk herbaty, odstawiła filiżankę i zakończyła:

– Mortimer wyprowadził się z Laurels, kiedy miał ponad dwadzieścia lat, i do tego czasu zdążył już stać się człowiekiem, który nie potrafi zadowolić się tym, co ma, i zawsze pragnie czegoś więcej. – Wzruszyła ramionami. – O ile wiem, Cynthia może być taka sama. Ani trochę by mnie to nie zaskoczyło. Co się tyczy pozostałej dwójki, ośmielę się przypuszczać, iż podążyli ścieżką, na którą wstąpili, gdy jeszcze mieszkali w Laurels, i nie była to ścieżka cnoty.

W pokoju zapadła na chwilę cisza. Penelope, Violet i Griselda przyswajały uzyskane informacje, porównując je z własnymi obserwacjami. Wreszcie Violet odstawiła filiżankę i spodek.

– Dziękujemy – powiedziała z uśmiechem. – Pani uwagi z pewnością nam pomogą.

– Zrobię, co tylko w mojej mocy – odparła pani Findlayson – zwłaszcza jeśli miałoby pomóc to w ujęciu mordercy Agathy.

– Co się tyczy tej ostatniej kwestii – Penelope pochyliła się ku pani Findlayson, ściągając na siebie jej uwagę – napisała pani w ostatnim liście, iż zaobserwowaliście wraz z mieszkańcami wioski, że w Laurels dzieje się coś niezwykłego. Choć nie ma powodu łączyć tej aktywności z zamordowaniem lady Halstead, wydaje się dziwna i nieoczekiwana.

– Cóż, tak. – Pani Findlayson uniosła brwi. – Byliśmy dość zaskoczeni, gdy wprowadzili się tam nowi lokatorzy.

– Kiedy to było? – spytała Penelope.

– Ponad rok temu... piętnaście miesięcy? – Pani Findlayson zmrużyła oczy. – Tak, na kilka miesięcy przed dożynkami. Jako że nikt z domu nie pojawił się w kościele, mąż wybrał się tam, by ich zaprosić oraz zachęcić do uczestnictwa w życiu parafii. Poza tym byliśmy, oczywiście, ciekawi, kim są nowi mieszkańcy.

– I co się okazało? – Oczy Penelope zabłysły za szklami okularów.

Lecz pani Findlayson potrząsnęła głową.

– Udało mu się zobaczyć tylko z dziwnym służącym i parą pracującą w kuchni. Kobieta i mężczyzna, ponurzy i zamknięci w sobie. Kiedy mijają się ich na drodze, ledwie raczą skinąć głową. Nie widzimy ich w wiosce, chyba że wyruszają akurat wozem do Romford. Jeżdżą tam po prowiant przed wieczornymi spotkaniami.

– Spotkaniami? – powtórzyła Penelope z ciekawioną.

– Tak. Właśnie dlatego zdecydowałam się napisać do Agathy. To się już ciągnie za długo. Mniej więcej raz na miesiąc przed Laurels zajeżdżają powozy, wszystkie czarne i z zaciągniętymi firankami. Osiem lub więcej, co miesiąc, zawsze późnym wieczorem, zwykle nawet po dziesiątej. – Zaciśnęła wargi, a potem otworzyła je i wyznała: – Nawet chłopcy z wioski, którzy wspięli się na drzewa, nie byli w stanie dostrzec, co tam się dzieje, ponieważ zasłony są zawsze szczelnie zaciągnięte, choć na parterze pali się światło.

– Jak długo powozy zostają? – spytała Griselda.

– Zaledwie około dwóch godzin. Zwykle słyszymy, jak odjeżdżają, około północy lub nieco później.

Penelope zmarszczyła brwi i zapytała:

– A gdy odjeżdżają, też mają zaciągnięte firanki?

Pani Findlayson skinęła głową.

– Za każdym razem i co do jednego. Zatem, widzicie panie, nie mamy pojęcia, kto mieszka w domu, po co urządziła te zjazdy ani co się tam wtedy dzieje.

Violet pochyliła się ku żonie pastora.

– Powiedziała pani, że odbywają się co miesiąc. Tego samego dnia?

– Nie, niedokładnie. Mniej więcej co miesiąc, ale nie znamy nigdy dokładnej daty, póki nie zobaczymy, że parka z kuchni wyrusza wozem do Romford.

– Kiedy odbył się ostatni? – spytała Penelope. – A raczej kiedy spodziewacie się następnego?

– Nie pamiętam daty ostatniego przyjęcia, ale następne odbędzie się dzisiaj. – Pani Findlayson spojrzała na Penelope. – Ogrodnik widział dziś rano służących zmierzających po sprawunki.

*

Pożegnały się z panią Findlayson, obiecując przekazać uzyskane informacje właściwym osobom, a potem pospieszyły do powozu. Wsiadły i Penelope poleciła Phelpsowi, by zawiózł je z powrotem do Laurels.

Teraz stały przed zbyt masywną bramą i osłonięte wybujałym bluszczem zerknęły przez liście na dom.

– Na piętrze zasłony nie są zaciągnięte – zauważyła Penelope. – Przeciwnie niż na parterze.

Violet spojrzała na bujną zieleń wzdłuż bocznego muru.

– Nawet z gałęzi tych drzew nie da się dojrzeć, co dzieje się na górze.

– Hm, rzeczywiście. – Penelope zastanawiała się przez chwilę. – Nie ma więc sensu wysłać Connera do lasu, by spróbował wspiąć się i coś zobaczyć. – Przyglądała się domowi jeszcze przez chwilę, a potem spytała: – To co robimy? Jesteśmy na miejscu. O ile informacje pani Findlayson są właściwe, to jeśli zapukamy, otworzy nam służący albo nikogo nie będzie w domu.

Griselda prychnęła.

– A jeśli nikogo nie ma w domu, zechcesz się rozejrzeć i poszukasz sposobu, by dostać się do środka...

– Mogłoby dać nam to jako takie pojęcie w kwestii tego, co dzieje się tam wieczorami – zgodziła się z nią Penelope.

Violet cofnęła się odruchowo i spojrzała na Penelope. Ta wyczuła na sobie jej wzrok i się odwróciła.

Violet dostrzegła w spojrzeniu pracodawczyni upór i determinację... Zamrugnęła więc tylko i powiedziała:

– Co za wspaniały pomysł.

Penelope się uśmiechnęła.

– Wiedziałam, że będziesz do nas pasować.

Griselda nadal przyglądała się domowi.

– Nie widać, żeby ktoś tam był, na górze czy na dole. – Spojrzała na Penelope i Violet. – Nie ma sensu wracać do Londynu, nie spróbowawszy przynajmniej zapukać i czegoś się dowiedzieć. Zatem, jak to zrobimy? – spytała, zwracając się do Penelope.

Przyjaciółka zastanawiała się przez chwilę, a potem zawróciła ku powozowi zostawionemu nieco dalej przy drodze.

– W wielkim stylu. I w jedynej rozsądny sposób.

Wsiadły z powrotem do powozu i Phelps podwiózł je pod bramę. Conner zeskoczył z kozła, otworzył ją szeroko i wrócił na swoje miejsce. Modny wehikuł ruszył z wolna podjazdem i zatrzymał się przed dwoma schodkami, prowadzącymi na ganek przed głównym wejściem.

Penelope zaczęła, aż Conner i James, lokaj, którego zabrała zgodnie z obietnicą daną Barnaby'emu, wysiądą. Conner podszedł do koni, podczas gdy James, przybrawszy możliwie najbardziej królewską postawę, otworzył drzwiczki powozu, opuścił schodki i zachowując się niezwykle formalnie, pomógł swej pani wysiąść.

Uczyniła to, trzymając głowę wysoko i mając nadzieję, że są obserwowani.

Violet stanęła tuż za nią, a Griselda z boku.

Penelope podziękowała skinieniem głowy Jamesowi, a potem ruszyła za nim ku schodkom.

Zatrzymała się przed drzwiami i poleciła lokajowi, aby zadzwonił.

James pociągnął za zwisający z boku łańcuch i gdzieś w domu rozległ się dźwięk dzwonka.

Minęło kilka sekund, lecz nikt się nie pojawił.

James, nadal z ręką na dzwonku, spojrzał pytająco na Penelope. Już miała skinąć głową, gdy usłyszała, że ktoś nadchodzi. Wzrokiem nakazała Jamesowi, by zajął należne mu miejsce przy jej prawym boku. Uczynił tak, a wtedy ich uszu dobiegł odgłos odsuwanych rygli.

Co najmniej kilku i – sądząc po odgłosach – raczej ciężkich.

Drzwi uchyliły się cicho i w progu pojawił się mężczyzna – chudy i nieznacznie wyższy od Penelope, której żadną miarą nie można było nazwać wysoką. Spojrzał na nią i na jego łasicowatej twarzy pojawił się wyraz znudzenia.

– Cokolwiek chcecie nam zaproponować, nie jesteśmy zainteresowani.

Jego akcent świadczył, że musiał spędzić młodość w londyńskich slumsach, i chociaż nos i policzki pokrywała mu siatka wiele mówiących żyłek, w tej akurat chwili wydawał się trzeźwy. Mimo to z pewnością nikt nie zatrudniłby go jako kamerdynera ani nawet osobistego służącego.

Penelope spojrzała na mężczyznę z wyższością. Wyssała tę umiejętność z mlekiem matki i niedostatek wzrostu w niczym jej nie przeszkadzał.

– Słucham?

Ton jej głosu, świadczący o wysokim urodzeniu, oraz to, że zwracała się do niego jak do niskiego rangą sługi, sprawiły, że mężczyzna zamrugał, a potem uznał, iż lepiej zmienić nieco podejście.

– Eee... czego sobie pani życzy, panno...? – Objął spojrzeniem Violet, Griseldę, Jamesa, powóz z woźnicą oraz stajennym i się poprawił: – Pani...?

Penelope zaczęła, póki znów na nią nie spojrzał.

– Chciałabym pomówić z twoim panem. Proszę zaprowadzić nas do salonu i poinformować o moim przybyciu.

– To znaczy, czym? – zapytał, ściągając brwi.

– Damy z Londynu. To wszystko, co musisz wiedzieć.

Ruszyła przed siebie, ale mężczyzna nie ustąpił i nadal blokował drzwi.

Penelope zatrzymała się, a potem zaczerpnęła oddechu, demonstracyjnie oburzona.

Lecz nim zdążyła udzielić mu reprimendy, mężczyzna powiedział szybko:

– Mój pan jest dość dziwny. Nie wpuszcza nikogo. Gdybym zrobił wyjątek, straciłbym posadę. – Przesunął spojrzenie na Jamesa i pozostałych mężczyzn i przelknął głośno ślinę. – Jeśli poda mi pani nazwisko, zapytam, czy zechce zrobić dla pani wyjątek.

Penelope zmrużyła oczy.

– Kim jest człowiek, którego nazywasz swoim panem? Bo jeśli to ten, o którym myślę... nie, to raczej niemożliwe, gdyż on nie zatrudniłby tak źle poinformowanego sługi. Zatem proszę podać mi jego

nazwisko. Jeśli to człowiek, o którym myślę, podam ci swoje, byś mógł go zapytać.

Violet musiała przyznać, że było to mistrzowskie posunięcie, ale, niestety, na nic się im nie zdało.

Mężczyzna potrząsnął bowiem głową i przymknął drzwi jeszcze bardziej.

– Przychodzą tu jedynie osoby, które mój pan zna osobiście. A pani nie wie nawet, kim on jest.

– Wiem, do kogo należy ten dom – oznajmiła Penelope. – Znam właścicieli i poważnie wątpię, by twój tak zwany pan był jednym z nich. Czy ten człowiek w ogóle istnieje?

– Oczywiście, jesteśmy tu zupełnie legalnie. Wynajmujemy to miejsce, wszystko zgodnie z prawem.

– Nic podobnego – oznajmiła Penelope. – Znam Halsteadów. Nie wiedzą nic o wynajmie.

Informacja wstrząsnęła mężczyzną. Cofnął się o krok, a potem burknął przez zaciśnięte usta:

– Nie wie pani, o czym mówi, lecz powiem pani jedno. Wtargnęła pani na cudzą posesję. A ja nie mam obowiązku rozmawiać z takimi osobami.

Zatrzasnął drzwi, po czym ich uszu dobiegł odgłos zasuwanych rygli.

Penelope stała, wpatrując się w drzwi.

– Doskonale!

Odwróciła się i pomaszerowała dróżką ku powozowi, a Violet i Griselda za nią. Były mniej więcej w połowie drogi, kiedy Griselda powiedziała cicho:

– Nie oglądajcie się, ale na piętrze, w najbardziej odległym oknie, widziałam dziewczynę. Chyba próbuje przyciągnąć naszą uwagę.

– Doprawdy? – Penelope odwróciła głowę, jakby rzucała przez ramię jakąś uwagę. A kiedy, ująwszy skraj spódnic, stanęła przed powozem, czekając, aż James opuści schodki i pomoże jej wsiąść, powiedziała: – Tak, widziałam.

Violet wsiadła za Penelope i spojrzała natychmiast w kierunku okna, lecz słońce odbijało się w szybie, uniemożliwiając zobaczenie czegokolwiek.

– Do licha! – powiedziała zawiedziona. – Przez tę szybę nic nie widzę!

Penelope wymieniła spojrzenia z Griseldą. James zamknął drzwi i wspiął się wraz z Connerem na kozioł. Phelps zaciął konie i powóz jął się z wolna toczyć po podjeździe.

Penelope pochyliła głowę i zerknęła znowu na dom, a potem się cofnęła. Spojrzała z poważną miną na Griseldę. A kiedy wyjechali za bramę i powóz przyspieszył, skinęła głową.

– Tak, widziałam. Biedactwo wydaje się dosyć zdesperowane.

– Właśnie – zgodziła się z nią Griselda, a potem dodała ponuro: – Uświadomiłam sobie coś jeszcze.

We wszystkich oknach są kraty – nie tylko na parterze, lecz także na piętrze.

Penelope znieruchomiała.

– Tak bardzo przywykliśmy w Mayfair do widoku krat, że już ich nie zauważamy.

– Jednak – głos Violet brzmiał równie ponuro jak przed chwilą Griseldy – po co komu kraty na wsi?

– Co więcej – dodała Penelope – dlaczego umieszczono je także w oknach na piętrze?

Kobiety wymieniły spojrzenia, a potem Penelope wstała i otworzyła okienko w dachu.

– Phelps?

– Tak, proszę pani?

– Jak najszybciej do Londynu. Nie oszczędzaj koni. – Wymieniła znowu spojrzenia z przyjaciółkami i dodała: – Musimy zawiadomić inspektora i twojego pana, że w tym domu dzieje się coś bardzo złego.

ROZDZIAŁ 13

– Zatem widzicie: nie ma czasu do stracenia. Musimy działać natychmiast.

Penelope zatrzymała się przed kominkiem i spojrzała na zgromadzonych w salonie przyjaciół. Barnaby, Stokes i Montague siedzieli w wygodnych fotelach, a Violet oraz Griselda na sofie. Sama zajęła miejsce przed kominkiem, opowiadając szczegółowo o tym, czego dowiedziały się po południu i w jaki sposób.

Był wczesny wieczór i czas uciekał nieubłaganie.

Gnały co koń wyskoczy do miasta. Zostawiły Griseldę na Greenbury Street i pojechały z Violet prosto do Scotland Yardu, gdzie Stokes i Barnaby zajęci byli sprawdzaniem zeznań świadków w sprawie zamordowania Runcorna. Stokes wysłuchał krótkiego sprawozdania Penelope, po czym wysłał gońca po Montague'a i ruszył wraz z Adairami na Albemarle Street.

Griselda zabrała Megan oraz jej nianię Glorię i przybyła do domu Barnaby'ego i Penelope niemal równo z Montague'em. Trzymając się nowej polityki równowagi, Penelope uznała, że dumni tatusiowie mogą zająć się maluchami pod czujnym nadzorem Griseldy i Violet, a sama skonsultowała się z Mostynem i poleciła przygotować prostą kolację złożoną z zimnych mięs, chleba, sera oraz owoców, którą, zważywszy na wczesną godzinę oraz charakter spotkania, zjedli w nieformalnej atmosferze jadalni.

Po posiłku, kiedy Oliver i Megan wylądowali już w kompetentnych rękach swych niań, towarzystwo przeniosło się do bardziej przestronnej bawialni, gdzie Penelope, wspomagana przez Griseldę i Violet, przedstawiła wydarzenia dnia, opisując krótką wizytę na Lowndes Street, odszukanie listu i podróż do Essex zakończoną niespodziewanymi odkryciami w Noak Hill.

Jej zdaniem, podobnie jak pozostałych pań, należało działać natychmiast, jeszcze tego wieczoru.

Stokes wymienił spojrzenia z Barnabym, a potem spojrzał na Penelope.

– Powtórz mi, proszę, dlaczego uważacie, że powinniśmy najechać to miejsce jeszcze dzisiaj.

Penelope wpatrywała się w niego zaskoczona, że nie pojął rzeczy tak oczywistej, lecz zaraz uświadomiła sobie, iż inspektor nie podaje w wątpliwość słuszności jej wniosków, ale prosi jedynie, by dostarczyła mu argumentów, którymi mógłby przekonać swoich zwierzchników.

Westchnęła, zastanawiając się, od czego zacząć.

– Cóż, po pierwsze, lady Halstead intuicyjnie połączyła wieści o tym, że coś dzieje się w Laurels, z wpłatami na swoje konto. – Zaczęła się przechadzać przed kominkiem w jedną i w drugą stronę. – I choć zrezygnowała potem z wyjaśnienia sprawy tajemniczych lokatorów, powiązanie, które wyczuła, skłoniło ją, by poprosiła Runcorna o przejrzanie swoich finansów, co, jak wszyscy zgodnie uważamy, doprowadziło do zamordowania jej samej, Runcorna i Tilly. Zatem dziwne spotkania, jak określiła je pani Findlayson, muszą być powiązane z morderstwami, już choćby za sprawą motywu.

Zatrzymała się, uniosła brwi i spojrzała na Stokesa.

Skinął głową, zetknąwszy palcami dłonie.

– Na razie wszystko się zgadza. Ale dlaczego teraz, jeszcze dzisiaj?

– Ponieważ – kontynuowała Penelope – zgodnie z tym, co zaobserwowali miejscowi, dziś wieczorem będzie miał miejsce kolejny zjazd. Terminy, w jakich się odbywają, odpowiadają z grubsza terminom wpłat, a to jeszcze bardziej wyraźne powiązanie. Następnego można by się spodziewać przypuszczalnie dopiero za miesiąc. Jednakże – uniosła palec – wiemy, że morderca zorientował się już, iż sprawą interesuje się policja, możemy więc bezpiecznie założyć, że dzisiejsze spotkanie będzie

ostatnim, przynajmniej w Laurels.

– Dlaczego – tym razem to Barnaby postanowił wziąć na siebie rolę adwokata diabła – skoro tak przejmuję się policją, miałby zorganizować spotkanie dzisiaj?

Penelope przyglądała mu się przez chwilę zakłopotana, lecz potem uśmiechnęła się ponuro.

– Ponieważ ma do sprzedania towary. – Spojrzała ze wzrastającą pewnością siebie na Montague’a. – Towary warte, jak wydedukował Montague, dwieście pięćdziesiąt funtów każdy. – Spojrzała znowu na Barnaby’ego, a potem na Stokesa. – A nie są to rzeczy, które dałoby się schować w kredensie i odłożyć na później.

Stokes skinął głową.

– Doskonale.

Widać było, że formułuje w głowie argumenty, które przedstawi wkrótce przełożonym. Musiały być na tyle przekonujące, by zdołał skłonić ich do działania.

Barnaby spojrzał na przyjaciół. Atmosfera w pokoju zmieniła się, odkąd panie opowiedziały im o swojej wyprawie do Essex.

Im więcej dowiadywali się na temat tego, co przedsięwzięły Griselda, Penelope i Violet, tym większe ogarniało ich przerażenie. Nie sposób jednak było zarzucić im lekkomyślności. Tak jak obiecała Penelope, przez cały czas mogły liczyć na wsparcie oraz ochronę ze strony woźnicy, lokaja i stajennego – trzech mężczyzn, którym obaj ze Stokesem ufali. Dlatego początkowy szok zastąpiły wkrótce niecierpliwość i podekscytowanie zbliżającą się akcją.

Ich panie znalazły klucz do morderstw i ani on, ani Stokes, czy też, o ile się orientował, Montague, nie zamierzali negocjować ich zasług ani podawać w wątpliwość informacji, które udało im się zdobyć.

A damy towarzyszyły im podczas śledztwa na każdym kroku. Sukces stanowił owoc wspólnego wysiłku. I choć każde z nich miało osobistą motywację, by w nim uczestniczyć, najlepsze rezultaty osiągnęły, działając razem, jako grupa.

Było to odurzające, ożywcze, pobudzające uczucie.

Stokes spojrzał na Penelope.

– Jeżeli, jak przypuszczamy z Barnabym, mordercy chodziło o to, by ukryć swoją tożsamość, to czy wasza wizyta w Laurels nie sprawi, że ptaszek wyfrunie? Dlaczego miałby tam zostać, wiedząc, że wkrótce pojawi się policja i go nakryje? Nie lepiej zabrać towar i uciec?

– Nie może tego zrobić. – Barnaby nie zdołał się powstrzymać. Podekscytowanie związane z łączeniem luźnych nitki w całość było zbyt wielkie. – Impreza została już zapowiedziana. Powozy, które się tam pojawiają, nie należą do nikogo z okolicy. Ci ludzie – klienci, jeśli wolicie – muszą skądś przybywać i muszą zostać powiadomieni o terminie i miejscu, gdzie będzie odbywać się sprzedaż. Nasz morderca nie może tak po prostu go zmienić, nie ryzykując, że zostanie przyłapany z towarem. Zwłaszcza takiego rodzaju.

– W rzeczy samej. – Penelope przysiadła na oparciu fotela Barnaby’ego. – I chyba możemy mieć pewność, że choć nasz ptaszek zdaje sobie sprawę, iż dama z Londynu, która odwiedziła Laurels, przekaze swoje spostrzeżenia Halsteadom, nie spodziewa się, że nastąpi to jeszcze tego samego dnia lub choćby następnego. A już na pewno, że w sprawę zaangażuje się natychmiast Scotland Yard. – Wskazała na towarzyszek. – Jesteśmy w końcu tylko trzema kobietami. Jakie możemy stanowić zagrożenie?

Montague i Stokes chrząknęli wymownie.

– Jednakże – weszła jej w słowo Violet, której czysty, spokojny głos kontrastował z pełną zaangażowania przemową Penelope – mogłabym się założyć, że jeśli wyśle pan tam swoich ludzi jutro, inspektorze, zastanie pan jedynie pusty dom.

– To niemal pewne – zgodził się z nią Barnaby. – Ten człowiek, kimkolwiek jest, musi przeprowadzić sprzedaż dzisiaj. Nie może jej odwołać, i to z wielu powodów, i choć zdaje sobie sprawę, że nie będzie mógł wykorzystywać już do swoich interesów Laurels, z jego punktu widzenia najlepsze jest na razie działanie zgodnie z planem, a potem przeniesienie działalności jak najszybciej w inne miejsce.

Stokes zastanawiał się przez chwilę, oceniając w myślach tok ich rozumowania, a potem skinął głową.

– Zatem, jeśli będziemy zwlekali, prawie na pewno stracimy go z oczu. Mordercę, winnego trzech zbrodni. Zbrodni, które panowie komisarze woleliby móc przedstawić jako rozwiązane, zanim dobierze im się do skóry prasa, Halsteadowie, albo, co gorsza, Camberly. Będą chcieli wyników, a to z pewnością doskonała okazja, byśmy przybliżyli się kilka kroków do zidentyfikowania tak dobrze maskującego się łotra.

Barnaby przechylił w bok głowę.

– To powinno ich ruszyć, nie sądzisz?

Stokes się skrzywił.

– Nienawidzę polityki. Jestem pewien, że komisarze, podobnie jak naczelnik, będą chcieli udzielić nam błogosławieństwa, ale... No cóż, obawiam się, że będą się wahać. Nawet jeśli twój ojciec i Peel staną po naszej stronie, inni zaczną rozważać wszystkie za i przeciw, oceniać, jak to wpłynie na opinię publiczną. A skoro w sprawę zamieszani są Halsteadowie i Camberly... – Pochylił się i ścisnął kolanami złożone dłonie. – Gdyby było coś... jedna rzecz, która sprawiłaby, że opinia publiczna stanęłaby po naszej stronie, nawet gdyby ten nalot okazał się kompletną stratą czasu...

– Jest coś takiego. – Tym razem odezwał się Montague. A kiedy odwrócili się ku niemu, kontynuował: – Nie roztrząsaliśmy tego zbyt dokładnie, lecz wszyscy podejrzewamy, co za towary sprzedaje ten łajdak. – Spojrzał na Griseldę. – Widziała pani jeden w oknie – młodą, zdesperowaną dziewczynę. Zważywszy, jakie sumy wpływają miesiąc w miesiąc na konto, zapewne będą tam co najmniej cztery takie. – Potoczył po zebranych stalowym spojrzeniem. – A nie trzeba długo się zastanawiać, by zgadnąć, komuż to sprzedaje się tego rodzaju towar.

Twarz Stokesa przybrała z wolna wyraz niemal złośliwego, pełnego zadowolenia triumfu.

– Doskonale. – Zabrzmiało to prawie jak pomruk. Zerwał się z fotela i spojrzał na pozostałych. – Pojadę do Yardu i...

– Nie tak szybko! – Penelope wstała i zamachała rękami. – Musimy wpierw opracować plan.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła pognieciony arkusz papieru. Wygładziła go i pokazała Stokesowi. Barnaby wstał i zerknął jej przez ramię.

– Oto plan domu i otoczenia – wyjaśniła. – Narysowałyśmy go z Griseldą i Violet, opierając się na tym, co zdołałyśmy dostrzec. Tutaj – wskazała miejsce palcem – znajduje się gęsty las, co może okazać się użyteczne, a tutaj...

Dziesięć minut później Stokes włożył płaszcz i dysponując planem nalotu na dawny wiejski dom lady Halstead, udał się do Yardu, by wyłożyć swoją sprawę, zyskać aprobatę przełożonych i zebrać konstabli, pozostawiając Barnaby'emu oraz Montague'owi zorganizowanie transportu reszty towarzystwa na umówione spotkanie w lesie przy Laurels.

Czekając w holu, aż służba podstawy powozy, Penelope niemal podskakiwała z radości. Mężczyźni – nawet Montague – nie tylko nie próbowali powstrzymać pań od towarzyszenia im, ale nie zakwestionowali nawet ich prawa do uczestniczenia w akcji.

Nowy zespół śledczy był więc na najlepszej drodze, żeby zacząć działać.

Tymczasem w Essex zapadł chłodny wieczór. Błede światło księżyca, ledwie przebijające się przez bujne listowie, to pojawiało się, to znikało, w miarę jak wiatr przeganiał chmury i przyginał konary wysokich drzew. Choć większość liści nie zdążyła jeszcze opaść, na ziemi było ich dość, aby zagłuszyć odgłos ciężkich kroków konstabli, rozmieszczanych właśnie przez Stokesa dokoła posiadłości.

Violet sądziła, że ta ostrożność nie była w ogóle konieczna. Zgodnie z tym, co ustalono, ich grupa – poza nimi było tam dwóch woźniców i czterech stajennych oraz lokajów – spotkała się na miejscu o dziesiątej z siłami Scotland Yardu.

Jak zdążyła się zorientować z prowadzonych przyciszonymi głosami rozmów, kilku młodych, gorliwych funkcjonariuszy, którzy ewidentnie podziwiali Stokesa, zgłosiło się na ochotnika. Stokes podzielił ich na mniejsze grupki, przydzielając do każdej dwóch detektywów, a potem rozmieścił te grupki strategicznie wokół domu.

Wyglądało na to, że nikt tam nie spodziewa się nalotu, nie trzyma straży.

Zebrawi się, nim zaczęły nadjeżdżać powozy, jednak zasłony na piętrze oraz parterze i tak zostały zaciągnięte dużo wcześniej. Przenikało przez nie światło – słabsze na górze, bardzo jaskrawe na dole. Wyglądało to rzeczywiście tak, jakby miało się tam odbyć większe spotkanie towarzyskie.

Powozy, wszystkie czarne i z zaciągniętymi firankami, zaczęły pojawiać się na dziesięć minut przed wyznaczoną godziną. Do dziesiątej przybyło ich aż dziewięć. Pasażerowie wysiedli i zebrawi się po jednej stronie podjazdu, a potem ruszyli ku schodkom i wejściu. Ku zaskoczeniu śledczych woźnice poprzywiązywali konie i weszli do domu ze swoimi chlebobawcami. Drzwi otwierały się, wpuszczając naraz tylko jednego gościa z towarzyszącym mu woźnicą, a potem natychmiast zamykały.

Po kolejnych dziesięciu minutach, kiedy wyglądało na to, że nikt więcej się nie pojawi, Stokes polecił swoim ludziom wyjść z ukrycia.

Violet, Penelope, Griselda i Montague ulokowali się bezpiecznie na wysokich gałęziach, skąd mogli widzieć, co dzieje się za murem. Przyglądali się klientom – zarówno mężczyznom, jak i kobietom. Wszyscy wysiadali pospiesznie z powozów, a potem wchodzili do domu, nie rozglądając się dookoła.

Choć było ciemno, obserwatorzy zauważyli, że goście ubrani byli modnie, a nawet elegancko. Damsy miały na sobie ciemne suknie, a niektóre także szale oraz torebki. Panowie zaś surduty i krawaty, a kilku laseczki i modne kapelusze.

Pewność, z jaką się poruszali, wiele mówiła, uznała Violet. Przysunęła się bliżej pnia i wyszeptała do Montague'a, stojącego na niższym konarze:

– Wszyscy byli tu przedtem, i to nieraz.

Montague przytaknął.

– Tak, zapewne. – Obejrzał się na dom. – Ktoś, kto nigdy tu nie był, rozejrzałby się po nieznanym otoczeniu albo przynajmniej na chwilę zawahał. Niczego takiego nie zauważyłem.

– Podobnie ma się sprawa z ich woźnicami – wyszeptała Penelope, ukryta wśród gałęzi sąsiedniego drzewa. Zaczęła przesuwac się po konarze, ewidentnie przygotowując się do zeskoku. – Kimkolwiek są, siedzą w tym po uszy. Nie ma tu nikogo, kto byłby niewinny.

Griselda chrząknęła na znak zgody i także zaczęła się opuszczać.

– Zaczekajcie! – syknął Montague, gdy Penelope już miała zeskoczyć.

Zatrzymała się i spojrzała na niego. Zawahał się na sekundę, a potem powiedział:

– Możecie, panie, spaść i skręcić sobie kostkę, a wtedy będziecie musiały zostać tutaj i ominie was to, co najciekawsze.

Penelope przyglądała mu się przez chwilę, a potem cicho się roześmiała:

– Jest pan dobry, Montague, i stanowi doskonały nabytek dla naszego zespołu śledczych. Doskonale, zaczekam.

Montague zsunął się na ziemię, a Penelope pozwoliła, by pomógł jej zejść.

Violet też zamierzała to zrobić, lecz nim zdążyła, Montague wrócił i ledwie spytawszy wzrokiem o pozwolenie, zsadził ją z gałęzi.

Zaskoczona stwierdziła, że kiedy objął ją w talii, a potem uniósł bez wysiłku i postawił na dywanie z liści, jej płuca przestały pracować. Zawahał się na chwilę, wpatrując się w nią intensywnie w ciemności, a potem cofnął dłonie i się odsunął, pozostając jednak w pobliżu.

Stokes i Barnaby dokonali przeglądu sił, po czym wrócili – dwie mroczne sylwetki, poruszające się zaskakująco cicho.

– Jesteśmy gotowi – powiedział Stokes. Podszedł i błysnął w ciemności uśmiechem drapieżcy. – Wejdziemy frontowymi drzwiami. – Oddział potężnie zbudowanych konstabli, którym towarzyszyli ludzie Barnaby’ego, czekał oddalony zaledwie o kilka metrów. – Chociaż mam nakaz, wołałbym, żeby Montague wszedł jako pierwszy, pokazując swoje pełnomocnictwo. Im więcej zamieszania spowodujemy, tym łatwiej będzie nam opanować dom i zatrzymać obecnych.

Spojrzał na Penelope, Griseldę i Violet.

– Wasza trójka niech weźmie woźniców, lokajów oraz stajennych i zajmie pozycję na trawniku naprzeciw głównego wejścia. – Przesunął mrocznym spojrzeniem po twarzach kobiet. – Jeżeli sytuacja wygląda tak, jak podejrzewamy, chciałbym wyprowadzić stamtąd dziewczęta najszybciej, jak się da. Powiedziałem już naszym ludziom, co mają robić. Dobrze byłoby, żeby dziewczęta ujrzały was na trawniku, nim wyjdą. – Skinął głową w kierunku grupki lokajów, woźniców oraz stajennych. – Ci ludzie zostaną z wami i pomogą zaopiekować się dziewczętami. Nie chcę ryzykować, że któryś z tych łajdaków weźmie zakładników, kimkolwiek mieliby być.

Nawet Penelope uznała plan za sensowny, skinęły zatem głowami, potwierdzając, że zgadzają się go wykonać.

– Zatem ustalone. – Stokes spojrzał na swoich ludzi. – Zaczynamy.

Wyszli w ślad za nim z lasu i pomaszrowali w bojowej formacji, mijając otwartą gościnnie bramę, a potem podjazd. Violet musiała przyznać, że był to kluczowy moment – chrzęst tyłu ciężkich butów na żwirze brzmiał niczym głos bębnow zwiastujących nadejście obrońców sprawiedliwości.

Dotarłszy na ganek, rozproszyli się i zajęli ustalone pozycje.

Montague, nie okazując strachu, wszedł na schodki i skinął głową Stokesowi, żeby pociągnął za łańcuch dzwonka. Po chwili, nie doczekawszy się reakcji, uniósł pięść i zaczął się dobijać do drzwi.

A kiedy nie odniosło to skutku, uderzył pięścią jeszcze raz, mocniej.

Minęło pół minuty i drzwi się otworzyły.

Violet wspięła się na palce i zobaczyła znanego im już lokaja.

Jego burkliwe: – Tak? Czym mogę służyć? – popłynęło nad ramionami solidnie zbudowanych konstabli.

Montague wyjął upoważnienie i pomachał nim przed oczami służącego.

– Zostałem upoważniony przez właścicielkę tej posiadłości, lady Halstead, by sprawdzić, co dzieje się w domu.

A widząc, że mężczyzna stoi jak wrośnięty w ziemię, nie zawahał się, lecz podniósł dłoń i pchnął łajdaka, aż się zatoczył, a potem wykorzystał powstałą lukę, by wejść do frontowego holu.

Drzwi po lewej były zamknięte. Tuż przed nim szeroka klatka schodowa prowadziła na piętro, podczas gdy wąski korytarz tuż obok zapewniał dostęp do pomieszczeń z tyłu domu. Po prawej, za otwartymi podwójnymi drzwiami widać było salon. Montague ruszył w tamtą stronę, czując się

bardziej niż kiedykolwiek w życiu skory do rękoczynów, zwłaszcza kiedy zobaczył dwie stojące za drzwiami pary.

Gdyby nie twarde spojrzenia i oznaki hulaszczego życia na twarzach, można byłoby wziąć ich za gości przybyłych na modne wieczorne przyjęcie.

Cała czwórka zamarła, wpatrując się z najwyższym zdumieniem w konstabli za plecami Montague'a. Zignorował ich, wmaszerował do pokoju, rozejrzał się i zobaczył Waltera. Camberly stał z oczami wielkimi jak spodki i otwartymi ze zdumienia ustami w pobliżu okrągłego podwyższenia – takiego, jakie Montague widywał czasami w pracowni krawca. Na podwyższeniu zaś stała, zalewając się łzami, mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna, zupełnie naga.

Montague wreszcie zrozumiał. Walter prowadził tu aukcję.

– Stokes.

– Tak. Dość już widziałem. – Inspektor wysunął się przed Montague'a, wbijając w Waltera ponure spojrzenie szarych oczu. – Zajmę się nim, a pan niech zabierze stąd tę dziewczynę.

– Już się robi.

Montague ruszył przed siebie, zdejmując po drodze płaszcz i ledwie odnotowując obecność innych osób płci obojga, rozsianych w salonie.

Walter Camberly zamknął, a potem otworzył usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Gdy Stokes podszedł i chwycił go za ramię – niezbyt delikatnie – wykrztusił jedynie:

– Zaraz! Mówię wam...

– Jeżeli masz choć trochę oleju w głowie, będziesz trzymał gębę na kłódkę – burknął jeden z mężczyzn, dobrze ubrany, lecz w żadnym razie nie dżentelmen.

Montague zamknął uszy na to, co działo się w salonie, gdzie ludzie Stokesa przedstawiali się właśnie „gościom” Waltera. Uniósł płaszcz i podał go nieszczęsnej dziewczynie:

– Proszę, moja droga – powiedział. – Owiń się tym i zabierzemy cię stąd.

Dziewczyna z wahaniem wyciągnęła dłoń, jakby bała się uwierzyć temu, co działo się przed jej oczami. Wzięła płaszcz, a Montague odwrócił wzrok, kiedy się nim owijała.

– Doskonale. – Wyciągnął rękę, by pomóc jej zejść z podium. – Chodź, moja droga. Jesteś już bezpieczna, a na dworze czekają panie, które się tobą zajmą.

Dziewczyna zamrugnęła dużymi niebieskimi oczami, a potem ujęła dłoń Montague'a i ostrożnie zeszła z podwyższenia. Kiedy znalazła się na podłodze, spojrzała na swego wybawiciela i powiedziała:

– Na górze są jeszcze inne.

Montague skinąwszy głową, kierował ją delikatnie ku wyjściu.

– Tak, wiemy. Inni zaraz po nie pójda.

Prowadził ją, osłaniając przed kontaktem z mężczyznami, których pełno było teraz w pokoju. W holu natknęli się na resztę dziewcząt, sprowadzonych dopiero co z piętra przez troskliwych konstabli. Grupą składającą się ze starszych mężczyzn, którzy sami mieli rodziny, dowodził Barnaby.

Montague dołączył wraz dziewczyną do orszaku, nie opuszczając podopiecznej. Pomógł jej przejść boso po żwirze, choć dotyk niewielkich kamyczków zdawał się nie robić na niej wrażenia. Po chwili byli już na trawniku, gdzie czekała Violet. Ucisnęła dziewczynę, uśmiechnęła się i poprowadziła ją do pozostałych, strzeżonych przez kordon pracowników Penelope. Wszyscy obserwowali pilnie dom, starając się oszczędzić skąpo odzianym dziewczętom zażenowania.

Dziewczyna, którą przyprowadził Montague, dołączyła do reszty, witana radosnymi okrzykami.

– Hilda! – zakrzyknęły, obejmując ją.

Penelope odczekała, aż powitalne okrzyki ucichną, a potem zapytała:

– Jesteście tu wszystkie?

Było ich razem siedem. Rozejrzały się dookoła, a potem Hilda uniosła głowę i powiedziała:

– Tak, proszę pani. W tym miesiącu schwytali nas tylko siedem. Słyszałam, jak ten tam – wskazała brodą w kierunku domu – mówił, że zwykle mają więcej, lecz w tym miesiącu trafiło się jedynie siedem. Jesteśmy dziewczętami ze wsi – dodała ciszej, drżącym głosem. – Porządnyimi dziewczętami. Przyjechałyśmy do miasta szukać pracy, a on nas okłamał, obiecując dobrą posadę... a potem przywiózł tutaj i zamknął. Zamierzał nas sprzedać, by nas zgwałcono i kto wie, co jeszcze – dodała ledwie słyszalnie.

– Cóż, możecie być pewne – powiedziała Penelope – że tego nie zrobi. Tam, dokąd się uda, w ogóle niewiele będzie mógł zrobić. Ci dżentelmeni tutaj – wskazała machnięciem dłoni konstabli wyprowadzających „gości” i zmierzających z nimi do podstawionych wozów policyjnych, które czekały dotąd w alejce obok kościoła – są z policji. Dopilnują, by ci okropni ludzie dostali za swoje, i to z nawiązką. – A widząc, że dziewczęta nieco się odprężyły, spytała: – Domyślcie się może, gdzie są wasze ubrania? Jeśli mi powiecie, wyślę męża i pana Montague’a, żeby przynieśli to, co uda im się znaleźć.

Otrzymawszy instrukcje, Montague wrócił do domu i skinął na Barnaby’ego. Razem udali się na piętro, gdzie odszukali najpierw walizki dziewcząt, a potem wepchnęli do nich wszystkie ubrania, jakie udało im się znaleźć.

– Przyjechały ze wsi, aby szukać pracy jako służące – wyjaśnił Montague, dołączając do Barnaby’ego u szczytu schodów. – Zamierzały poszukać uczciwego zajęcia. Z tego, co zdążyłem się dowiedzieć, on, czyli zapewne Walter Camberly, spotkał się z nimi, gdy tylko przyjechały, i zaoferował posadę. A potem przywiózł je tutaj.

Barnaby skinął głową.

– Założę się, że czatował w okolicy gospód, gdzie zajeżdżają dylizanse. Nietrudno wyłowić z tłumu niewinne dziewczę, którego stopa nie postąpiła dotąd w mieście.

W holu zatrzymali się, widząc, że zmierza ku nim Stokes, prowadząc Camberly’ego.

Walter wyglądał nadal tak, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się wydarzyło. Potykał się, spoglądając co rusz na związane przed sobą dłonie.

Kiedy sierżant kazał mu stanąć o krok od Stokesa, Montague utkwiał w łajdaku spojrzenie, wyrażające absolutną pogardę.

– Ty żałosna imitacja dżentelmena! Żerowałaś na niewinnych dziewczętach, czerpiąc z tego zysk.

– I – dodał Barnaby równie twardo – zamordowałaś babkę, by ukryć swoje zbrodnie.

– Nie wspominając o jej pełnomocniku, panu Runcornie, i pokojówce, Tilly Westcott – dokończył Stokes.

Twarz Waltera straciła wszelką barwę. Otworzył usta, pozostał tak przez chwilę, a potem wytrzeszczył oczy i je zamknął. Spojrzał na trójkę mężczyzn, dostrzegł wyraz ich twarzy i potrząsnął gwałtownie głową.

– Nie. – Podniósł związane dłonie, jakby błagał o litość. – Nie... nie zrobiłem tego.

– Zabrać go – polecił Stokes z kamienną twarzą sierżantowi. – I trzymaj łotra z dala od pozostałych. Kto wie, do czego mogą się posunąć.

– Tak jest, sir – odparł sierżant, popychając Waltera w kierunku otwartych drzwi i ganku.

Na progu Walter odwrócił się jeszcze i zawołał płaczliwie, ewidentnie zdesperowany:

– Nie zabiłem nikogo! To nie byłem ja!

Choć mieli za sobą długą i pracowitą noc, nikt się nie skarżył.

Podtrzymywani na duchu i ciele uczuciem triumfu oraz głębokiej satysfakcji, płynącymi z faktu, że udało im się uratować przed strasznym losem przynajmniej siedem ofiar Waltera, zebrali się w domu przy Albemarle, który stał się ich kwaterą główną, aby omówić skutki swoich poczynań.

Penelope, Griselda i Violet wróciły tam od razu z dziewczętami. Mostyn i reszta służby ruszyli z pomocą, szukając wolnych łóżek, pojąc dziewczęta gorącym mlekiem, a potem układając je do snu. Umieścili całą siódemkę w trzech sypialniach, po dwie w dwóch pokojach i trzy w ostatnim. W ten sposób żadna nie czuła się samotna.

Zapewniły dziewczęta, że znajdą im uczciwą pracę, pożegnały się i zeszły na dół.

– Ośmielę się twierdzić, że będą dziś spały spokojnie. Po raz pierwszy od czasu, gdy opuściły dom rodzinny.

– Biedactwa – westchnęła Violet. – To, co zrobił Walter, jest po prostu okropne. Ten człowiek nie ma sumienia.

– Właśnie – przytaknęła jej Penelope z niezwykłą jak na siebie powagą. – Wolę nie myśleć o tym, ile dziewcząt zostało sprzedanych w ciągu tych czternastu miesięcy.

– Roztrząsanie tego nic nam nie da – wtrąciła Griselda. – Zważywszy, iż aresztowano też właścicieli domów publicznych, kto wie, może nawet wszystkich, podejrzewam, że wkrótce Stokes i jego ludzie zamkną te przybytki i uwolnią dziewczęta. Co się stało, to się nie odstanie, ale przynajmniej będą wolne.

Penelope zastanawiała się przez chwilę.

– Przy odrobinie szczęścia może się okazać, że uwolniliśmy więcej dziewcząt, nie tylko te, które zesłał osobiście do piekła.

Jak się okazało, to nie Stokes pozamykał w końcu burdele. Gdy wrócił wraz z Barnabym i Montague'em na Albemarle Street i przyjąwszy z rąk Barnaby'ego szklaneczkę brandy, padł zmęczony na fotel, odpowiedział na niezadane pytanie Griseldy:

– Nie ja, kochanie, lecz moi koledzy w Manchesterze, Leeds, Birmingham i Coventry. – Upił łyk, westchnął zadowolony i odpowiedział uśmiechem na pełne zachęty spojrzenia pań. – Walter Camberly obracał towarem na lukratywnym rynku poza Londynem. Tamtejsze burdele cierpią na ciągły niedostatek dziewcząt, gdyż każda, która ma choć trochę rozumu w głowie, ucieka do Londynu, gdzie może więcej zarobić. Ujęliśmy dziewięciu właścicieli domów i tyleż samo prowadzących je kobiet. Zwykle łatwo jest aresztować burdelmamy, lecz co się tyczy właścicieli... trudno ich odnaleźć, a jeszcze trudniej o cokolwiek oskarżyć. Tym razem jednak wszyscy śpiewają jak najęci. Cromer, ten służący – choć wykonywał też inne funkcje i był w przedsięwzięciu pełnoprawnym partnerem – pełnił funkcję łącznika. Za jego pośrednictwem Walter kontaktował się z właścicielami burdeli w tych czterech miastach i oferował im na sprzedaż wiejskie dziewczęta – świeże, czyste i niezeepsute. Obaj byli wystarczająco sprytni, by żądać zapłaty w gotówce i upierać się przy tym, żeby nabywcy byli obecni przy sprzedaży i zabierali towar zaraz potem.

Penelope się wzdrygnęła.

– Zło, i to w czystej postaci. – Spojrzała na Stokesa. – Ale jak Camberly znajdował dziewczęta?

– Wygląda na to, że w pewnym momencie zdał sobie sprawę, jak cenna potrafi być niewinność. Sądząc z tego, co mówi, już jako młody chłopak kręcił się często w pobliżu gospód, ponieważ lubił patrzeć na powozy, konie i podróżnych. Jak każdy nastolatek, marzył o ucieczce. – Upił łyk trunku i mówił dalej: – Lecz kiedy podrósł, zdarzało się, że dziewczęta, które przyjechały dopiero co ze wsi, pytały go o drogę lub o to, czy nie słyszał o jakiejś posiadzie albo miejscu, gdzie mogłyby się zatrzymać. – Barnaby zamilkł na chwilę. – W końcu wpadł na pomysł, jak wykorzystać ich naiwność i rozwinął

przedsięwzięcie.

– Wygląda na to, że rodzice trzymają synalka na bardzo krótkiej smyczy. – Stokes wysączył resztkę brandy. – Jeszcze go formalnie nie przesłuchaliśmy. Chciałem, by dojrzał nieco przez noc. – Spojrzał na Griseldę, a potem na Penelope. – Co z dziewczętami?

– Dzięki Bogu, zdążyliśmy na czas. Wysłałam już wiadomość do agencji Phoebe Deverell i otrzymałam odpowiedź. Kobieta, która nią zarządza, pani Quiverstone, napisała, że z chęcią przyjmą dziewczęta pod swoje skrzydła, wyuczą i zapewnią odpowiednie posady. Są więc bezpieczne i na dobrej drodze, żeby odzyskać swoje życie.

– W rzeczy samej – dodała Violet – i sądząc z tego, co mówią, doceniają fakt, że mimo horroru, jakiego doświadczyły w minionych tygodniach, mogą wylądować lepiej, niż gdyby nie spotkały na swojej drodze Waltera. – Uśmiechnęła się. – Szybko odzyskują rezon, i bardzo dobrze. – Spojrzała na Montague'a. – Już patrzą w przyszłość, zamiast oglądać się za siebie.

Penelope westchnęła głęboko, z satysfakcją, a potem powiedziała, spoglądając na męża.

– Doskonale, po trzykroć doskonale! Nasza szóstka odniosła znaczący sukces. Pozostaje jedynie dowieść, że Walter dopuścił się trzech morderstw, i będziemy mogli świętować.

Stokes spojrział na Barnaby'ego, a potem na Montague'a i ze stoickim spokojem oznajmił:

– Jest jeden problem. Walter Camberly nadal upiera się, że nikogo nie zabił.

ROZDZIAŁ 14

Następnego ranka Stokes przystąpił do formalnego przesłuchiwania Waltera w swoim biurze w Scotland Yardzie. Barnaby, jako oficjalny konsultant, zajął miejsce po prawej stronie inspektora, a Montague, pełnomocnik lady Halstead, po lewej.

Waltera posadzono na twardym krześle naprzeciw nich. Dwaj potężnie zbudowani konstable stanęli tuż za krzesłem, wpatrując się ponurym wzrokiem w ścianę.

Walter, z kajdankami na rękach i nogach, blady i w wymiętym ubraniu, siedział ze spuszczoną głową, wpatrując się w swoje dłonie.

Stokes przyglądał mu się przez chwilę, postukując palcem w blat, a potem zapytał swobodnym, dalekim od osądzania tonem:

– Powiesz nam, dlaczego to robiłeś? – A kiedy Walter, zaskoczony zmianą taktyki, podniósł na niego wzrok, kontynuował: – Jesteś jedynym dzieckiem zamożnych i wpływowych rodziców. Twój ojciec robi karierę polityczną. Dano ci wszystko, nie cierpiełeś żadnych braków. Wysłano cię do dobrych szkół, zapewniono wszelkie szanse. Dzięki koneksjom rodziców miałeś wstęp do towarzystwa. Mogłeś być, kimkolwiek zapragnąłeś, zaznaczyć swoją obecność w każdej dziedzinie, a ty zadałeś się z przestępcami, i to z gatunku tych godnych najwyższej pogardy. – Złożył dłonie, pochylił się i przygwoździł Waltera spojrzeniem. – Z mętami, które wykorzystują najbardziej bezbronnych. Zatem dlaczego? – ponowił pytanie, nie spuszczając wzroku z Waltera. – Dlaczego to robiłeś?

Walter wytrzymał spojrzenie Stokesa, a potem odpowiedział, zaczerpnąwszy drżącego oddechu.

– Ponieważ był to jedyny sposób, aby rodzice mnie zauważyli.

Stokes wyprostował się i widać było, że nie rozumie.

Tym razem to Walter się pochylił i jął wyjaśniać gorączkowo:

– Nie wie pan, jak to jest. Nic dla nich nie znaczę – powiedział z goryczą, a potem przesunął spojrzeniem po Barnabym, Montague’u i Stokesie. – Spoglądacie z zewnątrz i widzicie to, co chcecie zobaczyć. Doskonałą rodzinę: ojca, matkę i syna. Ale z nimi zawsze tak było: liczą się tylko ambicje ojca, które, oczywiście, matka w pełni podziela. Nie dbają o mnie ani trochę i nie interesują się mną, póki trwam przy ich boku niczym jakiś... niczyj – dokończył zde gustowany. – Nie prawdziwa osoba, tylko jej wizerunek. Nie jestem dla nich niczym więcej, niż tylko rekwizytem. – Opadł na krzesło i z pogardą, choć widać było, że nie jest skierowana pod adresem obecnych w pokoju mężczyzn, wycedził: – Zobaczymy, jak sobie z tym poradzą. Nie będą mogli tego nie zauważyć, prawda? Udawać, że nic się nie stało?

Stokes pochylił głowę.

– Zapewne nie. Czyli udało ci się osiągnąć w końcu to, czego tak pragnąłeś.

Walter zamrugał, a potem skinął z wolną głową.

– Tak, chyba tak.

Tylko za jaką cenę? – pomyślał Montague.

Stokes odczekał chwilę, a potem powiedział:

– Ciekawi mnie, dlaczego zorganizowałeś płatności w ten sposób: umieszczając pieniądze na rachunku babki.

Walter prychnął.

– Proszę pamiętać, że istnieję jedynie jako przedłużenie rodziców, nie odrębny byt. Nie mam dochodów poza tym, co zechce dać mi ojciec. Dostaję miesięczną pensję, nie dysponuję zatem nigdy

większą kwotą, jedynie taką, by wystarczyła na miesiąc. – Spuścił wzrok i wzruszył ramionami. – Po co mieliby dawać mi więcej? Rachunki i tak trafiają do ojca. W ten sposób rodzice sprawują nade mną całkowitą kontrolę. Decydują o tym, jak się ubieram, jaki kapelusz noszę i jakie buty. Dla nich jestem nikim. I, co oczywiście ważniejsze, ograniczając fundusze, uniemożliwiają mi również dostęp do pewnych aspektów życia towarzyskiego. Nie mogę robić zakładów, zabawić się z przyjaciółmi, pójść dokądś lub kogoś odwiedzić, o ile nie uzyskam ich zgody i dodatkowych funduszy. Nie należę do żadnego klubu, ponieważ nie uważają tego za niezbędne, poza tym mógłbym zawrzeć tam niepożądane znajomości. – Miałem tylko takie życie, na jakie mi pozwalali – kontynuował, wpatrując się w swoje dłonie. Po chwili podniósł wzrok i spojrzał Stokesowi w oczy. – Nie posiadałem więc także rachunku bankowego. I tak nie miałbym co na niego wpłacać. – Zamilkł na chwilę, a potem dodał: – A kiedy z Laurels zaczęły napływać pieniądze, nie chciałem lokować forsy pod swoim nazwiskiem, by nie dowiedział się o niej ojciec. Było oczywiste, że pieniędzy będzie przybywać, a nie miałem odwagi ukryć ich w swoim pokoju czy gdziekolwiek w domu, więc... posłużyłem się rachunkiem babki. Nie sądziłem, że zauważy. Nie myślałem, że w ogóle się tym interesuje, a ponieważ wkładałem jedynie pieniądze i nigdy nic nie wyjmowałem, na koncie zawsze znajdowała się spodziewana suma. Nie sądziłem, by nadmiar gotówki szczególnie ją zmartwił. Nie na tyle, by zechciała to sprawdzić.

– A jak poznałeś numer rachunku? – zapytał Montague.

Walter wzruszył ramionami.

– Nic trudnego. Pewnego wieczoru, kiedy byliśmy tam na kolacji, wśliznąłem się do bawialni i przeszukałem biurko babci. Znalazłem numer rachunku i stare polecenia wypłat. Wziąłem kilka po to, aby móc później je skopiować i wypłacić pieniądze.

– I właśnie to zrobiłeś, gdy dowiedziałeś się, że babka zleciła sprawdzenie swoich finansów – wtrącił Barnaby, a kiedy Walter przytaknął, sprecyzował: – Podrobiłeś więc polecenie wypłaty, by zabrać z konta wszystkie pieniądze, nie tylko swoje, a potem... Kim była kobieta, która przedstawiła list i zabrała gotówkę?

– Aktorka, którą wynająłem. Obiecałem dobrze zapłacić i dałem jej sfalszowane polecenie wypłaty. Ćwiczyłem podrabianie pisma babki od miesięcy, byłem pewien, że nikt nie będzie podejrzewał fałszerstwa, a wynająłem aktorkę, ponieważ nie chciałem, by mnie widziano. Zresztą, gdyby list był autentyczny, po gotówkę z pewnością przyszłaby Violet.

– Po co było zabierać wszystkie pieniądze – spytał Montague – nie tylko własne?

– Napisałem polecenie po śmierci babci. Zamierzałem zrobić to wcześniej, lecz nie zdążyłem. Kiedy zmarła, wiedziałem, że muszę się pospieszyć... a skoro jej już nie było, wolałem zabrać pieniądze, niż zostawić je reszcie rodziny.

– Lubieś babkę? – zapytał Stokes.

Walter uniósł brwi.

– Była w porządku. Nie spędzałem z nią zbyt wiele czasu, ale wydawała się przyzwoita. – Wzruszył znów ramionami. – Nie znałem jej aż tak dobrze!

– I dlatego – stwierdził Stokes zdecydowanie bardziej ponurym tonem – łatwiej ci było ją zabić.

Walter otworzył szeroko oczy i potoczył przerażonym wzrokiem po mężczyznach.

– Nie! Powiedziałem wam: ja jej nie zabiłem. Nie miałem nic wspólnego z tym morderstwem ani z żadnym innym! Po co miałbym to robić? Chciałem mieć jedynie własne pieniądze i to osiągnąłem. Nie musiałem nikogo w tym celu zabijać!

Zamilkł, a Stokes spojrzał wpierw na Barnaby'ego, a potem na Montague'a.

– Może opowiesz nam, co dokładnie zrobiłeś.

W obliczu zagrożenia oskarżeniem o trzykrotne morderstwo Walter nie wahał się już, ale

przedstawił każdy swój krok od chwili, kiedy dowiedział się podczas feralnej kolacji, że babka zleciła sprawdzenie swoich finansów.

– Nie zabiłem jej. Nikogo nie zabiłem. Nie było takiej potrzeby. Nawet nie przyszło mi to do głowy. Zabrzmiało to całkiem przekonująco.

A kiedy zobaczył, że się wahają, niepewni, czy mogą uwolnić go od podejrzeń, przynajmniej o morderstwa, westchnął i powiedział:

– Pieniądze, wszystkie, są w puszcze na szafie w mojej sypialni.

Barnaby zerknął na Stokesa, a ten skinął nieznacznie głową.

– Co się tyczy alibi, jakie wam podałem... – Walter zacisnął wargi. – Matka powiedziała mi, jak mam zeznawać, więc są to, oczywiście, bzdury. Nocą, kiedy została zamordowana moja babka, piłem w pubie Royal przy Grosvenor Street, w pobliżu domu rodziców. Często tam bywam i zostaję zwykle do zamknięcia, czyli do drugiej w nocy. – Skrzywił się, a potem dodał: – I jak zwykle, gdy wychodziłem, byłem kompletnie pijany. Ledwie zdołałem dowlec się do domu, nim padłem. Za nic nie zrobiłbym babce tego... tego, co jej zrobiono. Nie byłbym zdolny.

Zamilkł, a Stokes wyjął swój notes i otworzył go na nowej stronie, zacisnąwszy mocno usta. Zapisał coś, a potem skinął głową, zachęcając Waltera, by mówił dalej.

– Wieczorem tego dnia, kiedy zamordowano pełnomocnika – kontynuował zatem młodzieniec – byłem w małym teatrze The Poulson przy Leicester Square. Udałem się tam, żeby porozmawiać z aktorką i ją wynająć. Przyszedłem około szóstej i zostałem niemal przez cały wieczór. Aktorka nazywa się Lily Cartwright, poda panom nazwiska dyrektora i właściciela teatru. Obaj mnie wtedy widzieli. Kiedy zamordowano pokojówkę, spotkałem się z Cromerem w tawernie na Tothill Fields, aby omówić ostatnią aukcję. – Zamilkł i spojrzał na Stokesa. – Było oczywiste, że skoro babka nie żyła, nie będziemy mogli wykorzystywać dłużej Laurels i trzeba znaleźć inne miejsce. Siedzieliśmy w tawernie do brzasku. Barman i kelnerki na pewno będą nas pamiętać, ponieważ spotykaliśmy się tam już wcześniej.

Pochylił się nad blatem, a kiedy Stokes podniósł wzrok, spojrzał mu w oczy.

– Nie widzi pan tego? Śmierć babki zupełnie zniszczyła mi interesy. Unicestwiła możliwość zdobycia funduszy, które pozwoliłyby mi uzależnić się od rodziców. Wszystko szło doskonale. Tak, musiałem wycofać pieniądze z rachunku, lecz miałem ich już dosyć, aby otworzyć własny, a Cromer nauczył mnie, jak zrobić to pod innym nazwiskiem. – Rozłożył dłonie. – Po co miałbym zabijać babkę? O pozostałej dwójce nie wspominając?

Stokes wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, a potem skinął głową.

– Zostaniesz oskarżony o wielokrotne porwanie i handel dziewczętami. Jeśli twoje alibi wszyscy potwierdzą, może uda ci się uniknąć stryczka. – Wstał i polecił konstablom: – Zabierzcie go do celi i powiedzcie sierżantowi, że wypełnię papiery później, w ciągu dnia.

Wyszli z pokoju przesłuchań: Barnaby przodem, a Stokes i Montague za nim.

Nie odezwali się, póki nie zasiedli w gabinecie Stokesa.

– On ich nie zabił – stwierdził Barnaby.

– Rzeczywiście – przytaknął Stokes, krzywiąc się.

Montague też się z nim zgadzał.

– Ale... dokąd nas to prowadzi? – Spojrzał na Stokesa, a potem na Barnaby'ego. – I co teraz?

Stokes westchnął głośno.

– Przede wszystkim musimy się upewnić, że znowu nas nie okłamał. Każę sprawdzić jego alibi i przeszukać pokój. Nie tylko po to, żeby poszukać pieniędzy, lecz przede wszystkim klucza do bocznych drzwi domu przy Lowndes.

– Lepiej pójdę tam z tobą – zaproponował Barnaby, spoglądając na Stokesa. – Będziemy musieli poinformować Camberlych, w co się wpakował ich synalek.

Stokes potrząsnął głową.

– W rodzinach takich jak ta... kiedy coś zacznie już gnić, a potem zaraza się rozprzestrzeni, zgnilizna przenosi się na kolejne pokolenia. – Spostrzegł, że Montague ściągnął w zamyśleniu brwi. – A co pan sądzi?

– Runcorn został zamordowany – odparł Montague. – Kiedy się nad tym zastanowić, zabicie go było bardziej ryzykowne niż uduszenie poduszką starszej pani lub Tilly. Mimo to zbrodniczy plan się powiódł, przy czym morderstwa dokonał niemal na pewno ten sam sprawca. A przecież jedynym motywem, jaki przychodzi mi na myśl w tym przypadku, jest chęć ukrycia czegoś w rachunkach.

Barnaby skinął głową na znak, że się z nim zgadza.

– Sądziliśmy, że chodzi o tajemnicze wpłaty na rachunek lady Halstead, lecz jeśli nie...

– Musi być coś innego.

Montague sięgnął po kapelusz leżący na skraju biurka Stokesa. – Zamierzam wrócić do biura i zastanowić się, co jeszcze mogłoby zostać ukryte w rachunkach jej lordowskiej mości, albo, co bardziej prawdopodobne, Halsteadów jako takich. A także, jak znaleźć to coś w miarę szybko.

*

– Adair, inspektorze, witam panów. – Wallace Camberly skinął głową obu mężczyznom, stojąc za biurkiem, a potem wskazał ustawione przed nim krzesła. – Proszę, usiądźcie, panowie.

Ledwie zdążyli to zrobić, kiedy do gabinetu weszła Cynthia. Wstali więc znowu, a ona zamknęła drzwi i ewidentnie zaciekawiona podeszła bliżej.

Camberly wskazał jej fotel z boku biurka. Usiadła, a wtedy powiedział:

– Mam nadzieję, panowie, że nie zabierze to dużo czasu. – A kiedy ponownie usiedli, dodał: – Jak zapewne wiecie, w parlamencie sporo się teraz dzieje.

Cynthia pochyliła się ku nim.

– Domyślam się, że macie, panowie, nowiny?

– Co się tyczy tej kwestii. – Stokes urządził istne przedstawienie, wyjmując powoli notes i zaglądając do niego. – Syn państwa...

– Walter jest poza miastem, z wizytą u przyjaciół. – A kiedy Stokes na nią spojrział, uśmiechnęła się, choć uśmiech nie sięgnął oczu. – Jeśli pytanie dotyczy jego alibi, z pewnością będę mogła pomóc.

Stokes przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem przeniósł spojrzenie na Camberly'ego.

– Pan Adair i ja przyszliśmy, żeby poinformować państwa, iż wczoraj w nocy wasz syn został aresztowany przez policję. Oskarżono go o uprowadzenie co najmniej siedmiu dziewcząt, ich uwięzienie w domu zwanym Laurels, w Noak Hill w Essex, będącym w posiadaniu zmarłej lady Halstead, i próbę sprzedaży rzeczonych dziewcząt do domów publicznych oraz o kilka innych, związanych z tym przestępstw.

Przerwał i spojrział na Camberly'ego. Ojciec Waltera wydawał się absolutnie zaskoczony, niemal oszołomiony, podobnie jak jego żona, choć w oczach Cynthii pojawił się już po chwili znajomy, pełen wyrachowania błysk. Stokes zajrzał znów do notesu, a potem kontynuował:

– Wasz syn przyznał się do zarzucanych mu czynów.

Cynthia skrzywiła się, ale bynajmniej nie z troski albo współczucia dla potomka. Widać było, że jest wściekła i zaczyna już kalkulować.

– Boże święty... – Wallace odzyskał wreszcie głos. – Chciecie powiedzieć, że jest też mordercą?

Zamordował własną babkę?

– Sprawdzamy właśnie jego alibi. – Odwrócił się do Cynthii. – Jeśli posiada pani informacje, które mogłyby okazać się przydatne, proszę przekazać je teraz.

Cynthia otworzyła szerzej oczy, a potem wyprostowała się w fotelu. Zerknęła szybko na męża, potem na Barnaby'ego, Stokesa i znowu na męża. Zaczerpnęła głęboko oddechu i zatrzymała go na chwilę, a potem powiedziała:

– Przykro mi, inspektorze, sądziłam, że wiem, gdzie przebywał mój syn, lecz najwidoczniej się myliłam.

Stokes odczekał, aż echo jej wcześniejszego komentarza wybrzmi w pokoju, a potem pochylił głowę.

– Skoro pani tak twierdzi, *madame* – powiedział.

Camberly wyczuł w tym widać utajoną groźbę, poruszył się bowiem niespokojnie.

– Przykro mi, inspektorze, lecz będzie pan musiał wybaczyć nam, jeśli wydamy się panu cokolwiek nieprecyzyjni, ale jesteśmy, oczywiście, zupełnie oszołomieni. – Wyciągnął rękę i ucisnął dłoń żony. By ją pocieszyć czy ostrzec? – Nie mieliśmy pojęcia, że Walter wpakował się w podejrzaną działalność, a co dopiero nielegalną – właściwie przestępczą!

– Nie mówiąc o morderstwie! – Cynthia wyprostowała się jeszcze bardziej. Siedziała teraz sztywna i nieporuszona, unosząc wysoko głowę. Najwidoczniej uznała, że najkorzystniej będzie odgrywać rolę oburzonej matki. – Jestem zaszokowana i zasmucona ponad wszelką miarę, inspektorze. Pomyśleć, że wychowaliśmy potwora, który mordował i popełniał tak niewyobrażalne zbrodnie... – Zerknęła szybko na Camberly'ego, a potem kontynuowała: – Możemy tylko się modlić, by znalazł pan szybko potrzebne dowody, ponieważ będzie to dla rodziny trudny czas. Dla całej rodziny. Na dodatek tuż po tym, jak mama została zamordowana.

Barnaby nie był ani trochę zaskoczony, kiedy pozostawiwszy dłoń w uścisku męża, wyjęła z kieszeni koronkową chusteczkę i przytknęła ją do oczu. Byłby gotów się założyć, że niepotrzebnie, gdyż pozostały suche.

Wallace poruszył się, odciągając uwagę Stokesa i Barnaby'ego od nieprzekonującego przedstawienia.

– Możemy w czymś panom pomóc? Jak wspomniała moja żona, choć sytuacja dotyka nas głęboko, jesteśmy gotowi zrobić, co w naszej mocy.

Stokes skinął głową.

– Musimy przeszukać pokój Waltera. Poza tym – wsunął notes do kieszeni i wstał – nie sędzę, byśmy potrzebowali w tej chwili czegoś więcej.

Barnaby także wstał, a po nim gospodarz.

Camberly spojrział na Cynthię. Siedziała nadal z pochyloną głową.

– Jestem w tej chwili zajęty, lecz żona zaprowadzi panów do pokoju Waltera.

Cynthia uniosła głowę. Jej mina mówiła teraz, że cierpi, mimo to gotowa jest wypełnić swój obowiązek.

– Oczywiście. – Wstała i ruszyła ku drzwiom. – Tędy, inspektorze. Proszę, panie Adair.

Stokes i Barnaby pożegnali skienieniem głowy Camberly'ego i podążyli w ślad za Cynthią.

Kiedy wchodzili po schodach, powiedziała:

– Jestem, oczywiście, załamana, lecz kiedy tak o tym myślę, Walter był zawsze skrytym dzieckiem i nie zwierzał się nam z tego, co robi. Nie mieliśmy pojęcia o jego przestępczej działalności. – Na piętrze skręciła i poprowadziła ich wzdłuż niewielkiej galerii, a potem korytarza. – Oczywiście, nie możemy zrobić nic, aby naprawić zło, jakie wyrządził. – Zatrzymała się z ręką na kłamce i odwróciła ku nim: – Mogę się tylko modlić, by sprawiedliwość dokonana się szybko, bez większych szkód dla

nazwiska Camberlych oraz Halsteadów. Nie ma przecież powodu, by proces Waltera zaszkodził tym, którzy nie ponoszą innej winy, jak tylko ta, że dzielą z nim nazwisko.

Zamrugła, a potem utkwiała wzrok w twarzy Stokesa.

– Jeśli dobrze zrozumiałam, inspektorze, Walter przyznał się do większości zarzutów. Nie ma zatem powodu, by nie stanął przed sędzią i nie został skazany bez procesu, przy drzwiach zamkniętych.

– Nie jestem w stanie tego ocenić, *madame*. To będzie zależało od sędziego.

– Rozumiem. Lecz gdyby tak się stało i Walter został skazany i odesłany do więzienia, a pan miałby również dowody świadczące o tym, że jest mordercą, czy konieczny byłby drugi proces? Miałby pan przecież już mordercę – skazanego i zamkniętego, czyż nie?

Stokes milczał – po prostu go zamurowało. Nie był też pewny, czy jeśli się odezwie, zdoła zrobić to choćby w miarę uprzejmie.

– O tym również zadecyduje sąd, *madame*, nie policja – wyręczył go Adair.

Cynthia skinęła głową.

– Doskonale. – Otworzyła szeroko drzwi. – Proszę, szukajcie panowie do woli. – Rozejrzała się po pokoju. – Możecie zatrzymać, co tylko zechcecie. Reszta zostanie i tak spalona.

Barnaby i Stokes przyglądali się, jak Cynthia wychodzi, a potem zmierza ku schodom i znika w głębi domu.

– Nie widziałem dotąd, żeby wyparto się kogoś równie szybko – zauważył po chwili Stokes – i równie bezlitośnie. Nie sądziłem, że to w ogóle możliwe, lecz niemal żał mi Waltera.

Barnaby skinął głową.

– Mnie także. Co za urocza rodzinka.

*

Wieczorem Montague dołączył do piątki śledczych oraz przyjaciół – jak ich obecnie postrzegał – w domu Adairów. Penelope zaplanowała kolację, aby uczcić odniesiony sukces, tymczasem wszyscy byli w dziwnym nastroju. Cieszyli się z powodu ukrócenia handlu dziewczętami, jednak odczuwali również rozczarowanie.

– Walter nie jest mordercą.

Stokes opadł na fotel ze szklaneczką brandy w dłoni.

Po tym, jak zapoznali z rozwojem wydarzeń panie, zdecydowali, że nie będą rozmawiali o morderstwach, póki nie zjedzą kolacji i nie omówią tego, czego się dowiedzieli.

Stokes zakręcił szklaneczką.

– Znaleźliśmy pieniądze, wszystkie, w miejscu, które nam wskazał, lecz chociaż przeszukaliśmy pokój bardzo starannie, klucza do domu lady Halstead tam nie było. – Upił łyk brandy, a potem kontynuował: – I choć nie sprawdziliśmy jeszcze alibi, które nam podał, jest ono szczegółowe i pasuje do całości. Wszystko, co powiedział, ma sens i wyklucza go jako sprawcę morderstw.

Barnaby przytaknął.

– Zgadza się. I jak wytknął nam to sam Walter, nie miał powodu zabijać lady Halstead, przeciwnie, jej śmierć była mu wręcz nie na rękę, zmusiła go bowiem, by zrezygnował z wykorzystywania do swoich celów Laurels.

Violet westchnęła.

– Czyli żaden z niego morderca.

Penelope skrzywiła się okropnie, a po chwili powiedziała:

– Niechętnie o tym mówię, ale nie tylko wyeliminowaliśmy Waltera jako mordercę, lecz straciliśmy też motyw. Walter i jego działalność pasują do wszystkiego poza morderstwem. Tajemnicze wpłaty na konto lady Halstead znalazły oto wyjaśnienie, podobnie wycofanie gotówki. Czyli morderstwa nie miały z tymi pieniędzmi nic wspólnego. – Spojrzała na otaczający ją krąg twarzy: Barnaby’ego, Stokesa, Griseldy, Violet oraz Montague’a. – Co stanowiło zatem motyw?

– Jakieś domysły? – zapytał Stokes Montague’a.

– I tak, i nie. – A kiedy zwrócili ku niemu zaciekawione twarze, wyjaśnił: – Jeśli cofniemy się w czasie i wyeliminujemy dziwne wpłaty, założenie, jakie poczyniliśmy na samym początku, daje się obronić: ktoś zamordował lady Halstead oraz Runcorna, czyli dwie osoby zaznajomione z sytuacją majątkową rodziny, ponieważ nie życzył sobie, by przyglądano się zbyt dokładnie jej finansom. Mamy także powody sądzić, że Runcorna zamordował któryś z Halsteadów.

– Lecz wiemy teraz – wtrącił Barnaby – że nie był nim Walter.

Stokes przytaknął.

– Jeżeli alibi Waltera okaże się prawdziwe i go wyeliminujemy, zostaną nam: Mortimer, Maurice, William i Hayden. Moi ludzie nadal sprawdzają ich alibi. Żadne nie okazało się równie mocne jak Williama, a nawet jego dałoby się zakwestionować.

– Chce pan powiedzieć – Violet spojrzała na Montague’a – że jest coś jeszcze, jakiś dowód finansowego przestępstwa, pogrzebany wśród dokumentów lady Halstead lub innych tyczących się rodzinnego majątku? Coś, co któryś z mężczyzn tak bardzo chce ukryć, że gotów jest nawet mordować?

Montague skinął głową.

– Najpewniej chodzi o majątek jako taki. Lady Halstead, a nawet Tilly mogłyby zostać zamordowane z innych pobudek, lecz nie potrafię sobie wyobrazić, po co ktoś miałby mordować pełnomocnika, zwłaszcza takiego, który zajmuje się sprawami swojej klientki od niedawna. Chyba że w rachunkach kryje się coś, co musiałoby wyjść na jaw podczas dokładnego sprawdzania, już choćby dlatego że lady Halstead uznałaby to za podejrzaną. I nie – spojrzał na Penelope – nie mam jeszcze pojęcia, co by to mogło być takiego.

Penelope westchnęła ciężko.

Griselda zerknęła na przyjaciółkę, a potem na pozostałych.

– Dziewczęta, które uratowaliśmy wczoraj, są już bezpieczne pod opieką agencji Athena. Pani Quiverstone jest pewna, że zdoła znaleźć im odpowiednie posady.

– Nie miałam pojęcia, że takie miejsca w ogóle istnieją – zauważyła Violet.

– Och, ta akurat agencja jest na rynku od... prawie dwudziestu lat. – Montague spojrzał na Violet i się uśmiechnął. – Przypominam sobie, że Deverell polecił mi ją sprawdzić przed swoim ślubem z panną Phoebe Malleson. To ona założyła wraz z ciotką agencję, która od tego czasu bardzo się rozwinęła.

Stokes wyciągnął dłoń i splótł palce z palcami żony.

– Pomimo iż nie schwytaliśmy jeszcze mordercy, nie powinniśmy tracić z widoku faktu, że odnieśliśmy także sukces, choć w całkiem innej sprawie. – Potoczył spojrzeniem po obecnych, a potem uniósł szklaneczkę. – Za nas, za dziewczęta, które uratowaliśmy, za dobro, które dane nam było uczynić, i za łajdaków, których wsadziliśmy za kratki.

– Brawo! – powiedział Barnaby, unosząc swoją szklaneczkę.

Pozostali także wypili.

W pokoju zapadła na chwilę cisza, a potem Penelope oznajmiła:

– No dobrze, a teraz znajdziemy mordercę.

ROZDZIAŁ 15

Następnego ranka, tuż po tym, jak w biurze pojawił się ostatni pracownik, Montague zwołał personel i wyjaśnił, co spodziewa się znaleźć wśród dokumentów dotyczących majątku Halsteadów.

– Zatem – podsumował – musimy sprawdzić, czy kogoś nie brakuje, a jeśli okaże się, że nie, przejrzeć wszystkie w poszukiwaniu ewentualnych niezgodności.

– Lecz jakaś być musi, prawda? – zauważył Gibbons ze swego miejsca obok pryncypała. – Jeżeli, jak pan twierdzi, Runcorna zamordowano, żeby coś ukryć, w dokumentach musi być nieścisłość. – Wskazał trzy olbrzymie stosy papierów na biurku Montague’a. – Gdzieś musi być jakiś ślad, jakaś wskazówka. Nieważne, jak bardzo morderca starał się usunąć dowód, i jak był dokładny – jeśli na co dzień nie zajmuje się finansami, z pewnością musiał coś przeoczyć.

Phillip Foster przytaknął.

– Nawet dla nas ukrycie dowodu jakiejś transakcji, zatarcie za sobą śladów, stanowiłoby wyzwanie. – Podniósł wzrok znad stosu dokumentów i spojrzał na Montague’a. – Jak daleko posunęliśmy się zatem z szukaniem?

Montague spojrzał na Pringle’a, ten zaś skrzywił się z dezaprobatą.

– Zdążyłem sprawdzić zaledwie połowę głównego rejestru. I choć cofnąłem się daleko, nic nie wskazuje, by jakiegoś dokumentu brakowało.

Slocum spojrzał na Montague’a.

– Gdzie więc powinniśmy zacząć, sir?

Montague zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział:

– Zobaczmy, co uda nam się dzisiaj osiągnąć. Pan i Foster zajmiecie się bieżącymi sprawami, ja i Gibbons odbędziemy umówione spotkania, ale poza tym... – Przyglądał się przez chwilę stosowi papierów. – Pringle może przeglądać nadal dokumenty, szukając brakującego i cofając się coraz dalej w czasie. Panie Slater?

Młodszy urzędnik wyprostował się i spojrzał na szefa pełen zapału.

– Tak, proszę pana?

– Przyglądaj się temu, co robi Pringle, póki nie zorientujesz się, jak działa jego system, a potem, jeśli pan Slocum nie będzie potrzebował cię do innych zadań, zacznij przeglądać pod jego okiem rejestry, poczynając od najwcześniejszych. – Spojrzał na Slocuma i Pringle’a. – Nie wiemy, jakiego okresu dotyczy brakujący dokument, jeśli więc Slater zacznie przeglądać rejestry od drugiej strony, podwoimy szansę dowiedzenia się, co zniknęło.

Slocum, Pringle i Slater przytaknęli.

Montague spojrzał na Fostera.

– Pańskim najważniejszym zadaniem, podobnie jak Slocuma, będzie zadbanie o to, by biuro normalnie funkcjonowało, a klienci nie czuli się zaniedbywani.

Foster uśmiechnął się i zasalutował.

– Jeśli zostanie panu trochę czasu, może pan pomóc Gibbonsowi w kompletowaniu listy wszystkich inwestycji Halsteadów, byłych oraz obecnych. – Spojrzał na Gibbonsa. – Fred, będziesz musiał pracować z dokumentami, które Pringle i Slater przejrzą i uporządkują.

Gibbons skinął głową.

– Na ile kompletna ma być ta lista?

– Powinna zawierać wszystko, na co się natkniesz, nieważne: przyniosło dochód, zostało sprzedane

z korzyścią czy stratą albo po prostu o tym zapomniano. Skonfrontuj każdą inwestycję z wyciągami bankowymi. Wszystkimi. – Przerwał, a potem dodał: – Zważywszy, że nie mamy pojęcia, o jaką inwestycję chodzi, musimy sprawdzić absolutnie wszystko. Coś, co nam wyda się niezbyt istotne, może być z niewiadomego powodu bardzo ważne dla mordercy.

– Skoro tak – Gibbons wstał – lepiej wezmę się od razu do roboty.

– A jakie podejście pan obierze, sir? – zapytał Foster, odpychając się od biblioteczki, o którą się opierał.

Montague skrył uśmiech. Foster był pilny i lubił się uczyć, a on z chęcią podsyczał w nim te zalety.

– Zamierzam przekopać się przez dokumenty, których kopie polecił Pringle’owi sporządzić Runcorn. Powinny zawierać choćby wzmiankę o wszystkich źródłach dochodu zasilających dziedziczny majątek Halsteadów. – Zamilkł, a po chwili wyjaśnił: – Źródła wszystkich przychodów oraz rozchodów, jakie zidentyfikuję, powinny zgadzać się z tym, co znajdziecie pan i Gibbons. Jeśli natkniemy się na anomalie, będziemy wiedzieć, że na coś wpadliśmy. Może być jednak tak, że wszystko będzie się zgadzało, wtedy przyjdzie nam poczekać, aż Pringle i Slater odkryją, że czegoś brakuje. Podsumowując: ja będę zajmował się pieniędzmi, pan i Gibbons źródłami dochodów, a Slocum, Pringle i Slater przeanalizują rejestry. Gdzieś musi być coś, co naprowadzi nas na ślad.

– W rzeczy samej. – Gibbons skinął głową i wyszedł.

Slocum, Pringle i Slater wzięli każdy po stosie dokumentów i zanieśli je do głównego pomieszczenia, zostawiwszy Montague’a wpatzonego w znacznie mniejszy stos kopii, które zrobił dla niego na polecenie Runcorna Pringle. Stos może i nie był wysoki, lecz przedzieranie się przez wszystkie papiery nie będzie zadaniem łatwym, zwłaszcza że nie miał pojęcia, czego właściwie szuka.

Zajrzał do terminarza i upewnił się, że tego ranka ma spotkanie z lordem Meredithem, który przebywał akurat w mieście. Jako że zdarzało się to nader rzadko, gdyż lord wolał spędzać czas w swej posiadłości w Somerset, spotkania nie można było przełożyć.

Zerknął zatem raz jeszcze na stertę na biurku, a potem westchnął w duchu, wyłuskał ze stosu innych segregator zawierający dokumenty Mereditha – na szczęście zdołał je już przejrzeć – i ruszył ku drzwiom.

*

Wrócił po dwóch godzinach w zdecydowanie lepszym humorze. Powiesił kapelusz, odstawił rejestr – spotkanie przebiegło bez niespodzianek – i wrócił do pracy. Spojrzał na dokumenty, powtrajając w myślach plan działania, jaki przyszedł mu do głowy, gdy wracał z Mayfair. Sięgnął po spiętrzone papiery, ułożył je precyzyjnie na podkładce, przyciągnął sobie krzesło, usiadł i zaczął sortować dokumenty.

Gdzieś z oddali dobiegł go dźwięk otwieranych drzwi, a po chwili głos Slocuma:

– Dzień dobry, panno Matcham. Czym mogę służyć?

Nim zdążył się zastanowić, zmierzał już szybko ku drzwiom miotany emocjami, jakich nie doświadczył nigdy przedtem. I, co zaskakujące, raczej mu się one podobały. Wszedł do głównej sali i zobaczył Violet. Stała, uśmiechając się do Slocuma.

Kiedy ruszył ku niej, odwróciła się i jej uśmiech się zmienił, stał się bardziej osobisty, cieplejszy.

– Panno Matcham. Violet. – Ujął jej dłoń i spojrzał na twarz. Malujący się na niej spokój zaświadczał, że nie stało się nic złego. – Jakies postępy?

– Nie. – Jej oczy zasnuł na chwilę cień. – I właśnie dlatego przyszłam. – Rozejrzała się po biurze. – Stokes i Barnaby sprawdzają alibi mężczyzn, a Penelope i Griselda pań. Uznałyśmy, że lepiej być

dokładnym. Dla mnie nie zostało już nic do zrobienia – powiedziała, unosząc i rozkładając dłonie. – Pomyślałam więc, że przyjdę tutaj i spytam, czy nie mogłabym pomóc panu w poszukiwaniach. – Uniosła nieco brodę. – Pracowałam przez całe dorosłe życie jako sekretarka, jestem więc dobra w czytaniu i segregowaniu dokumentów.

Montague dostrzegł w jednej chwili okazję i nie zawahał się z niej skorzystać.

– Tak się składa – machnął ręką, wskazując urzędników, spoglądających teraz z uśmiechem na Violet – że wszyscy pracują w zespołach, podchodząc do problemu z różnych punktów widzenia. Ja wróciłem właśnie ze spotkania i planowałem zająć się swoim stosem papierów. Zamierzałem robić to sam, lecz właśnie uświadomiłem sobie, że są dwa aspekty, dwa odrębne źródła, które trzeba zbadać. Mogłaby pani pomóc mi przy jednym z nich.

– Z przyjemnością – odparła, uśmiechając się z zadowoleniem.

Wprowadził ją do gabinetu, ignorując pełne zaciekawienia spojrzenia personelu i wstrzymując uśmiech. Pomógł Violet zdjąć płaszcz i kapelusz, a potem posadził ją naprzeciw siebie i oczyścił blat pomiędzy nimi.

– Zatem do dzieła. – Okrążył biurko, otworzył szufladę i wyjął kilka arkuszy papieru, a także garść zaostrzonych ołówków, które zawsze się tam znajdowały. Podzielił stos na dwie części i położył jedną przed Violet. – Oto kopie dokumentów, które sporządził dla mnie Runcorn. Powinny zawierać informacje o wszystkich przedsięwzięciach, dać nam wgląd w majątek Halsteadów, przynajmniej od strony finansowej. Musimy sporządzić listę wszystkich przychodów oraz rozchodów i przypisać każdy do właściwego źródła. Gibbons wraz z Fosterem przeszukują oryginalne dokumenty i sporządzają listę inwestycji.

– Zatem lista Gibbonsa oraz nasza powinny zgadzać się co do joty? – spytała.

– Właśnie.

– A jeśli pojawi się niezgodność... będzie to stanowiło ślad, któremu trzeba się przyjrzeć? – A kiedy Montague przytaknął, poczuła przypływ entuzjazmu. Wyglądziła arkusz papieru i wzięła do ręki ołówek. – Od czego zaczniemy? – spytała.

Wahał się jedynie przez chwilę.

– Pani może sporządzić listę przychodów. To łatwiejsze niż dociekanie, na co zostały wydane pieniądze. Ja zajmę się rozchodami. – Spojrzał na stos przed sobą, wziął do rąk leżący na wierzchu dokument, spojrzął, a potem go odłożył i odwrócił stos. – Pringle sprawdził je dla mnie, umieszczając najnowsze na wierzchu – wyjaśnił. – Dla naszych celów łatwiej będzie zacząć jednak od najwcześniejszych. – Wziął do rąk dokument leżący teraz na wierzchu i podał jej. – Pani zaczyna. Proszę go przejrzeć, szukając informacji o przychodach. A jeśli ją pani znajdzie, proszę zanotować, skąd wzięły się pieniądze, datę i kwotę, a potem podać dokument mnie.

Violet wzięła dokument i uważnie go przejrzała. Był to dowód złożenia przez sir Hugona depozytu i pochodził sprzed z górą trzydziestu lat.

– Tu nie ma przychodu – powiedziała, podając dokument Montague’owi.

Przejrzał go i się uśmiechnął.

– Zgadza się. – Sięgnął po ołówek, a potem wskazał stos pośrodku biurka. – Proszę bardzo.

Violet sięgnęła po dokumenty, czując się nedorzecznie zadowolona.

Pracowali, póki Slocum nie przyniósł im herbaty oraz ciasteczek. Okazały się nadzwyczaj smaczne.

– Przy końcu Chanel Court znajduje się mała piekarnia – wyjaśnił Montague, kiedy o nie spytała.

Zlizała okruchy z palców i wróciła do przeglądania dokumentu, który miała przed sobą. Nie wahała się pytać, kiedy coś wydawało się jej niejasne, a im dłużej pracowali, tym lepiej uświadamiała sobie, czemu dokładnie służy ich zajęcie.

Przychody i rozchody. Do tego sprawa się sprowadzała, tak właśnie wyglądał obieg pieniądza.

A kiedy dzwony w City wybiły dwunastą, Montague wstał, wyszedł z gabinetu, by skonsultować się z personelem, a potem wrócił i poinformował Violet, iż wysłał młodego urzędnika, pana Slatera, po kanapki dla wszystkich pracowników.

– Trochę się nam spieszy, prawda? – spytała Violet.

Montague opadł na krzesło i przytaknął.

– Rzeczywiście.

Nie dodał, że dla niego ów pośpiech wynikał głównie z obawy, iż morderca, pragnąc się chronić, zechce odszukać Violet i ją uciszyć. Nie zapomniał nawet na chwilę, jaki ogarnął go chłód, kiedy dowiedział się, że tamtej nocy, kiedy zabito Tilly, morderca próbował dostać się także do pokoju Violet. Zamierzał ją również udusić, ale plan spalił na panewce.

Jedynym sposobem powstrzymania takiego łotra było wykrycie go i schwytanie.

Wziął do rąk następny wymagający sprawdzenia arkusz i pogрузzył się w pracy.

Po jakimś czasie przyniesiono kanapki. Zostały zjedzone w ciszy, przerywanej jedynie szelestem papieru.

Tuż przed trzecią do drzwi gabinetu zapukał Gibbons. W dłoni trzymał plik papierów.

– Inwestycje oraz źródła dochodów – powiedział, unosząc plik. – Przejrzelismy z Fosterem wszystkie dokumenty. Slocum, Pringle i Slater również finiszują. Powiedzieli, że potrzebują jeszcze godziny lub dwóch, do końca dnia z pewnością uporządkują jednak segregator.

– Doskonale. – Montague oszacował wzrokiem stosik dokumentów, jaki pozostał do sprawdzenia jemu i Violet. Z jej pomocą praca szła zdecydowanie szybciej. – Jeszcze pół godziny i my także będziemy gotowi. – Spojrzał na Gibbonsa. – Zawołam was, kiedy skończymy, a wtedy pan i Foster odczytacie swoją listę, a ja i panna Violet porównamy ją z naszą.

Gibbons potaknął.

– Proszę zawołać, gdy będzie pan gotowy. Mam o piątej spotkanie. Przygotuję się teraz do niego, lecz nie powinno mi to zająć dużo czasu.

Montague skinął głową i przystąpił z nowym zapalem do pracy. Zakończenie analizy stanu posiadania Halsteadów przed końcem dnia pracy byłoby nie lada osiągnięciem.

W końcu rzucił na stos ostatni dokument.

– Zrobione!

Violet skończyła sprawdzać ostatni świstek papieru, podała mu go, wstała, przeciągnęła się i podeszła do okna.

– Co teraz? – spytała, odwróciwszy się ku niemu z uśmiechem.

– Teraz... – Spojrzał na stosik papierów po jej stronie biurka i poruszył palcami. – Sprawdźmy, co tam pani ma.

A miała bardzo starannie sporządzoną listę wszystkich przychodów, długą na kilka stron, z kwotami i datami, na dodatek uporządkowaną alfabetycznie.

On zrobił to samo z rozchodami dotyczącymi każdej inwestycji, nietrudno więc było porównać listy.

– Cudownie. – Wstał, wziął do rąk stos kopii, nad którymi pracowali, i schował je do stojącego w pobliżu kufra. – Pozbądźmy się tego balastu, bo tylko by nam przeszkadzał.

Wrócił do biurka, sięgnął po listy wydatków i ułożył je w porządku alfabetycznym po swojej stronie biurka, a potem umieścił pomiędzy nimi listy Violet, tak że każdej wydanej na inwestycję kwocie odpowiadał stosowny przychód.

Przez chwilę wpatrywali się z satysfakcją w swoje dzieło. Violet okrążyła biurko i podeszła do Montague'a. Spojrzał na nią i dostrzegł na jej twarzy odbicie własnych emocji. Uśmiechnął się lekko,

spoglądając na rezultat wspólnych wysiłków. Przyjemnie było się przekonać, że umysł Violet jest tak samo uporządkowany jak jego, a normalizowanie skomplikowanych spraw też sprawia jej przyjemność.

– Zatem do dzieła! – Odwrócił się, podszedł do drzwi i wyjrzał. – Fred? Phillip? Jesteście wolni? Zobaczmy, co tu mamy.

Gibbons i Foster weszli do gabinetu, chętni ocenić jak najszybciej rezultat swoich trudów. Montague polecił im, aby usiedli po drugiej stronie biurka, na miejscu dla klientów, dla Violet zaś ustawił obok swego krzesła wygodny fotel.

Gibbons wskazał listy, które sporządził wraz z Fosterem.

– Jak chciałby pan to zrobić?

– Zaczniemy od najwcześniejszych zapisów – powiedział Montague – i będziemy posuwać się w przód.

Pierwsza inwestycja, jakiej dokonał sir Hugo, pochodziła sprzed ponad trzydziestu lat. Gibbons odczytał nazwę, Montague potwierdził wydatek, a potem zerknął na listę Violet i odczytał zysk. Wszystko było w porządku, odhaczył zatem pozycję na obu listach.

Sprawdzili w ten sposób lata do śmierci sir Hugona. Z początku inwestycje były skromne, nieliczne i oddalone w czasie, lecz podczas ostatnich dwudziestu lat życia sir Hugo zaczął działać bardziej aktywnie.

– To wtedy wrócił na stałe do Anglii – wyjaśniła Violet.

Doszli do roku 1823, gdy Gibbons przerwał, by zauważyć:

– Całkiem przyjemne portfolio. Runcorn senior dobrze się spisał.

– Rzeczywiście – przytaknął Montague. – Bardzo solidne, z niewielkim jedynie elementem ryzyka.

W sam raz dla tego akurat klienta.

Zauważył, że Phillip Foster stara się zapisać sobie tę uwagę w pamięci.

Pracowali przez dłuższy czas, sprawdzając coraz to większe inwestycje, weryfikując dochody oraz wydatki. Dotarli do roku, kiedy umarł sir Hugo. Liczba nowych inwestycji drastycznie wtedy zmalała, lecz Runcorn senior dobrze doradzał lady Halstead i z każdym rokiem dodawano do portfela kilka nowych pozycji.

– Wszystko bardzo solidne – wymamrotał Gibbons. Do tej pory nie natknęli się na cokolwiek budzącego najdrobniejszą choćby wątpliwość.

Dotarli do roku 1833 i Gibbons przeczytał:

– Dwadzieścia udziałów w akcjach kolei Grand Junction.

Violet przyglądała się, jak Montague sprawdza swoją listę. Sir Hugo zainwestował sporo w akcje kolei liverpoolskiej i manchesterskiej w 1826 i od roku 1830, kiedy linię otwarto, inwestycja przynosiła całkiem niezły dochód. Nie było więc nic dziwnego w fakcie, że lady Halstead zdecydowała się zainwestować ponownie w kolej.

Montague dotarł do odpowiedniej pozycji na liście, skinął głową i odczytał sumę.

– Zgadza się – potwierdził Phillip Foster.

– A teraz... – Montague spojrział na listę Violet, zmarszczył brwi i zaczął uważniej ją przeglądać.

Violet pochyliła się i zerknęła na pozycje zapisane pod literą „K”.

– Słyszałam chyba, że Grand Junction zaczęła przewozić w tym roku pasażerów. – Spojrzała na Montague’a. – Może nie zdążyli wypłacić jeszcze dywidend?

Montague przeglądał nadal listę.

– Przeciwnie – uniósł głowę i spojrział na Gibbonsa. – Wypłacili i były całkiem wysokie.

Gibbons otworzył szerzej oczy i skinął głową.

– W sierpniu, prawda? Nadspodziewanie wysokie.

Montague odsunął krzesło i wstał. Wyjął segregator, który odstawił niedawno na półkę, otworzył go i przeglądał przez chwilę, a potem zaznaczył miejsce palcem i powiedział:

– Tak. W końcu sierpnia tego roku wypłacono udziałowcom bardzo wysoką dywidendę. Osiem tygodni po otwarciu kolei. Te udziały powinny dawać bardzo duży zysk.

Foster i Gibbons wyprostowali się na krześle, skupieni i gotowi do rzucenia się na zdobycz. Montague uniósł jednak dłoń, powstrzymując ich.

– Zanim przesadnie się podekscytujemy, sprawdźmy, czy Runcorn, choć tak dokładny, nie zapomniał wsunąć po prostu tej strony pomiędzy dokumenty przeznaczone do skopiowania.

Odłożył na półkę segregator lorda Mereditha, a potem wyszedł z gabinetu, a za nim Foster i Gibbons. Odwrócił się i zobaczył, że Violet również wstaje. Uśmiechnął się i skinął głową. Zasłużyła, by móc śledzić rozwój wydarzeń.

Podszedł do wielkiego stołu, gdzie Slocum, Pringle i Slater porozkładali dokumenty, które starali się uporządkować, a kiedy spojrzeli na niego wszyscy trzej, powiedział:

– Szukamy potwierdzenia wypłaty dywidendy. Powinna była trafić na któryś z rachunków Halsteadów pod koniec sierpnia tego roku.

Slater, siedzący nad trzema starannie ułożonymi stosikami dokumentów, spojrział na Pringle'a.

– Powinny być u pana.

Pringle przytaknął, przerzucając już dokumenty.

– Sierpień tego roku... – Wysunął ostrożnie spod stosu papierów kilka dokumentów i podał je Montague'owi. – To wszystko, co mamy za ten okres.

– Chyba że coś spoczywa jeszcze wśród tego bałaganu. – Slocum sięgnął ku zdecydowanie teraz mniejszej kupce papierów pośrodku stołu. Wziął do rąk ich garść i sprawdził szybko daty.

Pringle sięgnął po kolejną, a za nim Slater. Gibbons i Foster, pełni nadziei, że wreszcie udało się im coś znaleźć, przyłączyli się do poszukiwań.

Montague odsunął się nieco z uporządkowanymi już dokumentami z sierpnia w dłoni. Skinął na Violet i podszedł wraz z nią do biurka Fostera. Sprawdzili szybko dokumenty, lecz nie znaleźli żadnego, który by poświadczał, że linia Grand Junction wpłaciła dywidendę na rachunek Halsteadów.

Montague spojrział na Violet i przekonał się, że myśli o tym samym.

– Czyżbyśmy to znaleźli? – spytała.

Zacisnął wargi, lecz nie był w stanie stłumić całkowicie podekscytowania.

– Możliwe.

Odwrócili się i przyglądali, jak reszta personelu odkłada jeden po drugim sprawdzone dokumenty. Ostatni uczynił to Slater. Spojrział potem na kolegów i potrząsnął głową.

– Ani śladu.

Wszyscy zwrócili wzrok na Montague'a.

Podszedł do stołu i podał Pringle'owi sprawdzone ponownie wyciągi.

– Tu także nic nie ma... Wygląda na to, że Halsteadom nie wypłacono dywidendy. Nasz następny krok będzie polegał więc na tym, by znaleźć poświadczenie nabycia akcji. – Spojrział na Pringle'a. – Wie pan, kto je przechowywał? Runcorn czy sam sir Hugo?

Pringle zamrugał, a potem wstał.

– Chwileczkę. – Podszedł do swego biurka, wysunął szufladę i wyjął z niej mały czarny notatnik. – Zabrałem go z biura pana Runcorna, ponieważ bez niego... cóż, nikt by nie wiedział, gdzie co jest.

Otworzył notes i zaczął go przeglądać. Slocum podszedł z ciekawością i zerknął mu przez ramię.

– Jest – powiedział Pringle. – Halsteadowie. – Przesunął palcem wzdłuż strony. – Napisano tutaj, że

certyfikaty przechowywał sir Hugo.

Montague zmarszczył brwi.

– W banku czy w domu?

– Nie wiadomo – odparł Pringle.

– Proszę przejrzeć inne wpisy – zasugerował Slocum.

Pringle jął przeglądać kolejne strony.

– Ach, tak... Oto notatka zrobiona ręką starszego pana Runcorna, odnosząca się do certyfikatów innego klienta. Zapisano przy nich: „Przechowywane w banku”.

Montague skinął głową.

– Możemy więc założyć, że sir Hugo przechowywał swoje w domu. – Spojrzał na Violet. – Ma pani pojęcie gdzie? Czy jest tam sejf?

Potrząsnęła głową.

– Nie ma, jestem tego pewna. – Ściągnęła brwi. – Ale... jak wyglądają takie certyfikaty?

Montague uniósł palec, prosząc, by zaczekała. Wrócił do gabinetu. Przez otwarte drzwi widziała, jak podchodzi do regału, naciska jakieś miejsce, a regał odsuwa się, ukazując wielki ścienny sejf o drzwiczkach tak dużych, że mogłyby prowadzić do pokoju. Montague wprowadził szyfr, otworzył ciężkie drzwi, sięgnął w głąb sejfu i wynurzył się, trzymając w dłoni stosik papierów.

Wrócił do sali i pokazał jej dokumenty. Były większe niż weksle, lecz pokrywało je podobne, bardzo staranne pismo. Każdy dokument opatrzony był pieczęcią.

– Oto – powiedział, rozkładając papiery – poświadczenia nabycia udziałów. Stanowią dowód własności.

Violet przesunęła palcami po dokumentach.

– Och, poznaję je. Wiem, gdzie lady Halstead je trzymała. – Spojrzała na Montague’a. – W zamkniętej na klucz szufladzie komody w sypialni.

Na Montague’u nie zrobiło to szczególnego wrażenia. Spojrzał na swoich pracowników.

– Będę potrzebował świadków. Fred, ty masz spotkanie. Pringle, pójdzie pan ze mną. I pan, Foster, jeśli jest pan wolny.

Obaj urzędnicy z chęcią zgodzili się mu towarzyszyć.

Violet wróciła pośpiesznie do gabinetu i założyła płaszcz oraz kapelusz. Montague schował tymczasem certyfikaty do sejfu, zamknął go i zasłonił regałem. Potem włożył płaszcz, wzięł kapelusz i wyjął z szuflady klucze do domu przy Lowndes Street.

Wyszli na ulicę, z Fosterem i Pringle’em depczącymi im po piętach.

*

Dom był równie ponury i zimny jak wtedy, gdy Violet była tu po raz ostatni, lecz ledwie zwróciła na to uwagę. Montague otworzył frontowe drzwi, wpuścił ich, odczekał zaledwie, aż Pringle je zamknie, i ruszył za nią na piętro.

Wprowadziła ich do sypialni lady Halstead i wskazała komodę.

– Zamek – powiedział Montague.

Zerknęła na mężczyznę, a potem wysunęła szufladkę, tworzącą podstawę lustra na szczycie komody, sięgnęła do środka i wyjęła niewielki kluczyk.

Montague wydawał się zdegustowany. A kiedy wkładała kluczyk do dziurki środkowej szuflady solidnego mebla, spojrzał na Fosterę.

– Oto dlaczego nie pozwalam klientom trzymać certyfikatów w domu, jeśli nie posiadają sejfu.

Violet podekscytowana przekręciła klucz, usłyszała, że zamek puścił, pociągnęła za okrągłą drewnianą gałkę i wysunęła szufladę.

Wszyscy stłoczyli się dookoła, by lepiej widzieć.

Na dnie szuflady leżały trzy grube zwitki certyfikatów, każdy przewiązany wstążką.

– Doskonale – powiedział Montague, przyglądając się dowodom – wiemy, że sir Hugo nabył mnóstwo udziałów.

Wyjął zwitki z szuflady, oceniając ich grubość.

– Przejrzenie tego zajmie trochę czasu. – Spojrzał na Violet. – Zabiorę je, kiedy będziemy wychodzić. Są zbyt wiele warte, by leżeć w pustym domu. Zamknijmy szufladę i zejźmy na dół.

Zesli i ulokowali się w jadalni, gdzie na dużym stole nie brakowało miejsca, aby rozłożyć dokumenty. Solniczki i sztucce posłużyły jako przyciski do papieru.

Przejrzeli jeden zwitek, potem drugi i trzeci.

Montague odłożył ostatni certyfikat.

– Nie ma dokumentu poświadczającego nabycie akcji kolei Grand Junction.

Po chwili spojrzął na Fostera i Pringle'a.

– Pozbierajcie je i zabierzcie do biura. Panie Pringle, chcę, żeby dokonał pan wraz ze Slocumem formalnej inwentaryzacji, nim dokumenty zostaną zabrane. Foster, w biurze porówna je pan z listą, którą sporządziliście z Gibbonssem. Jeśli znajdziecie kolejne nieścisłości, pošlijcie mi wiadomość na Albemarle Street.

– Dobrze, proszę pana.

Foster i Pringle zaczęli zbierać certyfikaty.

Montague wstał i odsunął krzesło Violet.

– Dokąd idziemy? – spytała.

– Poinformować Stokesa i pozostałych o naszym odkryciu. Jest zbyt ważne, by zwlekać.

*

O jedenastej następnego ranka Montague wyszedł z biura, wezwał dorożkę i kazał wieźć się na Albemarle Street. Poprzedniego dnia po opuszczeniu domu lady Halstead pojechał wraz z Violet do Scotland Yardu. Nie zastali jednak Stokesa i Barnaby'ego. Jak im powiedziano, przebywali w terenie, sprawdzając alibi Waltera Camberly'ego.

Skoro ich podekscytowanie nie znalazło spodziewanego ujścia w Yardzie, skierowali się na Albemarle. Tam musieli poczekać, aż Penelope i Griselda wrócą ze spaceru z dziećmi. Violet zaproponowała, by nie próbować ich odnaleźć, lecz zamiast tego wypić spokojnie popołudniową herbatę. Montague uświadomił sobie, że jest głodny, i ochocho się zgodził. Siedzieli w przytulnym salonie, popijając herbatę i pojadając, a on zastanawiał się nad tym, jakie kroki powinni teraz podjąć.

A potem panie wróciły. Ponieważ same nie dowiedziały się niczego, co byłoby warte wzmianki, z ochotą wysłuchały, co mieli im do przekazania Montague i Violet.

Penelope natychmiast zorientowała się, jak ważne jest ich odkrycie, i wyprawiła do Yardu posłańca z informacją, że dokonano przełomu i w związku z tym panowie powinni wrócić jak najszybciej na Albemarle Street.

Potem musieli, oczywiście, poczekać ze wzrastającą niecierpliwością, aż pojawią się Barnaby i Stokes. A kiedy już tak się stało...

W końcu zostali wszyscy na kolacji, wymieniając się przypuszczeniami, hipotezami i sugestiami w kwestii tego, co należałoby teraz zrobić. Wszyscy zgodzili się, że brakujące certyfikaty stanowią

ważny dowód i dlatego należy dowiedzieć się jak najszybciej, kto je ma – i kto otrzymał ostatnią, dużą dywidendę – lecz później grupa podzieliła się na trzy obozy.

Stokes i Penelope optowali za tym, aby iść śmiało naprzód, nie zważając, jakie wywoła to zamieszanie. Montague i Barnaby zalecali daleko idącą ostrożność, podczas gdy Violet i Griselda zajęły się oceną obu powyższych sugestii. W końcu ustalono, że mimo iż pośpiech w schwytaniu trzykrotnego mordercy, gotowego zabić po raz kolejny lub uciec, byłby jak najbardziej wskazany, należy postępować ostrożnie i z rozwagą.

Jak powiedział Barnaby:

– Najazd policji na archiwum, gdzie przechowuje się informacje na temat akcji, nawet gdyby udało się uzyskać na to zgodę, spowodowałby jedynie oburzenie i bierny opór, i to na wielu frontach. W ostatecznym rozrachunku wcale by się nam to nie przysłużyło.

– Właśnie – zgodził się z nim Montague. – Choć na to nie wygląda, w sprawie takiej jak ta ograniczanie się do zadawania pojedynczych pytań może zaprowadzić nas dalej, i to bez nadeptywania komuś na odcisk i powiadamiania o sytuacji kogokolwiek poza zobowiązanymi do zachowania dyskrecji urzędnikami.

Pozostali zgodzili się z tym, pozostawiając mu, acz niechętnie, sformułowanie pytań na temat udziałów.

Stokes i Barnaby mieli kontynuować sprawdzanie alibi Waltera, a Penelope oraz Griselda alibi pań – już choćby po to, aby upewnić się, że nic nie zostało zaniedbane.

– Po tym, czego dopuścił się Walter, nie zdziwiłbym się wcale, gdybyśmy dokopali się w tej rodzinie do innych ciemnych sprawek, niekoniecznie mających związek z morderstwami – burknął Stokes.

Komentarz wzmocnił wagę argumentu przemawiającego za tym, by zachować daleko idącą ostrożność. Nie mieli w końcu pewności, czy to zagarnięcie certyfikatów stało się powodem morderstw.

Oczywiście tak właśnie uważali, jednak dokładność zakrawająca na pedanterię i skrajna ostrożność stały się ich nowym hasłem.

Dorożka skręciła za róg. Montague dostrzegł za oknem znajomą fasadę Carlton House, a w chwilę później pojazd potoczył się gładko w dół Pall Mall.

Ostatnich kilka godzin spędził, próbując zidentyfikować archiwum, gdzie przechowywano informacje na temat akcji Grand Junction. Na nieszczęście znajdowało się aż w Manchesterze. Sformułował zatem formalne zapytanie i wysłał je przez kuriera. Nie spodziewał się otrzymać odpowiedzi wcześniej niż następnego dnia wieczorem.

Teraz, tak jak obiecał, zdawał relację ze swoich działań na Albemarle Street Violet, którą oddelegowano, by była jego łączniczką z resztą grupy. Choć nikt nie powiedział tego na głos, uznano powszechnie, iż nie powinna wychodzić z domu sama.

Prosty fakt, że pozostała jedyną osobą, która wiedziała, gdzie lady Halstead przechowywała certyfikaty, spowodował, że tym bardziej zaczęto obawiać się o jej bezpieczeństwo. Nikt z ich kręgu nie życzył sobie, aby spotkało ją coś złego, a tak mogłoby się stać, gdyby natknęła się nieświadomie na mordercę. Najchętniej zamknęliby ją w domu pod strażą, byli jednak na to zbyt inteligentni, wymyślili więc rolę, która pozwalała jej być w centrum wydarzeń bez opuszczania bezpiecznego schronienia. Montague mógłby założyć się o ostatnią gwineę, że personel domu Adairów został poinstruowany, by nad nią czuwać.

Nie zaskoczyło go więc, kiedy w drzwiach domu Adairów powitał go sam majordomus. Mostyn pozdrowił gościa i powiedział z wszystkowiedzącym uśmiechem:

– Panna Matcham jest w salonie, sir.

– Dziękuję, Mostyn. – Podał kamerdynerowi kapelusz oraz laseczkę i podciągnął mankiety. – Nie ma potrzeby mnie wprowadzać, znam drogę.

– Oczywiście, proszę pana. – Mostyn zawahał się, jakby chciał coś powiedzieć. Montague zerknął na niego zachęcająco.

– Tak się zastanawiałem, proszę pana – powiedział więc ośmielony – czy nie zechciałby pan zabrać panny Matcham na spacer po parku. Nie chcemy, żeby poczuła się jak w więzieniu i postanowiła wyjść sama.

Montague uniósł brwi.

– Rzeczywiście, nie byłoby to wskazane. – Skinął głową. – Dziękuję za sugestię, Mostyn. Zapewne z niej skorzystam.

Zmierzając ku salonowi, zauważył, że choć pogoda była ostatnio dosyć paskudna, tego akurat dnia słońce zdecydowało się wyrzucić zza chmur i nie zanosilo się, by miał spaść szybko deszcz.

Violet siedziała na sofie zajęta szyciem. Usłyszała, że nadchodzi, i podniosła wzrok. Wyraz, jaki pojawił się na jej twarzy, i blask w oczach sprawiły, że poczuł się... wyjątkowy. Odłożyła szycie, wstała i wyciągnęła z uśmiechem dłoni.

– Pan Montague. – A potem, kiedy objął dłonią jej palce, dodała: – Jakieś nowiny?

Lecz on nie myślał teraz o nowinach ani w ogóle o śledztwie. Przyglądał się jej przez chwilę, a potem powiedział cicho:

– Mam na imię Heathcote, choć większość nazywa mnie Montague. – Prawdę mówiąc, nie został już nikt, kto nazywałby go Heathcote. – Zastanawiam się, Violet, czy nie zechciałabyś tak się do mnie zwracać.

Wytrzymała jego spojrzenie i powiedziało mu to, że ona również odczuwa, iż między nimi rodzi się więź, spokojna, ale solidna, dyskretna, lecz bardzo realna. Wreszcie Violet pochyliła głowę na znak zgody.

– Byłabym zaszczycona, mogąc tak pana nazywać.

Minęła kolejna sekunda, a potem wysunęła palce z jego dłoni i powiedziała, wskazując krzesło:

– Proszę usiąść i opowiedzieć mi, co się wydarzyło.

– Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, czy nie zechciałabyś trochę się przewietrzyć? Możemy rozmawiać, spacerując w Green Parku. To niedaleko, a ja nie mam zbyt wiele do przekazania. – Uśmiechnął się lekko, a potem dodał z wahaniem: – Skoro tu już przyjechałem, miło byłoby spędzić z tobą więcej czasu.

Roześmiała się, ukazując dołki w policzkach.

– Rzeczywiście, ja też chętnie spędziłabym z panem więcej czasu w miłym otoczeniu.

– Zatem ruszajmy. – Podał jej ramię, uśmiechając się z większą pewnością siebie. – Powiedzmy Mostynowi, by przyniósł twój płaszcz i kapelusz, a potem oddamy się przyjemnościom jesiennej przechadzki.

Pięć minut później Violet z dłonią wsuniętą pod ramię Montague'a szła wzdłuż Albemarle Street, a potem bardziej ruchliwą Piccadilly. Więź, jaka zrodziła się pomiędzy nimi poprzedniego dnia, nie tylko nie osłabła, ale wręcz się wzmocniła, i to nie tylko z jej strony, ale i jego... Heathcote'a. Czuła się dziwnie beztroska i bezwolna, mając tuż obok mężczyznę, którego bliskość zapewniała jej poczucie bezpieczeństwa, oddziałując zarazem na zmysły. Co się tyczy tego, iż poprosił ją, aby zwracała się do niego po imieniu, uznała, że nie może sobie na razie na to pozwolić – przynajmniej publicznie. Kiedy już zamieszka u siebie i nikt nie będzie oceniał jej zachowania...

Na ulicy było zbyt wielu spacerowiczów, by mogli rozmawiać swobodnie o śledztwie. Szli zatem wolno, przyglądając się modnym powozom toczącym się po bruku. W niektórych pasażerkami były

damy, w innych modni dandysi, a wszystkie pojazdy ciągnęły rasowe konie. Przecięli Berkeley Street i posuwali się przez chwilę wzdłuż długiej fasady Devonshire House, a potem zaczekali, aż ruch na Clarges Street zmaleje na tyle, by mogli przekroczyć bezpiecznie jezdnię, i wejść przez bramę do Green Parku.

Przy zbiorniku zwanym Reservoir skręcili w prawo, minęli fontannę u jego zachodniego końca i skierowali się ku mniej uczęszczanym alejkom. Drzewa były tu stare i olbrzymie, a ich liście zaczęły tracić już barwę. Wiele opadło, tworząc dywan w odcieniach złota i brązu.

Violet rozejrzała się, a potem, przekonawszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, powiedziała:

– Zatem, mój drogi Heathcote, jakie informacje chciałby mi pan przekazać?

Rozchylił wargi i spojrzał jej w oczy. Przez chwilę trwali tak, doskonale się rozumiejąc, a potem Montague odwrócił wzrok i powiedział:

– Jak ustaliliśmy, zlokalizowałem firmę, w której przechowywane są informacje na temat udziałów Grand Junction. Gdyby mieściła się w Londynie, miałbym już do powiedzenia znacznie więcej, ale, niestety, jej siedziba znajduje się w Manchesterze. Wysłałem więc zapytanie przez kuriera.

Uniosła brwi.

– A o co konkretnie pan pytał? I jakie jest prawdopodobieństwo, że udzielą panu odpowiedzi?

Spojrzał na nią.

– Masz rację. Normalnie zapytanie o to, kto posiada określone akcje, nie dotarłoby wysoko. Firma potraktowałaby informację jako poufną. Zwróciłem im jednak uwagę, że wiem, iż to sir Hugo posiadał rzeczne akcje, co nietrudno zweryfikować. Każdy certyfikat opatrzony zostaje numerem, pytamy więc o konkretne dokumenty, których nie da się, jak w przypadku banknotów, zamienić. – A kiedy skinęła głową na znak, że rozumie, kontynuował: – Wyjaśniłem, że lady Halstead niedawno zmarła, ja zaś pomagam przy ustalaniu stanu jej majątku, zanim obejmą go spadkobiercy, dlatego potrzebuję informacji, komu rzeczne certyfikaty zostały przekazane.

Uśmiechnął się i dodał:

– Żadna firma, działająca na rynku finansów, nie chce być wymieniana w sądzie, zwłaszcza jeśli pojawią się kontrowersje. Będą chcieli wyjaśnić wszystko, nim dojdzie do rozprawy, i majątek zostanie przekazany. Spodziewam się, że odpowiedzą na moje pytanie, podając nazwisko obecnego właściciela, lecz skoro firma mieści się w Manchesterze, zapewne informacja nie dotrze do mnie wcześniej niż jutro, a może nawet pojutrze.

Spacerowali przez kilka minut w milczeniu, a potem Violet spytała:

– Czy jest coś, co mógłby pan... moglibyśmy zrobić, żeby dowiedzieć się o tych certyfikatach czegoś więcej?

Potrząsnął głową.

– Jak wyjaśniłem wieczorem, jeśli zaczniemy pytać otwarcie, próbując ustalić nazwisko obecnego właściciela, osoba, o którą pytamy, dowie się o tym wcześniej, niż zdołamy poznać jej nazwisko. Jeśli to nasz morderca, prawdopodobnie ucieknie na długo przed tym, nim zapukamy do jego drzwi. – Spojrzał na Violet. – Postępując tak, jak ustaliliśmy, i starając się zdobyć informacje, że tak powiem, we własnym gronie, a jesteśmy z reguły bardzo dyskretni, ludzie z firmy w Manchesterze uznają, że podając mi nazwisko posiadacza akcji, uchronią go przed koniecznością zeznawania w sądzie. Założą, że znajdę po prostu dowód, iż osoba ta weszła w posiadanie udziałów legalnie, i na tym sprawa się zakończy.

– Ach tak, rozumiem. Muszę koniecznie wytłumaczyć to Penelope – zauważyła z niejakim rozbawieniem Violet. – Jest gotowa walczyć zębami i pazurami, gdy tylko słyszy o zwłoce.

Roześmiał się i nakrył jej dłoń swoją. Ruszyli w pełnej zgodzie oraz milczącym porozumieniu alejką

pomiędzy strojnymi w jesienne barwy drzewami.

A kiedy zawrócili i skierowali się znów ku Albemarle, poczuciu żalu z powodu rychłego rozstania z Montague'em... Heathcote'em... towarzyszyła znacznie bardziej mroczna myśl. Gdy raz zagnieździła się w umyśle Violet, rozkwitła, przesłaniając wszystko inne, wszelkie pozostałe rozważania.

Violet zaczęła, aż znajdują się znów w holu frontowym, a Mostyn zostawi ich, by mogli się pożegnać. Wyciągnęła ku niemu dłonie i pochwyciła jego spojrzenie, kiedy ujął jej palce w ciepły, niosący pociechę uścisk.

– Te pańskie badania... – Przerwała, a potem cicho dodała: – Nie mogę zapomnieć, że Runcorn został zamordowany i wygląda na to, iż motywem była chęć ukrycia kradzieży certyfikatów. – Pozwoliła, by lęk i troska znalazły odbicie w wyrazie jej twarzy, a potem powiedziała po prostu: – Będzie pan ostrożny, prawda? – A mając wrażenie, iż posunęła się za daleko, dodała: – Wiem, że nie mam prawa...

– Przeciwnie. – Uniósł do ust jej dłoń i złożył delikatny, ciepły pocałunek. – Jeżeli ktokolwiek je ma, droga Violet, to z pewnością ty.

Atmosfera pomiędzy nimi zgęstniała od napięcia. Wpatrywali się w siebie, szukając, znajdując...

Zawahał się, a potem powiedział:

– Nie czas na takie sprawy. Lecz kiedy to wszystko się skończy...

Violet nie wahała się ani chwili. Skinęła głową i odparła zdecydowanie:

– Tak. Wtedy porozmawiamy.

Uśmiechnął się leniwie.

Odwzajemniła uśmiech. Serce podskoczyło jej w piersi, kiedy puścił jej dłonie i pogładził delikatnie palcem policzek.

– Muszę iść – wykrztusił przez zaciśnięte gardło.

Skinęła w milczeniu głową. A kiedy włożył kapelusz, minęła go i otworzyła drzwi.

Zaczekała, aż przekroczy próg, i powiedziała:

– Przekażę wszystko, czego się dziś dowiedziałam, Barnaby'emu, a także Stokesowi, jeśli nas odwiedzi.

Montague odwrócił się i dodał z uśmiechem:

– Będziesz musiała powiedzieć również Penelope i Griseldzie, bo jeśli tego nie zrobisz, i tak wyciągną z ciebie wszystko.

Violet się roześmiała. Montague zasalutował żartobliwie i ruszył w dół ulicy.

Przyglądała się przez chwilę, jak odchodzi, a potem zamknęła drzwi, i westchnęła uszczęśliwiona.

*

– Patrzcie tylko! Kto by się spodziewał czegoś takiego po Walterze?

Na pewno nie on. Zawsze uważał niewydarzonego potomka Cynthii za zwykłe zero, niewiele więcej niż wypchanego manekina przyszłego dziedzica, którego rodzice ciągnęli za sobą wszędzie tam, gdzie obecność syna mogła okazać się użyteczna.

– Nie miałem pojęcia, że będzie miał dość charakteru, by zrobić coś tak cudownie, oburzająco przestępczego. I tak społecznie nieakceptowanego! A teraz... – Uśmiechnął się szeroko. – Oto, jak upadają wielcy!

Nawet on słyszał w swoim głosie triumf, wypełniający ciszę garderoby złośliwą radością.

Zatonął w niej.

– I na dodatek oskarżono go też o popełnienie morderstw! Czyż to nie wspaniałe!

Doprawdy nie potrafił wyobrazić sobie niczego, co bardziej by go ucieszyło.

Dopiero po kilku minutach stara obsesja dała znowu o sobie znać. A kiedy już się tak stało... Nie był jeszcze bezpieczny.

Musiał zadbać o swoją przyszłość.

Skrzywił się, a potem jął na głos rozmyślać.

– Skoro policja zajmuje się Walterem, może byłby to dobry moment, żeby uciszyć pannę Matcham?

– Przyjrzał się sobie w lustrze i przekrzywił w bok głowę. – Może to znak, że lepiej na trochę przywarować. – Zmrużył oczy i wymamrotał: – Niemądrze byłoby jednak czekać zbyt długo. Najlepiej gdyby śmierć panny Matcham dało się powiązać jakoś...

Minęło kilka minut i na twarz mordercy powrócił uśmiech.

– Może powinien spotkać ją wypadek. Albo coś sugerującego, że zabiła się przygnieciona ciężarem smutku po śmierci starszej pani i pokojówki... A może właśnie ona powinna być tą, która ma kochanka? I to on zabił, z jej pomocą, staruszkę, pełnomocnika i pokojówkę. W końcu delikatna kondycja panny Matcham nie była już w stanie tego udźwignąć i kobieta zabiła się, zabierając nazwisko kochanka do grobu... – Uśmiechnął się. – O, tak. Tak byłoby najlepiej.

Stał przed lustrem i przyglądał się sobie, rozmyślając.

Panna Matcham najwidoczniej nie przypomniała sobie jeszcze tego, co wie, albo nie powiedziała o tym policji. Inaczej pukaliby już do jego drzwi, zadając bardzo niewygodne pytania. Nie miał sposobu, by się dowiedzieć, czy kwestia skradzionych certyfikatów wypłynęła w ogóle na powierzchnię, lecz gdyby tak się stało... Pokojówka zaskoczyła go w sypialni staruszki; widziała, jak przegląda certyfikaty, musiała więc umrzeć.

Zważywszy, że były sobie z Violet bliskie, istniało duże prawdopodobieństwo, iż podzieliła się z przyjaciółką tym, co zobaczyła i czego nie rozumiała.

Zatem dla spokoju jego umysłu panna Matcham też będzie musiała rozstać się z tym światem.

Póki tak się nie stanie, nie będzie mógł się odprężyć i rozkoszować w spokoju zdobyczami swoich trudów.

Violet Matcham musi więc umrzeć. Pytanie tylko: kiedy i jak?

ROZDZIAŁ 16

Dwa dni później Montague wstąpił po południu na Albemarle. Jak miał po cichu nadzieję, zastał Violet samą, zajętą porządkowaniem korespondencji Penelope.

Kiedy zatrzymał się przed biurkiem, zamknęła oprawny w skórę notatnik i uśmiechnęła się do niego.

– Penelope została wezwana przez matkę, lady Calverton, by przywiozła Olivera na rodzinną herbatkę, a Griselda skorzystała z okazji, żeby zobaczyć, co w sklepie. – Przyjrzała się stosom listów zaścielających blat. – Pomyślałam, że spróbuję coś z tym zrobić, lecz jakoś mi nie idzie.

– Wybierzmy się na spacer – zaproponował, wyciągając dłoń. – Możemy przejść się po Berkeley Square i podzielić informacjami.

Twarz Violet pojaśniała z radości.

– Cudowny pomysł!

Wystarczyło pięć minut, a szła już ulicą, wsparta na jego ramieniu i odziana w pelisę, kapelusz i szal, chroniący szyję przed chłodnymi podmuchami.

Gdy doszli do placu, spojrzała na Montague'a.

– Dowiedział się pan czegoś na temat certyfikatów?

Niecierpliwiła się, pragnąc, by śledztwo jak najszybciej się zakończyło, a oni mogli się zająć bardziej osobistymi sprawami. Była też absolutnie pewna, że on czuje tak samo.

– Właściwie nie – odparł, krzywiąc się. – Archiwum przyznało chętnie, iż nie myliłem się, sądząc, że certyfikaty nie znajdują się już w posiadaniu Halsteadów, lecz potem nabrali wody w usta. Dopiero zawołana groźba wtrącenia się Scotland Yardu skłoniła urzędnika, by zgodził się zdradzić, kto jest obecnym właścicielem udziałów. – Przerwał na chwilę, kiedy mijali bramę do parku, i podjął wypowiedź dopiero, kiedy znaleźli się na żwirowej alejce. – Ufam, że wykonałem zadanie. Było to jak odłupywanie kawałków kamienia, lecz mam nadzieję, iż następny list z Manchesteru będzie zawierał żądane informacje. – Spojrzał jej w oczy. – Wątpię jednak poważnie, czy to morderca posiada teraz certyfikaty.

– Sądzi pan, że je sprzedał?

– Nie wiem, po co miałby je kraść, jeśli nie dla pieniędzy. A by zamienić udziały na gotówkę, musiał je sprzedać.

Spacerowali przez kilka chwil w milczeniu, a potem Violet spytała:

– Da się wytropić jakoś tę transakcję?

– Dzięki uprzejmości urzędników z archiwum potwierdziłem, że prawo własności Halsteadów wygasło mniej więcej przed jedenastoma miesiącami – a to oznacza, że nowy właściciel musiał je wtedy zarejestrować i dokonać przeniesienia praw. Mógł kupić jednak udziały wcześniej – nie każdy dotrzymuje urzędowych terminów, a skoro dywidendę wypłacono dopiero niedawno, nie sposób się dowiedzieć, sprawdzając wcześniejsze rachunki Halsteadów, kiedy dokładnie zmieniły właściciela.

– Kiedy zostały skradzione.

– Właśnie. – Zawahał się, a potem dodał: – Jedyne, co mogłem zrobić i co zrobiłem, to oszacowanie, za jaką kwotę można było je sprzedać. Teraz sprawdzam, czy podobna suma wpłynęła w ciągu ostatnich dziewięciu do piętnastu miesięcy na rachunek któregoś z Halsteadów albo Camberlych.

– Uważa pan zatem, że morderca, kimkolwiek jest, wpłaciłby pieniądze na rachunek bankowy?

Montague się skrzywił.

– To daleki strzał, ale zważywszy, jak są arogancy, mogli nie zdawać sobie sprawy, iż rachunki można sprawdzić i wiele się dowiedzieć, jeśli zajmą się tym właściwi ludzie i w odpowiedni sposób.

– A pan zna taki sposób.

Przytaknął i spojrzął na nią.

– Lecz nie wspominaj o tym Stokesowi, a przynajmniej nie rozwódź się nad tym. Nie byłby wdzięczny.

– Ach, rozumiem.

Uśmiechnęła się, spoglądając na liczne nianie spacerujące ze swymi podopiecznymi.

Okrążyli park, a kiedy zbliżyli się do bramy, którą weszli, Montague powiedział:

– Powinnaś ostrzec pozostałych, że choć sprawdzam rachunki rodziny bardzo starannie, nie spodziewam się tam znaleźć pieniędzy ze sprzedaży udziałów.

– Sądzi pan, że przeznaczyci je na coś innego?

Dołączył do niej na chodniku i skinął głową.

– Nie widzę, po co mieliby zadawać sobie trud i kraść certyfikaty, jeśli nie potrzebowali pilnie pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży. A jeśli ich potrzebowali, zapewne był po temu jakiś powód. Coś zmusiło ich, by położyli łapy na tak dużej sumie.

Wsunęła mu rozkosznie znajomym gestem dłoń pod ramię i skinęła głową.

– To ma sens.

– To wszystko, co miałem dziś do przekazania – powiedział, spoglądając jej w oczy. – Co z tobą? I z innymi? Dowiedzieliście się czegoś?

Westchnęła, a potem przysunęła się nieco bliżej.

– Niestety, u nas nic nowego – powiedziała. – Stokes i Barnaby przekonali się ostatecznie, że Walter ma alibi na czas wszystkich trzech morderstw, i usunęli go oficjalnie z listy podejrzanych. A choć świadkowie potwierdzający alibi Williama nie budzą zbytniego zaufania, Barnaby i Stokes skłonni są wierzyć, że nie mógł popełnić co najmniej dwóch zbrodni.

– Zatem mógłby być sprawcą jedynie w przypadku, gdyby morderstwa były wynikiem spisku. To znaczy gdyby dokonywał ich więcej niż jeden członek rodziny.

Violet skinęła głową.

– Oni też chyba tak sądzą. O ile znam tę rodzinę, nietrudno sobie wyobrazić, że William i Maurice mogliby działać razem, podobnie William i Hayden lub cała trójka. Co się tyczy kobiet, potwierdziłyśmy dziś rano ich alibi. Wydaje się żelazne i nie do podważenia, choć, jak stwierdziła Penelope, to nadal możliwe, iż któraś z nich pomagała zabójcy. Nie wierzymy jednak, by którakolwiek była fizycznie obecna na miejscu zbrodni w momencie jej popełniania.

Montague zastanawiał się przez chwilę, a potem, kiedy zbliżyli się do domu Barnabych, powiedział, ścisząc głos:

– Wracamy zatem do mężczyzn: Mortimera, Maurice’a, Williama i Haydena. Każde z trzech morderstw mogło być popełnione przez któregoś z nich.

– Dokładnie.

Violet weszła na stopnie i zastukała do drzwi, a potem odwróciła się ku niemu.

– I nadal musimy się dowiedzieć, który to był... I czy tylko jeden.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Mostyn. Montague spojrzął na Violet i dostrzegł w jej oczach milczącą zachętę. Uniósł dla pewności brwi, a kiedy odpowiedziała uśmiechem, wszedł za nią do holu, czując się tak, jakby wracał do domu.

Następnego ranka Barnaby i Stokes wstąpili do biura Montague'a.

Zasiedli na krzesłach przed biurkiem i Stokes zadał pierwsze, najbardziej palące pytanie:

– Wie pan, kto posiada teraz udziały?

Montague odchylił się na swym admiralskim krześle i skrzywił.

– Nie. Ale, do licha, ten urzędas będzie musiał wkrótce się złamać. – Przyjrzał się Stokesowi. – Albo to, albo będziecie musieli wybrać się tam i stanąć mu nad głową.

Stokes chrząknął.

– Ze względu na niego mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. – A po chwili dodał: – Proszę nas zawiadomić, kiedy tylko otrzyma pan odpowiedź. Ta sprawa ciągnie się już zbyt długo i naczelnik zaczyna tracić cierpliwość.

Montague skinął głową.

– A jak tam wasze polowanie?

– Różnie – odparł Barnaby. – Violet powiedziała już zapewne, że poczyniliśmy postępy, jeśli chodzi o alibi Williama. To, które przedstawił na czas dwóch morderstw, jej lordowskiej mości i pokojówki, możemy uznać za wystarczające. Dotarliśmy do osób, których William nie zna, także spośród personelu, więc nie mógł ich przekupić. Wszyscy powierdzają, że był tam podczas wiadomych nocy. Zważywszy na odległość dzielącą gospodę od Lowndes Street, nie zdążyłby dokonać mordu i wrócić jak gdyby nigdy nic do domu.

– Jego alibi na wieczór, kiedy zabito Runcorna, opiera się na zeznaniach kumpli o mocno wątpliwym charakterze. Tak więc żaden z mężczyzn nie ma alibi na czas wszystkich trzech zbrodni. – Stokes pochylił się i zaczął recytować, jakby czytał z listy: – Maurice Halstead twierdzi, że podczas dwóch nocy był z damą, której nazwiska nie chce wymieniwać, trzecią zaś spędził w jakiejś morderni, czy też jaskini gry, bez przyjaciół, z którymi zwykle się włóczy. Nie pamięta, kiedy stamtąd wyszedł i z kim ani gdzie poszedł później.

– Innymi słowy – wtrącił chłodno Barnaby – był tak pijany, że nie pamięta, gdzie był, co robił ani z kim.

– Zatem to Maurice awansuje na podejrzanego numer jeden. Co się zaś tyczy Mortimera Halsteada – można byłoby pomyśleć, że sprawa jest prosta. Ale nie – w oba wieczory był na kolacji z żoną, lecz ta wróciła sama powozem, zostawiwszy męża, aby dokończył rozmowę i wrócił do domu na własną rękę. W wieczór zamordowania Runcorna Mortimer uczestniczył w oficjalnym przyjęciu w ambasadzie. Skończyło się jednak dość wcześnie i wrócił potem rzekomo od razu do domu. Tyle że małżonkowie mają oddzielne sypialnie, zatem pani Halstead nie może potwierdzić, o której mąż wylądował w łóżku. Ani tamtej nocy, ani żadnej innej.

– Hayden Halstead natomiast – włączył się Barnaby – prowadzi znacznie bardziej urozmaicone życie, niż próbował nam wmówić i niż podejrzewają jego rodzice. Twierdził, że wszystkie trzy wieczory spędził w domu, położył się wcześnie i spał jak niemowlę do rana. – Barnaby z poważną miną potrząsnął głową. – Włożyłem zwyczajne ubranie i podpytałem służbę. Okazało się, że młody panicz rzeczywiście udaje się wcześnie do swojej sypialni, tyle że potem wymyka się tylnymi schodami i rusza w miasto. Przycisnęliśmy go więc trochę mocniej i zmienił zeznanie.

– Jednak alibi, które nam podał, nie było wiele lepsze od tego, o którym usłyszeliśmy za pierwszym razem – prychnął Stokes. – Był w mieście z kolegami, chodzili po lokalach, nie pamięta których, co zaś się tyczy czasu... nawet jego kumple nie byli w stanie go określić.

Barnaby chrząknął.

– Rzeczeni kumple byli tak beznadziejni, że nie sposób było potwierdzić nawet, czy Hayden rzeczywiście spędził z nimi całą noc, lub choćby godziny, kiedy morderstwa mogły zostać popełnione,

ani czy był na tyle pijany, że nie byłby w stanie ich dokonać. Jego koledzy na pewno byli.

Stokes potrząsnął głową.

– Można by pomyśleć, że skoro morderstwa miały miejsce w trzy różne wieczory, nietrudno będzie wykluczyć przynajmniej jeden, ale nie. Co gorsza, zważywszy, że są wszyscy spokrewnieni, musimy liczyć się z ewentualnością zмовы. – Wyprostował się, zdesperowany. – A jeśli rzeczywiście mamy tu do czynienia z czymś takim, za nic nie będziemy w stanie zweryfikować tych alibi.

– Skoro wspomniałeś już o zмовie – przerwał mu Barnaby – a zgadzam się absolutnie, że alibi muszą zostać zweryfikowane, Camberly pozostaje nadal podejrzanym.

A kiedy zakłopotany Montague ściągnął brwi, wyjaśnił:

– Wykluczaliśmy go jako podejrzanego, ponieważ nie mógł zabić Runcorna, a założyliśmy, że mamy do czynienia z jednym mordercą. Jeśli to zмова, Camberly mógł zamordować lady Halstead lub Tilly.

– Przedstawił nam swoje alibi – powiedział Stokes – ale musimy jeszcze je sprawdzić.

– Już na pierwszy rzut oka wydaje się bardziej solidne – teraz pałeczkę przejął Barnaby. – Powiedział, że uczestniczył wtedy do późna w posiedzeniach albo spotkaniach z innymi politykami, te zaś trwają często nawet do czwartej nad ranem. – Spojrzał na Montague'a. – Sprawdzenie tego to następny punkt na naszej liście. A tak nawiasem mówiąc, dowiedział się pan czegoś więcej na temat finansów Camberlych i Halsteadów?

Montague skinął głową.

– Rankiem otrzymałem informację, iż na żadnym z rachunków bankowych jednej lub drugiej rodziny nie pojawiła się nagle suma odpowiadająca w całości lub w dużej części kwocie, jaką można było uzyskać ze sprzedaży udziałów.

Stokes się skrzywił.

– Cóż, to był daleki strzał.

Montague wzruszył ramionami.

– Zapewne ten, kto ukradł certyfikaty, sprzedał udziały, a pieniądze przeznaczył na to, na co były mu od początku potrzebne.

Barnaby przytaknął.

– Czyli przynajmniej jeden z Halsteadów musiał rozpaczliwie potrzebować gotówki.

– Możliwe – zgodził się z nim Stokes. – Lecz po co mordować, do tego aż trzy razy...

– Nie wspominając o próbie zamordowania Violet – przypomniał im Montague.

– Rzeczywiście – przytaknął Stokes. – Zatem po co mordować raz za razem, żeby ukryć... co właściwie? To, że okradło się matkę?

– Nie. – Barnaby utkwiał spojrzenie błękitnych oczu w twarzy Stokesa. – Nie tyle po to, by ukryć fakt kradzieży, co chronić swój status. Reputację. Już sama kradzież stanowiłaby zagrożenie, a co dopiero fakt, iż złodziej był tak zdesperowany, że musiał uciec się aż do niej.

Stokes zastanawiał się przez chwilę, a potem przytaknął.

– To ma sens. Nie chodzi jedynie o kradzież, ale o powód, dla którego została dokonana.

– Dla nas to nawet lepiej. – A kiedy Stokes uniósł z niedowierzaniem brwi, Barnaby uśmiechnął się i wyjaśnił: – Oznacza bowiem, że nasz morderca, a właściwie żaden z podejrzanych uczestników tej gry nie zamierza uciec, a tym bardziej zniknąć. Nie kiedy głównym motywem jego postępowania jest chęć zachowania *status quo*: pozycji społecznej i reputacji.

– Nie to, że bym się nie zgadzał – zauważył Montague – lecz w tym kontekście William wydaje się mniej podejrzany.

– Jako pojedynczy główny zabójca może i tak – przyznał Barnaby – ale nie jako współnik. Z niewiadomego powodu mógł pomagać któremuś z krewnych, a nawet Camberly'emu, w zabiciu

Runcorna.

Stokes jęknął.

– Od tych alibi, potencjalnych morderców i ewentualnych spisków już kręci mi się w głowie. – Westchnął ciężko, wstał i spojrzał na Barnaby'ego. – Co, jak przypuszczam, oznacza, że powinienem wrócić do przyglądania się alibi wszystkich podejrzanych.

Barnaby też westchnął i wstał. Spojrzał na Montague'a, a potem na Stokesa.

– Tak czy inaczej dostaniemy go. Zwłaszcza jeśli nie zamierza uciekać.

– Amen.

Stokes zasalutował Montague'owi i ruszył ku drzwiom, a Barnaby za nim, pożegnawszy wpierw Heathcote'a uśmiechem oraz skinieniem głowy.

Montague popatrzył za nimi, gdy wychodzili, a potem także westchnął, przysunął do siebie papiery i wziął się do pracy.

Nic więcej nie mógł zrobić, przynajmniej póki nie nadejdzie odpowiedź z Manchesteru. Oby tym razem urzędnik spełnił pokładane w nim nadzieje.

*

Odpowiedź nadeszła jeszcze tego samego dnia o czwartej po południu.

Slocum odprawił kuriera i pospieszył do gabinetu Montague'a.

Ten zaś odsunął segregator, nad którym właśnie ślęczał, sięgnął po nóż do rozcinania listów i otworzył przesyłkę.

Wyjął arkusz papieru, rozłożył go i przeczytał. Potem wypuścił z płuc powietrze i odchylił się na krześle ze wzrokiem utkwionym w widniejące na kartce nazwisko.

– I...?

Podniósł wzrok i zobaczył Gibbonsa. Stał obok Slocuma, pochylając się nad biurkiem. Zaglądał mu przez ramię z wyrazem oczekiwania na twarzy Foster. Reszta niewielkiego personelu tłoczyła się w drzwiach, żądna poznać nowiny.

Montague skrzywił się i spojrzał znowu na list.

– Archiwum Towarzystwa Kolejowego Grand Junction oficjalnie informuje, że właścicielem udziałów, będących niegdyś w posiadaniu Agathy, lady Halstead, jest obecnie... lord Corby.

Gibbons zamrugał.

– Wielki Boże!

– W rzeczy samej – powiedział Montague, w zupełności zgadzając się ze swym urzędnikiem. – Co więcej, archiwista twierdzi, że lord, a raczej jego pełnomocnik, zarejestrował te udziały przed jedenastoma miesiącami. Co oznacza, że przeszły do rąk lorda bezpośrednio od lady Halstead i w międzyczasie nie posiadał ich nikt inny.

Montague odłożył list i wpatrywał się w niego jeszcze przez chwilę, a potem powiedział:

– Slocum...

– Pełnomocnikiem lorda jest chyba pan Millhouse. Ma biuro tuż za rogiem, przy Throgmorton Street.

– Doskonale. – Montague spojrzał na drzwi. – Reginaldzie?

– Tak, proszę pana? – Młody goniec niemal wpadł do gabinetu.

Montague skrył uśmiech i przywołał go do siebie.

– Pan Slater zanieś wiadomość ode mnie panu Millhouse'owi, lecz nim ją napiszę, będę potrzebował wysłać wiadomość inspektorowi Stokesowi w Scotland Yardzie.

Zaczął pisać, a kiedy podniósł wzrok, przekonał się, że chłopak stoi tuż przy nim ze wzrokiem utkwionym w pióro.

Foster uśmiechnął się i położył młodzieńcowi dłoń na ramieniu.

– Aż tak się nam nie spieszy, Reggie. Znasz drogę do Yardu?

Reginald zamrugał, a na jego twarzy pojawiło się przerażenie.

– Nie martw się – pocieszył go Gibbons. – To na początku Whitehall. Pan Slocum poda ci dokładne wskazówki.

Reginald się uspokoił. Montague podał mu złożony arkusz.

– Nie czekaj na odpowiedź. Kiedy tylko zobaczysz, że wiadomość trafiła do sierżanta przy wejściu, możesz iść do domu.

– Dziękuję panu. – Reginald wziął do rąk kartkę i trzymał ją, jakby była zrobiona ze złota. – Nie zawiodę pana.

Montague się uśmiechnął.

– Na pewno. Lecz pospiesz się. Trzeba doręczyć to najszybciej, jak się da.

Reginald odwrócił się na pięcie i wybiegł. Zatrzymał się tylko, by wziąć płaszcz oraz wysłuchać wskazówek Slocuma, i już go nie było.

– Ach, młodość! – westchnął Gibbons, po czym, nadal się uśmiechając, wyszedł, a za nim Foster. Slater i Pringle zdążyli już wrócić do biur.

– Sprawdziłem właśnie swoje notatki – powiedział Slocum, zaglądając do gabinetu. – Pan Millhouse rezyduje rzeczywiście przy Throgmorton Street, pod szóstym.

– Dziękuję, Slocum. – Montague sięgnął po czysty arkusz. – Powiedz Slaterowi, że zajmie mi to kilka chwil.

– Tak, proszę pana.

Zajął całe pół godziny, nim wreszcie poczuł się usatysfakcjonowany tym, co napisał. Millhouse był młodszy od niego o kilka lat i podczas gdy Montague uchodził za najbardziej wyróżniającego się pełnomocnika w Londynie, pomiędzy ludźmi z tej branży panowała nie tylko zawodowa uprzejmość, ale i swego rodzaju rywalizacja. Dlatego tak ważne było, aby przy pierwszym kontakcie uderzyć od razu we właściwy ton. Tym bardziej iż Montague spodziewał się, że ich kontakty nie ograniczą się do pierwszego. Uzyskanie wszystkich odpowiedzi na pytania, które zamierzał zadać, nie było możliwe w pojedynczej notce.

Gdyby zażądał bezpośrednich odpowiedzi, Millhouse mógłby się uchylać, a jego szlachetnie urodzony klient byłby z pewnością jeszcze mniej chętny do pomocy.

Zapanowanie nad niecierpliwością nie było łatwym zadaniem, Montague jednak tkwił w tym interesie – i pośród ludzi z nim związanych – zbyt długo, by nie stosować się do reguł, choćby i niepisanych. Prawdę mówiąc, jego reputacja opierała się w znacznej mierze na tym, iż uważano powszechnie, że ich przestrzega.

Zatem list, który w końcu wysmażył, stanowił istny majstersztyk. W tonie pełnym szacunku zachęcał w nim młodszego kolegę, aby przyłączył się do niego w odkrywaniu pomniejszej zagadki, związanej z przekazaniem nowemu nabywcy udziałów Railway Grand Junction.

Zakończywszy, przeczytał list jeszcze raz, wyobraził sobie reakcję Millhouse'a i uśmiechnął się pod nosem.

– Zrobione.

Ostrożnie osuszył list bibułą, złożył, napisał na wierzchu nazwisko adresata i zapieczętował przesyłkę.

– Slater!

Slater musiał czekać na wezwanie, ponieważ gdy wszedł, miał już na sobie płaszcz.

– Gotowe?

Montague podał mu list.

– Spróbuj go złapać, nim wyjdzie z biura, a potem będziesz wolny. Na pewno dzisiaj nie odpowie.

Slater skinął głową, wziął list i wyszedł.

Montague spojrzął na zegar i zobaczył, że jest prawie szósta. Nasłuchiwał przez chwilę, lecz wszechobecna cisza wskazywała, iż większość personelu opuściła już biuro.

Jakby dla potwierdzenia Slocum zajrzał do gabinetu i powiedział:

– Wychodzę, proszę pana.

– Doskonale, Slocum. – Montague wstał. – Ja chyba także już pójdę.

Odprowadził Slocuma do drzwi, zamknął je za nim i ruszył schodami do swego mieszkania, świadomy, iż pragnie – podobnie jak reszta jego pracowników – znaleźć tam tę nienaruszaloną, uświęconą rzecz zwaną domem.

Lecz Violet była na Albemarle Street i choć bardzo chciał podzielić się z nią swym odkryciem, usiąść obok i pławić się w poczuciu sukcesu, oczekując wyzwań, jakie przyniesie następny dzień, była już szósta wieczór. Zanim dotarłby na Albemarle, byłaby pora kolacji, poza tym, choć chętnie podzieliłby się z innymi tym, co udało mu się odkryć, wołał mieć Violet tylko dla siebie.

Wszedł do mieszkania i jego nozdrza zaatakowała natychmiast smakowita woń pieczeni wołowej i ciasta. Od strony kuchni dobiegło zaś zwyczajowe:

– Kolacja gotowa, sir! Proszę usiąść, a Trewick zaraz ją poda.

Montague wszedł do bawialni i się zatrzymał. Rozejrzał się po pustym pokoju, gdzie nikt na niego nie czekał, i przysiągł sobie, że to się wkrótce zmieni.

Zwlekał wystarczająco długo i w końcu znalazł Violet.

Gdy tylko dowiedzą się, kim jest morderca, a lady Halstead, Runcorn i Tilly zostaną pomszczeni, poprosi Violet o rękę.

Potrzebował jej tutaj; miał dość życia w samotności.

*

Odpowiedź Millhouse'a nadeszła o jedenastej następnego ranka. Czytając ostrożnie sformułowane zdania, nie mógł powstrzymać cynicznego uśmiešku. Mógłby przysiąc, że Millhouse biedził się nad listem jeszcze dłużej niż on poprzedniego dnia.

Slocum stał już przy biurku, a Gibbons i Foster w progu.

Montague spojrzął na nich i powiedział:

– Pomijając wstępne grzeczności, pisze, że certyfikat, o którym mowa, znalazł się posiadaniu lorda po tym, gdy przekazano go jako zastaw długu honorowego.

Gibbons wsunął dłonie w kieszenie i aż zagwizdał.

– Niezły dług!

– W rzeczy samej. – Montague przeczytał następne linijki drugi raz i westchnął w duchu.

– Jak można się było spodziewać, Millhouse nie wie, kim był dżentelmen, który takowy certyfikat zastawił, i nie może nic nam o nim powiedzieć.

– Nic poza tym – wtrącił Foster – że był to człowiek, z którym lord Corby zechciał łaskawie grać.

Montague spojrzął z zastanowieniem na Slocuma. O ile dobrze pamiętał...

Slocum przytaknął.

– Tak, lord jest zaprzysięgłym hazardzistą. Nie dba zbyt wiele o to, z kim gra, byle przeciwnik był

wypłacalny.

Montague się skrzywił.

– Tak też sądziłem. To, że ów dżentelmen był winien lordowi kilka tysięcy funtów, nic nam o nim nie mówi.

Slocum prychnął głośno.

– Poza tym, że był na tyle głupi, by siadać do kart z Corbym, o którym wszyscy wiedzą, że lubi i umie wygrywać.

– To prawda. – Montague zastanawiał się przez chwilę, a potem znowu się skrzywił. – To też nic nam nie daje. Każdy z Halsteadów, albo też Camberly, mógł zostać z jakiegoś powodu nakłoniony, by zagrał z Corbym.

– Co teraz? – zapytał Gibbons.

– Teraz... – Montague wpatrywał się przez chwilę niewidzącym spojrzeniem w bibularz, a potem sięgnął stanowczym gestem po świeży arkusz papieru. – Sprawdzimy, jak bardzo potrafię być przekonujący, mając za przeciwnika Millhouse'a.

Napisanie drugiego listu zajęło mu ponad godzinę. Nie spodziewał się, że otrzyma odpowiedź jeszcze tego dnia, gdyż było jasne, że Millhouse, jeśli zdecyduje się zrobić to, o co prosił Montague, będzie musiał skonsultować się z lordem.

Dlatego wielce go zaskoczyło, kiedy do gabinetu wpadł Slocum, wymachując – naprawdę wymachując! – kopertą.

– Odpowiedź pana Millhouse'a, sir.

Położył ją na biurku, a Montague sięgnął po nożyk do listów.

Reszta personelu zgromadziła się przy drzwiach, podekscytowana wonią polowania.

Montague wyjął z koperty pojedynczy arkusz papieru, zerknął na niego i powiedział:

– Halstead.

Od drzwi dobiegły go okrzyki radości.

– Nie dajcie się ponieść, jeszcze nie – powiedział. – Millhouse napisał jedynie: pan Halstead, bez imienia. Albo go nie zna, albo nie uznał za stosowne wymienić imienia.

Sądząc z tonu, w jakim utrzymana była odpowiedź, Montague'owi udało się zainteresować Millhouse'a tym, co, jak napomknął, było ważnym dochodzeniem prowadzonym przez Scotland Yard.

Odłożył list i spojrzął na Slocuma.

– Wezwij Reginalda. Chcę, żeby zaniósł natychmiast wiadomość Millhouse'owi.

Grupka zebrana przy drzwiach się rozproszyła. W następnym liście Montague dawał jasno do zrozumienia, iż uważa Millhouse'a za partnera, równie jak on zainteresowanego tym, aby doprowadzić przed oblicze sprawiedliwości niegodziwca próbującego mącić w świecie finansów i psuć opinię ich najważniejszym klientom.

Osuszył pismo i podał je Slocumowi. Urzędnik czekał w gotowości z depczącym mu po piętach Reggiem.

Montague uśmiechnął się do chłopaka, a ten odpowiedział uśmiechem.

– Wiesz, dokąd iść?

– Tak, proszę pana. Pan Slocum mi powiedział.

– Ruszaj więc. I tym razem zapytaj, czy będzie odpowiedź, a jeśli tak, zaczekaj.

Millhouse z pewnością doceni to, że nie musi korzystać z własnego posłańca.

Przyglądał się, jak Slocum odprowadza chłopca, a potem wraca do biurka.

Przez chwilę napawał się tym, że wszystko idzie dobrze, a ich zespół śledczy podąża właściwym tropem: za kradzieżą certyfikatów, a prawdopodobnie także morderstwami, stał jeden z Halsteadów.

Czuł narastające podniecenie. Tym razem była jednak pewna różnica: o ile podczas wcześniejszych dochodzeń angażował się w sprawę na zlecenie klienta, obecne śledztwo dotyczyło go nie tylko zawodowo, ale i osobiście, zwiększając motywację, by doprowadzić winnego przed sąd.

Czuł też zaangażowanie i wsparcie ze strony personelu, oddanie zadaniu, wynikające z przekonania, że trzeba dopomóc wymiarowi sprawiedliwości. Będą stali przy nim, pracując ile sił, póki sprawa nie zostanie pomyślnie zakończona.

Świadomość tego sprawiała, że robiło mu się ciepło na sercu.

Widząc ich entuzjazm, musiał się czasami uśmiechnąć, mimo to zdawał sobie sprawę, jak bardzo dopisało mu szczęście, pozwalając stworzyć równie inteligentną i oddaną drużynę.

Przez chwilę rozmyślał o wszystkim, co spotkało go w życiu dobrego, a potem otworzył segregator, nad którym pracował, i zaczął go wertować.

Dwadzieścia minut później do biura wpadł podekscytowany wielce Reginald. Zamachał przyniesionym listem i podał go Slocumowi. Ten zaś wstał i zaniósł przesyłkę szefowi.

Reszta personelu wyciągnęła szyję, by patrzeć i nasłuchiwać.

Montague przeczytał notkę, a potem zawołał, by zaspokoić ciekawość pracowników:

– Millhouse będzie musiał zapytać lorda osobiście, co będzie wymagało odrobiny dyplomacji, ma jednak nadzieję, że do jutra uda mu się uzyskać odpowiedź. Nie wie, o jakiej porze, ale z pewnością nie przed południem.

Montague skinął głową, odłożył list i uśmiechnął się do Reginalda, a potem do Slocuma.

– To najlepsze, na co mogliśmy mieć nadzieję. Nikt poza Millhouse'em nie zdołałby uzyskać od lorda odpowiedzi z równą łatwością i bez zbędnej zwłoki.

Pozostali przyjęli to do wiadomości. Montague popatrzył na nich przez drzwi i zauważył, że Gibbons i Foster konotują sobie w pamięci ten sposób postępowania. Uczyli się, tak jak powinni.

Slocum i Reginald wrócili na salę, zostawiając Montague'a, aby powtórzył sobie własne słowa.

Choć czuł się jak terier, który widzi kość i nie może zatopić w niej zębów, nie zyskałby obecnej pozycji w City, gdyby nie wiedział, kiedy nalegać, a kiedy okazałoby się to szkodliwe.

Gdyby lord odmówił podania żądanego imienia, Barnaby spróbowałby dotrzeć do niego przez swego ojca – także lorda. Wymagałoby to jednak udzielenia dalszych wyjaśnień, a nie wiedzieli jeszcze, jak ściśle powiązania łączą Corby'ego z rzeczonym Halsteadem.

Zastanawiał się przez chwilę, czy istnieje sposób, żeby przyspieszyć bieg spraw, ale żadnego nie znalazł. Już miał posłać wiadomość Stokesowi, kiedy przypomniał sobie, że został zaproszony wraz innymi na kolację przy Albemarle Street.

Uśmiechnął się zatem i pogrążył na nowo w pracy, wracając do świata liczb i procentów.

Opowie im o przełomie osobiście.

ROZDZIAŁ 17

Kiedy Stokes i Barnaby weszli do salonu, gdzie czekały już panie oraz Montague, Penelope objęła zebranych władcym spojrzeniem.

– Ktoś wie już, kim jest morderca? – zapytała.

Stokes skrzywił się ewidentnie zniechęcony, Barnaby potrząsnął głową, a Montague powiedział:

– Jeszcze nie.

Penelope zamilkła, wpatrując się w niego badawczo, a potem zamachała rękami i oznajmiła:

– Skoro tak, żadnych rozmów o morderstwach podczas kolacji. Cieszymy się posiłkiem.

Nikt nie zaprotestował, ponieważ wszystkim spodobała się jej sugestia. Miło było zjeść w przyjaznej, swobodnej atmosferze.

Violet doceniła podejście Penelope. Chociaż spędziła większą część dnia, segregując korespondencję, i tak sprawa morderstw czaiła się przez cały czas w głębi jej umysłu, dolegliwa niczym bolący ząb. Penelope oraz Griselda także spędziły dzień z dala od śledztwa: Penelope na spotkaniu w British Library, a Griselda w swoim sklepie. Zapytane, przyznały, że im również trudno było się skupić i zapomnieć o morderstwach. Za milczącym porozumieniem nie wspominali o nich zatem podczas kolacji i powrócili do tematu, dopiero kiedy znaleźli się znowu w salonie i zajęli zwyczajowe miejsca: Penelope i Griselda na jednej sofie, Montague i Violet na drugiej, a Barnaby i Stokes w fotelach po obu stronach kominka, z wyciągniętymi przed siebie nogami i szklaneczką brandy w dłoni.

– Zatem – powiedziała w końcu Penelope – na czym stoimy, jeśli chodzi o te nużące morderstwa? Pojawiły się nowe tropy?

Stokes opuścił szklaneczkę i powiedział:

– Nie posunęliśmy się do przodu, jeśli chodzi o alibi. Są tego rodzaju, że trudno je zweryfikować, zatem nic nam po nich.

– Jednakże – wtrąciła Griselda – to, że je sprawdziliśmy, pozwoliło wykluczyć Waltera, potwierdzić, iż William nie mógł zamordować lady Halstead ani Tilly, a żadna z trzech pań nie była w zbrodni bezpośrednio zaangażowana.

– Niestety – kontynuował Stokes – jeśli chodzi o tę rodzinę, niewiele nam to daje. Jedynym, którego możemy definitywnie wyeliminować, jest Walter. Co się tyczy pozostałych, w tym także pań, każde z nich mogło być współnikiem, każdy z mężczyzn zaś, z Cambelrym włącznie, mógł dopuścić się jednego lub więcej morderstw.

Penelope się skrzywiła.

– Ogólnie biorąc, wydaje się trudne do wyobrażenia, by dziecko mogło zamordować matkę, a co dopiero, żeby dopuściło się tego kilkoro dzieci działających razem. W tym przypadku jednakże, zważywszy na brak emocjonalnej więzi pomiędzy lady Halstead a jej dziećmi... cóż, uważam za możliwe, iż naturalny opór przed popełnieniem matkobójstwa mógłby być mocno osłabiony, o ile w ogóle by wystąpił.

– Co więcej – dodała Griselda – możliwe, że dzieci lady Halstead, przynajmniej niektóre, mogły mieć matce za złe, że przedłożyła męża i jego karierę ponad opiekę nad nimi.

Zarówno Violet, jak i Penelope przytaknęły. Mężczyźni przyjęli uwagę do wiadomości.

Po chwili Barnaby się poruszył.

– Wracając do szczegółów: Runcorna zabił mężczyznę, zatem bez względu na to, czy rodzinna

konspiracja naprawdę istnieje, wiemy, że przynajmniej jeden z nich jest winien. – Spojrzał na Montague'a. – Udało się panu dowiedzieć czegoś więcej na temat udziałów?

Montague przytaknął.

– Pełnomocnik Corby'ego twierdzi, że lord przyjął udziały jako spłatę długu honorowego pana Halsteada.

– Boże święty, człowieku! – wykrzyknął Stokes, prostując się na krześle. – Którego?

Jednak Montague uniósł dłoń, powstrzymując entuzjazm inspektora.

– Pan Millhouse, pełnomocnik, zna jedynie nazwisko. Zgodził się jednak zapytać o szczegóły lorda, gdy tylko będzie miał okazję się z nim zobaczyć. Podejrzewam, że nie nastąpi to wcześniej niż jutro rano.

Stokes spojrział na Barnaby'ego.

Zanim inspektor zdążył wyartykułować to, co miał ewidentnie na końcu języka, Montague jął mówić dalej:

– Gdyby lord odmówił podania szczegółowych informacji swemu pełnomocnikowi, może przydałoby się bardziej dyplomatyczne podejście. Na przykład ojciec Adaira, znany z tego, że nadzoruje z ramienia Izby Parów policję metropolitalną, mógłby porozmawiać z nim jak lord z lordem. – Uśmiechnął się krzywo. – Doświadczenie podpowiada mi jednak, że Millhouse uzyska żadaną informację łatwiej i szybciej. Arystokraci tacy jak Corby uważają, że nazwisk tych, którzy przegrywają z nimi w karty, nie należy zdradzać ludziom równym im pozycją, lecz nie dotyczy to osób o niższym statusie, takich jak Millhouse, zwłaszcza jeżeli ten zasugeruje, iż podanie rzeczonych informacji ustrzeże lorda przed byciem zamieszanym, choćby na odległość, w kradzież i trzy morderstwa.

Barnaby się roześmiał.

– Pan i pańscy koledzy dobrze znacie nasze słabostki. – Spojrzał na Stokesa. – Montague ma rację. Millhouse'owi łatwiej będzie dowiedzieć się czegoś, niż byłoby mojemu ojcu. Jeśli mój rodziciel poprosi Corby'ego o informacje, ten będzie chciał dowiedzieć się wpieryw wszystkiego o sprawie, a skoro zależy nam na dyskrecji... Nie wolno zapominać, że mimo żalonych wyczynów Waltera nie mamy najmniejszego dowodu, iż Camberly, członek parlamentu, albo Mortimer Halstead, wysoki rangą urzędnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, mogą być w sprawę zamieszani, a co dopiero ich żony.

– Rzeczywiście – przyznała Penelope – musimy chronić niewinnych. Ta sprawa nie skończy się dobrze dla rodziny, ponieważ to niemożliwe, ale im mniej spekulacji w kwestii tego, kto jest winien, tym lepiej.

Stokes spojrział na resztę towarzystwa, a potem rozsiadł się znów wygodnie na krześle.

– Doskonale. Zatem gdzie właściwie jesteście, jeśli chodzi o zidentyfikowanie winowajców? – zapytał, spoglądając na Barnaby'ego i Penelope spod uniesionych brwi.

– Dwóch rzeczy możemy być pewni – odparła natychmiast. – Kradzież certyfikatów i zamordowanie Runcorna wskazują na jednego z Halsteadów, mężczyznę.

– Wyeliminowaliśmy Waltera – powiedziała Violet. – Nie słyszałam, żeby William uprawiał hazard, a gdyby nawet, nie obracałby się raczej w tych samych kręgach co Corby. Poza tym może i nie dysponuje dużymi funduszami, jednak zważywszy na styl życia, jaki wybrał, nie są mu one szczególnie potrzebne.

– Zgadzam się, że z pozostałych Halsteadów William wydaje się najmniej prawdopodobny.

– Zostają nam więc Mortimer, Hayden oraz Maurice – powiedział Montague.

– Skoro o tym mowa – Barnaby odwrócił się, by móc patrzeć im w oczy – gdy dowiedziałem się, że

posiadaczem udziałów jest teraz Corby, o którym wiem, że z zamiłowaniem uprawia hazard, poświęciłem dzień, aby pokręcić się po jego ulubionych klubach i wypytać personel, czy do któregoś z nich nie należy aby Camberly. Albo Halstead.

– Cóż za błyskotliwy pomysł! – Penelope spojrzała z dumą na męża, a potem machnęła niecierpliwie dłonią. – I...?

Barnaby też się uśmiechnął.

– Udało mi się dowiedzieć, że członkiem jednego z klubów jest rzeczywiście Halstead.

– Który? – zapytał natychmiast Stokes.

– Ten, którego mogliśmy podejrzewać – Maurice.

– Wcale mnie to nie zaskoczyło – powiedziała Violet. – Zawsze był utracjuszem. Wszyscy w rodzinie wiedzą, że gra, i to o wysokie stawki.

Po chwili Griselda spytała:

– Czy oznacza to, że właśnie on jest mordercą?

Stokes się skrzywił.

– Na ile zdążyłem się dowiedzieć, to podstępny, wyrachowany typ, mógłby zaplanować trzy morderstwa. Z pewnością jest do tego zdolny.

– Jednakże – wtrącił Barnaby, jakby kontynuował tok myśli inspektora – zważywszy, co się już wydarzyło i kim są Halsteadowie, musimy być ostrożni i polegać wyłącznie na faktach, nie na przypuszczeniach, te bowiem mogą sprowadzić nas na manowce.

– Niemniej – zauważył Stokes – czynimy jednak postępy. Jesteśmy coraz bliżej zamknięcia sprawy. – Spojrzał na Montague'a. – Proszę powiadomić mnie natychmiast, gdy tylko dowie się pan, który z Halsteadów scedował skradzione udziały na Corby'ego. – Prychnął. – Jeśli chodzi o tę rodzinę, nie możemy być nawet pewni, czy ten, kto przekazał udziały, jest tym samym, kto zaciągnął hazardowy dług.

Penelope ściągnęła brwi.

– Przyprawiają mnie o ból głowy – oby udało nam się rozwiązać sprawę jak najszybciej!

– Tak, tak – poparli ją pozostali.

Mostyn zapukał i wszedł, niosąc tacę z herbatą, a kiedy już ją wypili, a Stokes, Griselda oraz Montague wstali, szykując się do wyjścia, znowu skupili się na tym, co zaprzętało od jakiegoś czasu ich umysły.

– Wiem, że nie powinienem – powiedział Stokes, spoglądając na Barnaby'ego – ale zaczynam się zastanawiać, czy zbytnio nie komplikujemy sprawy. – Popatrzył na pozostałych. – Wszystko wskazuje, że jeśli to Maurice przekazał certyfikaty Corby'emu, jest on zapewne mordercą. – Spojrzał znowu na Barnaby'ego. – Jak powiedziałaś wcześniej, morderstwa zostały popełnione z chęci ukrycia czegoś, a teraz wiemy, że mogło chodzić o dług wobec Corby'ego i kradzież udziałów. To właśnie stara się ukryć morderca.

– Z tego, co słyszałam przez lata – zauważyła Violet – Maurice'a ledwie tolerują w kręgach, do których aspiruje. – Spojrzała na pozostałych. – Gdyby wydało się, że grał z Corbym, okradł matkę, a potem przekazał mu skradzione udziały... Cóż, nie byłby mile widziany w żadnym klubie dla dżentelmenów, prawda?

– Jak najbardziej – powiedział Stokes. – Mamy więc motyw i środki, potrzebujemy jedynie twardego dowodu. Jednego mężczyzny, Halsteada. Pomimo naszych domniemań w kwestii spisku wystarczy nam jeden, którego będziemy mogli oskarżyć.

Po chwili Barnaby skinął głową.

– Zgoda. Istnieje, oczywiście, możliwość zmywy, ale na razie nie znaleźliśmy ma nią dowodu.

Zatem: jeden mężczyzna, jeden Halstead. I wszystko wskazuje, że jest nim Maurice.

*

Cała szóstka przeszła do holu, gdzie goście włożyli płaszcze i zaczęli się żegnać.

Griselda zabrała po południu Megan i teraz Hettie, niania Olivera, przyniosła z pokoju dziennego śpiące dziecko i podała je matce.

– Proszę. – Uśmiechnęła się i zrobiła krok do tyłu. – Megan była bardzo grzeczna. Pobawili się trochę z Oliverem, a kiedy zgaszono światła, zasnęli.

– Doskonale. – Griselda naciągnęła na ciemną główkę małej róg kocyka i uśmiechnęła się do niani. – Dziękuję, że się nią zajęłaś, Hettie.

Hettie rozpromieniła się, dygnęła i wróciła na piętro.

Stokes pochylił się ku żonie, a gdy się przekonał, że mała twardo śpi, wyprostował się usatysfakcjonowany, potrząsnął dłonią Barnaby'ego i uścisnął Penelope.

– Bezpiecznej drogi do domu – powiedział i skinął na Mostyna, żeby otworzył drzwi.

Stokes potrząsnął dłonią Montague'a.

– Proszę dać mi znać, gdy tylko pan się dowie.

– Oczywiście – zapewnił go Montague.

Stokes uśmiechnął się, zabrał Griseldę, która zdążyła pożegnać się z paniami, i sprowadził ją do niedużego powozu czekającego przy krawężniku.

Montague przyglądał się, jak Stokes – mężczyzna słusznej budowy i o budzącej respekt posturze – pochyła się z troską nad żoną i córką, i poczuł przyływ dziwnej tęsknoty umiejscowionej głęboko w trzewiach. Nie była to zazdrość, lecz raczej świadomość pustki, którą – jak wiedział – wkrótce należało wypełnić. Może i był najbardziej wychwalanym w Londynie finansistą, lecz co jest warte życie, jeśli nie ma z kim dzielić dorobku oraz osiągnięć?

To, że takiej osoby do tej pory nie było, nie wynikało z wyboru, lecz raczej z zaniedbania, nadmiernego skupienia na pracy.

Miał odwrócić się właśnie ku Violet, kiedy tuż przed nim pojawił się Barnaby. Do holu wpadł zimny podmuch i Mostyn zamknął drzwi.

– Muszę przyznać – powiedział Adair – iż nie zdawałem sobie w pełni sprawy, że kradzież udziałów i chęć ukrycia tejże mogą stanowić motyw wystarczający do morderstwa, lecz tam, gdzie chodzi o Halsteadów, ich aspiracje – spojrzał na Violet, która przysunęła się bliżej Penelope – groźba bycia uznanym za złodzieja musi wydawać się nie do zniesienia.

Montague przytaknął.

– Może pan być pewny, że powiadomię was, gdy tylko nadejdzie oczekiwana wiadomość.

Barnaby uśmiechnął się i potrząsnął jego dłonią. Penelope ścisnęła go za ramię i odsunęła się, zostawiając, aby pożegnał się z Violet.

– Proszę pozwolić, że odprowadzę pana do ogrodu – powiedziała, owijając się ciasniej szalem.

Uśmiechnął się szeroko.

– Dziękuję, z chęcią.

Skinął głową obojgu Adairom, po czym wyszedł za Violet na boczny taras.

Zatrzymali się i spojrzeli w czarne niczym aksamit niebo. Październikowy wieczór był rześki, w powietrzu unosiła się woń palonego drewna.

– Już prawie go mamy, prawda? – spytała Violet.

– Tak. – Podał jej ramię, a kiedy schodzili po schodkach do ogrodu, dodał: – Po tym, co odkrył

Barnaby, informacja od Corby'ego będzie stanowiła jedynie potwierdzenie, ostatni fragment dowodu potrzebny, by skazać Maurice'a Halsteada.

Wzdrygnęła się.

– Naprawdę udowodnili, jakie z nich wstrętne plemie. Poczuję się doprawdy szczęśliwa, kiedy to wszystko się skończy i będę mogła spojrzeć w przyszłość pozbawioną widma czającego się w mroku mordercy, wypatrującego sposobności, aby uderzyć. – Spojrzała na niego i uśmiechnęła się lekko. – Zauważyłam, że pan... i pozostali również bardzo uważają, by dotrzymywać mi towarzystwa, kiedy wychodzę i Mostyn oraz personel nie mogą nade mną czuwać.

Wzruszył ramionami.

– Zależy nam na tobie. Nie chcemy... – Zamilkł, a po chwili podjął ściszym głosem: – Ja nie chcę cię stracić ani nawet ryzykować, że mogłoby tak się stać. Nie teraz, kiedy cię wreszcie odnalazłem.

Uśmiechnęła się zagadkowo, a kiedy ruszyli z wolna przez trawnik, kierując się ku furtce wychodzącej na Albemarle Street, powiedziała cicho: – Mam podobne odczucia, jeśli chodzi o pana. – Spojrzała mu w oczy. – Nie chcę pana stracić. Nie teraz, kiedy pana odnalazłam.

Zwolnili jeszcze bardziej.

– Powiedz mi – zapytał – czego oczekujesz od życia? Teraz, kiedy dzięki hojności lady Halstead będziesz mogła żyć wygodnie przez resztę swoich dni?

Skinęła głową, a potem odpowiedziała poważnie:

– Jednego jestem pewna: nie chcę żyć samotnie. – Spojrzała na niego. – Nie, jeśli nie będę musiała i spotkam kogoś, z kim chciałabym dzielić życie.

Zatrzymał się i przyciągnął ją do siebie.

– Wiesz, że chętnie będę je z tobą dzielił. To nagroda, której będę niecierpliwie wyczekiwał, gdy tylko skończy się ta sprawa.

– To tak jak ja – odparła szczerze. Zamilkła na chwilę, a potem zaczerpnęła oddechu i dodała: – Kiedy to się już skończy...

– Tak. Natychmiast.

Skinęła głową z większą pewnością siebie.

– Gdy tylko uwolnimy się od Halsteadów, pan i ja... – Zsunęła dłoń z jego ramienia, aż splotły się ich palce. Spojrzeli na nie, a kiedy Violet podniosła wzrok, w jej oczach zabłysła nadzieja.

Uniósł splecione dłonie i musnął wargami palce Violet.

– Porozmawiamy i znajdziemy sposób, żeby być razem. Jesteśmy ludźmi niezależnymi. Możemy zrobić, cokolwiek zechcemy, lecz dla formalności, droga Violet...

– Nie! – Wysunęła palce z jego dłoni i przycisnęła mu je do ust. – Proszę tego nie mówić. – Uśmiechnęła się, aby złagodzić ostrość słów. – Jestem... trochę przesadna. Powiedzenie tego to kuszenie losu, a skoro gdzieś tam czai się Maurice... – Westchnęła. – Najdroższy Heathcote, wolę nie ryzykować.

Zaśmiał się cicho. Nawet w półmroku widać było, że oczy błyszczą mu z radości.

– Doskonale, zaczekam, lecz kiedy sprawa zostanie zamknięta, nie będę zwlekał ani minuty.

– I bardzo dobrze. – Skinęła głową. – Daję panu pozwolenie, aby przemówił pan natychmiast, gdy tylko wyplączemy się z tej awantury.

– Trzymam cię za słowo. – Nie puścił jej dłoni. – A tak z czystej ciekawości: podoba ci się praca dla Penelope? Możesz wykorzystać w ten sposób swoje zdolności?

Przytaknęła.

– Ku memu zdziwieniu tak, po dwakroć tak. I proszę mi wierzyć, moja pomoc naprawdę jest jej potrzebna.

– Druga para uważnych oczu.

Uśmiechnęła się.

– Coś w tym rodzaju. I choć nie potrafię tłumaczyć jak ona, z dawno zapomnianych języków, wiem, jak prowadzić terminarz, a do tego Penelope najwyraźniej nie ma talentu. Niemal przegapiła termin wykładu, który miała wygłosić dziś w bibliotece. Zapomniała zapisać w terminarzu i gdybym nie natknęła się na nieotwarty list z potwierdzeniem daty, naraziłaby się na duży wstyd. Zatem tak, naprawdę przyda jej się moja pomoc.

– Hm... lecz może nie całodobowa? – Uniósł z nadzieją brwi.

Roześmiała się i pokręciła głową.

– Nie, wystarczyłoby, gdybym przyjeżdżała tu kilka razy w tygodniu.

– A City nie jest w końcu aż tak oddalone. Krótka przejażdżka dorożką.

Przechyliła w bok głowę.

– To tam pan mieszka? W City?

Zawahał się, a potem przyznał:

– Tak, nad biurem. Mieszkanie jest dość przestronne, no i nie tracę czasu na dojazdy. Zamykam biuro, wchodzę po schodach i jestem w domu.

Przyłożyła mu znowu palce do ust.

– Nie, proszę nie mówić nic więcej. Będzie pan musiał pokazać mi to mieszkanie, a potem się zastanowimy. – Uśmiechnęła się. – Właściwie nie mam nic przeciwko temu, by mieszkać w City.

– Dobrze. Będę miał szansę cię przekonać.

– Nie będzie pan musiał – powiedziała, poważniejąc. – Gdziekolwiek chciałby pan zamieszkać, zawsze będzie tam to, czego najbardziej pragnę... I potrzebuję, aby żyć odtąd pełnią życia.

Nie było między nimi żadnych niedopowiedzeń, żadnej zasłony. Rozumieli się doskonale, dostrzegali możliwości. Potencjał.

Chwila się przeciągała. Wreszcie Montague pochylił głowę, a Violet wspięła się na palce. Dłonie odnalazły dłonie i już ich nie puściły, wargi musnęły wargi, a potem się spotkały.

Przywarły do siebie.

Pocałunek był prosty, pozbawiony wszystkiego, poza uczuciem... i tym, co chcieli nawzajem sobie przekazać. Zobowiązanie. Obietnicę.

Jego usta poruszały się na jej wargach, szukając i znajdując. Uwolniła palce i otoczyła ramionami jego szyję, przylgnęła doń mocniej i oddała pocałunek.

Uniósł ostrożnie dłonie i objął ją w talii, a potem przesunął je na plecy, podtrzymując ją, wspierając, ale nie zawłaszczając.

Rozkoszując się jej oddaniem.

I własnym.

W końcu oderwał wargi od jej ust, czując przyjemny zawrót głowy.

Dostrzegł w jej oczach radość, odbicie ciepłych uczuć, jakie wezbrały mu w piersi.

– Już niedługo – powiedział.

– Tak – zgodziła się z nim i odsunęła. Pozwolił na to, chociaż niechętnie.

Otuliła się mocniej szalem, weszła za furtkę, spojrzała na niego, mężczyznę, na którego czekała przez całe życie, i uśmiechnęła się lekko.

– Dobranoc, Heathcote.

Odpowiedział uśmiechem, niepozbawionym pewnej dozy zaborczości.

– Dobranoc, moja Violet. – Skinął głową i wyszedł na ulicę. – Dobranoc.

Westchnęła i uświadomiła sobie, że Heathcote czeka, by zamknęła furtkę. Gdy tylko usłyszał, że

rygiel wchodzi na miejsce, odszedł.

Odwróciła się i ruszyła ku tarasowi z uśmiechem, nieoddającym nawet w części przepelniającej ją radości.

Wchodząc powoli po niskich stopniach, wymamrotała pod nosem:

– I jak ja mam teraz zasnąć?

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i weszła do domu.

*

– Cudownie! Po prostu cudownie! – Penelope westchnęła usatysfakcjonowana. Odwróciła się od okna sypialni wychodzącego na ogród i wpadła wprost na męża. Podeszedł, by zerknąć ponad jej ramieniem i przekonać się, co aż tak ją zajmuje. Rzucił okiem na scenkę poniżej i natychmiast przeniósł spojrzenie – a także całą uwagę – na żonę.

– Ty też jesteś cudowna – powiedział z uśmiechem, spoglądając w jej ciemne oczy. – Zawahał się, a potem zapytał znacznie poważniejszym tonem: – Wspominałem ci o tym ostatnio?

Uniosła głowę, by móc dokładniej mu się przyjrzeć, i kąciki jej delikatnie wykrojonych ust uniosły się leciutko.

– Ostatnio nie. Może mógłbyś mi przypomnieć? – Oparła mu dłonie na piersi i przesunęła je powoli w górę, przyciskając się do niego mocniej. – A także o towarzyszących temu odczuciach?

Pochylił głowę i przycisnął usta do jej ust.

Zastygli tak na chwilę, a potem Penelope rozchyliła wargi, a on przechylił głowę w bok, skorzystał z jasno wyrażonego zaproszenia i zaczął namiętnie ją całować.

Rozkoszowała się pocałunkiem szczerze i bez zahamowań, co nauczył się już cenić. Więż, jaka ich połączyła i, ku jego cichej uldze, jeszcze wzmocniła się po narodzinach Olivera, stanowiła jedną z radości małżeńskiego życia.

Było teraz pomiędzy nimi zaufanie wynikłe ze wspólnych przeżyć, intymnej znajomości drugiej osoby, jakiej nie dałoby się osiągnąć z kimkolwiek innym. Dla niego istniała tylko ona, a dla niej on. Był to pewnik, podstawa, na jakiej budowali swoje życie.

Solidna jak skała, nie do ruszenia, zapewniająca potrzebną im siłę i nieprzemijającą.

Nie musieli się spieszyć, mogli rozkoszować się każdą chwilą, przedłużając ją, jak tylko się da, aby wydobyć z niej całą przyjemność.

Od pierwszego muśnięcia jego dłoni, przesuwających się po odzianych w jedwab kształtach Penelope, po nacisk jej rąk, gdy pomagała mu uwolnić się od surduta, wraz z każdym znanym tak dobrze krokiem tańca, zanurzali się w sobie nawzajem.

Każde tyknięcie zegara ich zmysłów przynosiło radość.

Karmiło pożądanie.

Wzbudzało, prowokowało i podsycalo namiętność.

Uwalnianie jej od sukni stało się kuszącym, wabiącym preludium. Odsłonięcie biustu przyjemnością szczególnego rodzaju. Teraz, gdy nie karmiła już syna, jej piersi zmieniły się, stały się bardziej pełne, zmysłowe.

Westchnęła, gdy przywarł do nich ustami, ponaglał go nie słowami, ale działaniem, posługując się biegle językiem miłości, który znali oboje tak dobrze, i nie oddając mu inicjatywy.

Przeciwnie, rozbierała go tak jak on ją, odsłaniając, uwalniając jego ciało i napawając się nim.

Drobnymi dłońmi, ustami i drażniącym językiem.

Chłonąc go każdym ze zmysłów.

Podobnie jak on, badała i zawłaszczwała, rozniecając pod skórą ogień.

A potem opadła na kolana i wzięła go do ust, rozbudzając do granic jego zmysły.

Kiedy nie mógł wytrzymać słodkiej tortury ani sekundy dłużej, podniósł żonę i wziął w ramiona, rozkoszując się dotykiem nagiego ciała tuż przy swoim ciele, jedwabistą gładkością jej skóry muskającej jego ciało – bardziej szorstkie i delikatnie owłosione. Natychmiast wpasowali się w siebie i oddawali jedno drugiemu, póki nie poczuli, jak ogarnia ich wspólna radość.

Przyjemność.

Taki był ich cel, gdy wspięła się na palce, a on pochylił głowę i zagarnął jej wargi w przepelnionym tęsknotą i żarem pocałunku.

Pozwolili, by ogień płonął, a płomienie lizały, rozprzestrzeniały się, by w końcu ich pochłonąć. A wtedy oderwał wargi od jej ust i podniósł ją. Natychmiast objęła go ramionami za szyję i oplótła udami.

A potem opadła, kiedy, chwyciwszy ją za biodra, pociągnął w dół.

Westchnęli jednocześnie, rozkoszując się chwilą nieskrępowanej intymności.

Przymknęli oczy, pozwalając, aby wezbrała w nich rozkosz, a potem poddali się narastającej fali pożądania.

I gdzieś spośród całej tej namiętności, żaru i gwałtownej, domagającej się natychmiastowego zaspokojenia potrzeby, wyłoniła się radość, musująca i niemożliwa do powstrzymania.

Wypełniła ich, zlewając się z falą zmysłowej przyjemności, przydając ich połączeniu kolejny wymiar. Otwierając na niego zmysły.

Penelope czuła się tak, jakby emocje miały zaraz w niej wybuchnąć, nigdy dotąd tak silne, naglące i absorbujące bez reszty.

Oderwała usta od warg Barnaby'ego, odchyliła głowę w tył, a potem ujęła jego twarz w dłonie, spojrzała w zamglone pożądaniem oczy i powiedziała zdyszana:

– Łóżko.

Nie musiała prosić dwa razy. Wystarczyły trzy długie kroki i już zapadali się w miękkie, puchowe poduszki. Sięgnęła po niego, kiedy nakrywał ją ciałem; wierciła się przez chwilę, a potem wygięła, westchnąwszy z zachwytem, i wzięła go głęboko w siebie.

Galopowali, oddając się niepowstrzymanej, pozbawionej hamulców namiętności. Kiedy pojawił się przed nimi szczyt, ruszyli ku niemu bez wahania, minęli zmysłowy klif i skoczyli, jak tylekroć wcześniej, w rozciągającą się niżej pustkę, aby dosięgnąć słońca.

Tym razem jednak, kiedy unieśli ciężkie powieki, uświadomili sobie oboje, że oto ich związek zyskał nowy, subtelny dodatek. Kolejne pasmo, wplecione w emocjonalne więzy, jakie ich połączyły.

Kolejny element ich miłości. Siła, która będzie trzymała ich razem przez lata.

Wpatrywali się w siebie przez chwilę, znużeni rozkoszą, a potem Penelope uśmiechnęła się zaspokojona i opuściła powieki. Odpowiedział tym samym, dotykając ustami jej warg.

Razem zapadli raz jeszcze w zmysłowy błogostan, który był ich i tylko ich.

Później, gdy ułożyli się wygodnie pośród skotłowanej pościeli, a Penelope położyła mu głowę na piersi, pogładził jej zmierzwione loki. Wiedział, że nie śpi.

– Jesteś szczęśliwa, prawda? – W ciągu ostatnich tygodni stała się bardziej pewna siebie, spokojniejsza. Zadowolona z rozwoju spraw.

Przytaknęła, nie unosząc głowy.

– Może nie schwytaliśmy jeszcze mordercy, lecz w sensie osobistym osiągnęliśmy sukces, przynajmniej ja tak uważam. – Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. – Odnalazłam równowagę, której tak szukałam, i wszystko jest, jak być powinno. Badania, wykłady, pomoc przy tłumaczeniach nadal

dużo dla mnie znaczą, mówią wiele o stanie mojego umysłu, jednak ty, Oliver, ten dom i nasze rodziny, wszystko to zawsze będzie na pierwszym miejscu. Temu zamierzam poświęcać najwięcej energii i czasu. Mimo to nadal potrzebuję dodatkowego bodźca, jaki zapewnia mi dochodzenie.

Zamilkła, wpatrując się w niego.

– Nie chodzi jedynie o intelektualne wyzwanie związane z rozwiązywaniem zagadki – kontynuowała po chwili – albo o przyglądanie się faktom i układanie z nich łamigłówek. Najbardziej zależy mi na tym, by dokonała się sprawiedliwość. Pomaganie, jeśli nadarzy się sposobność, przy dochodzeniach, stanowi mój obowiązek. Coś, co mogę i powinnam robić. – Uśmiechnęła się lekko i dodała: – Pogoń za sprawiedliwością oraz wspieranie jej. To dlatego robisz to, co robisz, a ja powinnam w miarę możliwości ci pomagać, jeśli tylko los da mi szansę.

Barnaby uniósł głowę i jął się wpatrywać w żonę. A kiedy zobaczył już wszystko, co pozwoliła mu zobaczyć, wyczytać ze swego spojrzenia, mruknął:

– Tak, widzę, że znalazłaś wreszcie równowagę. I to taką, w utrzymaniu której z ochotą będę cię wspierał.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Doskonale! – Położyła mu znów głowę na ramieniu, wtuliła się w niego, po czym westchnęła głęboko i się odprężyła.

– Teraz potrzebujemy jedynie, by Corby potwierdził, że to Maurice Halstead jest mordercą, którego szukamy, i wszystko będzie jak należy.

ROZDZIAŁ 18

Następnego ranka Violet siedziała przy sekretarzyku w rogu salonu, szkicując list, jaki Penelope powinna była wysłać do pewnego uczonego z Aberdeen, gdy zadzwoniono do drzwi. Wiedziała, że Mostyn zareaguje na dzwonek, nie przerwała więc swego zajęcia.

Uporządkowanie olbrzymiego biurka zajęło jej kilka dni i zaowocowało odkryciem kilku spraw, o których Penelope zdążyła już zapomnieć. Zachęcona przez pracodawczynię, wzięła na siebie obowiązek komunikowania się z uczonymi, występując jako sekretarka pani Adair.

Gdy tylko o tym pomyślała, po prostu musiała się uśmiechnąć. Ten tytuł pasował do niej o wiele bardziej niż rola płatnej towarzyszki.

Drzwi otworzyły się i do salonu zajrzał Mostyn. A kiedy Violet uniosła głowę, skinął w kierunku drzwi wejściowych.

– Przyszła pani Halstead. Powiedziałem jej, że pani Adair jest nieobecna, lecz ona stwierdziła, że chce zobaczyć się z panią. Zaprowadziłem ją więc do bawialni.

Zdziwiona Violet uniosła brwi i odłożyła pióro. Penelope wyszła, by spotkać się z siostrą, Portią, a Griselda uznała, że czas oczekiwania na potwierdzenie, iż to Maurice jest winien zbrodni, spędzi, ozdabiając wstążkami kapelusze w swoim sklepie.

Po co, na Boga, Constance miałyby się z nią spotykać? Do tego akurat dzisiaj?

Wstała i wygładziła spódnice.

– Dziękuję, Mostyn. Chyba powinnam przekonać się, czego chce.

Mostyn zauważył, że nie napawa jej to entuzjazmem, i odprowadził ją do frontowego holu.

– Będę tuż obok, na wypadek gdyby pani czegoś potrzebowała.

Violet spojrzała na majordomusa i podziękowała mu z uśmiechem. A potem zatrzymała się na chwilę przed drzwiami bawialni, zaczerpnęła oddechu i skinęła na Mostyna, aby otworzył drzwi.

Weszła do pokoju z wysoko uniesioną głową. Nie uważała, by była Halsteadom coś winna. Z pewnością nie więcej niż chwilę swojego czasu, a i tak, prawdę mówiąc, kierowała nią bardziej ciekawość niżli poczucie obowiązku.

Constance siedziała na skraju obitej adamaszkim sofą, nadal ubrana w pelerynkę, kapelusz i rękawiczki. W dłoniach ścisnęła kurczowo torebkę. Na widok Violet wstała.

Violet pochyliła lekko głowę.

– Pani Halstead.

Constance odwzajemniła sztywno ukłon.

– Panno Matcham.

Violet wskazała sofę.

– Proszę, niech pani usiądzie.

– Wolalabym nie, jeśli można. – Przesunęła spojrzeniem po pokoju, odnotowując kosztowne umeblowanie oraz niewymuszoną elegancję wnętrza. – To... nie zajmie dużo czasu.

Violet uświadomiła sobie nagle, że Constance nie czuje się zbyt pewnie. Choć bowiem Adairowie nie obnosili się z bogactwem i arystokratycznym pochodzeniem, bez trudu dało się wyczuć, że przynależą do najwyższych kręgów towarzystwa, o kilka stopni wyższych niż te, w których obracali się Constance i jej rodzina.

Sytuacja Violet plasowała ją gdzieś pomiędzy Halsteadami i Adairami. Mogła poruszać się w obu kręgach – wyższym i niższym, niż wskazywał na to jej status – z pewną dozą swobody, a już

z pewnością nie czując się w tak oczywisty sposób niepewnie, jak musiała czuć się teraz Constance.

Violet postanowiła okazać kobiecie litość i nie usiadła.

– Skoro tak... co panią sprowadza, pani Halstead?

Constance zacisnęła usta, powracając do swej zwykłej, wyrażającej ciągle niezadowolenie postawy.

– Przyszłam, aby domagać się obecności pani przy sortowaniu rzeczy lady Halstead. Teraz, kiedy policja i ten Montague zdecydowali się w końcu łaskawie oddać rodzinie klucz, musimy dopilnować, by wszystko zostało jak należy zabezpieczone. Nie chcemy, by coś ważnego zostało przez pomyłkę usunięte. – Zamilkła, a potem dodała zgryźliwie: – A teraz, kiedy Tilly odeszła...

Violet zauważyła, że udało jej się powiedzieć to tak, jakby biedna Tilly zdezerterowała, opuszczając posterunek, a nie została zamordowana.

– ...jest pani jedyną osobą, która wie, co znajduje się w domu. – Zadarła brodę i dodała zaczepnym tonem: – Potrzebuję pani pomocy przy przeglądaniu rzeczy. Musimy zdecydować, co z nimi zrobić.

Violet nie miała ochoty wracać na Lowndes Street.

– Obawiam się, że jestem mocno zajęta...

– Panno Matcham. – Constance wyprostowała się i uczyniła próżny wysiłek, by spojrzeć z góry na Violet. – Lady Halstead dawała pani zatrudnienie przez osiem lat. Można by pomyśleć, że zwykła lojalność skłoni panią do wykonania tego ostatniego zadania. Tylko pani wie, gdzie znajdują się jej ulubione rzeczy. I tylko z pani pomocą będziemy mogli postąpić z nimi tak, jak ona by sobie tego życzyła.

Violet zaczerpnęła oddechu, lecz nie spuściła wzroku. Constance starała się wzbudzić w niej poczucie winy i w pewnym sensie jej się to udało. Lady Halstead zasługiwała bowiem, by jej dobytek potraktowano z szacunkiem, ze współczuciem i zrozumieniem, na co ze strony rodziny trudno było liczyć. I choć nie ulegało wątpliwości, że Constance chciałaby opuścić jak najszybciej miejsce, gdzie czuła się niepewnie, widać było również, iż jest zdecydowana zabrać z sobą Violet.

Violet westchnęła zatem w duchu, wspominając legendarny upór Constance, i skinęła powoli głową.

– Mogę poświęcić pani, lub raczej lady Halstead, kilka godzin. Muszę wrócić jednak przed pierwszą.

Constance machnęła lekceważąco dłonią.

– Zobaczymy, ile nam to zajmie. – Odwróciła się ku drzwiom. – Lecz skoro ma pani tak mało czasu, lepiej go nie marnujmy. Mój powóz czeka na zewnątrz.

Violet wyprzedziła ją i otworzyła drzwi do holu.

A kiedy je zamykała, pochwyciła spojrzenie Mostyna.

– Udaję się na Lowndes Street pomóc lady Halstead w sortowaniu rzeczy jej matki.

– Dobrze, proszę pani. – Mostyn zerknął na Constance, a potem znowu na Violet. – Poinformuję panią Adair, gdy wróci.

– Powiedz jej, proszę, że będę z powrotem przed pierwszą. – Violet spojrzała na Constance. – Proszę łaskawie poczekać, wezmę płaszcz i kapelusz.

Nie była to właściwie prośba, lecz Constance odpowiedziała:

– Zaczekam w powozie. – Po czym, odwróciwszy się ku drzwiom, dodała: – Byle nie za długo.

Violet przewróciła oczami i ruszyła do swego pokoju.

Wróciła po dwóch minutach w płaszczu, zakrywającym bladozieloną suknię, i kapeluszu, trzymając w dłoniach torebkę i rękawiczki. Mostyn czekał przy drzwiach.

– Jest pani pewna, że dobrze robi, panienko? Wracając do tego domu z kimś z rodziny?

Podobna wątpliwość zdążyła już przyjść Violet do głowy. Odpowiedziała Mostynowi, tak jak przed chwilą sobie:

– Wydaje się niemal pewne, że mordercą jest Maurice Halstead, czekamy jedynie na potwierdzenie,

a proszę mi wierzyć, Constance go nie cierpi, ja zaś będę z nią przez cały czas. – Wychodząc, spojrziała na majordomusa raz jeszcze. – Lady Halstead zasługuje, by jej rzeczami zajął się ktoś, kto ją kochał i szanował, nie któryś z jej okropnych krewnych.

Mostyn przyglądał się jej przez chwilę, a potem się uklonił.

– Skoro tak, panienko. – Otworzył drzwi. – Będę wyglądał pani powrotu.

Violet wyszła. Dzień był wietrzny, wcisnęła więc głębiej na głowę kapelusz i zbiegła po schodkach ku miejscu, gdzie czekał powóz lady Halstead.

*

Posłaniec Millhouse'a pojawił się w biurze Montague'a kilka minut po tym, jak dzwony w City wybiły jedenastą.

Montague, zajęty sprawdzaniem ksiąg w swoim gabinecie, usłyszał, że chłopak wykrzykuje śpiewnie:

– Od pana Millhouse'a dla pana Montague'a.

Z trudem powstrzymał chęć, by zerwać się z krzesła i wybiec.

Przez otwarte drzwi widział, jak Slocum odbiera przesyłkę. Zauważywszy pełne zaciekawienia spojrzenia rzucane w jego stronę przez Gibbonsa oraz Fostera, zaniechał wszelkich pozorów nonszalancji, wstał i ruszył na spotkanie urzędnika.

Spotkali się w progu i Slocum podał mu przesyłkę.

Wszyscy w biurze wstrzymali oddech, kiedy ją otwierał, a potem przebiegał wzrokiem krótki tekst.

– Boże święty! – Uniósł głowę i zapatrzył się przed siebie, dopasowując elementy układanki. Po chwili zacisnął szczęki i skinął zdecydowanie głową. – Tak. – Spojrzał znowu na list. – Pasuje.

Musiał poinformować natychmiast Violet i pozostałych.

Złożył list, wsunął go do kieszeni, wrócił do gabinetu po kapelusz i powiedział, wychodząc, do Slocuma:

– Proszę wysłać Millhouse'owi list z podziękowaniem informujący, że jego pomoc była bezcenna i że spotkam się z nim wkrótce, by wszystko wyjaśnić. – Zauważył czekającego przy drzwiach posłańca. Chłopak spoglądał na nich szeroko otwartymi oczami. – I daj chłopakowi pół korony – dorzucił.

– Tak jest, proszę pana. – Slocum ruszył za Montague'em ku drzwiom i wieszakowi na płaszcz.

– Kim on jest? – zawołał Gibbons. – Proszę nie trzymać nas w niepewności.

Montague powiedział im, po czym wkładając płaszcz, dodał:

– Jadę na Albemarle Street. Zobaczę, kogo tam zastanę. Być może będę musiał udać się później do Scotland Yardu.

Pozostawiwszy zaciekawiony personel, zbiegł po stopniach, włożył kapelusz i skręcił w Bartholomew Lane, rozglądając się za dorożką.

W końcu dowiedzieli się, kim jest morderca.

*

Violet weszła za Constance Halstead do mrocznego holu domu przy Lowndes Street. Podobnie jak wówczas, kiedy wśliznęła się tutaj z Penelope i Griseldą, a później z Montague'em, w domu panował półmrok, a wszystkie zasłony były zaciągnięte.

– Faj! – Constance rzuciła klucze na stolik w holu i sięgnęła do wstążek swego kapelusza.

Violet zauważyła, że był to komplet kluczy, które należały kiedyś do niej. Montague musiał odesłać

je Halsteadom. Uznała, że jeśli będzie miała przy sobie płaszcz, torebkę i rękawiczki, łatwiej jej będzie opuścić dom, kiedy nadejdzie czas, więc ich nie zdjęła.

– Od czego zaczniemy? – spytała.

Nie zamierzała powtarzać, że się spieszy, mimo to Constance i tak zerknęła na wysadzany klejnotami zegarek, przypięty do kołnierzyka, i spojrzała na schody.

– Chyba powinniśmy zacząć od sypialni teściowej.

Wystarczyła sekunda, by Violet uświadomiła sobie, że nie ma najmniejszej ochoty wchodzić na górę.

– Jeśli chce pani wykorzystać jak najefektywniej moją obecność – powiedziała, kierując się śmiało ku bawialni – powinniśmy zacząć tutaj. Ruszyła ku oknom i obejrzała się na Constance. Kobieta zatrzymała się w progu. – Jest tu o wiele więcej rzeczy osobistych lady Halstead niż w jej sypialni.

Constance zacisnęła wargi. Wyglądała, jakby miała chęć się kłócić, nie była jednak w stanie znaleźć wystarczająco mocnych argumentów.

Violet odwróciła się, uśmiechnęła pod nosem i rozsunęła zasłony. Teraz w pokoju było dostatecznie widno, by mogły pracować, nie zapalając światła. Wróciła do sofy, położyła na niej torebkę oraz kapelusz i zaczęła rozpinać guziczki rękawiczek. W domu panowały wilgoć i chłód, postanowiła więc zostać w płaszczu.

– Zatem co najpierw? – spytała, oglądając się na Constance. – Biurko czy sekretarzyk?

Constance zmarszczyła brwi i weszła głębiej do pokoju.

– Chyba sekretarzyk – odparła zgryźliwie.

Violet odwróciła się, podeszła do mebla i zaczęła wysuwać szufladki z górnego rzędu.

Próbowała odciąć się od wspomnień, nie słysząc głosów z przeszłości, kiedy to lady Halstead opowiadała o swoich podróżach, dziwnych miejscach, w których bywała, i egzotycznych przygodach, pokazując przywiezione pamiątki.

Żyła pełnią życia, ale nie zasłużyła, by skończyć w ten sposób. Mordowana przez syna, walcząc o oddech, kiedy przyciskał jej do twarzy poduszkę.

Na myśl o tym serce Violet ogarnął chłód, ale kiedy Constance podeszła do sekretarzyka, zaczerpnęła głęboko oddechu i skupiła się na zadaniu, jakim było spełnienie ostatniego obowiązku wobec zmarłej chlebobawczyni.

*

Montague wyskoczył z dorożki, zanim zdążyła się zatrzymać, rzucił przygotowaną wcześniej koronę woźnicy, a potem wbiegł po schodach, trzymając w dłoni kapelusz, i zastukał do drzwi Adairów.

Mostyn otworzył je i natychmiast się cofnął.

– Pan Montague. Witamy.

Montague wszedł do holu, szukając wzrokiem Violet. Nie mógł się doczekać, aby przekazać jej nowiny, dowiedzieć się, co o nich sądzi.

– Dzień dobry, Mostyn. Panna Matcham, twój pan i pani... są w domu?

– Nie, proszę pana. – Kamerdyner zamknął drzwi i spojrzał na gościa. – Pan Adair udał się do Scotland Yardu, skonsultować się z panem Stokesem, a pani Adair na spotkanie z siostrą, panią Cynster. Powinna wrócić na lunch.

Nie zaskoczyło to Montague'a, jednakże...

– A panna Matcham?

Violet miała pozostawać w domu i wychodzić jedynie w towarzystwie zaufanych osób.

– Pani Halstead zjawiała się tutaj i poprosiła, by panna Matcham towarzyszyła jej na Lowndes Street

i pomogła posegregować rzeczy zmarłej. – Ściągnął lekko brwi. – Spytałem, czy to rozsądne, lecz panna Matcham zapewniła, że pani Halstead nie znosi Maurice'a, tego mordercy, będzie więc przy niej bezpieczna.

Montague poczuł, że ogarnia go chłód. Instykt podpowiadał mu, że coś tu jest nie tak. Przywykł kierować się intuicją, lecz dotąd sprawy dotyczyły zawsze pieniędzy lub inwestycji...

Tym razem chodziło jednak o śmierć i życie.

Niebezpieczeństwo.

Morderstwo.

Zaklął i odwrócił się ku drzwiom.

– Proszę pana? – Mostyn sięgnął instyktownie ku klamce.

Montague zatrzymał się, miotany emocjami, walcząc z natłokiem myśli. Odetchnął głęboko i zmusił się, by skupić uwagę. Jeśli popełni błąd, Violet może zginąć.

– Wyślij natychmiast wiadomość panu Adairowi oraz inspektorowi. Niech przyjadą na Lowndes i wezmą ze sobą konstabli. – Przeklął, a potem wykrztusił: – Podejrzewam, że morderca zwabił pannę Matcham, żeby z nią skończyć. – Spojrzał w szeroko otwarte oczy Mostyna. – Jadę tam.

Podszedł do drzwi. Mostyn otworzył je i powiedział:

– Zniosę wiadomość osobiście, sir.

Montague skinął głową i włożył kapelusz.

– Módlmy się, żebym zdążył na czas.

Zbiegł ze schodów akurat w chwili, kiedy dorożka, którą przyjechał, miała ruszyć od krawężnika. Przywołał ją i powiedział do woźnicy:

– Lowndes Street w Belgravii. Najszybciej, jak się da. Jeśli dowiesz mnie tam w rekordowym czasie, zarobisz suwerena.

Woźnica uśmiechnął się zachwycony.

– Wskakuj zatem, człowieku, i pilnuj kapelusza.

Montague wtoczył się na siedzenie i zatrzasnął drzwiczki. Pojazdem szarpnęło, kiedy woźnica, zachęcony wizją zarobku, strzelił z bata i pognął konie.

Montague, uczipiony siedzenia, ignorował tumult i zamieszanie, jakie zostawiali za sobą, gnając na łeb na szyję przez leniwy ruch uliczny późnego poranka. Nie dbał o nic poza jednym – by dotrzeć na czas do Violet i zapewnić jej bezpieczeństwo.

Wydanie Mostynowi polecenia wymagało pewnej dozy odwagi. Prawdę mówiąc, nie miał pewności, czy alarm, jaki podniósł, nie okaże się aby fałszywy, jednak... nie mógł ryzykować.

Nie kiedy Violet mogła być w niebezpieczeństwie.

Co wobec takiego zagrożenia znaczyła jego reputacja? Czy godność.

Trzymając się kurczowo drzwiczek, kiedy dorożka mijala w ryzykowny sposób powóz jakiejś wdowy, a potem przemykała wzdłuż Piccadilly, rozmyślał o sobie, nie mogąc wyjść z zadziwienia. Spoglądał na siebie i widział... kogoś, o kim nie sądził, że tam jest, kryjąc się pod pełnym rezerwy, konserwatywnym, rozmyślnie uładowanym zachowaniem.

Nie uważał się dotąd za człowieka czynu, a oto gnał przez Mayfair, śpiesząc z pomocą damie.

Zdecydowany ją ratować, nawet gdyby miał zrobić z siebie głupca.

Naprawdę nic a nic go to nie obchodziło.

Liczyła się jedynie Violet. Ta myśl i wszystko, co ze sobą niosła, rozbrzmiewało niczym refren w jego umyśle.

Zaczerpnął oddechu i skupił uwagę na domu przy Lowndes Street i tym, co może tam znaleźć, jeśli nie dopisze mu szczęście.

Przebywały w bawialni niespełna pół godziny, gdy lady Halstead po raz trzeci spojrzała na zegarek.

Opróżniły sekretarzyk i podzieliły jego zawartość na trzy części. W przypiływie rzadkich rodzinnych uczuć Constance stwierdziła, że lepiej będzie, jeśli pozwoli Cynthii przejrzeć rzeczy, zanim cokolwiek wyrzuci lub odda. Oczywiście natychmiast zepsuła dobre wrażenie, oznajmiwszy z pogardą, że Cynthia musi mieć mnóstwo na głowie po tym, jak Walter wypadł w tak spektakularny sposób z łask.

Violet zignorowała złośliwą uwagę i podeszła do biurka. Zawierało więcej osobistych przedmiotów niż sekretarzyk. Zalegały w trzech długich, głębokich szufladach oraz trzech mniejszych.

Zaczęły przeglądać najwyższą z długich szuflad, kiedy Constance spojrzała znów na zegarek.

Violet już miała zapytać, na co tak czeka, kiedy od strony holu dobiegł dźwięk otwieranych drzwi. Podniosły wzrok, Violet z zaskoczeniem, a Constance, ewidentnie, z ulgą.

– Nareszcie – powiedziała, podchodząc do stolika, gdzie zostawiła torebkę.

Nim Violet zdążyła zapytać, co się dzieje, drzwi bawialni otworzyły się i wszedł Mortimer. On również spoglądał na zegarek.

– Najwyższy czas! – wykrzyknęła Constance z odcieniem desperacji w głosie. – Powiedziałam ci, że umówiłam się w południe na lunch z panią Denning, a muszę dojechać jeszcze do Twickenham!

Mortimer wsunął zegarek do kieszonki w kamizelce i spojrzął na żonę.

– Istotnie. Przepraszam, lecz przy Hyde Park Corner zdarzył się wypadek i cały ruch stanął.

Violet przypomniała sobie nagle, że lady Halstead nazywała ten niewyraźający żadnych uczuć i z lekka lekceważący wyraz twarzy syna maską opanowanego urzędnika ministerialnego. Nie wskazywał w najmniejszym stopniu, co dzieje się w jego głowie – prowokując raczej pytanie, czy w ogóle coś się tam dzieje.

Constance, widać nawykła do zachowania męża, chrząknęła.

– Na szczęście udaję się w przeciwnym kierunku, inaczej ten dzień skończyłby się katastrofą. – Spojrzała na stolik przed sofą, gdzie piętrzyły się pamiątki po matce męża. – Zaczęłyśmy tutaj, panna Matcham twierdzi jednak, że ma dziś mało czasu, zdecyduj więc sam, czym się zajmiecie. – Obciągnęła poły płaszcza, sięgnęła po torebkę i powiedziała chłodno do Violet: – Panno Matcham.

Violet nie pofatygowała się, by odpowiedzieć, zresztą Constance wcale tego nie oczekiwała. Minęła pospiesznie męża i wyszła do holu.

Drzwi wejściowe otworzyły się, a potem zamknęły. Violet została z Mortimerem sama.

Wszystko zdarzyło się tak szybko, że nie zdążyła się zastanowić... lecz przecież to Maurice był mordercą, nie Mortimer. Ale nigdy nie lubiła Mortimera. Gdyby miała powiedzieć, którego spośród krewnych lady Halstead lubi najmniej, wskazałaby właśnie jego. A teraz czuła, że ciarki przebiegają jej po kręgosłupie.

Nie chciała być w domu sama z Mortimerem Halsteadem.

Nawet jeśli nie był mordercą.

Stał przez chwilę nieruchomo, utkwivszy wzrok w rzeczach matki, a potem podeszedł bliżej, przyjrzał się im i westchnął.

– To dobry początek, ale...

Z zewnątrz dobiegł ich turkot kół powozu. Najwidoczniej ucieczka lady Halstead się powiodła.

Violet skrzywiła się w duchu. Czy powinna była zaprotestować przeciwko temu, by zostawiono ją w domu sam na sam z mężem Constance? I czy Constance by posłuchała?

Nie. Spojrzałaby na Violet jak na istotę niegodną uwagi zarówno jej, jak i jej męża, i powiedziała, żeby nie była śmieszna. Z tej strony nie należało spodziewać się pomocy.

Co zaś się tyczy Mortimera... wiedziała, że chciał od niej jedynie tego, by wykonała swoją pracę jak najszybciej i najstaranniej.

Nie zaskoczyło jej więc, kiedy powiedział lekko poirytowanym tonem, podnosząc wzrok:

– Wszystko to bardzo pięknie, lecz matka trzymała najbardziej wartościowe rzeczy w sypialni, a skoro mogłem opuścić biuro jedynie na godzinę i, jak zrozumiałem, pani też nie ma więcej czasu, sugeruję, byśmy kontynuowali pracę na górze.

Violet się zawahała.

Mortimer spojrział na przedmioty, które zdążyły już posegregować.

– Interesują mnie jedynie rzeczy ważne, nie drobiazgi oraz pamiątki, zatem miast tracić na nie czas, moglibyśmy odszukać i zebrać to, co zostało zgromadzone na piętrze, nie sądzi pani?

Violet nie mogła się z nim nie zgodzić. Ona też chciała, podobnie jak Mortimer, opuścić jak najszybciej dom. Zacisnęła więc wargi – nadal nic z tego, co się działo, jej się nie podobało – i skinęła głową.

– Jak pan sobie życzy.

Spojrzała na listy, które trzymała nadal w dłoni, a potem na stosy rzeczy na stole. Odłożyła listy na ten, który wydał się jej najbardziej odpowiedni, i spojrzała na Mortimera.

Odsunął się i wskazał jej gestem, by poszła przodem.

Ruszyła ku schodom, przewyciężając chęć, żeby skierować się wprost ku drzwiom frontowym. Kiedy wchodziła na stopnie, uświadomiła sobie, że zostawiła torebkę, rękawiczki i kapelusz w bawialni, uznała jednak, że będą tam bezpieczne. W końcu miała spędzić w domu jedynie godzinę.

W połowie schodów nagle ogarnął ją lęk tak silny, że ledwie była w stanie oddychać.

Mortimer... To dziwne, że puścił ją przodem, zamiast iść pierwszy. Traktował ją przecież jak kogoś niewiele lepszego od służącej, osobę, która powinna podążać za nim, nie prowadzić.

Aż do teraz.

Skupiła całą uwagę na mężczyźnie za swoimi plecami.

Pobudzone nagle zmysły sprawiły, że uświadomiła sobie, iż chód Mortimera uległ zmianie – lekkie, świadczące o poczuciu własnej ważności kroki zastąpiło ciężkie, przepełnione ukrytą groźbą stąpanie. Przycisnęła dłoń do talii, uniosła wyżej głowę i zaczerpnęła głęboko oddechu, próbując przewyciężyć zawrót głowy. Zapanować nad instynktem, który podpowiadał jej, że wbrew informacjom, jakie zdobyli, morderca wchodzi właśnie za nią po schodach. Po prostu o tym wiedziała.

Zwolniła, lecz się nie zatrzymała.

Jak by tu wydostać się z pułapki? Uciec?

W jaki sposób?

U szczytu schodów skręciła w korytarz, zastanawiając się gorączkowo. Mortimer nie był jak na mężczyznę wysoki, lecz wyższy od niej i zdecydowanie cięższy. Silniejszy. Szła ku sypialni lady Halstead i swojej zgubie, poruszając się niczym automat i przeszukując w myślach pokój, by znaleźć coś, co dałoby jej szansę obrony.

Przed drzwiami zatrzymała się, otworzyła je i weszła, zostawiwszy drzwi szeroko otwarte. W środku rozejrzała się demonstracyjnie, jakby nie bardzo wiedziała, od czego zacząć, choć w myślach już o tym zdecydowała.

Walcząc ze sobą, by nie okazać strachu ani nie wzbudzić podejrzeń, okrążyła łóżko i podeszła do ustawionego pomiędzy nim a kominkiem nocnego stolika.

– Wiem, że jej lordowska mość trzymała najnowszą i najważniejszą korespondencję tutaj. Podobnie jak inne cenne dla niej przedmioty.

Zamilkła. Niemogła sobie pozwolić, by paplać bez sensu. Penelope miała wrócić na Albemarle

dopiero wczesnym popołudniem. Nie otrzyma zatem informacji o Violet na tyle szybko, żeby pojawić się i ją uratować. Do tego czasu Mortimer zdąży wprowadzić swój plan w czyn.

Nie wątpiła ani przez chwilę, iż postanowił ją zamordować. Jego ruchy, postawa różniły się od zwykłego, pełnego wyższości i arogancji zachowania. Wpatrywał się w nią ciemnymi oczami, skupiony niczym drapieźnik, gdy wyciągnęła górną szufladę i zaczęła wyjmować zawartość.

Układała na łóżku listy i notatki, wstążki i szpilki, nie podnosząc wzroku i wpatrując się w swoje dłonie. Od czasu do czasu zerkała jedynie kątem oka na Mortimera, lecz on się nie ruszał.

Nie powiedział ani słowa.

Po prostu stał i ją obserwował.

Mijały minuty.

Posortowała część zawartości szuflady i już miała ponownie do niej sięgnąć, kiedy zauważyła, że Mortimer przeszedł na drugą stronę łóżka.

Wyprostowała się, odwróciła, spojrzała na niego i zobaczyła, że trzyma w dłoniach poduszkę.

Wyraz twarzy miał niezwykle stanowczy. Podjął widać decyzję.

Zaczął okrążyć łóżko powoli, z rozmysłem, nie odwracając od niej spojrzenia.

W jego ciemnych tęczęwkach Violet dostrzegła śmierć.

Przełknęła ślinę i cofnęła się o krok. Odzyskała zdolność mówienia.

– Tak właśnie ją pan zabił? – Skinęła głową w kierunku poduszki. – Pańską matkę? Tą poduszką? Zamrugał i zwolnił.

– Tak. – Zawahał się, a potem dodał swobodnie: – Okazało się to zaskakująco łatwe.

Okrążył róg łóżka, a ona cofnęła się jeszcze bardziej i wykrztusiła:

– A Runcorn? To też pańska robota?

Zatrzymał się, odwrócił poduszkę i zmarszczył brwi.

– Oczywiście. Skoro stara nietoperzyca poleciła sprawdzić swoje finanse, prędzej czy później odkryłaby, że udziały zniknęły.

– Ale... Tilly. – Nie spuszczał z niego wzroku, by nie mógł dostrzec, co znajduje się za nią, zaczęła wykręcać sobie palce. Miała nadzieję, że wygląda wystarczająco bezradnie. – Dlaczego zabił pan Tilly? Przecież panu nie zagrażała.

– Ach, i tu się mylisz. Zaskoczyła mnie, kiedy grzebałem w komodzie, przeglądając certyfikaty mamy i szukając takich, które najłatwiej byłoby spieniężyć. Wiedziałem, że kiedy kradzież zostanie odkryta, a tak się w końcu musiało stać, przypomni sobie, że mnie widziała. Nie mogłem do tego dopuścić.

Wpatrywał się w jej twarz zmrużonymi oczami, a Violet modliła się duchu, żeby nie odgadł jej planu. Niemal westchnęła z ulgą, kiedy zapytał:

– Nie powiedziała ci? Nie wspomniała, że widziała, jak przeglądam papiery mamy?

Violet zmusiła się, żeby potrząsnąć głową.

– Nie, nigdy o tym nie wspomniała.

Mortimer przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem powiedział, unosząc z lekka brwi:

– Więc będziesz musiała umrzeć właściwie bez powodu.

Otworzyła szeroko oczy i już miała zacząć go przekonywać, żeby darował jej życie, przemówił jednak pierwszy, ścisząc głos tak, iż zabrzmiało to niemal jak pomruk:

– Bo, tak czy inaczej, umrzesz.

– Jak, u licha, zamierza pan to wyjaśnić? – wyrzuciła z siebie. Nie wiedziała, dlaczego tak rozpaczliwie stara się go zagadać, skoro nie mogła spodziewać się pomocy. Jednak im dłużej rozmawiali, tym bardziej oddalał się moment, gdy będzie musiała walczyć o życie. – Pańska żona wie,

że mnie pan tu zostawił. Jak pan to wyjaśni?

Wykrzywił wargi w uśmiechu, który zmroził jej krew w żyłach.

– To proste. Powinienem być teraz w ministerstwie i uczestniczyć w posiedzeniu. Powiem, że przypomniałem sobie o nim dopiero dzisiaj, a ponieważ nie widziałem powodu, by ci nie ufać, zostawiłem cię tutaj, byś kontynuowała sortowanie rzeczy mamy przez czas, jaki możesz nam poświęcić.

Potrząsnęła głową i cofnęła się o kolejny krok.

– Ale jak umarłam?

Zerknął przelotnie na okno w końcu pokoju, a potem wrócił do niej spojrzeniem. Uśmiechnął się jeszcze bardziej lodowato.

– I znowu: cóż prostszego? Przytłacza cię poczucie winy, ponieważ to ty, w porozumieniu ze swoim kochankiem, ukradłaś certyfikaty, a kiedy sprawa miała się wydać, wpuściłaś go, by zamordował staruszkę, a potem Runcorna i Tilly. A dzisiaj, gdy sortowałaś rzeczy mojej matki, tu, w pokoju, gdzie przyglądałaś się, jak umiera, poczucie winy stało się nagle nie do zniesienia. – Spojrzał na poduszkę w swoich dłoniach i uśmiechnął się szerzej. – Zrobiłaś zatem to, co każda szanująca się dama zrobiłaby na twoim miejscu: wyskoczyłaś przez okno. Uderzenie o bruk zamaskuje obrażenia i nikt nie domyśli się, że wypadając, byłaś nieprzytomna lub że walczyłaś przed śmiercią.

Wcielenie zła... Violet spojrzała mu w oczy i potrząsnęła z wolna głową.

– To się nie uda. Zbyt wiele ludzi mnie zna, i to dobrze. Nawet teraz rozmawiają z lordem Corbym, który przejął od pana certyfikaty. Zidentyfikuje pana i zostanie pan schwytany.

Mortimer zamrugał. Na chwilę pedantyczny urzędnik, oszalały na punkcie swojej pozycji zawodowej i statusu, wyłonił się na powierzchnię, lecz zaraz zniknął, skrywając się za bardziej mroczną, śmiertelnie groźną i wreszcie niemal szczerą twarzą mordercy.

– Montague. – Wzruszył ramionami. – Zajmę się nim później.

Co takiego?

– Nie! – Nie zamierzała narażać Heathcote'a. – To znaczy, po co dokładać kolejne morderstwo do listy swoich przewinień?

Mortimer znów wzruszył ramionami.

– A czemu nie? Jak do tej pory, usuwanie ludzi jednego po drugim było łatwe. – Zacisnął palce na poduszce. – Cóż, panno Matcham, choć nasza dyskusja okazała się tak pouczająca, nie mogę bardziej się spóźnić.

Uniósł poduszkę i ruszył ku niej.

Violet odwróciła się, chwyciła pogrzebacz ze stojaka przy kominku, zamierzyła się i uderzyła, celując w głowę Mortimera.

Dostrzegł zagrożenie i zamortyzował cios poduszką.

Posypało się pierze. Mortimer zaklął. Violet, zdesperowana, zamachnęła się i uderzyła znowu.

Mortimer odrzucił poduszkę i chwycił obiema rękami pogrzebacz, próbując go wyrwać.

Violet trzymała jednak mocno. Wiedziała, że jeśli puści, umrze.

Mortimer klął i szarpał.

Violet zacisnęła palce na rączce najmocniej, jak była w stanie, starając się nie stracić równowagi.

Mortimer znieruchomiał na chwilę, ewidentnie zastanawiając się, jak ją rozbroić, jednak nim zdążył cokolwiek wymyślić, kopnęła go w kolano.

Za oknem zagrzmiało.

Mortimer zaklął i się zatoczył. Nie puścił jednak pogrzebacza. Odzyskawszy równowagę, stanął pewnie na nogach i napiął mięśnie ramion, przygotowując się, aby zmobilizować wszystkie siły

i wyrwać jej prowizoryczną broń. Twarz miał pociemniałą z wściekłości, zęby obnażone w morderczym grymasie. Podłoga zadrżała. Kątem oka Violet zauważyła nagły ruch w otwartych drzwiach. Usłyszała przekleństwo – tym razem nie z ust Mortimera.

Morderca, skupiony całkowicie na swej ofierze, nie zauważył intruza. Zacisnął szczęki, pociągnął mocno i wyszarpnął jej z rąk pogrzebacz.

Natychmiast uniósł go nad głowę, gotów zadać śmiertelny cios.

Montague, rycząc z wściekłości, przemknął przez pokój i uderzył w Halsteada ramieniem. Upadli na podłogę i zwarli się w walce.

Mortimer, plując przekleństwami, próbował się uwolnić.

Montague nie zamierzał jednak na to pozwolić. Zacisnąwszy szczęki, gotując się z gniewu, zmobilizował siły, których istnienia w sobie nawet nie podejrzewał, chwycił Mortimera za kłapy i uderzył jego głową o podłogę, po czym usiadł na łajdaku i przycisnął mu dłoń do piersi, szykując się, by wstać i sprawdzić, co z Violet.

To jej krzyk go ocalił.

– Heathcote, uważaj!

Pogrzebacz, zmierzający ku jego głowie, zobaczył dosłownie w ostatniej chwili.

Pochwycił go i przytrzymał lewą ręką. Uniósł prawą pięść i zdzielił Mortimera z całej siły w szczękę.

Coś chrupnęło. I choć bolała go dłoń, stwierdził z dziką satysfakcją, że to nie jego kość została właśnie złamana.

Mortimer jęknął i opadł bezwładnie na podłogę.

Montague wyjął mu pogrzebacz ze słabnącej dłoni, a potem powoli wstał, upewniwszy się, że morderca stracił przytomność, i odwrócił się ku Violet.

Objął ją mocno i poczuł, że i ona go obejmuje.

Rzucił pogrzebacz na łóżko i oparł policzek na czubku jej głowy.

– Tak bardzo się bałem – wyznał. – Przez całą drogę z Albemarle mogłem myśleć tylko o tobie i o tym, że on cię skrzywdzi. A pewnie zabije. Powóz utknął w korku, wyskoczyłem więc i pobiegłem... Nie sądziłem, że zdążę na czas.

Słyszał w swoim głosie emocje, zdawał sobie sprawę, że się przed nią odkrywa, lecz o to nie dbał. Trzymał Violet w ramionach, całą i bezpieczną. Tylko to się liczyło.

Uścisnęła go, a potem odsunęła się nieco i spojrzała mu w oczy. Uśmiechnęła się, a jej uśmiech stanowił największą nagrodę, jakiej mógłby spodziewać się rycerz. Dostrzegł w jej spojrzeniu dumę, radość i miłość.

– Przybyłeś jednak na czas i ocaliłeś mnie. – Jej spojrzenie i uśmiech złagodniały. – Zrobiłeś nawet coś więcej. Użyczyłeś mi swojej siły, bym mogła przetrwać, póki się nie zjawisz.

Uniósł brwi.

– Doprawdy?

Skinęła głową.

– Kiedy stanęłam oko w oko z groźbą utraty życia... uświadomiłam sobie, że bardzo chcę żyć. Z tobą i dla ciebie. Użyczyłeś mi swojej siły, dałeś powód, by walczyć, stawić opór, chociaż nie miałam pojęcia, że spieszysz mi z pomocą. Właśnie to zrobiłeś. Uratowałeś mnie.

Splótł palce z jej palcami, a potem je uniósł i ucałował.

– Walczyłaś, wytrwałaś, a ja przybyłem i razem schwytaliśmy mordercę. Teraz możemy ruszyć naprzód.

Zgodziła się, aby przemówił, gdy tylko sprawa zostanie rozwiązana. Czowała, że zaraz to zrobi. Z dołu dobiegł ich odgłos otwieranych drzwi, lecz żadne nie zamierzało się tym przejmować. Heathcote

przesuwał przez chwilę z miłością spojrzeniem po jej ślicznej twarzy, a potem, niemal z wahaniem, opuścił głowę.

Violet wspięła się na palce i, przepelniona cichą radością, przycisnęła wargi do jego ust.

Całowała go, jak on całował ją, szczęśliwa, że są tutaj we dwoje, bezpieczni i gotowi iść dalej ramię przy ramieniu.

Że odnaleźli się, ocalili nawzajem. Pragnęli, szanowali i cenili jedno drugie bardziej niż cokolwiek na świecie – o tym właśnie zaświadczał ich pocałunek.

W końcu Montague uniósł głowę, a Violet opadła na pięty.

Spleceni ramionami, odwrócili się, pełni radości, ku drzwiom i zobaczyli, że stoją tam, skrywając uśmiech, Barnaby i Stokes.

Montague machnął dłonią w kierunku Mortimera, obejmując nadal Violet w talii i nie starając się ukryć dumy:

– Przekazuję wam, panowie – spojrzał na Violet i natychmiast się poprawił – przekazujemy wam naszego mordercę.

Stokes spoważniał, podszedł i spojrzał na pojękującego Mortimera. Najwidoczniej łotr zaczynał odzyskiwać właśnie przytomność.

– Nie Maurice?

– Okazuje się, że nie. Millhouse powiadomił mnie dziś rano. – Montague spojrzał przez pokój na Barnaby'ego. – Miał pan rację, że to Maurice należy do klubu, ale nie trzeba być jego członkiem, by grać, a tym bardziej przegrywać z Corbym.

Barnaby skinął głową, okrążył łóżko i podszedł do nich, pozwalając, by dwóch potężnie zbudowanych konstabli, którzy czekali dotąd przy drzwiach, zareagowało na polecenie Stokesa. Inspektor stał, wpatrując się w na wpół przytomnego Mortimera.

Barnaby spojrzał z uśmiechem na Violet, a potem powiedział:

– Myślę, że potrafię wyjaśnić, dlaczego ktoś taki jak Mortimer usiadł do stołu z osławionym hazardzistą. Rozmawiałem właśnie z ojcem. Wspomniał, że jako kandydat na stanowisko w Ministerstwie Finansów Mortimer miał stawić się za tydzień przed decydującą o awansie komisją.

Montague spojrzał na rozciągniętego u stóp Stokesa mordercę.

– Czyli co? Zamierzał przegrać, czy sądził, że jest w stanie wygrać?

– Zdaniem Mortimera jedno i drugie dobrze by mu się przysłużyło – mruknął Barnaby. A po chwili mówił dalej: – Przez cały czas chodziło o to, aby zaskarbić sobie względy Corby'ego i skłonić go, żeby poparł starania Mortimera o awans.

Na chwilę zapadła cisza, a potem Violet się wzdrygnęła.

– Nie sposób niemal uwierzyć, że ktoś może być tak... wyrachowany i egoistyczny.

Jakiś ruch w okolicy drzwi sprawił, że spojrzeli w tym kierunku i zobaczyli Penelope. Stała w progu, przyglądając się scenie. Po chwili spojrzała na Barnaby'ego, Montague'a, Violet i zmarszczyła nos.

– A niech to! Przybyłam za późno! – Podeszła do nich, gestykulując z ożywieniem. – Najwidoczniej już po wszystkim i sytuacja została, niestety, opanowana.

Barnaby się roześmiał. Wyciągnął rękę, a gdy ją ujęła, splótł palce z jej palcami i przyciągnął ją do siebie.

Penelope ujęła go pod ramię, zwracając przenikliwe spojrzenie najpierw na Violet, a potem na Montague'a.

Uśmiechnęła się olśniewająco i spojrzała na męża.

– I, jak widać, wszystko inne również cudownie się ułożyło!

Barnaby się uśmiechnął. Podobnie Montague i Violet. Penelope wręcz promieniała, nie spuszczając

wzroku z pary zakochanych.

*

Jak było do przewidzenia, Mortimer, kiedy już oprzytomniał, nie podzielił entuzjazmu Penelope.

– To jakiś nonsens! – powiedział, prychnąwszy z oburzeniem, kiedy sprowadzono go w kajdankach do jadalni i pchnięto na krzesło. – Jestem ważnym urzędnikiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Musicie wiedzieć, że minister przewodniczy właśnie zebraniu, w którym powinienem uczestniczyć, a zamiast tego... – Wskazał skutymi rękami Montague'a i Violet, którzy zeszli wraz z Barnabym i Penelope na parter już choćby po to, aby przekonać się, co będzie dalej.

Jaką historijkę wymyśli tym razem Mortimer.

– Tymczasem – zabrzmiało to niemal jak splunięcie – zostałem napadnięty przez tę dwójkę. Nakryłem ich, gdy buszowali w sypialni matki, przeglądając dokumenty, bez wątpienia w poszukiwaniu czegoś, co można by ukraść. A może próbując coś ukryć.

Stokes stał u szczytu stołu, przyglądając się Mortimerowi z zainteresowaniem.

Kiedy nie odpowiedział, Halstead poruszył się niespokojnie, a potem się skrzywił.

– Zdejmijcie mi te kajdanki, mówię wam! Nie zrobiłem nic złego! – Wskazał gestem Montague'a i Violet. – Powiedziałem już, to oni!

Stokes przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, a potem powiedział bez śladu emocji w głosie:

– Chciałbyś wyrzucić z siebie jeszcze jakieś kłamstwa?

A kiedy Mortimer zareagował, wlepiając w niego pełne gniewu spojrzenie, rozciągnął wargi w charakterystycznym dla siebie uśmiechu drapieżcy.

– Nie wysilaj się, Halstead. Mamy zeznanie Corby'ego, a kiedy połączymy je z innymi dowodami, które zgromadziliśmy, wystarczy, by cię powiesić.

Mortimer nadal sprawiał wrażenie, jakby nie wierzył w to, co się dzieje. Przestał wpatrywać się w Stokesa i jał przebiegać spojrzeniem to tu, to tam, ewidentnie szukając sposobu, żeby się wyłgać i uniknąć kary.

Stokes uniósł brwi.

– Nie ma pan nic więcej do powiedzenia?

A kiedy Halstead nie odpowiedział i nawet na niego nie spojrział, polecił konstablom:

– Zabierzcie go do Yardu. Powiedzcie dyżurnemu, że zostanie oskarżony o zamordowanie lady Halstead, pana Andrew Runcorna i panny Tilly Westcott. A także o usiłowanie zabójstwa panny Violet Matcham i kradzież udziałów lady Halstead. – Spojrzął na Mortimera, który opuścił ramiona i wbił wzrok w swoje dłonie, zerkając tylko od czasu do czasu na boki. – Wkrótce się tam zjawię i dopełnię formalności, a tymczasem umieście go w celi i niech w niej zostanie, póki komendant nie zdecyduje inaczej.

Obaj konstable zaszalutowali.

– Tak jest.

Podeszli do Mortimera, podnieśli go z krzesła i wyprowadzili z domu matki.

Pozostali ruszyli za nimi. Stojąc w mrocznym holu, przyglądali się, jak Mortimer idzie alejką, a potem eskortowany przez konstabli wychodzi za furtkę.

Kiedy zniknęli z widoku, Stokes powiedział z uśmiechem:

– Mamy go. Muszę pójść i formalnie go oskarżyć, lecz potem – spojrzął na Montague'a i Violet – będziemy świętować, i to z kilku powodów, czyż nie?

ROZDZIAŁ 19

Wszyscy ochoczo przytaknęli. Postanowiono, że wieczorem spotkają się na uroczystym obiedzie przy Albemarle Street. Tymczasem Stokes i Barnaby wrócili do Scotland Yardu, Montague zaś zabrał Penelope i Violet na lunch, po czym odprowadził damy do domu Adairów i udał się do swego biura przekazać nowiny personelowi.

Nieustraszeni detektywi spotkali się o szóstej w bawialni Penelope. Na podłodze rozpostarto pled, by Megan i Oliver też mogli uczestniczyć w świętowaniu, zajmując dumnych rodzicieli, podczas gdy Penelope i Griselda wysłuchiwały z uwagą opowieści o wszystkim, co wydarzyło się wcześniej tego dnia.

Podobnie jak Penelope, także Griselda czuła się rozczarowana, iż nie dane jej było uczestniczyć w spektakularnym zakończeniu śledztwa. Choć lady Adair zdążyła już poznać fragmenty zdarzeń i poskładać je w całość, ona również życzyła sobie, by opowiedziano jej wszystko w należyтым porządku. Przyjaciółki zasiadły na sofie i przesłuchały gruntownie Violet oraz Montague'a, wydobywając z nich każdy szczegół przerażającego, ekscytującego i jakże owocnego dnia.

Violet i Montague siedzieli obok siebie na drugiej sofie, uśmiechając się nieustająco i poddając cierpliwie badaniu.

Kiedy dotarli do finału, Griselda ściągnęła brwi.

– Jak sądzicie, czy pani Halstead mogła pomagać mężowi? Wiedziała, co robi? Wspierała go?

Stokes podniósł wzrok znad stosu klocków, które układał dla Megan.

– Wygląda na to, że nie. Była zaszokowana, kiedy powiadomiłem ją o aresztowaniu męża, i nie sądzę, by udawała.

– Niemal zemdląca, kiedy uświadomiła sobie, że pomogła Mortimerowi, choćby i nieświadomie, zwabić Violet do domu przy Lowndes Street. – Barnaby zerknął znad grzechotki, którą bawił się z Oliverem. – Zgadzam się ze Stokesem. Była w najwyższym stopniu zaskoczona i nie udawała.

– Jedno trzeba jej oddać. Kiedy już doszła do siebie, jej pierwsza myśl dotyczyła dzieci i tego, jak zbrodnie ojca wpłyną na nich oraz ich przyszłość. – Uśmiechnął się, gdy Megan przewróciła jednym ruchem małej rączki wieżę, którą dla niej zbudował. Podskakiwała przy tym na pulchnej pupie, a oczy błyszczały jej z radości. Zaklaskała w dłonie, a potem podczołgała się ku jednemu z klocków i wzięła go do rąk.

Stokes spojrział na pozostałych.

– Gdyby była jeszcze jakaś wątpliwość co do tego, kim jest morderca, to przeszukując garderobę Mortimera, znaleźliśmy klucz do bocznych drzwi domu jego matki. Wykonano go przed kilkoma laty, czyli musiał już wtedy planować kradzież.

– Założyłam, że otworzył drzwi, a raczej otworzyła je pani Halstead tymi kluczami, którymi ja się posługiwałam, gdy tam mieszkałam – powiedziała Violet.

Stokes przytaknął.

– W rzeczy samej. Nie znaleźliśmy innych, więc ten od bocznych drzwi musiał służyć mu do wślizgiwania się chyłkiem do domu matki. Ukoronowaniem zaś poszukiwań było odkrycie, że sznur, którym udusił Runcorna, został odcięty od zasłon w jego garderobie.

– Uwierzcie lub nie – prychnął Barnaby – ale ustalił termin kilku zebrań w ministerstwie, tak by uczestnicy jednego sądzili, iż uczestniczy w innym i na odwrót – a potem powiedział swemu personelowi, że został wezwany przez któregoś z ambasadorów i musiał biuro opuścić na godzinę.

Stokes roześmiał się ponuro.

– Tak precyzyjnie wszystko planował, że teraz nie będzie mógł zasłonić się niepoczytalnością.

– Czyli zawiśnie? – spytała Violet. A kiedy Stokes spojrział na nią zaskoczony, dodała: – Zazwyczaj nie jestem tak żądna krwi, lecz on pozbawił życia trzy osoby.

Stokes skinął jedynie głową.

– Zawiśnie – powiedział, spoglądając na nią szarymi oczami.

– Boję się zapytać – wtrąciła Penelope – ale jak zareagowały na wieści pozostałe dzieci lady Halstead?

– Przerażeniem i zaskoczeniem, dystansując się jak najszybciej od mordercy – zauważył Barnaby.

Penelope wzdrygnęła się demonstracyjnie.

– Cóż za okropne plemię. Stanowią przeciwieństwo tego, jak powinna funkcjonować rodzina.

Barnaby uniósł brwi.

– Prawdę mówiąc, wcale bym się nie zdziwił, gdyby ten incydent spowodował, że pozostała trójka zbliży się do siebie. Maurice i William byli naprawdę wstrząśnięci, podobnie Cynthia. A skoro ona i Camberly ucierpieli już z powodu Waltera, cóż... – Zamilkł i wzruszył ramionami, aby po chwili dodać: – Mam wrażenie, iż szok mógł być dla pozostałych na tyle silny, by wreszcie dorośli i uświadomili sobie, że aby przetrwać, będą potrzebowali siebie nawzajem.

– Ze względu na dzieci Halsteadów mam nadzieję, że się nie mylisz – powiedziała Griselda.

Chichot i odgłos przewracanych klocków zwróciły ich uwagę ku dzieciom dokazującym na podłodze. Przyglądali się przez kilka minut ich figlom z pełnym pobłażania rozbawieniem.

Montague patrzył, jak Violet się uśmiecha, rozpromieniona, kiedy Megan chwyciła za skraj jej spódnicy i zaczęła się podnosić, by stanąć wreszcie na własnych nogach.

Zakołysała się w przód i w tył, po czym upadła znowu na pupę, zanosząc się śmiechem.

Oliver przyglądał się temu, leżąc na brzuchu, zaciekawiony i pełen podziwu.

Violet wyprostowała się i poczuła na sobie spojrzenie Heathcote'a. Wpatrywał się w nią z wyrazem twarzy podobnym do tego, z jakim obserwował swą małą towarzyszkę Oliver.

Odgadnięcie, o czym myśli i co sobie wyobraża, zajęło jej ledwie chwilę. Zarumieniła się, lecz nie spuściła wzroku. Przeciwnie, patrząc mu w oczy, ujęła jego dłoń i lekko ścisnęła.

Przesłanie, które bez cienia wątpliwości zrozumiał, mówiło: „Jest wiele rzeczy, o których winniśmy porozmawiać, lecz później”.

Wszedł Mostyn, powiadamiając, że podano kolację, a w ślad za nim wkroczyły Hettie i Gloria. Zabrały podopiecznych, aby położyć ich do łóżek.

Szóstka nieugiętych śledczych wstała i ruszyła parami ku jadalni nacieszyć się uroczystym posiłkiem.

Kucharka, powiadomiona o randze wydarzenia, bardzo się postarała – potrawy były więc świąteczne i smakowały wyśmienicie. Rozmowa toczyła się wokół polityki, pracy policji, zapewnienia godziwej przyszłości siedmiu uratowanym dziewczętom, plotek towarzyskich, a potem rodzin i dzieci.

Przyszłości budowanej na tym, co mieli.

Kiedy dotarli do deseru – galaretki ze śmietanką i wina – Barnaby postukał łyżeczką w kieliszek.

Pozostali natychmiast na niego spojrzeli.

– Pozwólcie, że wzniosę toast i coś zaproponuję – powiedział. – Lecz najpierw toast. – Uniósł kieliszek, a pozostali zrobili to samo. – Za nas, za naszą szóstkę. Działając razem, doprowadziliśmy przed oblicze sprawiedliwości trzykrotnego mordercę i pomściliśmy jego ofiary. Zatem za nas!

– Tak, tak, za nas! – zawtórowali mu i wypili.

– A teraz propozycja. – Opuścił kieliszek i spojrział na siedzącego obok Montague'a. – Odkąd zostałem konsultantem Scotland Yardu, natknęliśmy się ze Stokesem na kilka przypadków, gdzie

ważną rolę odgrywały kwestie finansowe. Przy niektórych pan nam pomagał, inne staraliśmy się rozwikłać sami. Jednakże ostatnio coraz częściej to, czym się zajmujemy, ma również... – Machnął niecierpliwie dłonią, szukając właściwego określenia.

– ...taki czy inny aspekt finansowy? – podsunął Montague.

Barnaby przytaknął.

– Właśnie. Przesłanki, w jakie zamieszane są najwyższe kręgi społeczeństwa, związane są zwykle z pieniędzmi, a pieniądze osób z towarzystwa nie leżą ukryte pod materacem.

– Albo na szafie – dodał Stokes. Wszyscy się roześmiali, a Stokes spojrział na Montague'a. – Jak sądzę, mój kolega i przyjaciel chciał powiedzieć, że bylibyśmy zaszczytzeni, gdyby i w przyszłości pomagał nam pan w rozwiązywaniu tego rodzaju spraw.

Montague spojrział wpierw na Stokesa, a potem na Barnaby'ego. Wreszcie przeniósł wzrok na Violet i skinął głową – raz, a potem, bardziej oficjalnie, drugi.

– To ja byłbym zaszczycony, mogąc panom pomagać.

– W egzekwowaniu sprawiedliwości. – Violet uniosła kieliszek. – Za naszych trzech mistrzów wykrywania zbrodni!

Penelope i Griselda także uniosły kieliszki.

– Za mistrzów!

– To była jedynie część propozycji – powiedział Barnaby, rozglądając się z uśmiechem. – W drugiej – spojrział na Violet – zamierzałem oddać hołd Violet, jej udziałowi w śledztwie, zwłaszcza wnikliwym uwagom dotyczącym się zaangażowanych w nie osób. Chciałbym także zapytać, czy zamierza pani pracować dalej jako sekretarka Penelope?

Violet zamrugnęła i spojrzała na Penelope.

Ta zaś wyciągnęła rękę i uściśniła jej dłoń.

– Och, proszę nie odmawiać – powiedziała z desperacją w głosie. – Bóg jeden wie, o czym mogłabym zapomnieć, potrzebuję więc kogoś, komu mogę zaufać, aby pomógł mi się ze wszystkim uporać. Ciebie.

Violet uśmiechnęła się i odwzajemniła uścisk.

– Zatem, oczywiście, zostanę na posterunku. I to z radością.

– Doskonale. – Penelope rozpromieniła się, po czym spojrzała przez stół na męża. – Ale dlaczego chciałeś to wiedzieć?

– Ponieważ – odparł Barnaby – chciałem zasugerować również, iż skoro ty i Griselda zamierzacie bardziej zaangażować się w śledztwa, pomoc Violet mogłaby okazać się nieoceniona także w tym aspekcie.

– Oczywiście! – Griselda spojrzała z aprobatą na Barnaby'ego. – Jakie to z twojej strony wnikliwe, mój drogi! – Pochyliła się i dodała, zwracając się do Penelope oraz Violet: – Zgódź się, Violet, jeśli do nas dołączysz, będziemy miały wgląd w kolejne środowiska. Penelope wie wszystko o arystokracji, a ja o klasie średniej i robotniczej, lecz żadna z nas nie ma rozeznania w kręgach, które znajdują się pomiędzy.

– Ziemiaństwo. – Penelope pokiwała energicznie głową. – Właśnie. Powiedz jeszcze raz tak, Violet. Naprawdę przyda nam się twój wkład w przyszłe dochodzenia.

Violet popatrzyła wpierw na Barnaby'ego, a potem na przyjaciółki i uśmiechnęła się szeroko.

– Nie sądziłam, że jako sekretarka będę siedziała przez cały dzień przy biurku, pisząc listy. Założyłam, że będę mogła się do was przyłączyć. Prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie, jak moglibyście utrzymać mnie z daleka!

– Cudownie! – Penelope rozpromieniła się i spojrzała na męża, nie kryjąc, jak bardzo docenia jego

sugestię. Dokooptowanie do grupy Violet pomoże im utrzymać tę nową równowagę, do której nadal wprowadzały drobne udoskonalenia, tak by mogli wszyscy spoglądać z ufnością w przyszłość.

Oparła się wygodnie, słuchając, jak Violet i Griselda rozmawiają o kapeluszach, a panowie komentują ostatni skandal polityczny. Szczęśliwa i przepelniona satysfakcją uniosła kieliszek. Pozostali spojrzeli na nią i także sięgnęli po kieliszki.

– Ja również chciałabym wznieść toast – powiedziała. – Za nasz nowy zespół śledczych... i za szczęśliwą przyszłość!

– Za przyszłość! – powtórzyli wszyscy ochoczo.

Penelope spojrzała na męża, uniosła kieliszek do ust i wypła.

*

Po kolacji przeszli do salonu, gdzie przez jakiś czas oddawali się rozmowie. Chociaż różniło ich pochodzenie, łączyły ich podobne doświadczenia, mieli te same marzenia i aspiracje w odniesieniu nie tylko do własnego życia, ale i społeczeństwa.

W końcu Stokes podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać.

– No i proszę, wreszcie zaczęło padać – powiedział. Chmury zbierały się przez całe popołudnie, a sądząc po tym, jak deszcz bębnił o szyby i bulgotał w rynnach, postanowiły uwolnić wreszcie swój ładunek. Stokes spojrzał z miłością na żonę.

– Lepiej się zbierzmy, kochanie, zanim ruch spowolnieje jeszcze bardziej.

Griselda zerknęła na zegar nad kominkiem.

– Boże, tak! Spójrz, która godzina!

Dziesięć minut później Violet stała obok Heathcote'a, Penelope i Barnaby'ego, rzucając Stokesowi oraz Griseldzie żartobliwe rady i przyglądając się, jak zmierzają wraz z zawiniętą w kocyk Megan i Hettie do powozu, osłaniani wielkimi parasolami przez Mostyna i dwóch lokajów. Krople deszczu połyskiwały w świetle latarni, nim uderzyły o ziemię.

Montague pociągnął nosem.

– Nim przyjdzie ranek, miasto zostanie dokładnie wymyte.

Nagle uderzenie niesionej wiatrem fali deszczu sprawiło, że wycofali się pospiesznie do holu.

Barnaby przymknął drzwi i odwrócił się do Montague'a, wyciągając dłoń.

– Posłałem lokaja, żeby sprowadził dorożkę. Nie możesz tam wyjść i przeziębic się na śmierć.

– Albo utopić. – Penelope ujęła ramię Montague'a, wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek. – Dziękuję, że uratowałeś moją sekretarkę. Jest ze mną od niedawna, ale nie wiem, co bym bez niej zrobiła.

– Powiedziałbym raczej, że wiesz, i właśnie to skłania cię, żebyś starała się za wszelką cenę ją zatrzymać – wtrącił jej mąż. Uśmiechnął się i ujął dłonie Violet. – Jeśli pozwolisz? – Pochylił się i musnął wargami jej policzek. A potem wziął żonę za rękę i ruszył z nią ku schodom.

– Dobranoc wam obojgu – rzucił na pożegnanie.

– Właśnie. – Penelope przesłała Violet pocałunek. – Do rana, droga Violet.

Violet patrzyła, jak para znika w górze schodów. Odwróciła się do Heathcote'a akurat w chwili, kiedy do holu weszło dwóch lokajów.

– Pan Mostyn mówi, że dorożka będzie za kilka minut – poinformował jeden.

– Dziękuję. – Montague odczekał, aż lokaje znikną za drzwiami w końcu korytarza, a potem ujął dłonie Violet i spojrzał na jej kochaną twarz.

Odwzajemniła spojrzenie, a w jej oczach dostrzegł tę samą nadzieję. Oczekiwanie, jakie wzbierało

też w jego sercu.

Uśmiechnął się i musnął wargami jej dłoń.

– Musimy porozmawiać. Mamy tyle do omówienia, przedyskutowania. Tyle decyzji do podjęcia.

Zaczerpnął oddechu i skrzywił się, kiedy deszcz zaczął uderzać mocniej o drzwi, przypominając mu, że powinien już iść. – Niestety, to nieodpowiedni czas i miejsce. – Zawahał się, a potem dodał: – Jeśli pozwolisz, chciałbym spotkać się z tobą jutro i dokądś cię zabrać. Coś ci pokazać.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– Oczywiście. Będę czekała. O której mam się ciebie spodziewać?

– Najchętniej przyszedłbym o świcie, ale... może o dziesiątej? To już jakaś przyzwoita godzina.

Zaśmiała się cicho.

– Drogi Heathcote, dziesiąta brzmi doskonale. – Wytrzymała jego spojrzenie i powiedziała spokojnie: – Czekałabym na ciebie przez wieczność, wołałabym jednak, aby nie było to konieczne. Czekałam całe życie, a teraz tu jesteś...

Skinął głową i ucałował dłoń Violet, tym razem z większym zapalem.

– W rzeczy samej. Teraz, kiedy oboje tu jesteśmy, chcemy pójść dalej.

Mostyn wyjrzał przez drzwi, wpuszczając do holu falę deszczu i powiew mokrego wiatru.

– Powóz czeka, proszę pana.

– Dziękuję, Mostyn.

Puścił dłonie Violet i sięgnął po kapelusz. Nie spuszczał z niej wzroku, zmusił się, żeby otworzyć drzwi, wcisnąć na głowę nakrycie i ruszyć w noc.

Samotnie, lecz nie na długo.

Opadł na siedzenie dorożki, uśmiechając się z sercem przepelnionym radosnym oczekiwaniem.

*

Griselda ułożyła Megan w kołysce, a potem podniosła się ze wzrokiem utkwionym w śpiącego cherubinka.

Stokes pochylił głowę i spojrzał na żonę. Dostrzegł na jej twarzy ów uśmiech madonny i poczuł, że coś w nim łagodnieje, uspokaja się. Po chwili wahania zaryzykował i spytał:

– Jesteś zadowolona, prawda?

Griselda spojrzała na niego, z lekka zaskoczona, a potem jej usta wygięły się znowu w uśmiechu, dodającym otuchy i niezwykle kojącym.

– Masz na myśli to, że cieszę się z tego, iż jestem matką, modystką, panią tego domu, przyjaciółką Penelope, a teraz także Violet, detektywem, i na dodatek wszystko to ogarniam?

Położyła mężowi dłoń na ramieniu i wyprowadziła go z pokoju dziecinnego. Weszli do znajdującej się obok sypialni.

– Tak – powiedział. – Ze wszystkich tych powodów.

Poczekala, aż zamknie drzwi, a potem wsunęła mu się w ramiona.

– Owszem. – Napotkała jego spojrzenie. – Jestem zadowolona. To niełatwe i pewnie nigdy takim nie będzie, ale korzyści warte są trudu.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się nieśmiało.

– Nie zauważyłaś, ale coś pominęłam.

– Naprawdę? – Lista wydawała się raczej kompletna. Objął żonę w talii, powtarzając w myślach jej słowa. – Co mianowicie?

Zaśmiała się zmysłowo, posyłając dreszcz wzdłuż jego pleców, a potem objęła go za szyję

i uśmiechnęła się.

– Zapomniałam wspomnieć o jeszcze jednym powodzie do zadowolenia, najważniejszym. Tym, który sprawia, że wszystko inne warte jest zachodu. Nie dlatego, by było mniej ważne, ale ponieważ stanowi fundament, na którym opierają się pozostałe aspekty mojego życia.

Coś w nim zadrżało, kiedy domyślił się, o co jej chodzi. Lecz musiał usłyszeć to od niej.

– A tym czymś jest...?

Uśmiechnęła się promiennie.

– To, że jestem twoją żoną.

Przyciągnęła ku sobie głowę męża i go pocałowała.

Stokes zacieśnił uścisk, przytulił ją mocniej i zdecydował, że wszystko jednak jest – i będzie – w najlepszym porządku.

*

Penelope i Barnaby zajrzeli do Olivera, a następną godzinę spędzili, świętując z entuzjazmem w swój prywatny sposób.

W końcu Penelope opadła zaspokojona na poduszki, czekając, aż uspokoi się jej oddech. Leżała, wpatrując się w tańczące na suficie promienie księżyca. Barnaby spoczywał tuż obok, z twarzą wtuloną w poduszkę, ciężkim ramieniem obejmując żonę w talii.

Oddychał z jeszcze większym trudem – nic dziwnego, zważywszy, co przed chwilą wyczyniał.

Deszcz w końcu ustał, jednak wrażenie, że wszystko na zewnątrz jest do czysta wymyte, pozostało. Nadchodzący dzień przynosił nowe obietnice.

Westchnęła z głębokim zadowoleniem.

– Tak się cieszę, że nie odrzuciliśmy tej szansy. Stawiliśmy czoło wyzwaniu, zamiast je zignorować. Trudziliśmy się razem, bym mogła uzyskać równowagę, a skoro raz się nam udało, uda się i w przyszłości. Nieważne, co się wydarzy, potrafimy się dostosować, znaleźć nową ścieżkę i dalej nią pójść. Razem.

– Jestem z ciebie dumna – kontynuowała, czując, że musi oddać mu sprawiedliwość. – Podobnie jak ze Stokesa. Stawiliście czoło wyzwaniu i poradziliście sobie z nim śpiewająco. – Uniosła osłabłe ramię i pomachała nim lekko. – Zaakceptowaliście zmiany i się dostosowaliście.

Barnaby poruszył się i prychnął cicho w poduszkę. Przekrzywił głowę w bok i powiedział:

– Jeśli nie spostrzegłaś dotąd, że aby uczynić cię szczęśliwą, pełną entuzjazmu i zajęta, poruszyłbym niebo i ziemię, oznacza to, iż potrzebujesz nowych okularów.

Zaśmiała się i pogładziła go po nagim boku, a kiedy odwrócił się i uniósł z jękiem ramię, wtuliła się w niego i położyła głowę w ulubionym miejscu, w zagłębieniu poniżej obojczyka. Przytulił ją, a wtedy się odprężyła i ucałowała jego pierś.

– Zauważyłam, lecz doceniając chęci, muszę jednak przyznać, iż nie ma potrzeby, abys poruszał ciała niebieskie. Wystarczy, że będziesz stał przy mnie, jak robiłeś to dotąd. Bądź po prostu sobą.

Barnaby uniósł dłoń żony, wycisnął na niej ciepły pocałunek i ułożył ją sobie znowu na sercu.

– To – wymamrotał – jestem w stanie zrobić.

Po chwili Penelope powiedziała cicho:

– Ja także cię kocham.

Zamknął oczy i uznał, że może z tym żyć.

Przez wieczność.

Następnego ranka Montague pojawił się na Albemarle Street o dziesiątej. Poleciał dorożkarzowi czekać i wszedł, dziwnie zdenerwowany, na schody prowadzące do frontowych drzwi domu Adairów. Uniósł dłoń, aby zastukać – i drzwi otworzyły się szeroko.

– Wyglądałem pana – powiedział Mostyn z uśmiechem.

Cofnął się nieco i Montague zobaczył Violet. Skinęła kamerdynerowi głową, nie spuszczając wzroku z twarzy Montague'a.

– Dziękuję, Mostyn. Nie wiem, kiedy wrócę.

Montague, oślepiiony jej uśmiechem i słowami, poczuł się jak zdobywca. Podał Violet ramię, mówiąc:

– Wyglądasz prześlicznie.

I rzeczywiście, jego zdaniem, wyglądała promiennie.

Uśmiechnęła się.

– Dziękuję. Muszę przyznać, że spałam doskonale.

Sprowadził ją ze schodów, mówiąc:

– To wielka ulga nie czuć, że gdzieś tam czyha na ciebie morderca.

Spojrzała nań z uśmiechem i pozwoliła, by pomógł jej wsiąść do powozu. A kiedy pojazd ruszył, ujęła dłoń Montague'a i splotła palce z jego palcami.

– Jeśli musisz wiedzieć, nie chodziło o to, że morderca został schwytany. Po prostu czułam się szczęśliwa, wiedząc, co przyniesie dzisiejszy dzień. – Odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy. – Zupełnie jak dziecko czekające na Gwiazdkę.

Słowa Violet sprawiły, że zrobiło mu się ciepło na sercu. Uścisnął lekko jej palce i powiedział cicho:

– Mam nadzieję, że to, co nastąpi, cię nie rozczaruje.

Odpowiedziała uściskiem na uścisk.

– Na pewno nie. – A po chwili spytała: – Powiedz mi, urodziłeś się w Londynie?

Kiedy jechali przez miasto, opowiedział jej o swojej przeszłości – rodzicach, z którymi był blisko, choć kiedy się urodził, nie byli już tacy młodzi, o ewolucji, jaką przeszła ich firma – od bardziej konserwatywnej za czasów jego ojca po zmiany, które sam wprowadził.

– Byłem „Synem” w firmie Montague i Syn, jako że liczby i pieniądze zawsze mnie fascynowały. Zacząłem pracować z ojcem, gdy miałem piętnaście lat. W końcu ojciec wycofał się z interesu, przekazując mi stopniowo klientów. – Spojrzał na Violet. – Kiedy umierał, byłem już *de facto* głową firmy, i to od kilku lat. – Wzruszył ramionami i spojrzał przed siebie. – Niektórzy mogliby powiedzieć, że wszystko zostało mi podane na talerzu, i byłoby w tym trochę racji.

Violet potrząsnęła z uśmiechem głową.

– Nie. Otrzymałeś szansę, to prawda, lecz to, jak ją wykorzystałeś, zależało jedynie od ciebie. To, kim i czym jesteś dzisiaj, zawdzięczasz wyłącznie sobie.

Montague jakby lekko się zaczerwienił, a potem odwrócił wzrok.

– A co z tobą? – zapytał, spoglądając znów na nią. – Też urodziłaś się w Londynie?

– Nie, w Caversham, trochę na północ od Reading. Ojciec był pastorem w Woodborough. Mieszkał tam do śmierci. Matka umarła kilka lat przed nim, musiałam więc radzić sobie sama. – Pojazd skręcił za róg i Violet spojrzała Heathcote'owi krótko w oczy. – Dopisało mi szczęście, ponieważ znalazłam posadę u lady Ogilvie w Bath, a kiedy zmarła, przeniosłam się do Londynu i zamieszkałam z lady Halstead. Obie panie dobrze się znały.

Spoglądała teraz przed siebie, a on wpatrywał się w nią.

– Byłaś szczęśliwa u lady Halstead.

Choć było to stwierdzenie, nie pytanie, i tak odpowiedziała:

– Nie tyle szczęśliwa... Teraz, kiedy wiem, czym jest szczęście, uświadamiam sobie, że nie zaznałam go od dawna. – Spojrzała na niego z uśmiechem. – Byłam zadowolona ze swego życia i z pracy. Zatem, podobnie jak w twoim przypadku, ktoś mógłby powiedzieć, że wszystko przyszło mi łatwo.

– Życie właśnie takie jest. Sprowadza się do tego, jak wykorzystamy szanse, które się nam trafiają.

Dorożka zwolniła i oboje wyjechali. Woźnica zatrzymał konie przed znajomym budynkiem z wąskimi drzwiami prowadzącymi do biura Montague'a.

Violet zamrugnęła zdziwiona i rozejrzała się dookoła.

Montague pomógł jej wysiąść, zapłacił dorożkarzowi i poprowadził ją chodnikiem ku pomalowanym na zielono, częściowo oszklonym drzwiom z wykonanym złotymi literami napisem: „Montague i Syn, doradcy finansowi”. Wyłowił z kieszeni klucze, a kiedy wkładał jeden do zamka, zauważył, że Violet rozgląda się z zainteresowaniem.

– Jest piątek – powiedział, mając na myśli ożywiony ruch na placu. – W tym rejonie oznacza to, że wszyscy są bardzo zajęci finalizowaniem cotygodniowych transakcji. I choć większość biur otwarta jest w sobotę, to główne banki i giełda nie.

– Ach tak. – Skinęła głową. Odwróciła się do niego i powiedziała: – Gdy byłam tu poprzednio, nie zwracałam na otoczenie szczególnej uwagi. Byłam zbyt zaabsorbowana wydarzeniami. – Odwróciła się ku drzwiom i dostrzegła w dole szyby niewielką wywieszkę z napisem: „Zamknięte”. – Jak powiedziałaś, mamy piątek, a twoje biuro nie jest otwarte i nikt w nim nie pracuje.

Uniosła brwi i weszła. Zamknął za nią drzwi i powiedział:

– Dla uczczenia naszego sukcesu dałem personelowi dzień wolny. Bóg wie, że na to zasłużyli. Każdy z moich pracowników miał w nim swój udział.

Odwróciła się, uśmiechnęła i zaczęła wchodzić po schodach.

– To miłe z twojej strony.

– Zapewne – powiedział, ruszając za nią – lecz także konieczne. – A kiedy spojrzała na niego, zdziwiona, wyjaśnił: – Powiedziałem, że chciałbym coś ci pokazać.

Na piętrze zatrzymała się przed drzwiami do kolejnych pomieszczeń biura i spojrzała na niego pytająco. Potrząsnął głową i wskazał schody.

– Moje mieszkanie jest wyżej.

Przypomniała sobie, co jej powiedział, zerknęła na niego zafascynowana i ruszyła ochoczo schodami.

– Moi rodzice – mówił, podążając za nią – mieli dom na północ od Finsbury Square. Gdy zmarli, sprzedałem go i kupiłem ten budynek. Całość, nie tylko biura. Wydało mi się to rozsądną inwestycją.

Na podeście zatrzymał się przed drzwiami do swego mieszkania, wybrał właściwy klucz i wsunął go do zamka. Sięgnął do mosiężnej gałki i spojrzał na Violet:

– Tu właśnie mieszkam – powiedział – od dziesięciu lat.

Zajrzała do niewielkiego przedpokoju, a potem weszła. Podążył za nią i zamknął na klucz ciężkie drzwi.

Violet zauważyła, że wystrój pomieszczeń: prosty i niewyszukany, a mimo to elegancki, odzwierciedla solidną naturę Heathcote'a. Obejrzała się na niego i zapytała:

– Mieszkasz tu sam?

– Nie, zatrudniam małżeństwo, państwa Trewicków. Ona zajmuje się kuchnią i sprzątaniami, a jej mąż pełni funkcję lokaja i mojego osobistego służącego. Mają osobne mieszkanie za kuchnią.

Violet skinęła głową i weszła do długiego pokoju, który okazał się bawialnią. Zatrzymała się na

chwilę i rozejrzała, a potem zapytała:

– Są teraz w domu... to znaczy Trewickowie?

Heathcote, który odkładał właśnie kapelusz, zawahał się na chwilę i odpowiedział cokolwiek niepewnie:

– Cóż... nie, im także dałem dzień wolny.

Violet uśmiechnęła się, nie kryjąc zadowolenia. Odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

– To dobrze.

Podszedł do niej z wyrazem ulgi na twarzy.

– Miałem nadzieję, że nie uznasz tego za zbyt...

Wsunęła mu się w ramiona i przyłożyła palec do ust, by zamilkł.

– Nie ma mowy o żadnym „zbyt...”. – Spojrzała mu głęboko w oczy. – Nadszedł wreszcie czas, by porozmawiać, zdecydować, a ty dopilnowałeś po prostu, by nam nie przeszkadzano i jeśli o mnie chodzi – utkwiała spojrzenie w jego ustach – mogę być tylko zadowolona.

Wspięła się na palce i przycisnęła wargi do jego warg.

Nieprzystojne zachowanie, bez wątpienia, czuła jednak, że oboje przekroczyli już granicę tego, co stosowne i przyzwoite. Społeczne i towarzyskie ograniczenia przestały obowiązywać. Teraz byli tylko we dwoje – mężczyzna i kobieta, dżentelmen i dama. Tu, w jego prywatnej przestrzeni, znaczenie miało jedynie to, co działo się pomiędzy nimi.

Widocznie Heathcote zgadzał się z nią w tym względzie, ponieważ niemal natychmiast przejął inicjatywę i zaczął całować Violet.

Otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie bez odrobiny wahania. Ciepła, dodająca otuchy klatka z jego mięśni i ramion, zwłaszcza własna reakcja na bliskość, uświadomiły Violet, na czym stoi. Dla niej ten mężczyzna oznaczał bezpieczeństwo, bezpieczny port podczas każdej burzy – i nie tylko to. Z nim mogła być... kobietą, jaką być powinna. Sobą.

Szansa.

Sięgnęła po nią – bez wahania wsunęła się głębiej w jego ramiona i przesunęła mu dłońmi po plecach, zamykając je wokół karku. A kiedy smakował jej usta, rozchyliła wargi i pozwoliła, aby skorzystał z jasno wyrażonego zaproszenia.

Nie była wcześniej tak blisko z mężczyzną. Całowano ją już, oczywiście, ale nie w taki sposób – nie kiedy pocałunek stanowił dialog, formę komunikacji, która, choć obywatła się bez słów, pełna była znaczeń.

Obietnica, a zarazem zobowiązanie. Szczere, głębokie i obustronne. Deklaracja intencji, wizja tego, czego oboje pragnęli i za czym tęsknili.

Żar, jakiego nie doświadczyła nigdy przedtem, ciężki i zmysłowy, rozpułynał się jej po ciele. Nieodparta potrzeba, którą instynktownie rozpoznawała, bogata i upajająca, wabiła i przyzywała. Odpowiedziała na nią, podobnie jak on.

Wreszcie odsunął się nieco i przerwał niechętnie pocałunek.

Spojrzał jej w oczy, a ona jemu – i zobaczyła mężczyznę, którego kochała.

Objął dłonią jej kark i wędrował, jakby w zadziwieniu, spojrzeniem po twarzy, ustach, by utkwic je znowu w jej oczach.

– Jestem prostym człowiekiem, Violet. Nie znam pięknych słów. Wiem tylko, że bez ciebie moje życie nigdy nie będzie pełne. Chcę cię za żonę i poruszę niebo i ziemię, aby cię zdobyć.

Uśmiechnęła się kącikami ust i powiedziała bez chwili wahania:

– Nie chcę nieba. Ani nawet ziemi. Chcę ciebie i bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnę zostać twoją żoną.

– Czyli wyjdiesz za mnie?

– Tak. – Nawet ona usłyszała w tym słowie radość. – Poślubię cię, będę twoją żoną, a ty moim mężem. Nic, po prostu nic nie uczyni mnie bardziej szczęśliwą.

Podniósł do ust jej dłoń.

– Przysięgam, że nigdy nie będziesz żałować, iż zgodziłaś się przyjąć moje oświadczenia.

– Wiem o tym. – Wytrzymała jego spojrzenie. – A to dlatego, że cię kocham.

Wyczuła, że coś się w nim zmieniło, jej słowa zadziałały tak, jakby ktoś przekręcił klucz i otworzył... co właściwie?

Jakby kajdany opadły, a słowa usunęły więzy, które dawno temu na siebie nałożył i o nich zapomniał, a może nigdy nie uświadamiał sobie w pełni, że tam są. Był tak absolutnie zaabsorbowany pracą, tak jej oddany... Teraz czuł się wolny – wolny, by mówić, wyznawać.

– Miłość – powiedział, spoglądając w jej pełne przejęcia oczy – to zbyt proste określenie na to, co do ciebie czuję. Podziw, uwielbienie, cześć. Wszystko to i jeszcze więcej.

Uwolniła dłoń i pogładziła go po policzku.

– Nie potrzebujesz niczego więcej. Bądź tylko sobą i kochaj mnie tak, jak ja kocham ciebie.

– Ale... pragnę tak wiele. – Skrzywił się lekko. – Człowiek interesu we mnie nigdy nie umrze. Moje serce wydaje się tak lekkie, kiedy położyć je na szali.

Violet się zaśmiała.

– Nic podobnego. Masz serce lwa.

– Ale ja chcę... – Wyglądało na to, iż nie jest w stanie się powstrzymać, żeby nie wypowiedzieć na głos tego, za czym tęskniły jego serce i dusza. – Ciebie u mego boku i rodziny, o ile zostaniemy nią pobłogosławieni. – A widząc, że przygląda mu się z uwagą, wyjaśnił: – Mam już firmę, pozycję, dochody, znajomych, nawet przyjaciół. Wyznaczniki szczęśliwego życia. Jednak bez żony, a jeszcze bardziej rodziny, reszta nie znaczy zbyt wiele. Wiem, że oboje nie jesteśmy już pierwszej młodości, ale... – zawahał się, a potem zmusił, żeby dodać: – ...jeśli tylko chcesz...

Uśmiechnęła się uszczęśliwiona. Jej spojrzenie odzwierciedlało podobne emocje.

– Powiedziałeś wcześniej, że jesteśmy ludźmi niezależnymi. Możemy być, kim chcemy. Kochankami, małżonkami, rodzicami. Jeśli tylko zechcemy, możemy mieć to wszystko. Musimy tylko dokonać wyboru.

A potem go pocałowała. Tym razem pocałunek wyrażał akceptację, zgodę, oddanie, lecz także namiętność i pieśczość.

Heathcote otoczył ją ramionami, a ona odpowiedziała tym samym. A kiedy uniósł po chwili głowę, oderwał usta od jej ust i spojrzał znacząco na drzwi po lewej, uśmiechnęła się szerzej i wyszeptwała z ustami tuż przy jego ustach:

– Tak.

Nie potrzebowała mówić nic więcej.

Nie do niego, mężczyzny, który spoglądał na nią z miłością i namiętnością, szczerą i niezachwianą.

Nie byłaby w stanie zakwestionować słuszności tego, co się działo – uczucia, iż poddaje się przeznaczeniu – kiedy wprowadził ją do sypialni i zamknął drzwi.

To, co nastąpiło później, stanowiło odbicie ich samych, tego, kim i czym byli: szczerymi, uczciwymi, prostolinijnymi ludźmi.

Wśród miękkiej pościeli, w przyćmionym świetle długiego, jesiennego popołudnia, odnaleźli się nawzajem, odkrywając siebie.

Zyskując szerszą wizję tego, kim mogli być i do czego dążyli.

Radość, namiętność i pożądanie, a wreszcie chwila uwalniającej ekstazy – odnaleźli to wszystko

w złote popołudnie, pochwycili i zagarnęli.

A kiedy w końcu Violet umościła się w jego ramionach – swobodna, z opadającymi mu na ramiona i pierś jedwabistymi włosami – uśmiechnął się, przymknął oczy i wspomniął, o czym myślał wcześniej.

– Nim cię spotkałem i to się wydarzyło – zatoczył dłonią krąg, wskazując ich oboje – nie uważałem się za człowieka czynu. Jednak za sprawą ciebie i tego, co nastąpiło potem, odkryłem, że kiedy zajdzie potrzeba...

– Potrafisz stanąć na wysokości zadania.

Zaśmiała się cicho, zmysłowo i poczuł na piersi dotyk jej miękkich warg.

– Uwierz lub nie, ale nie zamierzałem tak tego ująć.

– Właśnie dlatego powiedziałam to za ciebie. – Uniosła głowę i spojrzała na niego z uśmiechem. – Nie zaskoczyłeś mnie. Dostrzegłam, jaki jesteś naprawdę, już na samym początku. Czekałam na ciebie przez całe życie, a teraz cię znalazłam, zawłaszczyłam – dotknęła wargami jego ust – i nie zamierzam pozwolić ci odejść.

Wtuliła się znowu w niego, wpasowując się idealnie. Objął ją mocniej i powiedział:

– I bardzo dobrze, ponieważ jesteś dla mnie wszystkim.

Westchnęła uszczęśliwiona i poklepała go delikatnie dłonią po piersi.

– Mój drogi Heathcote.

Uśmiechnął się. W ciągu kilku ostatnich godzin wypowiedziała jego imię wiele razy – wzdychając, pojękując, błagając...

Przytulił policzek do czubka jej głowy i zamknął oczy.

Przysłuchiwanie się, jak wymawia jego imię, stanowiło zysk nieporównywalny z żadnym innym. Najcenniejszy.

Zapraszamy do naszej księgarni internetowej,
w której znajdą Państwo bogatą ofertę
romansów historycznych,
książek obyczajowych, poradników
i książek dla dzieci w promocyjnych cenach.

www.wydawnictwobis.com.pl

Zamówienia przyjmujemy także telefonicznie
tel. 228772705, 228774033.

Na życzenie wysyłamy katalog dostępnych książek.



Montague poświęca cały swój czas,
żeby zarządzać finansami londyńskiej elity, i płaci za to
wysoką cenę, wyrzekając się posiadania własnej rodziny.

Lecz gdy czarująca panna Violet Matcham
zwraca się do niego o pomoc, Montague napotka nowe,
ekscytujące wyzwanie – zawodowe, a wkrótce
także prywatne. Violet, dama do towarzystwa
wiekowej lady Halstead, prosi Montague'a, by pomógł jej
chlebodawczyni sprawdzić stan rodzinnych finansów.

Wkrótce starsza pani zostaje zamordowana,
a Montague i Violet wspierają Barnaby'ego Adaira
i komisarza Stokesa – oraz ich urocze żony
– w staraniach, by zdemaskować sprytnego,
zabijającego z zimną krwią mordercę, który podkrada się
wciąż bliżej i bliżej. Czy odkryją szokującą prawdę,
zanim będzie za późno, i czy uda im się
wykorzystać szansę na miłość i trwały związek?

bis

www.wydawnictwobis.com.pl